



W OCZEKIWANIU NA GWIEZDNE WOJNY: PRZEBUDZENIE MOCY

WOJNA SIĘ NIE KOŃCZY

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce....

STAR WARS

KONIEC I POCZĄTEK

CHUCK WENDIG

**DRUGA GWIAZDA ŚMIERCI ZOSTAŁA ZNISZCZONA,
A IMPERATOR I DARTH VADER STRĄCENI W NIEBYT.
TO DRUZGOCZĄCE WIEŚCI DLA IMPERIUM I WIELKI
TRIUMF SOJUSZU REBELIANTÓW... ALE BITWA O WOL-
NOŚĆ GALAKTYKI JESZCZE SIĘ NIE SKOŃCZYŁA.**

Spektakularny triumf rebelii okazuje się gorzkim zwycięstwem. Po wygranej w bitwie o Endor powstaje Nowa Republika, a galaktyczne ludy świętują na różnych planetach. Także na Coruscant, dawnej stolicy Imperium. Kiedy znieznacka pojawiają się siły wroga, miażdżąc tłum, staje się jasne, że doniesienia o końcu Imperium są przedwczesne.

Na peryferyjnej planecie Akiva rozpoczyna się tajny zjazd nie-dobitków Imperium służący przegrupowaniu sił i wyłonieniu nowych przywódców. Przypadkiem dowiaduje się o tym kosmiczny zwiadowca, kapitan Wedge Antilles, lecz zostaje pojmany, zanim zdąży zawiadomić dowództwo Sojuszu. Na ratunek rusza mu dawna towarzyszka broni, weteranka Norra Wexley, która powróciła na rodzinną planetę, aby wyrwać stamtąd syna. Nieoczekiwanie pod samym nosem Imperium zawiązuje się barwny sojusz dziwnych postaci - Norry, jej syna Temmina, technicznego geniusza, łowczyni nagród, snajperki Jas Emari oraz Sinjira Ratha Velusa, nawróconego imperialnego tajnego agenta. Wszystkich łączy jeden cel - raz na zawsze wyzwolić się spod władzy Imperium.

Mon Mothma, kanclerz Nowej Republiki, marzy o demilitaryzacji i radykalnej redukcji stanu wojska. Niestety, okazuje się, że koniec wojny jest tylko początkiem nowej i walka musi trwać...

**STAR
WARS™**

KONIEC I POCZĄTEK



STAR WARS™

KONIEC I POCZĄTEK

Tom I

CHUCK WENDIG

przełożyła Małgorzata Fabianowska



Dla Tracy, która zabrała mnie na mój pierwszy film z serii Star Wars.

(Imperium kontratakuje w kinie samochodowym!)

Dla mamy, która kupowała mi te wszystkie cudowne figurki Kennera.

Dla Michelle i Bena, którzy towarzyszyli mi w szalonym locie śmigaczem, czyniąc tę wyprawę dziesięć razy wspanialszą, niż mogła się wydawać.

PODZIĘKOWANIA

Pisarz jest jak Han Solo - kapitan, który dumnie trzyma stery swojego statku, ale nie poleci bez załogi. Dlatego pragnę serdecznie podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki. Moja załoga to: Shelly Shapiro, Jen Heddle, Gary Whitta, Jason Fry, David Keck, Pablo Hidalgo oraz agentka Stacia Decker. Dziękuję również kolegom i koleżankom po piórze, którzy pomogli mi przeżyć ten twórczy maraton: Kevinowi Hearne'owi, Delilah S. Dawson, Stephenowi Blackmooreowi, Tyowi Franckowi, Adamowi Christopherowi, Julie Hutchings, Mur Lafferty, J.C. Hutchinsowi i Samowi Sykesowi. Szczególne wyrazy wdzięczności należą się fanom *Star Wars*, którzy zabawiali mnie na Twitterze (GeekGirlDiva, o tobie mowa). W sumie dziękuję całemu Twitterowi, gdyż bez mediów społecznościowych nie dałbym rady stworzyć tej książki. Wznoszę za was toast szklanką niebieskiego mleka!

STAR WARS®

- I** MROCZNE WIDMO
- II** ATAK KLONÓW
- III** ZEMSTA SITHÓW
LORDOWIE SITHÓW
TARKIN
- IV** NOWA NADZIEJA
BATTLEFRONT. KOMPANIA ZMIERZCH
- V** IMPERIUM KONTRATAKUJE
- VI** POWRÓT JEDI
KONIEC I POCZĄTEK
- VII** PRZEBUDZENIE MOCY

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce..

Druga Gwiazda Śmierci została zniszczona. Krążą pogłoski, że Imperator i jego potężny oręż Darth Vader nie żyją. Imperium pogrąża się w chaosie.

Jedne planety świętują, a na innych imperialne frakcje dokręcają śrubę. Optymizm i strach rządzą ręką w rękę.

Siły Sojuszu Rebeliantów atakują zdziesiątkowane, pozbawione przywództwa oddziały Imperium, a samotny zwiadowca buntowników trafia na tajną naradę wroga...

PRELUDIUM

Dzisiaj jest wielki dzień. Zatriumfowaliśmy nad terrorem i złem, dając naszemu Sojuszowi - i całej galaktyce - szansę odetchnięcia pełną piersią i cieszenia się postępami w odzyskiwaniu wolności zabranej przez Imperium. Komandor Skywalker doniósł nam, że Imperator Palpatine zginął wraz ze swoim popiecznikiem Darthem Vaderem.

Jednak świętując, musimy pamiętać, że jeszcze nie czas na odpoczynek. Zadaliśmy Imperium potężny cios, a teraz musimy wykorzystać wyłom, który uczyniliśmy. Główna broń wroga została zniszczona, lecz samo Imperium istnieje nadal. Jego stalowa dłoń zaciska się na gardłach porządnym, miłującym wolność mieszkańców galaktyki, od Coruscant do najdalszych światów Zewnętrznych Rubieży. Musimy pamiętać, że nasza walka ciągle trwa. Nasza rebelia się skończyła. Ale wojna... wojna dopiero się zaczyna.

- ADMIRAŁ ACKBAR

CORUSCANT

Potem:

Plac Monumentu.

Łańcuchy ze szczękiem opadają na szyję Imperatora Palpatine'a. Lassa zapętłają się wokół tułowia pomnika. Tłum wyje triumfalnie i ciągnie, ciągnie, ciągnie z całych sił. Aplauz zmienia się w jęk zawodu, gdyż niewzruszona masa kamienia ani drgnie. Wtedy ktoś podczepia łańcuchy do dwóch śmigaczy o dużej mocy. Silniki ożywają, z rykiem wchodzą na obroty, maszyny zaczynają ciągnąć, tłum szarpie liny i...

Rozlega się dźwięk, jakby pękała wielka kamienna kość.

U podstawy statuy pojawia się rysa.

Wiwaty. Wycie.

Głowa pomnika odrywa się, spada i toczy się do fontanny. Tryska czarna woda. Tłum wybucha śmiechem.

Wtem: wycie syren. Rozbłyski czerwonych świateł. Trzy aerośmigacze zlatują z powietrznej arterii - to policja imperialna! Czerwono-czarne hełmy odbijają stroboskopowe refleksy.

Żadnego ostrzeżenia. Ani rozkazu, żeby stanąć bez ruchu.

Działa na dziobach obu maszyn zaczynają pluć laserowymi seriami. Czerwone błyskawice przecinają powietrze, robiąc wyłom w tłumie. Padają ciała przeszyte wiązkami płynnego ognia.

Tłum jednak nie tchórzy. I nie jest to już tłum, tylko rozżarta tłuszczka. Chwytają odłamki roztrzaskanego posągu Palpatine'a i bombardują nimi aerośmigacze. Jeden z nich robi gwałtowny unik przed nadlatującym kamieniem i wpada na drugą maszynę, prze-

rywając jej ogień. Mieszkańcy Coruscant błyskawicznie wdrapują się na kamienny obelisk wznoszący się za śmigaczami - obelisk, na którym uwieczniono spis imperialnych zasad porządku, kontroli i prawa aby stamtąd skoczyć na pokłady maszyn, jeden z policjantów zostaje wyrzucony z kabiny, ale drugi wyczołguje się na maskę pojazdu. Pruje do tłumu z dwóch blasterów, kiedy kamień trafia go w hełm i strąca na ziemię.

Pozostałe dwa aerośmigacze wznoszą się wyżej, nie przerywając ostrzału.

Więcej krzyków, dymu i ognia.

Dwie osoby z tłumu - ojciec i syn, Rorak i Jak - jednym skokiem umknęły za powalony posąg. Odgłosy walki na placu Monumentu nie milkły. Przeciwnie, nasilały się. Raz po raz buchały płomienie, oślepiały błyski salw z blasterów. Obraz na podniebnym billboardzie nagle zmienił się w mżenie.

Chłopiec był młody, miał tylko dwanaście standardowych lat, więc nie nadawał się do walki. Jeszcze nie. Popatrzył na ojca zdesperowanym wzrokiem i zawołał, przekrzykując wrzawę:

- Tato, przecież stacja bojowa została zniszczona! Bitwa się skończyła!

Istotnie, widzieli to na własne oczy godzinę temu. Ten triumf miał być końcem Imperium i początkiem lepszych czasów.

Niepewność w oczach chłopca mówiła sama za siebie - biedny dzieciak nie rozumiał, co się dzieje.

Rorak jednak rozumiał. Znał opowieści o wojnach klonów przekazane mu przez ojca. I znał naturę wojny. Nie ma wielu wojen; jest tylko jedna - podsycana wciąż na nowo i serwowana porcjami, żeby była bardziej strawna.

Przez lata nie mówił synowi prawdy, tylko wpajał mu wyidealizowaną nadzieję: „Przyjdzie dzień, w którym Imperium upadnie, i kiedy ty doczekasz się dzieci, wszystko będzie już wy-

glądało zupełnie inaczej”. Nadal mogło tak być, ale na razie musiał sięgnąć po bardziej dosadną i brutalną prawdę:

- Jak, bitwa się nie skończyła. Ona się właśnie zaczęła.

Mocniej przytulił syna, a potem włożył mu do ręki odłamek posągu i wybrał dla siebie drugi.

CZEŚĆ PIERWSZA



Gwiazdy rozmyły się w smugi na czarnym niebie.

Jakiś statek wychynął z nadprzestrzeni - mały jednoosobowy starhopper. Bardzo popularny wśród mocno nieciekawych typów grasujących po Zewnętrznych Rubieżach -piratów, hazardzistów, łowców nagród i tych, za których te nagrody wyznaczono. Statek musiał oberwać w walce. Smugi plazmy zastygły na skrzydłach i statecznikach; wyszczerbiony pancierz z przodu wyglądał, jakby przykopała mu maszyna krocząca. Słowem, ten gość powinien jak najszybciej zejść wszystkim z oczu.

Leciał w stronę planety Akiva. Planeta była mała i z tej odległości widać było jedynie pasma zieleni i brązu, a nad nimi zwoje białych gęstych chmur.

Pilot Wedge Antilles służył dawniej w Eskadrze Czerwonych, a obecnie... powiedzmy, że pełnił własną służbę. Na razie

unikął formalnego przydziału, bo wszystko zrobiło się teraz inne, nowe, niepewne, toteż lepiej było się przyczaić i czekać.

Tak tu ładnie. Spokojnie.

Żadnych myśliwców TIE. Żadnych serii smagających jego X-winga. Rzeczywiście nie miał już X-winga i choć uwielbiał te statki, na razie musiał obniżyć loty. I żadnej Gwiazdy Śmierci. Wedge wzdrygnął się mimo woli, gdyż przyczynił się do unicestwienia obu. Z tamtych chwil mógł być dumny. Później to już było coś innego. Gorszego. Jakby go wciągało. Wokół ciągle trwały walki. Na szczęście nie tu. Nie dzisiaj.

Dzisiaj było spokojnie.

Wedge lubił spokój.

Sięgnął do datapada i wciskając klawisz z boku, zaczął przewijać listę. (Na początek musiał parę razy mocno w niego walnąć, żeby urządzenie zaskoczyło. Poprzysiągł sobie, że kiedy będzie po wszystkim, pomyśli o nowocześniejszym wyposażeniu. Ten gadżet akurat się zapiaszczył i przyciski działały opornie). Lista planet rozwijała się przed oczami Wedge'a.

Na razie sprawdził... policzmy... pięć. Florrum, Ryloth, Hinarri, Abafar, Raydonia. Ta - Akiva - jest szósta liście. Stanowczo zbyt długiej liście.

Ten rajd był jego pomysłem. Ocalałym po pogromie odłamom Imperium jakimś cudem ciągle udawało się podsycać wojnę pomimo straty drugiej stacji bojowej. Wedge domniemywał, że musieli się przegrupować i przyczaić gdzieś na Zewnętrznych Rubieżach. Wystarczy dokładniej przestudiować historię, aby zobaczyć, że nasiona Imperium weszły właśnie tam, z dala od światów Jądra i od uważnych oczu Starej Republiki.

Tak też Wedge powiedział Ackbarowi i Mon Mothmie: „Oni muszą tam być. Znow się tam ukryli”. I Ackbar przyznał, że jego podejrzenia mają sens. W końcu planeta Mustafar długo była

ważna dla przywódców Imperium, czyż nie? Krążyły plotki, że dawno temu Vader pojmał tam paru Jedi i zanim z nimi skończył, wyciągnął z nich pewne informacje.

A teraz Vadera już nie było. Palpatinea też.

„Już prawie kończę” - pomyślał Wedge. Kiedy odkryje wszystkie trasy dostaw zasilających Imperium, od razu poczuje się lepiej.

Włączył komunikator, żeby wyszukać kanał, i...

Nic. Cisza.

Może się zepsuł. To stary statek.

Wedge pogmerał przy boku i włączył przyczepiony do paska komunikator osobisty, usiłując na nim wyłapać sygnał.

Znów nic.

Serce podeszło mu do gardła. Przez moment miał wrażenie, że spada. Wszystko nagle ułożyło się w logiczną całość.

„Sygnał jest blokowany”. Różne zbrodnicze syndykaty nadal działające w tych okolicach dysponują technologiami zdolnymi zablokować łączność - jednak mogą to robić lokalnie i w żadnym razie nie w przestrzeni okołoplanetarnej! Tylko jedna grupa ma takie możliwości.

Mięsień zadrgał w szczęce Wedge'a. W pilocie legły się najgorsze przecucia i chwilę później się potwierdziły. Gwiezdny niszczyciel wysunął się z przestrzeni niczym czubek noża i zmaterializował się na kursie starhoppera. Wedge podkreślił obroty. „Muszę stąd wiać!”

Drugi niszczyciel dołączył do pierwszego.

Wskaźniki na konsoli statku zaczęły ostrzegawczo pulsować czerwienią.

Zobaczyli go. Co robić?

Co Han zawsze powtarzał? „Po prostu leć dalej, jak gdyby nigdy nic”. Statek Wedgea nie bez powodu wyglądał tak, jak wy-

glądał. Miał sprawiać wrażenie, jakby należał do któregoś z tysięcy drobnych przemytników kręcących się po tej zakazanej okolicy. Akiva była szemraną planetą, rządzoną przez pokolenia skorumpowanych satrapów, na której rozliczne syndykaty walczyły o wpływy i surowce. Działał też prężny czarny rynek. Niegdyś, przed dziesiątkami lat, Federacja Handlowa założyła tu fabrykę droidów, co oznaczało, że jeśli potrzebowałeś nierejestrowanego droida, mogłeś walić na Akivę jak w dym. A skoro już o tym mowa, to Sojusz Rebeliantów pozyskał stąd wiele swoich droidów.

Dobra, ale co teraz?

Lecieć dalej na planetę, żeby dokonać powietrznego rekonesansu, jak pierwotnie planowano, czy kombinować i wziąć kurs z powrotem na Chandrilę? Coś tu śmierdziało. Dwa gwiazdne niszczyciele, które pojawiły się nagle jak znikąd? Zablokowany sygnał radiowy? To nie może być przypadek. „Najwyraźniej znalazłem to, czego szukałem” - pomyślał Wedge.

A może nawet coś o wiele lepszego.

Wniosek? Musi grać na czas, żeby się jakoś stąd wymiksować.

To może zabrać dobre parę minut - skok w nadprzestrzeń wynoszący go poza Zewnętrzne Rubieże jest o wiele dłuższy i bardziej niebezpieczny niż zwykle przeskoki od planety do planety. Po drodze czyha wiele potencjalnych niebezpieczeństw - cienie mgławic, pola asteroid oraz gromady kosmicznych śmieci i złomu z różnych kraks czy bitew. Ostatnią rzeczą, o której marzył Wedge, było nawigowanie wokół krawędzi czarnej dziury albo przelot przez jądro gwiazdy przechodzącej w supernową.

Zatrzeszczał komunikator.

Zaczęło się.

Rzeczowy imperialny głos popłynął z głośnika:

- Tu gwiazdny niszczyciel „Vigilance”. Naruszyłeś przestrzeń Imperium - oznajmił.

„To nie jest żadna przestrzeń Imperium. Co tu jest grane?” - pomyślał nerwowo Wedge.

- Wykonaj procedurę identyfikacji - polecił głos.

Wedgea ogarnął strach, intensywny i przenikliwy niczym szok elektryczny. Mydlenie oczu i wykręty nigdy nie były jego specjalnością. Taki cwaniak jak Solo potrafiłby sprzedać Jawowi worek piachu. Ale nie on. On był pilotem. Nie znaczy to jednak, że nie przygotowano go na taką ewentualność. Calrissian opracował dla niego przykrywkę. Wedge odchrząknął i wcisnął klawisz.

- Tu Gev Hessian. Pilotuję starhoppera HH-87; nazwa: „Rover”.

Chwila ciszy.

- Sprecyzuj charakter swojej wizyty.

- Lekki ładunek.

- Jaki ładunek?

Planowana odpowiedź miała brzmieć: „komponenty do droidów”, ale Wedge wiedział, że to nie przejdzie. Zaczął myśleć gorączkowo. Akiva. Tropik. Parno. Głównie dżungla...

- Części do osuszaczy powietrza.

Znów pauza, nieznośnie długa.

Komputer nawigacyjny przetwarzał dane, wykonując obliczenia do skoku w nadprzestrzeń.

„Zaraz skończy.

Tym razem inny głos popłynął z niewielkiego głośnika. Kobiety. Ze stalową nutą. Mniej służbisty. Wcale nie łagodniejszy. Jakby należał do kogoś, kto ma władzę - albo przynajmniej sądzi, że ją ma.

- Gev Hessian? - upewniła się. - Pilot numer 452326. Deva ronianin. Zgadza się?

Powinno. Calrissian znał Hessana. Przemysłowiec, czy raczej „licencjonowany pilot i biznesmen”. Szmuglował różne materiały, pomagając Landowi zbudować Miasto w Chmurach. I naprawdę pochodził z Devarona.

- Tak - potwierdził.

Kolejna pauza.

Komputer już prawie skończył obliczenia. Zostało najwyżej dziesięć sekund. Cyfry przeskakiwały na ekranie.

- Zabawne - powiedziała kobieta. - Z naszych informacji wynika, że Gev Hesan zmarł w więzieniu Imperium. Ustalmy właściwe dane.

Komputer skończył. Statek był gotów do skoku w nadprzestrzeń.

Wedge pchnął dźwignię.

Ale starhopper tylko zadrzał. Po chwili zadrzał jeszcze silniej i zaczął powoli sunąć przed siebie. Ku statkom Imperium. To oznaczało, że włączyli emiter promienia ściągającego.

Wedge sięgnął do sterowników broni.

Jeśli ma się im wymknąć, to teraz albo nigdy.

Admirał Rae Sloane spoglądała to na konsolę, to w przestrzeń za szybą. Atramentowa noc próżni. Białe gwiazdy niczym łebki szpilek wpięte w aksamit. A jeszcze dalej, jak dziecięca zabawka porzucona na kocu, mały myśliwiec dalekiego zasięgu.

- Przeskanuj go - poleciła.

Porucznik Nils Tothwin uniósł głowę i posłał jej służalczy uśmiech.

- Już się robi - powiedział, chytrze marszcząc żółtawe rysy.

Tothwin był chodzącym przykładem kiepskiego stanu sił imperialnych w ostatnich czasach. Wielu najlepszych zginęło, a ci, którzy zostali, byli znacznie gorszego sortu. Jak fusy na dnie kub-

ka z wonną herbatą. „Dobrze, że chociaż pilnie wykonuje polecenia” - myślała Sloane, zastanawiając się, kiedy Imperium naprawdę zacznie się sypać. Siły zbrojne robią, co chcą i kiedy chcą. Panują chaos i anarchia. Wreszcie przyjdzie moment, w którym ktoś, kto ma jeszcze resztki władzy, odłączy się od stada i postanowi iść własną drogą. A wtedy już nic nie powstrzyma upadku.

Tohwin skanował starhoppera, nieubłaganie przyciąganego przez promień. Ekran za jego plecami migotał, a przed twarzą wyrastał holograficzny obraz statku, jakby konstruowały go niewidzialne ręce. Na dole obraz rozbłyskiwał na czerwono. Nils odezwał się z paniką w głosie:

- Hessian aktywuje swoje systemy uzbrojenia.

Rae skrzywiła się nieznacznie.

- Spokojnie, poruczniku. Działa starhoppera nie są wystarczająco... Zaraz. - Przygryzła wargi. - Czy to jest to, o czym myślałem?

- Czyli co? - zapytał Tohwin. - Nie...

Palec pani admirał pokazał na przedni skraj hologramu, obwodząc szeroki stromy nos myśliwca.

- O, tutaj, te wyrzutnie. Torpedy protonowe.

- Ale starhoppery nie mają na wyposażeniu... och. Och.

- Ktoś przygotował go do walki. - Uaktywniła ponownie komunikator. - Tu admirał Rae Sloane. Przejrzałam cię, pilociku. Widzę twoje dwie torpedy. Pozwól, że zgadnę: sądzisz, że torpeda protonowa rozproszy nasz promień ściągający na tyle, żebyś zdążył uciec. To mogłoby się udać. Pozwolę sobie jednak nadmienić, że nasz „Vigilance” dysponuje siłą ognia wystarczającą nie tylko do tego, żeby cię trwale uszkodzić, lecz nawet rozłożyć na cząstki. Garść pyłu rzuconą w przestrzeń. Nie wyrobisz się w czasie. Odpalisz swoją torpedę. My odpalimy swoje. Nawet gdyby twoja

dosięgła nas pierwsza i wyłączyła promień, to... -Cmoknęła z niezadowolaniem. - Cóż, jeśli uważasz, że musisz spróbować, próbuj.

Kazała Nilsowi wycelować w starhoppera.

Na wszelki wypadek.

Miała jednak nadzieję, że pilot nie jest głupi. Pewnie to jakiś zwiadowca rebeliantów; szpieg, podejmujący ryzykowne akcje na własną rękę, choć teraz, kiedy nowo zbudowana druga Gwiazda Śmierci została zniszczona podobnie jak pierwsza, ryzyko znacznie zmalało.

Tym bardziej powinna być czujna, jak sugerowała nazwa jej okrętu. Narada na Akivie musi się odbyć. I musi być owocna. Wszystko się chwije. Imperium balansuje na krawędzi przepaści, która coraz bardziej się kruszy.

Presja była ogromna. Niemal namacalna. Jakby potężna obręcz zaciskała się wokół jej klatki piersiowej, wypychając powie trze z płuc.

Jej szansa na sławę. Jej szansa na odmianę losu Imperium.

„Zapomnieć o przeszłości”.

O, tak.

Wedge zacisnął pięści; serce łomotało mu w piersi jak impulsowy laser. Miała rację. Może nie wyrobić się w czasie. Dobry z niego pilot, może nawet jeden z najlepszych, ale Moc nie jest z nim. Jeśli odpali swoje dwie torpedy, zrobią, co trzeba. A wtedy nie będzie już ważne, czy zdoła się wyrwać, czy nie. Będzie miał zaledwie sekundę na ucieczkę spod ostrzału.

Coś się dzieje - tu, w przestrzeni ponad Akivą, a może raczej na samej planecie.

Jeśli teraz zginie, nikt się nigdy nie dowie, o co tu chodzi. Musi zatem mądrze rozegrać tę sytuację.

Wedge aktywował torpedy.

Przyszedł mu do głowy inny pomysł.

Stacja dokująca 42.

Rae Sloane stała na przeszklonym tarasie, spoglądając na formujący się w dole batalion szturmowców. Oni także, jak Nils, byli niedoskonali. Ci, którzy ukończyli Akademię z najwyższymi notami, poszli służyć na Gwieździe Śmierci albo na flagowym okręcie Vadera, „Executorze”. Połowa z tych tutaj nawet nie zdążyła ukończyć nauki, bo zostali skierowani na przyspieszone przeszkolenie.

„Trudno, muszą wystarczyć. Przynajmniej na razie”. Przed nią, w oddali, starhopper unosił się w próżni podtrzymywany niewidzialnym uściskiem promienia ściągającego. Od dołu sunęły w szyku myśliwce TIE (połowa tego, czego potrzebowali, i ledwie trzecia część tego, co by ją zadowoliło), z wolna zbliżając się do oddziałów szturmowych.

Ich było wielu. Starhopper miał pewnie jednego pilota i może ze dwóch członków załogi.

Zbliżał się coraz bardziej.

„Kim jesteś? - zastanawiała się. - Kto tkwi w tej małej, ciasnej puszcze?”

Jej rozmyślania przerwał jaskrawy błysk, a potem wstrząs - to dziób starhoppera rozjarzył się ostrym niebieskim blaskiem i eksplodował w deszczu ognia i szczątków.

- Kimkolwiek byli - powiedział porucznik Tothwin - z pewnością nie chcieli zostać odkryci. Woleli szybko wyparować.

Sloane stała pośród dymiących szczątków myśliwca. Wokół unosiła się woń ozonu i spalenizny. Dwa lśniące czarne astromechy uwijały się po pobojuwisku, tłumiąc dogasające płomienie pianą z gaśnic. Musiały lawirować pomiędzy półtuzinem ciał szturmowców w zmiażdżonych hełmach, z osmalonymi pancerzami. Obok wały się pogruchothane blastery.

- Nie bądź naiwnym ciełębem - warknęła z irytacją. - Owszem, pilot nie życzył sobie, żeby go odkryto. Ale on tu gdzieś jest. Skoro nie chciał, żebyśmy zamienili go w parę, i dał się zaciągnąć aż tutaj, nie sądzisz chyba, że pragnął zginąć, co?

- Mógł to być atak samobójczy. Maksymalizowanie szkód...

- Nie. On tu jest. Nie może być daleko. Znajdź go.

Nils nerwowo skinął głową.

- Tak, pani admirał. Rozkaz.



- Musimy zawrócić - powiedziała Norra. - Wymyśl inny kurs...

- Hola, hola, nic z tego - zaprotestował z rozbawieniem Owerto i spojrział na nią. Jedna połowa jego ciemnej twarzy ginęła pod zawiłą siecią blizn, których powstanie tłumaczył za każdym razem inaczej - lawą, wampami, ogniem blastera albo skutkiem upojenia koreliańskim rumem, kiedy padł twarzą na rozgrzany piecyk. - Panno Susser...

- Nie. Teraz, kiedy jestem w domu, znów przechodzę na nazwisko po mężu. Wexley.

- Norra, zapłaciłaś mi, żebym cię zawiózł na tę planetę. - Pokazał gestem na okno. Tam jest jej dom. Czy może kiedyś był to dom. Planeta Akiva. Leniwe spirale chmur ponad dżunglami i

górami. I dwa gwiazdne niszczyciele wiszące w przestworzach nad planetą niczym dwa miecze. - I co najważniejsze - dodał - nie jesteś jedynym ładunkiem, który tu przywiozłem. Moją misję uważam za skończoną. Wyładuję, co trzeba, i odlatuję.

- Przecież widzisz, że jest blokada. I tak każą nam zawrócić.

- Przemysłowcy tacy jak ja są świetni w omijaniu blokad.

- Musimy wracać do Sojuszu. To znaczy... do Nowej Republiki - poprawiła się szybko. - Oni muszą się dowiedzieć.

Trzeci gwiazdny niszczyciel nagle wychynął z przestrzeni i dołączył do pozostałych.

- Masz tam w dole rodzinę?

Sztywno kiwnęła głową.

- Tak. Dlatego jestem tutaj.

„Dlatego jestem w domu”.

- Tak czy owak, to ryzyko. Imperium rezydowało na Akivie od lat. Nieoficjalnie, ale... po prostu tam byli i musieliśmy jakoś z tym żyć. - Pochylił się ku niej i dodał: - Wiesz, dlaczego nazwałem ten statek „Ćma”?

- Nie.

- Nigdy nie próbowałaś złapać ćmy? Nie biegałaś za nią, nadstawiając złożone dłonie? Białej, brązowej, jakiegokolwiek? Bardzo trudno to zrobić. Zawsze się wymknie. Będzie się trzepotać, kluczyć, fruwać w prawo, w lewo, w górę, w dół. Jak marionetka, za której sznurki pociąga ktoś inny. To właśnie ja. I mój statek.

- Nadal nie podoba mi się ten pomysł.

- Mnie też, ale nie zawsze mamy to, co lubimy. Chcesz znów zobaczyć swoją rodzinę? Więc nie masz wyjścia. Teraz jest dobry moment, bo oni do czegoś się szykują. Pewnie zaraz będzie ich więcej.

W zdrowym oku Owerta czał się niezdrowy błysk. Zamiast drugiego połyskiwało wyzywająco czerwone szkło, osadzone w metalowym pierścieniu, źle dopasowanym do oczodołu i topornie przymocowanym do pokancerowanej skóry. Uśmiechnął się szeroko, ukazując pieńki zębów. Takie wyzwania go kręciły.

„Przemytnicy” - pomyślała.

Cóż, zapłaciła za bilet.

Trzeba lecieć.

Długi czarny stół błyszczał odbitym światłem hologramu przedstawiającego stację dokującą „Vigilance” i jej najbliższe otoczenie. Był też obraz z droida pokazujący stopień zniszczenia dwóch myśliwców TIE, nie mówiąc już o ciałach szturmowców, które zostawiono tam, aby pokazać innym, do czego zdolni są rebelianci.

Pilot starhoppera raczej na pewno był rebeliantem. Pozostaje pytanie: Czy to był atak? Czy wiedział, że tu są? A może to po prostu zbieg okoliczności; czysta koincydencja, która sprawiła, że przypadkiem znalazł się w danej chwili w tym sektorze przestrzeni?

Ale to problem na później. Teraz trzeba ustalić, co się z nim stało. Zwłok bowiem nie było na statku.

„Zastanówmy się - pomyślała. - Uaktywnił torpedy protonowe i zanim wystrzeliły... właśnie, co zrobił?”. Wcisnęła klawisz i wyświetlił się plan starhoppera, który wyciągnęła z bazy danych Imperium. Tutaj! Drzwi przy rufie. Małe, ale wystarczające, żeby przeszedł przez nie niewielki ładunek.

A więc jej nowy przyjaciel pilot wyskoczył z tyłu. Niezły wyczyn. Jedi? Nie, niemożliwe. Na pewno jeden z okolicznych łazików, bo trudno uwierzyć, żeby rebelianci przysłali tu swojego złotego chłopca, Skywalkera.

Dobrze, a teraz plan stacji dokującej.

Obróciła hologram, podświetlając wszystkie miejsca dostępu. To musi być to. Sięgnęła po mikrofon.

- Tothwin, nasz pilot jest w kanałach wentylacyjnych. Załóżę się, że znajdziesz otwarty...

- Mamy problem.

„Taki, że mi przerywasz” - pomyślała z irytacją, ale nie powiedziała tego głośno.

- Co takiego?

- Ktoś przerwał blokadę.

- Kolejny terrorysta?

- Możliwe, choć wygląda jak drobny przemytnik. Leci małym koreliańskim transportowcem... typu... już sprawdzam, zdaje się, że MK-4.

- Wypuść myśliwce. Niech się nim zajmą.

- Tak jest, pani admirał.

Wszystko zdawało się dziać w zwolnionym tempie. Norra, wciskana przeciążeniem w fotel nawigatora, siedziała obok Owe rta Naiucho, przemytnika z twarzą w bliznach, raz po raz uwydatnianych rozbłyskami. W kabinie mieszało się zielone światło z dolatujących laserowych smug i jasnoniebieski poblask z myśliwca TIE, którego spotkał przedwczesny koniec. Na zewnątrz przed nimi TIE nadlatywały od przodu niczym chmura insektów. Śmigły wokół z przeraźliwym wyciem, aż fotel wibrował pod nią i drżała tablica rozdzielcza, której trzymała się tak kurczowo, że zbieła jej kłykcie. Gdy mrugała, nie miała pod powiekami ciemności, tylko inny obraz - bitwy, która się rozkręca...

- *To pułapka!* - krzyczy głos Ackbara przez komunikator.

Paskudne uczucie, kiedy imperialne myśliwce TIE atakują niczym stado szerszeni, które wyroiły się z gniazda trafionego kamieniem. Czerni kosmicznej przestrzeni rozdziera trzeszcząca smuga zielonego laserowego światła, która wystrzeliła z na wprost

ukończonej Gwiazdy Śmierci. Ten strzał wbija kolejny gwóźdź do trumny Sojuszu, kiedy w oślepiającym rozbłysku unicestwia jeden z flagowych okrętów jego floty.

MK-4 zanurkował ku powierzchni planety w szalonym korkociągu. Zadygotał, kiedy laserowy ogień smagnał jego burtę. Widać było, że tarcze ochronne długo nie wytrzymają.

- Musisz strzelać, Norra! Działa! - wrzasnął do niej Owerto.

Ale nie była w stanie podnieść się z fotela. Nie mogła odebrać rąk od pulpitu. W ustach miała nieznośną suchość. Pot spływał jej spod pach. Serce waliło jak pulsar.

- *Chcemy, żebyś poleciała z nami - mówi do niej kapitan Antilles.*

Oczywiście, że odmawia. Owszem, od lat pracowała dla rebeliantów, jeszcze przed zniszczeniem pierwszej Gwiazdy Śmierci, ale jako pilot frachtowca. Przewoziła droidy łącznościowe albo szmuglowała broń czy po prostu przetrzucała ludzi z planety na planetę bądź z bazy do bazy. Jednak kapitan jest uparty.

- *To niczego nie zmienia w ocenie twojej klasy jako pilota. Prześcignęłaś gwiazdowego niszczyciela. Podprowadziłaś dwa ścigające cię myśliwce TIE, aż zderzyły się ze sobą. Zawsze byłaś wspaniałym pilotem. I będziemy cię potrzebowali, kiedy tylko generał Solo wyłączy generatory pola obronnego.*

Ponawia pytanie. Czy teraz się zgodzi? Poleci jak na skrzydłach? Tak. Norra przytakuje. Cóż innego mogłaby odpowiedzieć?

Zamęt się powiększał. Światła w kabinie migotały. Deszcz iskier sypnął zza foteli. Można było odnieść wrażenie, że losy „Ćmy” balansują na cienkiej linii. Za szybą planeta się powiększała. Chmury pędziły ku nim. Imperialne myśliwce

przebijały w nich dziury o postrzępionych krawędziach. Norra chwyciła wstała z fotela. Ręce jej się trzęsły.

Jak w brzuchu bestii. Rury i syczenie pary. Szkielet konstrukcji, plątanina kabli i rur. Trzewia odbudowanej Gwiazdy Śmierci. Osłony wyłączone. To ich jedyna szansa. Ale myśliwce TIE kręcą się wszędzie. Ścigają ich jak jastrzębie wyrrywające pióra z ogonów. Dobrze wie, czym to się skończy -jej śmiercią. Ale tak już musi być. Włącza się Dowódca Żółtych - głos Landa w jej uchu, a w tle jego sullustański drugi pilot. Mówią jej, co ma robić. I znów myśli: „To jest to, tak właśnie zginę”. Przyspiesza lot swojego Y-winga i odbija w lewo. Parę myśliwców TIE odrywa się od grupy i pędzi za nią. Odciąga ich od „Sokoła Millennium”. Od X-wingów. Ogień laserowy smaży jej silniki. Odstrzela kopułkę droida naprawczego. Dym wypełnia kabinę. Woń ozonu...

- Nie jestem strzelcem - powiedziała. - Jestem pilotem.

Szybkim ruchem wyszarpnęła Owerta z fotela. Gdy usiłował protestować, posłała mu spojrzenie - spojrzenie dawno przez nią wypróbowane, kiedy jej rysy twardnieją jak stal, a wzrok staje się bazyliżkowy. Szmugler ledwie zauważalnie skinął głową. W samą porę, bo gdy tylko usadowiła się za sterami, zobaczyła parę myśliwców wroga nadlatujących od przodu.

Tak mocno zacisnęła zęby, aż myślała, że szczęki jej pękną. Na niebie rozpętało się laserowe piekło i zaczęło ich ścigać.

Szarpnęła stery. „Ćma” poderwała dziób, przerywając lot ku planecie. Lasery chybiły o włos, przechodząc za tylnym statecznikiem, ale celowały dalej...

Buum.

Wyzeliminowali dwa myśliwce TIE, które siedziały im na ogonie. Norra manewrowała jak szalona i statek zataczał dzikie młyńce; jej żołądek zderzał się z sercem, krew szumiała w uszach, ale zdążyła dostrzec moment, w którym pozostałe dwa myśliwce sczepiły się ze sobą pionowymi panelami, a potem się rozdzieliły i

nagle jednocześnie wpadły w korkociąg. Wirując jak szalone ogniste koła, pomknęły w przestrzeń.

- Następni nadlatują! - wrzasnął Owerto gdzieś z tyłu i Norra usłyszała, jak ze zgrzytem trybów sprzężone działka statku obracają się razem z wieżyczką i zaczynają pluć ogniem.

Pasma chmury przeleciało za szybą.

Statek zatrzęsł się z hukiem, jakby trafił na dziurę w atmosferze.

„To jest mój dom” - pomyślała. Albo raczej był. Wychowała się na Akivie. Co ważniejsze, tamta Norra całkiem przypominała dzisiejszą Norrę. Nie dbała o innych. Wolą chodzić własnymi drogami. Lubiła eksplorować dzikie okolice Myrry - stolicy planety - starożytne świątynie, rozbudowane systemy jaskiń i wąwozów.

Znała te miejsca jak własną kieszeń. Każdy zakręt i zakątek, każdą dziurę. Znów pomyślała: „To jest mój dom” - i kiedy zaczęła powtarzać te słowa jak mantrę, jej ręce przestały drżeć. Pewnym chwytem zacisnęła je na sterach, kierując „Ćmę” w dół spiralnym lotem pośród piekła laserowych promieni.

Powierzchnia planety zbliżała się bardzo szybko. Za szybko, ale Norra wmawiała sobie, że wie, co robi. W dole ukazało się pasmo zielonych gór i strome klify przechodzące w Kanion Akara - wijącą się, wąską i stromą dolinę. Tam też skierowała statek. W kanał przecinający gęstwę wiecznie zielonego lasu. Wilgoć zasnuła szybę i krople uciekały w bok, rozganiane pędem. Skrzydła statku zahaczały o gałęzie, zdzierając z nich kaskady liści, kiedy tak pruć przed siebie, klucząc bezustannie i czyniąc z „Ćmy” cholernie trudny cel.

Laserowy ogień przeorał poszycie.

Nagle wyrosła przed nimi ściana mgły.

Naparła na stery, aż statek zszedł jeszcze niżej. Tu już kanion zaczął się zwężać. Drzewa, powykręcane jak starcze ręce, sterczały ze skalnych szczelin. Norra rozmyślnie śmigiała pod nimi, raz w prawo, raz w lewo. Wieżyczka bluznęła ogniem i nagle ścigający ich myśliwiec przeokoziółkował, odbijając się od ścian jak spadający kamień. Musiała zrobić unik, żeby na nich nie wpadł. Chwilę później rozbił się na drzewie i zmienił w kulę ognia.

Eksplozja zakołysała statkiem.

Posypały się iskry i w kabinie zrobiło się ciemno.

- Straciliśmy działa! - krzyknął Owerto.

„Już ich nie potrzebujemy” - pomyślała Norra.

Wiedziała, co zaraz nastąpi. Przed nimi zamajaczył jeden z najstarszych kompleksów świątynnych na planecie - zapomniany architektoniczny artefakt z zamierzchłych czasów, kiedy żył tu jeszcze lud Ahia-Ko. Dostępu do niego bronił wodospad, spowity srebrną mgiełką rozpylonej wody, spadający z wystającej krawędzi klifu. Tę skałę nazywano Palcem Czarownicy, gdyż sterczała jak oskarżycielski, szponiasty palec. Pod kamiennym łukiem był wąski prześwit. Zbyt wąski, pomyślała. Chociaż... po stracie wieżyczek jest szansa. Zresztą nie ma innego wyjścia.

Ustawiła statek bokiem.

Śmignęła w kierunku szczeliny. Wodospad z jednej strony. Z drugiej - ostra skalna krawędź. Norra wstrzymała oddech, patrząc przed siebie.

W ostatniej chwili wypowiedziała głośno mantrę:

- To jest mój dom.

„Ćma” przemknęła przez przesmyk.

Statek trząsł się jak stary pijak. Resztki wieżyczki odpadły i poleciały w dół, do wodospadu.

Ale przeszli. Gładko. Bezpiecznie.

Na konsoli zamigotały dwa czerwone światełka.

TIE! Nadlatują.

„Zaczekaj. Zaczekaj, aż...”.

Dwie eksplozje wstrząsnęły powietrzem.

Światelka zamigotały i zgasły.

- No i po sprawie! - zawołał Owerto, klaszcząc.
- Jak cholera - mruknęła.

Obróciła statek do normalnego położenia i wzięła kurs na przedmieścia Myrry.

Nils Tothwin z trudem przełknął ślinę i dał krok nad chrzęszczącymi odłamkami szkła rozsypanymi w kałuży musującego płynu - czyli tym, co zostało po bankietowej butli lothalskiego wina porzeczkowego o fioletowej, niemal czarnej barwie. Kałuża wyglądała jak dziura ziejąca w podłodze.

Tothwin nerwowo zatarł ręce.

- Nie znalazłeś pilota - powiedziała Rae Sloane.
- Nie.
- I widziałam, że statek przemysłowy odleciał.
- Uciekł.

Zmierzyła go wzrokiem spod zmrużonych powiek.

- Wiem, co miałam na myśli.
- Tak jest, pani admirał.

Kałuża syczała bąbelkami. Rae dostała to wino w prezencie i zamierzała nim uczcić awans na admirała. Pasowało, gdyż jej rola była głównie ceremonialna. Przez całe lata trzymano ją na bocznym torze i oto nagle powierzono jej dowództwo „Vigilance”. Ale sam „Vigilance” nie wystarczy do odegrania wielkiej roli w walce przeciw rosnącej w siłę rebelii. Wciąż wykonywała nudne, pospolite zadania. Przeważnie patrolowanie Zewnętrznych Rubieży oraz eskortowanie urzędników, moffów, dygnitarzy i ambasadorów.

Trudno, dobre i to. Wcześniej narobiła sobie za dużo wrogów. Sloane zawsze mówiła to, co myśli. I nigdy nie wiedziała, gdzie jest jej miejsce. Marginalizowano ją, i to bolało.

Do teraz. Teraz ma szansę.

Przerwała ciszę:

- Nie czas na chaos, poruczniku. Zmierza ku nam dwóch szacownych gości - moff Valco Pandion na gwiazdowym niszczycielu „Vanquish” oraz jeden z najwybitniejszych strategów i taktyków Imperium Galaktycznego - generał Jylia Shale na „Ascencie”. Wkrótce pojawią się też inni, więc nie jest to chwila na okazywanie słabości. Nie możemy się przyznać, że nie kontrolujemy naszego najbliższego otoczenia, bo jeśli tak się stanie, nasi goście, a przede wszystkim Pandion, dojdą do wniosku, że nie zdołamy ochronić spotkania. A to spotkanie musi przebiec bez zakłóceń!

- Rozumiem, pani admirał. Znajdziemy tego terrorystę i...

- Nie. To ja poprowadzę poszukiwania naszego nieproszonego gościa. Ty zbierz załogę i zajmij się namierzeniem przez mytnika, który nam uciekł. Chociażby po to, żeby się upewnić, czy nie ma powiązań z czymś większym. I pospiesz się, bo musimy zdążyć przed spotkaniem. Masz wykonać zadanie, bo jeśli coś pójdzie nie tak, będziesz osobiście za to odpowiadał.

Resztki krwi odpłynęły z twarzy Nilsa.

Z poszycia „Ćmy” unosiły się kręte smużki pary. Deszcz ustał i wyszło słońce. Jaskrawe i palące. Było duszno i parno. Norra czuła, że jej włosy - zazwyczaj proste, gładkie i srebrne niczym wodospad, pod którym przelatywali zaledwie przed godziną - zaczynają się zwijać w kędziory. Pomyślała w nagłym popłochu: „Czy wzięłam szczotkę?” Czy wzięła odpowiednie stroje? Co Temmin sobie o niej pomyśli?

Tak dawno nie widziała swojego syna... zbyt długo. Trzy standardowe lata? Przygryzła wargę.

- Latasz jak szalowiec - powiedział Owerto, wyłaniając się z za burty statku. Szedł, poklepując swój wysłużony wehikuł, aż dudniło poszycie. - Nie ma co ukrywać, ocaliłaś skórę mnie i mojej „Ćmie”.

Uśmiechnęła się krótko.

- Po prostu szczęśliwy traf.

- Jak ktoś tak pilotuje, to nie ma mowy o szczęśliwym trafie. Latasz dla rebelii, tak?

- Tak.

- W takim razie jesteś w wygranej drużynie, co?

„Jeszcze nie” - odpowiedziała w myśli.

- Mam nadzieję - odparła oględnie.

- Oni na pewno zginęli? Imperator? Ten ludzki automat, Vader? I cała Gwiazda Śmierci jeszcze raz rozprysła się na kawałki?

- Tak. Byłam tam. To znaczy... w środku.

Gwizdnął z podziwem.

- To wyjaśnia fantastyczne pilotowanie.

- Możliwe.

- W każdym razie gratuluję. Jesteś bohaterką. To musiało być coś.

- Bo to było coś.

Nawet teraz, kiedy myślała o tamtych chwilach, mimo nieznośnego upału czuła zimny dreszcz pełznący wzdłuż kręgosłupa. Niektórzy w czasie walki wpadali w euforię, ale nie ona. Za to po walce bez końca przeżywała ją na nowo w sennych koszmarach. Widziała wspianiałych pilotów opadających śmiertelnym korkociągiem ku powierzchni monstrualnej bazy bojowej. Słyszała ich krzyki w komunikatorze.

- Twoje pieniądze - powiedziała nagle. Wyjęła z torby mały woreczek i cisnęła do niego. - Jeszcze dziesięć tysięcy po wylądowaniu, jak obiecałam. I przepraszam za szkody.

- Naprawi się. Życzę powodzenia w poszukiwaniu rodziny.

- Głównie syna. Przyleciałam, żeby go odnaleźć i stąd zabrać.

Uniósł brew nad ocalałym okiem.

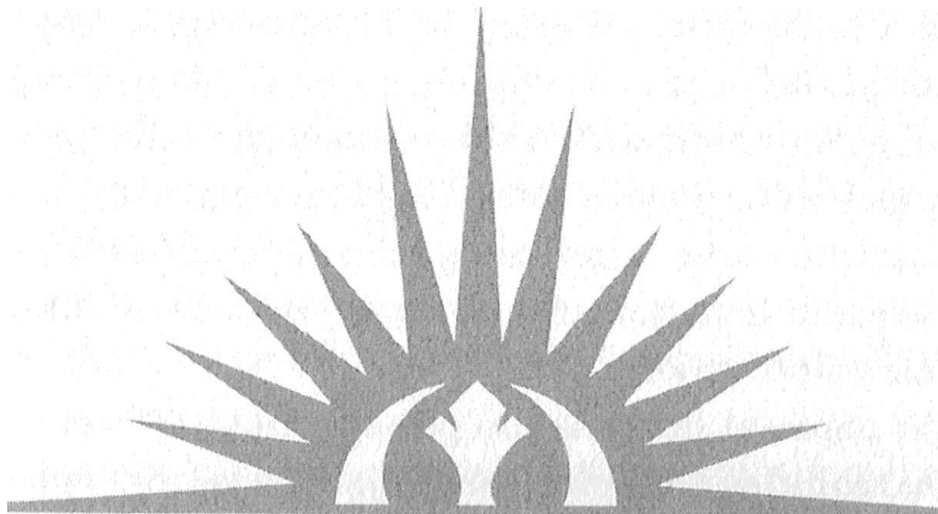
- To nie będzie łatwe przy tej blokadzie. Wiesz już, jak się wymknąć z planety?

- Nie. Jakaś oferta?

- Zapłać mi i obiecaj, że w razie potrzeby popilotujesz, a wejdem w ten interes.

Wyciągnęła do niego rękę. Uścisnęli sobie dłonie.

- Och - dorzucił, odchodząc. - Witaj w domu, Norro We xley.



ROZDZIAŁ TRZECI

Na Akivie zawsze byli imperialni, jednak nigdy w roli okupantów. Jak w przypadku wielu światów Zewnętrznych Rubieży orbitujących na peryferiach znanej przestrzeni Imperium wykorzystywało tę planetę, ale nigdy oficjalnie nie ustanowiło nad nią władzy. I pewnie nie ustanowi. Te egzoplanety były bestiami zbyt dzikimi, nieprzewidywalnymi i obcymi, żeby opłacało się nałożyć im jarzmo Imperium Galaktycznego. Jego przedstawiciele rzadko się tu pojawiali, a jeżeli już, to raczej dla własnych korzyści. Przyciągały ich tanie alkohole, używki, hazard czy inne towary dostępne na czarnym rynku. Albo po prostu byli ciekawi dzikich twarzy i tajemniczych stworów, jakie można było spotkać w tej zapadłej dziurze, zamieszkaney przez łotrów i dewiantów.

Z takich właśnie powodów przybył tu i on.

Sinjir Rath Yelus. Tajny agent Imperium.

No dobra, bądźmy szczerzy. Były tajny agent Imperium.

Galaktyczne prądy przyniosły go na tę planetę pierwotnej dżungli i poszarpanych skal, czarnych wulkanów i plaż szklanego piasku. I tkwił tutaj. Ciągle na tym samym stołku w tym samym barze, w tej samej szemranej dzielnicy Myrry, gdzie ten sam kalamariański barman podsuwał mu drinki na ladzie z drzewa oka.

Sinijir napawał się smakiem pitnego miodu z liści sashinu, złotego, słodkiego trunku, smakującego jak skrzyżowanie owocu jybbug z oi-ois, tymi małymi czerwonymi jagodami, które zbierała jego matka. To był już trzeci drink dzisiaj, a słońce świeciło dopiero od paru godzin. Miał wrażenie, że jego głowa jest złapaną w lepłą pajęczą sieć muchą, która szarpie się w bezskutecznych próbach wyrwania się na wolność, zanim znieruchomieje i podda się straszemu losowi.

W głowie miał grząskie, mętne, wsysające bagno.

Sinijir uniósł kieliszek i obdarzył go spojrzeniem, jakie zwykle rezerwują dla siebie kochankowie. Głosem pełnym pasji i zapamiętał powiedział do niego:

- Możesz na mnie liczyć. Siedzę w tym cały.

Przestał bawić się kieliszkiem i wychylił go do dna. Aż się wzdrygnął z rozkoszy. Popukał stopką w drewnianą ladę.

- Barmanie, nalewaczu, dawco dziwnych drinów! Jeszcze jeden!

Kalamarianin o imieniu Pok zbliżył się, szurając. Był stary; jego macki podbródkowe - czy cokolwiek mu tam zwisało - były długie i grube, czerwona skóra opadała rozciągniętymi fałdami, a wąsy drgały bezustannie. Nie miał jednej ręki i zastępowała ją proteza zrobiona ze lśniącej srebrzystej kończyny droida protokolarnego. Jakiś partacz musiał dorobić mu ją w pośpiechu, bezceremonialnie wciskając przewody w łososiową, guzowatą skórę ramienia. Gość wyglądał

niezbyt apetycznie, ale Sinjir to zignorował. Nie zasłużył na nic lepszego.

Pok wydał serię gulgotów i chrząknięć w swoim kalamariańskim języku. Za każdym razem ich konwersacja wyglądała tak samo:

Pok wydawał odgłosy.

Sinjir prosił, a potem żądał, żeby barman raczył przestawić się na wspólny język.

- Nie znam basica - mrucał Pok, po czym powracał do swojego bełkotu.


Wtedy Sinjir zamawiał następną kolejkę i Pok mu dolewał.

Tym razem po rytualnej wymianie zdań Sinjir wystąpił z nowym zamówieniem:

- Czy mogę... uff, na wszystkie gwiazdy wszystkich galaktyk, cholernie tu gorąco, nie? Dostanę coś na ochłodę? Masz coś takiego, mój wyłupiastooki przyjacielu? Jak masz, to dawaj!

Barman wzruszył ramionami i łypiąc żabimi oczami, sięgnął po drewniany kubek, po czym wsypał do niego garść pokruszonego lodu. Następnie zdjął z półki brudną butelkę z nalepką z napisem w języku równie niezrozumiałym dla Sinjira jak kalamariański. Imperium nie przykładło wagi do poznawania języków i obyczajów innych plemion. Nie życzyło sobie nawet, żeby jego urzędnicy czy funkcjonariusze się ich uczyli.

(Sinjir przypominał sobie, że kiedyś nakrył młodego agenta, jak wkuwał ni mniej, ni więcej, tylko ithoriański. Ten młodzik o niewinnej buzi siedział ze skrzyżowanymi nogami na swojej przyczy i długim palcem wskazującym wodził po stronie obcego podręcznika. Sinjir złamał mu ten palec. Uważał bowiem, że będzie to lepsza - i szybsza - kara niż przewidziana w regulaminie).



(Sinjir przypomniał sobie również, co wtedy myślał: „Jestem strasznym człowiekiem”. Poczucie winy walczyło w nim z poczuciem wstydu, niczym para syczących kotów lothalskich).

Pok nalał mu z zakurzonej butelki.

Sinjir poruszył płynem w kubku. Smród, jaki się przy tym uwolnił, był zdolny przeniknąć nawet przez filtry hełmu pilota myśliwca TIE. Umoczył język, spodziewając się, że gardło stanie mu w ogniu, ale zdarzyło się coś przeciwnego. To nie było po prostu słodkie. To było delikatne, kwiatowe, rozkoszne. Smak jako totalne przeciwieństwo zapachu. Fascynujące.

Westchnął błogo.

- Hej - szepnął ktoś.

Sinjir zignorował głos i pociągnął długi, łapczywy haust dziwnego napoju.

- Hej...

Ktoś do niego gada, nie? Ups. Odwrócił się, wyczekująco unosząc brwi, i zobaczył, że dosiadł się do niego jakiś Twi,lek. Skórę miał różową jak u niemowlęcia. Jeden z dwóch lekku wystających z wysoko wysklepionej czaszki zawijał mu się wokół

barku i zwiisał do przedramienia jak wąż albo lina, którą robotnik niesie na budowie.

- Cześć, kolo - powiedział Twidek. - Hej.

- Nie - odpowiedział raczej sztywno Sinjir. - Nie, nie ma mowy. Nie gadam z obcymi. Nie jestem tu, żeby gadać. Jestem tu, bo mam to. A nie to. - Mało precyzyjnym gestem pokazał na obszar wokół Twideka.

- Widziałeś hologram? - warknął Twidek, ujawniając się niespodziewanie jako jeden z tych nieprzyjemnych napastliwych typów, których można przekonać do uprzejmości i zrozumienia wyłącznie pięścią albo wycelowaną w nich lufą blastera.

Hologram? Sinjir nagle się zainteresował.

- Nie. A o co chodzi?

Twidek zerknął czujnie w prawo, w lewo, po czym wyjął z kieszeni mały dysk - nieco większy od jego dłoni i nieco mniejszy od talerza. Dysk miał metalową krawędź i środek z niebieskiego szkła. Stwór oblizwał ostre, drobne zęby i wcisnął klawisz.

Nad dyskiem wyświetlił się obraz.

Kobieta. Arystokratyczna. Władczo uniesiony podbródek. Nawet na tym rozmywającym się hologramie widać było, że ma bystre, inteligentne spojrzenie. Być może Sinjir od razu tak ją ocenił, bo wiedział kim jest.

Księżniczka Leia Organa. Z planety Alderaan. Obecnie jedna z bohaterek i przywódców Sojuszu Rebeliantów.

Nagrany obraz księżniczki przemówił:

- *Jestem Leia Organa, ostatnia księżniczka Alderaan, była członkini Senatu Galaktycznego i przywódczyni sojuszu mającego ustanowić Nową Republikę. Mam przesłanie dla całej galaktyki i jej obywateli. Okowy Imperium zostały skruszone. Nie ma już Gwiazdy Śmierci na orbicie lesistego księżyca Endor, a wraz z nią wyparowało całe imperialne przywództwo.*

Hologram zamigotał i pokazał widok aż nazbyt znany Sinijnowi: Gwiazdę Śmierci eksplodującą na endorskim niebie.

Znał go, gdyż był tam. Widział potężny rozbłysk, pulsowanie ognia, wypiętrzające się chmury dymu i pyłu, niczym mózg wpływający z rozłupanej czaszki szaleńca. I miliony odłamków unoszących się w przestrzeni. Obraz znów zamigotał i powróciła Leia.

- *Tyran Palpatine nie żyje, ale walka jeszcze się nie skończyła. Wojna trwa, choć siły Imperium osłabły. Na szczęście macie nas. Gdziekolwiek jesteście, obojętnie na jakich krańcach Zewnętrznych Rubieży mieszkacie, możecie liczyć na*

pomoc Nowej Republiki. Przechwyciliśmy już dziesiątki imperialnych okrętów flagowych i niszczycieli... - W tym momencie ukazał się trójwymiarowy widok załogi imperialnego krążownika schodzącej po trapie, zakutej w kajdanki. *-W ciągu miesięcy, które upłynęły od zniszczenia złowrogiej stacji bojowej Imperium, udało nam się wyzwolić niezliczoną liczbę planet, przywracając im wolność w imię Sojuszu.* -Kolejny obraz: rebelianci witani jak zbawcy i wyzwoliciele przez wiwatujące tłumy mieszkańców planety... Gdzie to jest? Naboo? Możliwe. Leia mówiła dalej: *- Bądźcie cierpliwi. Bądźcie silni. Podejmujcie walkę. Machina wojenna Imperium rozpada się po trochu i ważny jest każdy unicestwiony sprzęt, blaster, szturmowiec. Nowa Republika nadchodzi. Potrzebujemy waszej pomocy, żeby zakończyć tę wojnę.*

Ostatni obraz: myśliwce Sojuszu paradujące w rozbłyskach fajerwerków.

Kolejny znajomy widok. Sinjir oglądał tych triumfujących rebeliantów i fajerwerki tryskające wysoko ponad wierzchołki strzelistych drzew Endora. I te dziwne ni to szczury, ni to niedźwiadki, krzyczące, wiwatujące i chrumkające, oglądane przez

niego z oddali - z krzaków, w których tchórzliwie się ukrył i tkwił tam samotny i zmarznięty.

- To nowy świt - skomentował Twi'lek, ukazując w szerokim uśmiechu wygięte rzędy drobnych ostrych zębów.

- Jedna siła zastąpi drugą - odpowiedział Sinjir ze swoim charakterystycznym krzywym uśmiechem. Jednak jego mina nie odzwierciedlała tego, co czuł, tak jak w napoju stojącym przed nim smak całkowicie rozchodził się z zapachem. W sercu bowiem doznał przyływu... nadziei? Naprawdę? Nadzieja, szczęście i nowa perspektywa? Jakież to niesmaczne. Obliznął wargi i dodał: - Ale dobra, przekonajmy się.

Z tyłu zaszurały buty. Barman Pok chrząknął ostrzegawczo.

Rękawica z czarnej skrzypiącej skóry opadła na ramię Sinjira. Druga wylądowała na ramieniu Twi'leka, zaciskając się na nim mocno.

Sinjir poczuł pomieszane wonie naoliwionej skóry, wyprasowanej koszuli i służbowego detergentu. Zapach imperialnej perfekcji.

- No i co my tu mamy? - warknął twardy, gardłowy głos.

Oficer o głosie brutala, którego zobaczył Sinjir, gdy się odwrócił, miał mocno rozmęczany wygląd. Potężne brzuszsko wypychało szary mundur, aż jeden z guzików musiał pozostać rozpięty. Do tego nieogolony zarost i tłuste zmierzwiłe włosy.

Jego towarzysz prezentował się lepiej - twarda szczęka, przenikliwe spojrzenie, mundur czysty i nienagannie dopasowany. I zadowolona z siebie mina, której nie można wyćwiczyć, gdyż (jak Sinjir dobrze wiedział) musi przyjść naturalnie.

Za nimi stało dwóch szturmowców.

No, to już było coś. Szturmowcy. Tutaj, na Akivie?

Nie znaczy to, że na Akivie nie było imperialnych. Owszem, byli, lecz nigdy dotąd nie widziano tam szturmowca. Ci żołnierze

w białych pancerzach są przeznaczeni do prowadzenia wojen i okupacji. Nie przychodzą ot tak, do baru, żeby się napić, potańczyć i wyjść.

Coś się zmieniło, ale Sinjir nie wiedział jeszcze co. Ciekawość drażyła w nim jak kret poszukujący pędraków.

- Ja i mój ogonogłowy przyjaciel oglądamy tu sobie trochę propagandy - wyjaśnił Sinjir. - Nic na tyle groźnego, żeby robić z tego alarm.

Twi'lek wysunął podbródek. Nie tylko strach błyszczał w jego oczach, ale coś jeszcze - coś, co Sinjir widział u dręczonych i torturowanych, którzy nie dali się złamać: odwaga.

Odwaga. Co za głupota.

- Wasz czas minął - warknął Twi'lek drżącym głosem. - Imperium upadło. Nadchodzi Nowa Republika i...

Niechlujny funkcjonariusz silnym, błyskawicznym ciosem uderzył Twi'leka w krtani i ogonogłowy zacharczał, gwałtownie chwyciwszy się za szyję. Drugi imperialny, ten jak spod igły, uspokajającym gestem położył dłoń na ramieniu Sinjira. Milczące ostrzeżenie mówiło jasno: „Rusz się, a dołączysz do swojego przyjaciela”.

Odsiecz przysłała zza baru. Pok zagulgotał ostrzegawczo w swoim języku, pokazując tabliczkę nad swoją głową. Napis w basicu głosił: „Tu nie ma imperialnych”.

Właśnie ta reklama sprawiła, że Sinjir zadomowił się w barze Poka, spędzając w nim całe dni. To gwarantowało, że nie zobaczy żadnego ze sług Imperium, a co za tym idzie, nie zostanie rozpoznany. Ponadto bawiła go ironia samej sytuacji.

Grubianin wyszczerzył zęby do kalamariańskiego barmana.

- Czasy się zmieniają, mackobrody. Będziesz chyba musiał przemyśleć ten napis. - Krótkim ruchem głowy dał

znak szturmowcom i obaj zbliżyli się o krok, z Masterami wyceLOWANYMI w Poka. - Przybyliśmy tu, żeby zostać.

Powiedziawszy to, znów wziął Twi'leka w obroty.

Ten jęknął z bólu.

Nie tak to miało się skończyć. Zupełnie nie tak. Sinjir podjął decyzję - prostą, która zakładała, że po prostu wstanie i opuści to miejsce. Lepiej nie narobić sobie kłopotów. Po co czyjeś radary mają zarejestrować jego istnienie? Musi jak najszybciej stąd zniknąć. I przyczać się na nowo w innej norze.

Tak właśnie postanowił.

Dziwne, gdyż zrobił zupełnie coś innego.

Sinjir zerwał się błyskawicznie, a kiedy gładki oficerek chciał pchnąć go z powrotem na stołek, sięgnął za siebie, chwycił mężczyznę za rękę, szybkim ruchem wygiął mu dwa palce, po czym pociągnął i wyłamał je z trzaskiem.

Imperialny wrzasnął. Nic dziwnego, bo Sinjir potrafił zadawać ból.

Jasne, że wywołało to ruch w małym oddziale. Niechluj padł na podłogę i wyszarpnął blaster z kabury. Dwóch szturmowców obróciło się gwałtownie z nastawioną bronią.

Sinjir był wlany. A może raczej na rauszu. Teoretycznie powinno mu to przeszkadzać, a tymczasem było przeciwnie - jak gdyby ciepła fala dziwnego trunku zmyła zbędne wątpliwości i upierdliwe analizy, które zabierają cenne sekundy. Dzięki temu poruszał się błyskawicznie i bez wahania. (Tylko jego ruchy były mało eleganckie).

Jednym skokiem znalazł się za plecami jęczącego, gładkiego oficerka i szarpnął jego rękę niczym dźwignię koreliańskiego jednorękiego bandyty, jednocześnie drugą wyszarpując mu broń z kabury.

Grubianin podniósł się i zaczął strzelać. Blaster jego kumpla z hukiem wypadł Sinjirowi z ręki, syjąc iskrami. „Niech to szlag!”.

Sinjir zradykalizował swoje podejście. Obrócił czyściocha i przytrzymał, zasłaniając się nim jak tarczą. Laserowa seria przeszła mężczyznę, który krzyknął przeraźliwie, nim skołał. Sinjir podciął nogi osuwającemu się ciału i potężnym pchnięciem cisnął je w stronę zaskoczonych szturmowców, którzy nie zdążyli się przygotować do ataku.

Padli do tyłu, z hukiem łamiąc stoły.

Niechluj krzyknął i znów wycelował...

Sinjir był już w ruchu. Podbił mu dłoń z bronią i strzały przeorały sufit, aż pył posypał im się na głowy. Dalej posypały się kopniaki - w piszczel, w kolana, w krocze, aż tłuste imperialne cielsko zważyło się jak stół ze złamaną nogą. Sinjir jednak nie pozwolił mu upaść, tylko przytrzymał mężczyznę za przegub, a pięścią drugiej walił w najbardziej wrażliwe miejsca. Nos. Oko. Krtań. Kałdun. Potem wrócił do nosa i zahaczywszy o nozdrza okrutnymi palcami, zmusił szlochającego, krwawiącego i trzęsącego się grubianina, żeby położył się na podłodze.

Szturmowcy nie dali się położyć.

W pośpiechu gramolili się na nogi. Unieśli blastery i...

Jakaś postać wyrosła nagle u boku żołnierza po prawej, z bezlitosnym impetem waląc w niego od dołu krzesłem. Krzesło trafiło pod biały hełm, przekrzywiając go razem z głową. Szturmowiec jeszcze padał, kiedy butelka alkoholu, koziołkując, śmignęła w powietrzu i roztrzaskała się na hełmie jego towarzysza. Cisnęło nią robotyczne ramię kalamariańskiego barmana.

Na wszelki wypadek Sinjir wykręcił grubianinowi przegub i przejął blaster, który wypadł mu z ręki, po czym strzelił dwa razy z półobrotu, celując w sam środek każdego z białych hełmów.

Chwiejący się szturmowcy upadli i znieruchomieli. Można było założyć, że już nie wstaną.

Sinjir znów pochylił się nad grubianinem. Jeszcze raz chwycił go za nos i wykręcił boleśnie.

- Cudowna właściwość nosa polega na tym, że jest podłączony do czułych zakończeń nerwowych twarzy - rzekł. -Przez ten mięsisty wyrostek, twój wygląda jak ryj, jeśli mam być szczery, masz teraz śluz w głowie i łzy lecą ci z oczu.

- Ty rebeliański skurwielu - wycharczał grubianin.

- Zabawne. Doprawdy zabawne. - „Ty idioto. Naprawdę myślisz, że jestem jednym z nich, a przecież jestem jednym z nas”. - Chcę wiedzieć, co się tu dzieje.

- Nic. Tu jest Imperium, a ty...

Sinjir mocniej skrzył nochał. Grubianin wrzasnął.

- Daruj sobie te pierdoły. Konkretnie, poproszę. Dlaczego tu jesteś? W dodatku z tymi szturmowcami?

- Nie wiem...

Ścisnął jeszcze mocniej. Znów odpowiedział mu wrzask.

- Przysięgam, nie wiem! Ale coś się dzieje. Nagle się zadziało. Ja... ledwie przylecieliśmy tu z „Vigilance”, kiedy siadła łączność i blokada...

Sinjir zerknął na Poka.

- Wiesz coś o awarii łączności? Albo o blokadzie?

Barman wzruszył ramionami.

Sinjir westchnął i strzelił pięścią w twarz grubianina.

Głowa niechlujnego funkcjonariusza odskoczyła do tyłu i opadła. Agent opuścił bezwładne cielsko na podłogę. Znów spojrzął na Poka.

- Ktoś zapewne zechce tu posprzątać. Mam życzyć powodzenia?

Powiedziawszy to, wymaszerował z baru, pogwizdując pod nosem.

INTERLUDIUM CHANDRILA

Rozmazany obraz.

Łup, łup, łup!

Rozmazany obraz zafalował, na sekundę jeszcze bardziej się rozmydlił, a potem zaczął się pospiesznie wyostrzać.

Wreszcie się ustabilizował i ukazał stojące obok siebie dwie kobiety. Jedna była człowiekiem. Wysoka, szczupła, profesjonalna. Ciemne włosy zaczesane w górę na kształt fali, która zaczyna się łamać. Naszyjnik, wyglądający jak sznur lecących ptaków, połyskiwał w promieniach słońca. Jej uśmiech był szeroki, promienny, dobrze wyćwiczony.

Druga kobieta była niższa. Typowa Pantoranka - niebieska skóra, złote włosy. Zaplecione w prosty i praktyczny warkocz. Podobnie jej strój - niektórzy mogliby nazwać go praktycznym i bezpretensjonalnym, podczas gdy inni powiedzieliby, że jest szary, nudny, wręcz prymitywny. Jedyłą ozdobą była para srebrnych bransoletek.

Uśmiechała się równie wprawnie jak pierwsza, choć nieco nerwowo.

W tle, za plecami kobiet, rozciągała się skromna panorama stolicy, Hanna City.

Pierwsza z kobiet, Tracene Kane, powiedziała do Trandosha-
nina za kamerą:

- Jak to wygląda, Lug?

Odpowiedział jej gardłowy, syczący głos:

- Źle wyglądało, ale walnąłem w nią parę razy i teraz jest w porządku.

Tracene spojrzała na swoją towarzyszkę Olię Choko i przeprasza-
jąco rozłożyła ręce.

- Stary sprzęt. Czasami szwankuje.

- Och, to twoja pierwsza transmisja - odparła Olia. - Zawsze wtedy bywa nerwowo.

- Myślę, że dzisiaj obie debiutujemy - powiedziała Tracene ze śmiechem tak szczerym, że wydawał się nieprawdziwy. A może po prostu taka była. Albo wiedziała, jak trzeba się śmiać. - W każdym razie ma być tak: ja zacznę wywiad i najpierw powiem parę zdań wprowadzenia. Rozumiesz, bla, bla, bla... pierwszy dzień obrad nowego Senatu Galaktycznego, świt nowej galaktycznej epoki, a potem od razu przedstawiam cię: Olia Choko, rzecznik prasowy Mon Mothmy i nowego Senatu. I jedziemy z wywiadem.

- Świetnie. - Olia wzięła głęboki oddech. - Fantastycznie.

- Denerwujesz się?

- Um... trochę.

- Wszystko będzie dobrze. Jesteś śliczna. I egzotyczna. Dobrze się sprzedasz.

- Ach! - Olia nagle coś sobie przypomniała. - Mam nadzieję, że włączysz przebitkę z panoramą tego, co mamy za plecami? Hanna City symbolizuje skromność i pokorę nowego początku; jesteśmy tutaj dla ludów galaktyki, dla wszystkich ciężko pracujących istot. A ponieważ Mon Mothma pochodzi stąd...

Tracene położyła jej dłoń na ramieniu.

- Już to mamy, Olia.
- Och, fajnie... ale jeszcze... Każ mu też sfilmować instalację artystyczną przy obwodnicy, wiesz, tę kolekcję hełmów szturmowców pomalowanych na różne kolory i oznaczonych różnymi symbolami, jak kwiaty, supernowe czy godła Sojuszu. Artysta, który...

Tracene lekko ścisnęła ramię Olii.

- To też mamy. Nakręciliśmy całą dokumentację. Wywiad z tobą jest ostatnim ogniwem łańcucha. Rozmawiamy z tobą, a potem wchodzi Senat. Nie ma możliwości, żeby coś źle poszło. Dobrze się czujesz?

Olia zawahała się i jej uśmiech stał się jeszcze bardziej niepewny. Teraz wyglądała jak spanikowany nietoperz, oświetlony zniecka czołówką górnika, ale dzielnie kiwnęła głową.

- Tak, dobrze. Zupełnie dobrze. Dam radę.

Tracene spojrzała w stronę kamery.

- Liczę do trzech, Lug, i wchodzimy. Trzy. Dwa... - „Jeden” wymówiła prawie bezgłośnie. - Tu Tracene Kane w inauguracyjnej transmisji stacji Queen of Core Network. Jest ze mną Olia Choko, rzecznik pani kanclerz Mon Mothmy i nowego Senatu Galaktycznego z siedzibą na Chandrili, skąd nadajemy dla państwa...



Droid przesłuchujący unosił się nieruchomo w powietrzu. Niewielki panel w jego dolnej części rozsunął się z lekkim szmerem i z otworu wysunęło się ramię zakończone parą okrutnie wyglądających szczypiec. Tak wyrafinowanych i precyzyjnych, że mogłyby wyłuskać ludzkie oko z oczodołu bez uszkodzenia go. (To zadanie droid z pewnością wykonywał od czasu do czasu). Ramię sięgnęło w dół.

Szczypce chwyciły dziesięciościenną kostkę, uniosły ją i upuściły.

Kostka upadła i znieruchomiała. Wynik rzutu: siedem.

Droid wykrzyknął automatycznym, monotonnym głosem:

- Ach! Dostałem zastrzyk nowych środków. Kupuję złożę przyprawy, a to w połączeniu z moimi pozostałymi czterema złożami daje mi pięć jednostek, czyli zwycięski punkt. Teraz prowadzę sześć do pięciu.

Temmin zacisnęła usta ze sfrustrowaną miną. Na planszy leżącej pomiędzy nimi znajdowała się mapa złożona z niezliczonych sześciokątnych obszarów. Niektóre sześciokąty zawierały planety, a inne gwiazdy, pasy asteroid czy mgławice.

Dotychczas ani razu nie udało mu się wygrać w Galaktyczny Monopol z tym zmodyfikowanym droidem przesłuchującym. Ale dzisiaj był bliski. Temmin nigdy nie zaszedł tak daleko.

- Noga z gazu, ty nadęta dręczykulo! Jednopunktowa przewaga to jeszcze nie zwycięstwo.

Rzucił kostką. Pięć. Za mało na zakup nowego surowca, ale wystarczy, żeby założyć nowy szlak handlowy lub przemytniczy. Musi się tylko zastanowić nad strategią. Chłopak odchylił się na krześle i jego spojrzenie powędrowało po sklepie. Wszędzie półki i stoły zavalone rzeczami, które na pierwszy rzut oka wyglądały na rupiecie. Morze rupieci. Części droidów. Fragmenty statków. Zdekompletowana broń. W odległym kącie stał droid naprawczy WED - od dawna nieczynny i sam wymagający naprawy. Nad nim, na poskręcanych kablach wisiał skuter repulsorowy oznaczony śladami laserów.

Tamże, pod ścianą, stał stary droid bojowy Federacji Handlowej, unieruchomiony w swojej pozycji złożonej i okryty dziurawym kocem.

Nie był jednym z tych B2 - droidów bojowych z Masterami w przedramionach i twardym pancerzem piersiowym.

Ani też droideką - stalowym śmiercionośnym insektem, który wyglądał jak skrzyżowanie skorpiona z dżungli z toczącym się detonatorem termicznym.

To był po prostu stary, poczciwy BI. Blaszanek.

Wszystko tutaj wyglądało jak stare rzęchy. I po części takie było.

Temmin pobrał kartę z przemytniczym szlakiem, z nadrukowaną czerwoną, przerywaną linią, i już miał nią nakryć odpowiednie pole, kiedy jego droid nagle się odwrócił.

Jak gdyby kogoś zobaczył.

- Masz klientów - poinformował.

Młody człowiek z trzaskiem wyciągnął sobie palec i wstał, przybierając wypróbowany uśmiech akwizytora. Kopnięciem odsunął na bok fotel na kółkach i odwrócił się, stając twarzą w twarz z trójką bandziorów. Jego uśmiech zbladł, ale tylko na moment.

- No proszę, Koorivarianin, Ithorianin i Abdenedoanin w sklepie ze starzyzną! - zawołał, ale nawet się nie uśmiechnęli. - To miał być dowcip - dodał - ale gdybym go musiał tłumaczyć, to przestałby być śmieszny. - Usłużnie zatarł dłonie. - Co mogę dla panów zrobić?

- Jestem kobietą - warknął Koorivarianin, występując przed pozostałych.

Wygladziła fałdy karmazynowego płaszcza i dumnie uniosła podbródek. Spiralny róg na czubku głowy chwiał się i skręcał. Błady język co chwila wystrzelał z ust i oblizywał wąskie łuskowate wargi.

U jej pasa zwisał długi ząbkowany sztylet.

Temmin wiedział, kim ona jest. I kim są pozostali.

Abdenedoanin o mięsistym otworze nosowym i cienkich wąsach wokół wiecznie skrzywionych, ściągniętych ust: Toomata Wree, ksywka „Tooms”.

Ithorianin o szklistym spojrzeniu, w wytartym płaszczu, ścisnąwszy blaster w palcach przypominających gałęzie: Herf.

I Koorivarianka: Makarial Gravin. (Prawdę mówiąc, Temmin sądził, że jednak to jest facet, nie babka. U Koorivarian trudno rozróżnić te rzeczy).

Cała trójka pracowała dla - albo raczej należała do -Surata Nuata. Byli własnością Sullustanina.

- Pani - powiedział Temmin, szeroko rozkładając ramiona.
- Co mogę dziś dla ciebie zrobić? Jakie cenne starocie mogę ci zaoferować...

- Przestań pluć jadem, ty wredny kurduplu - uciął Abdenoanin.

Ithorianin dorzucił w swoim języku:

- Okradłeś boskiego zbawcę Myrry Surata Nuata.
- Ależ skąd! - zaprzeczył Temmin, z oburzeniem unosząc rękę. - Przecież wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Jak bym śmiał okraść Surata? W życiu! Przecież wiecie. Znacie mnie.

- Okradłeś Surata - syknęła Makarial. - Gorzej, obraziłeś go ciężko, zabierając mu jego prawowitą własność.

Temmin wiedział, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Ale nie przypuszczał, że tak szybko.

Poczuł nerwowy skurcz w żołądku.

- Ostatnią rzeczą, o jakiej mógłbym pomyśleć, była by obraza Surata. Możemy tylko pomarzyć, że jesteśmy tak łebscy i obrotni jak on. Nie mam pojęcia, co waszym zdaniem miałbym mu ukraść, ale...

Makarial zrobiła jeszcze jeden władczy krok w jego stronę.

- Wysil pamięć i przypomnij sobie, co się wydarzyło na trabzońskim szlaku. Czy nic ci nie zaświtało w głowie?

Temmin znów z trzaskiem wyciągnął sobie palec - ów nerwowy nawyk odziedziczył po ojcu.

- Masz na myśli transport, który rozbił się tu, w okolicy? Nie, nie... to znaczy owszem, tak. Oczywiście, że przeszukałem szczątki i coś tam sobie wziąłem. Nieraz tak robiłem. Ale nie miałem zielonego pojęcia, że to był statek Surata i...

- Przecież wszędzie miał gołdo gildii! - warknął Tooms.

Fałdy skóry zwisające mu z twarzy podskakiwały i trzęsły się, kiedy mówił.

- Tego nie mogłem zobaczyć, bo transport zaatakowali Uugteenowie. Wiecie, te prymitywy. Spiekli go całkiem od zewnątrz. Opalili jak florakeeta, zanim mu się wyskubie pióra.

- I uprzejmiem zostawili nietknięty kadłub, żebyś go rozgrabił - stwierdziła oskarżycielsko Makarial.

- To był dla nich za twardy orzech. Swoimi prymitywnymi nożami nie byli w stanie podważyć luku, ale ja miałem palnik i... - Chłopak zaśmiał się sztucznie. - Błagam was, przyjaciele, zrozumcie, że nie wiedziałem, czyje biorę.

Wiedział. Jasne, że wiedział. Tak samo jak wiedział, że któregoś dnia go dopadną. Jednak potencjalny zysk... Jeśli marzy o wysadzeniu Surata z siodła, musi śmiało pogrywać. Żadnych podchodów, zwodzenia, czajenia się, rozterek, tylko z rozmachem, bezczelnie, chytrze, biorąc wszystko na rogi jak byk.

- Nadal masz broń? - spytał Tooms.

- Noo... że tak powiem... ehem... - Temmin odkaszlnął i dalej łągał przez zaciśnięte zęby: - Nie za dużo.

Oczy Koorivarianki rozszerzyły się z oburzenia i wściekłości. Sztylet, który miała u pasa, błyskawicznie przywarł ostrzem do gardła chłopaka.

Na dworze aura dodała groźbę - dudniący pomruk gromu. Ulewa zabębniła o dach magazynu, podkreślając pełną napięcia ciszę wewnątrz. Za plecami Temmina droid przesłuchujący trwał w zawieszeniu nad planszą gry.

Chłopak przełknął ślinę.

- Dogadamy się. Mam tu dużo ciekawych rzeczy. O, spójrzcie. Choćby ten skuter. Albo mogę załatwić wam droidy...

- To złom - ucięła Makarial. - Surat zna twoje przekręty, a więc my też. Wszystko tutaj - wolną ręką uczyniła gest podobny

do powitalnego gestu Temmina (czy raczej sparodiowała go) - jest tylko przykrywką. A ty nie jesteś handlarzem rupieci.

- Co dla jednego złomem, dla drugiego skarbem...

Skóra na gardle ugięła się pod naciskiem ostrza.

- Nie obchodzi nas złom. Zależy nam tylko na skarbie.

- Dobra, możemy pogadać o skarbie.

- Surat ma swoją cenę.

Temmin czuł, jak coś mokrego spływa mu po napiętej szyi. Krew czy pot? Nie był pewien.

- Każdy ma - mruknął. - Jaka to cena?

Makarial uśmiechnęła się. Wrażenie było odpychające, gdyż zdaniem Temmina mieszkańcy Koorivar byli jeszcze brzydsi niż happabore, chodzące tyłem. Te wszystkie guzy i łuski. Nosi niczym tłuste larwy. Kości sterczące nad oczami. I jeszcze ten oddech, cuchnący gnijącym mięsem.

- Twój sklep - powiedziała Makarial, oblizując wargi węzowym językiem.

Sklep.

- To znaczy budynek?

- Tak. Oraz wszystko, co się w nim znajduje. I wszystko, co jest pod nim.

Teraz już naprawdę panikował. Miał wrażenie, że krew zastygła mu w żyłach. Oni wiedzieli. Wiedzieli, że ma niektóre, albo raczej większość rzeczy należących do Surata.

Niedobrze.

- Mam coś! - zawołał. - Coś naprawdę ekstra. Coś, czego... chciałby Surat. Dobra? Pasuje? Mogę wam pokazać? Chcecie?

Trzy planetarne zbiry wymieniły się spojrzeniami. Ithorianin, Herf, wzruszył ramionami i powiedział w swoim rodzinnym języku: „Co nam szkodzi zerknąć?”. Makarial odsunęła ostrze od gar-

dła chłopaka. Chciwie wciągnął powietrze, masując sobie szyję. Pod palcami poczuł pot, nie krew. Klasnął w dłonie.

- Mam to tutaj. Widzicie ten stary koc? Jest... wystarczy pod niego zajrzeć.

Makarial skinęła głową w stronę Herfa. Ithorianin odbezpieczył swoją broń - podrasowany karabin blasterowy DLT ze zwiększoną siłą ognia. Lufa była długa - prawie tak wysoka jak Temmin.

Stwór o pochyłym karku i głowie w kształcie młota zmrużył osadzone po bokach oczy i czujnie, końcem lufy, uniósł przetarty koc. B1, droid bojowy pierwszej generacji, objawił się w całej okazałości.

I zaczął się prostować. Zagrzechotały kości. Prawdziwe kości zwierząt i ptaków oraz rybie szkielety przytwierdzone do stalowych członków drutem i sznurkami. Nie była to jedyna modyfikacja wyglądu droida. Nie miał połowy głowy; zastąpiło go teleskopowe czerwone oko. Czubek długiego nosa został zastrzony i wygięty w dół, aby przypomniał dziób ptaka - ale raczej nie tłustej kaczki, tylko drapieżnika czyhającego na ofiarę. Cała postać była pomalowana na czarno i czerwono.

Aby budziła strach.

Trójka kosmitów ryknęła śmiechem. Abdenedoanin rechotał, aż z uciechy trzęsły mu się zielone, podobne do grzybów uszy.

- Droid bojowy? - zachichotała Makarial. Teraz śmiali się na całego. - I to ma być ta sensacja? Najbardziej nieudany automatyczny żołnierz w historii zarówno Imperium, jak i Republiki. Techniczna komedia pomyłek - dodała kpiąco. - Ty naprawdę sądzisz, że Surat Nuat zadowoliliby się kiepskim, bezwartościowym BI?

- Nazwałem go Panem Bonesem - oznajmił Temmin.

Na dźwięk imienia oko robota rozjarzyło się złowrogą

czerwienią.

- Pan Bones aktywny - zameldował. Metaliczny głos był rzeźący, przerywany szumem i trzaskami. Mowa to przyspieszała, to znów zwalniała zaburzana prawdopodobnie przez uszkodzony wokoder. - Witam wszystkich.

Abdenedoanin pokręcił głową.

- Idiotyczne imię dla idiotycznego droida.
- Chyba go obraziłeś - ostrzegł Temmin.

Śmiech zamarł. Przez moment zastanawiali się, co to może znaczyć albo w co gra chłopak.

Chwila wahania była dużym błędem.

Pan Bones zaczął się śmiać. Kiedy trzeszczący, urywany śmiech buchnął z głośników, jedna ręka robota odchyliła się w zawiasach, odsłaniając otwór, z którego wystrzeliło iskrzące wi-brujące ostrze. Ithorianie mają kiepski refleks i zanim Herf zdążył wycelować swój DLT, Bones trzy razy zadał cios. Karabin rozpadł się na trzy dymiące części, które z trzaskiem upadły na ziemię.

Abdenedoanin wyciągnął blaster.

Bones chwycił Herfa i pchnął go na Toomsa. Abdenedoanin zachwiał się i upadł, a na nim wylądował Ithorianin z droidem siedzącym mu na karku. Stalowy ochroniarz Temmina grzmocił pięściami w młotowatą głowę Herfa z taką siłą, że ta, odskakując, waliła w beznosą twarz Toomsa. Pach! Pach! Pach!

Pan Bones bełkotał coś bez składu i śmiał się jak opętany.

Makarial obnażyła zęby, wydając zaniepokojony, wściekły syk. Błyskawicznie sięgnęła pod płaszcz, wyszarpnęła blaster i wycelowała go w głowę Temmina. Chłopak zastygł w pół ruchu, nie zdążywszy wyciągnąć własnego blastera,

który tkwił w skórzanej pochwie przyczepionej pod blatem najbliższego stołu.

- Nie dotykaj tego - ostrzegła szeptem.

Temmin ważył swoje szanse.

Były raczej kiepskie.

Skwapliwie kiwnął głową i cofnął rękę.

- Już się robi.

- Powiedz swojemu droidowi, żeby się wycofał.

- Czekaj...

- Powiedz mu.

Temmin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- O którym droidzie mówisz?

Blade, upiorne oczy Makarial poruszyły się, a potem rozszerzyły z zaskoczenia na widok droida przesłuchującego, który wychynął zza jej pleców z wysuniętym ramieniem operacyjnym uzbrojonym w strzykawkę umocowaną na jego końcu. Temmin zachichotał.

Kulisty automat wbił igłę. Strzykawka była napełniona silnym środkiem nasennym, uwarzonym z miejscowych roślin i zdolnym uspić Gamorreanina na dobre pół tygodnia.

Igła złamała się z trzaskiem i upadła na ziemię, nie wstrzykawszy ani kropli niebezpiecznego zastrzyku.

„No tak - pomyślał Temmin, niezbyt rozczarowany. - Ci z Koorivy mają naprawdę grubą skórę, nie?”

Zerwał się do ucieczki. Przebiegł po jednym stole, drugim, przesadził trio małych metalowych stołków i gnał przed siebie pośród syczących laserowych serii zmiatających rupiecie z półek wokół niego. Z wrzaskiem skoczył do drzwi...

Co to? Drzwi otworzyły mu się przed nosem. Ktoś stanął w progu.

Ktoś nowy. W długim czarnym płaszczu.

Z Masterem w ręce.

Nowa postać uniosła broń. Temmin ugiął nogi, waląc się na podłogę, a laserowe smugi przemknęły nad jego głową. Gdzieś z tyłu Makarial krzyknęła z bólu, a potem rozległ się łomot.

Temmin zerwał się na równe nogi i wparł plecami w chropowatą ścianę. Makarial, wyjąc z bólu, wiła się na podłodze. Pan Bones unióśł głowę jak zaskoczony, czujny pies. Nowy gość szybkim spojrzeniem ocenił sytuację i zsunął kaptur z głowy.

To nie był on, tylko ona.

Temmin zrobił wielkie oczy.

- Mama?



- Pani admirał, prom gotów.

Sloane stała z rękami splecionymi za plecami, spoglądając w długi korytarz. W samym jego końcu widać było otwarty wylot szybu wentylacyjnego podświetlony minilampką. Po korytarzu kręcili się szturmowcy, sprawdzając wszystkie pomieszczenia. Ani śladu uciekiniera. Sloane gniewnie przygryzła dolną wargę.

- Pani admirał, meldowałem, że... - powtórzył porucznik Tothwin.

- Słyszałam, co powiedziałaś - warknęła.
- Chodzi o innych. Już lecą na planetę.
- Czyli wezwano wszystkich.

Tak. Pandiona. Shale. Jacht Arsina Crassusa pokazał się niedawno na ekranie i teraz schodzi do lądowania na Akive.

- A Yupe Tashu?

- Prom pana doradcy też się wyświetlił. Powiedzieliśmy mu, żeby kontynuował lot do miejsca spotkania. Spodziewają się, że odeskortujemy ich tam.

- Mogą poczekać.

- Oczywiście. Tylko... Moff Pandion jest już...

- Powiedz mi - przerwała. - Ten pokład... czy jest tu coś ważnego?

- Pani admirał? - Wyraźnie jej nie zrozumiał.

Sloane przybrała niecierpliwy ton.

- Tu znajdują się tylko puste pokoje gościnne, a po przeciwnej stronie kuchni, sanitariaty i sala gier, prawda? - Zamyśliła się ze zmarszczonymi brwiami. - Czy mógł użyć zsypu na śmieci? Z drugiej strony szturmowcy już to sprawdzali i nic nie znaleźli.

- Może chciał ukraść jedzenie?

- Nie - powiedziała, gdyż nagle skojarzyła. - To podstęp. Ci rebelianci kochają podstęp, prawda? Zawsze zwodzą, grają. On wcale tu nie był, tylko chciał, żebyśmy tak myśleli i tracili czas na poszukiwania. Dokąd dochodzi szyb wentylacyjny? Pokaż mi plan!

Tothwin zajął się holodyskiem i chwilę później wyświetlił się plan „Vigilance”. Rae przewijała obraz, podświetlając przebieg szybu, który doprowadził ją do logicznej konkluzji...

O, nie.

- Wiem, dokąd on zmierza - syknęła.

Albo dokąd już dotarł.

„Cholera!”.

Nie sądził, żeby noga była złamana, ale bardzo bolała. Kiedyś rozbił się A-wingiem na stoku wulkanu - był to jeden z jego pierwszych lotów dla raczkującego jeszcze Sojuszu Rebeliantów. Kumpel namówił go, żeby latał dla nich - agent rebelii znany jako Fulcrum. Po tym wypadku kulał miesiącami, gdyż złamał nogę aż

w trzech miejscach. Omal nie utraciło mu to kariery pilota, ale jakoś przekonał rebeliantów, żeby pozwolili mu służyć na fregacie, na stanowisku Strzelca, a czasem nawigatora.

Tym razem był pewien, że z nogą nie jest aż tak źle.

Musiała jednak mocno ucierpieć, kiedy wyskoczył z tyłu starhoppera na ułamek sekundy przed odpaleniem torped.

Czołganie się w kanałach wentylacyjnych nie łagodziło bólu, wręcz przeciwnie. Musiał jednak uciec jak najdalej od imperialnych. Dlatego krążył i nawracał, myląc tropy i zmieniając kanały. Początkowo robił to bez planu, byle nie dać się złapać, ale szybko stwierdził, że musi coś wymyślić.

I doszedł do wniosku, że obecność na gwiazdnym niszczycielu daje mu szansę, o jakiej wcześniej nie pomyślał.

Łączność w przestrzeni wokół Akivy była zablokowana dla statków i przysięgłby, że cisza radiowa panuje także na powierzchni planety.

A jeśli ktoś nadal ją utrzymywał?

Imperium.

Wreszcie znalazł się w kabinie łączności w towarzystwie ciał ludzi z obsługi. Jeden leżał bezwładnie przy radiostacji, z głową na pulpicie, a pozostali na podłodze. Wszyscy byli ogłuszeni, nie martwi. Wedge nie był mordercą, tylko pilotem, który zabijał wrogów w otwartej walce. Ci łącznościowcy nie byli pilotami, ani nawet żołnierzami. Byli po prostu ludźmi. „To lekcja, którą powinniśmy przerobić - pomyślał Wedge, patrząc na nich. - Imperialni są przecież podobni do nas”. Przynajmniej niektórzy z nich. Łatwo piętnować łych, którzy służą Imperium Galaktycznemu, jako wrogów i zło wcielone, ale wiadomo przecież, że wielu z nich zostało omamionych kłamliwą propagandą albo zmuszonych do współpracy groźbą lub torturami. Do Nowej Republiki zaczęli

już dołączać uciekinierzy - mężczyźni i kobiety, którzy dostrzegli szansę wyrwania się spod jarzma tyranii; szansę na nowe życie.

Dlatego musi koniecznie wysłać wiadomość, choć w ten sposób ściągnie na siebie szturmowców.

Włączył dwa hologramy. Najpierw usiłował wyszukać częstotliwość do transmisji podprzestrzennej w rejonach Nowej Republiki, ale wszystkie kanały były zablokowane. To oznaczało dwa problemy - aktualny i ogólny. W tej chwili nie był w stanie wysłać wiadomości tam, dokąd zamierzał. Ogólnie zaś stało się jasne, że Imperium zna ich częstotliwości, a zatem w siedzibie Nowej Republiki musi być kret. To była jednak sprawa na później. Na razie musiał wymyślić inny sposób wysłania wiadomości.

Przeniósł uwagę na drugi hologram, na częstotliwości lokalne.

Tu żaden z kanałów Republiki nie został zablokowany.

Co oznaczało, że może zawiadomić sprzymierzeńców, ale tylko na tej planecie. Jakie są szanse? Czy tutaj, na peryferiach cywilizowanej przestrzeni, znajdzie kogoś, kto go usłyszy - zwoleńnika Nowej Republiki?

Trudno, innej szansy nie będzie.

Wedge włączył nadajnik, wyszukał częstotliwość alarmową i zdjął mikrofon z konsoli, czując w dłoni chłodny dotyk metalu.

- Tu kapitan Wedge Antilles z Nowej Republiki. Powtarzam: tu Wedge Antilles z Nowej Republiki. Znalazłem się w pułapce na gwiazdnym niszczycielu „Vigilance”, na orbicie Akivy, i jestem w...

Jaskrawe światło. Ostre szczeknięcie blastera.

Krzyknął z bólu, kiedy wiązka energii wypaliła dziurę w jego barku. Palce wyprostowały się odruchowo i mikrofon upadł na blat. Sięgnął do biodra po własną broń, ale zanim jej dotknął, odstrzelono ją razem z kaburą.

Wedge, z wysiłkiem łapiąc oddech i zaciskając zęby z bólu, obrócił się, żeby skoczyć na napastnika. Spodziewał się zobaczyć szturmowca albo - o ironio - czwartego członka załogi radiostacji, wracającego z kantyny.

Nic z tych rzeczy.

W drzwiach stała kobieta w nienagannym admiralskim mundurze. Miała ciemną cerę i chłodne brązowe oczy. W dłoni trzymała pistolet z długą lufą - spersonalizowany blaster, elegancko połyskujący chromem.

Kobieta postąpiła trzy kroki w głąb kabiny.

- Nie pozwolę, żebyś dalej komplikował mi to, co niedługo się wydarzy. Przyszłość Imperium, a zatem i całej galaktyki, wisi na włosku. Wybacz - dodała z zaskakującym współczuciem.

- Czekaj, porozmawiamy. - Skrzywił się, z trudem wyduszając z siebie słowa. - To już koniec. Przecież wiesz. Koniec. Możemy wynegocjować warunki kapitulacji. Rozsądne warunki. Tutaj i teraz, ty i ja...

Za jej plecami zmaterializował się mały oddział szturmowców, tupiąc wzmocnionymi butami. Unieśli broń, a ona opuściła swoją.

- Przepraszam, kapitanie - powiedziała i rzuciła za siebie: - Aresztujcie go i zabierzcie do celi. Albo nie, zaczekajcie. - Strzeliła palcami. - Skujcie go i zaprowadźcie do mojego promu. Przyślijcie tam droida medycznego. - Spojrzała na Wedgea i dodała ze sztucznym uśmiechem (jakby dla jego wiadomości): - Nie jesteśmy zwierzętami.



Norra nie płakała od lat. Nie mogła sobie na to pozwolić. Przyłączyła się do Sojuszu Rebeliantów jako pilot i kiedy podjęła tę decyzję - bardziej sercem niż głową - odcięła wszystko, co zbędne. Uzbroiła sobie kręgosłup stałą. Wszystkie lęki, obawy i emocje zostały odłożone na bok. Traktowała je odtąd jak kotwice - zbędne, ściągające ją na stronę dawnego życia, na drogę starego sposobu myślenia. Jeśli miała zacząć nowy rozdział, musiała odciąć te pęta zimnym, bezlitosnym ostrzem. I zostawić je za sobą.

Sojusz zasłużył na takie poświęcenie. Walka nie dawała im czasu na płacz. Nie stać ich było na luksus spoglądania wstecz.

Od chwili, w której przyłączyła się do walki, miała tylko dwa momenty słabości. Na pierwszy płacz pozwoliła sobie dopiero parę miesięcy temu, po bitwie o Endor; po tym jak w swoim Y-wingu (z usmażonym laserowym ogniem astromechem) wyłoniła się z labiryntu korytarzy na wpół ukończonej drugiej Gwiazdy Śmierci, uciekając przed ognistym podmuchem, kiedy stacja bojowa najpierw zapadła się, a potem eksplodowała za jej plecami. Jej mały myśliwiec, targany falami wstrząsowymi, koziółkował

jak szalony, aż myślała, że zemdleje. Tej nocy siedziała samotnie w szatni gwiazdowego krążownika „Home One”, na wpół rozebrana z kombinezonu, i płakała rozpaczliwie. Była jak dziecko bez matki, którego nie ma kto pocieszyć. Gwałtowny, spazmatyczny szloch targał nią jak bezlitosne oceaniczne fale, aż wreszcie do cna wyczerpana osunęła się na podłogę. Następnego dnia otrzymała medal. Uśmiechała się do wiwatującego tłumu. Nie pokazała im, jak pusta i wyczerpana czuła się naprawdę.

Po raz drugi płakała tu i teraz. Tuląc syna i czując uścisk jego ramion. Ale te łzy nie były dławione spazmami jak parę miesięcy temu, tylko płynęły szczęśliwym, swobodnym strumieniem (choć trzeba przyznać, że trochę się ich wstydziała). Miała wrażenie, jakby domknął się pewien krąg -wszystko, co straciła tamtego wieczoru w bitwie, powróciło teraz z nawiązką. Wtedy czuła się wybebeszona i pusta. Teraz wypełniała ją radość.

A potem, jakby zwolniono stopklatkę, zatrzymana w kadrze rzeczywistość ruszyła. Idealny moment (spotkanie matki z synem niewidzianym od lat) odszedł w przeszłość i nagle Temmin objawił się bardziej jako mężczyzna niż dziecko. Owszem, był młody, ale widać było, że szybko dorasta. Szczupły, żyłasty, z grzywą ciemnych włosów sterczących niesfornie na głowie. Podeszedł do dziwnego droida bojowego i poklepał go po dłoni.

- Bones, dawaj tu Śmigacz. Musimy załadować na niego te trzy szlamozerne szmaty, a potem wywieziesz je najdalej

jak się da na trabzoński szlak. Czyli do Kora Biedies. - Odwrócił się do matki i dodał: - Rozumiesz, chodzi o te wiry wodne w miejscu, gdzie rzeka dotyka drogi. O progi i bystrzyny. - Znow zwrócił się do droida: - Słyszysz mnie, Bones?

Droid bojowy B1 wyprostował się, aż zagrzechotały kości, którymi było obwieszony jego stalowe ciało. Zasalutował niezgrabnie i rzęzącym, przerywanym głosem zameldował:

- Rozkaz, rozkaz. Przyjąłem. Ciała won, panie.

Po czym, cały czas bucząc coś nieskładnie, zaczął wywlekać bezwładne ciała na dwór, tylnym wyjściem. Temmin zawołał za nim:

- Przykryj ich, nim wyniesiesz na zewnątrz. Użyj koca!

Zza drzwi odpowiedział mu służbiście mechaniczny głos:

- Rozkaz, rozkaz. Przyjąłem, panie!

- Nie rozumiem, co tu się dzieje, Temmin - powiedziała z niepokojem Norra.

- Mamo, nie teraz - uciął. - Chodźmy. - Pobiegnął w głąb pomieszczenia, przeskakując sterty gratów. Sięgnął w górę, do powgniatanej czaszki starego droida protokolarnego i wcisnął mu palce w oczy.

Oczy zapadły się z głośnym kliknięciem.

Parę metrów od chłopaka jedna z półek drgnęła i odsunęła się razem z kawałkiem ściany. Za nim ukazały się schody. Temmin zachęcił matkę gestem.

- Chodź, chodź - powiedział i zaczął schodzić w dół.

Wszystko to było bardzo dziwne, ale czy miała inny wybór? Norra obrzuciła zdumionym spojrzeniem synowską graciarnię i ruszyła za Temminem. Metalowe stopnie dźwięczały jej pod butami. Robiło się coraz ciemniej i w końcu przestała cokolwiek widzieć. Wtem...

Klik! Światła. Jaskrawe, zapalające się żarówka po żarówce.

Pomieszczenie było podobne do tego na górze, tyle że tutaj półki lśniły czystością i nie było ani kawałka złomu czy staroci, tylko prawdziwe skarby - od najbardziej zaawansowanych technologii po dziwne sprzęty niewiadomego przeznaczenia.

- Witaj w prawdziwym królestwie Temmina - powiedział z dumą syn.

Norra zaczęła się rozglądać. Części do robotów, których używano, kiedy była mała. Stojak ze snajperskimi karabinami. Skrzynka detonatorów termicznych. Półki pełne starych książek oraz tajemniczych, spatynowanych waz zdobionych wizerunkami mężczyzn w czarnych szatach, o czerwonych twarzach.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała.

- Na górze sprzedaję złom. A na dole? To już zupełnie inna bajka.

Pokręciła głową.

- Nie o to chodzi. Po prostu... kiedyś tu mieszkaliśmy. Tu był nasz dom. Co się stało?

Staął i popatrzył na nią. Przyglądał się, jakby była mu prawie obca.

- Stało się to, że... zniknęłaś. - Nagła cisza wyrosła przed nimi jak niewidzialna ściana, aby po chwili zniknąć tak samo szybko, jak się pojawiła. Temmin znów zaczął krążyć po pomieszczeniu, perorując po swojemu: - No i tak. Surat wie, co tutaj mam, i to jest niefajne. Wie również, że ukradłem... - Ruchem ręki pokazał na czarną matową skrzynię z zamkami zabezpieczonymi karbonitem. - Ukradłem to Suratowi. Domyślam się, że w środku jest jakaś broń, ale nie mam pojęcia jaka. On wie, że trzymam to tutaj, natomiast nie wie i nie może wiedzieć, że...

Przerwał nagle, pognął w odległy kąt i ściągnął niebieski pokrowiec z czegoś, co okazało się starym valachordem.

Ich starym valachordem. Instrument nie był reliktem z zamierzchłej epoki; należał do krótkiej historii życia Temmina. (Wspomnienie wdarło się nagle w jej pamięć z siłą huraganu: Temmin i jego ojciec Brentin, siedzący przy tymże instrumencie, grający na cztery ręce jakąś starą, wesołą górniczą piosenkę i zaśmiewający się do łez).

- Patrz - powiedział Temmin. - Albo raczej słuchaj.

Uderzył w klawisze i zagrał pierwsze pięć taktów...

Pierwsze pięć taktów starej górniczej piosenki *Ballada o wozie i bruku*. Sekwencja dźwięków otworzyła kolejne drzwi, które rozwarły się z lekkim syknięciem. Od starych kamiennych ścian w głębi nadciągnął lekki powiew. Norra poczuła woń pleśni, rozkładu i czegoś metalicznego.

- O tym Surat nie mógł się dowiedzieć - powiedział jej syn.

Uderzył ją błysk w jego oczach, uśmiezek na twarzy. Początkowo pomyślała, że ma wiele z ojca, ale kto wie, może trochę... choć trochę jest też podobny do niej.

- Temmin...

- Jeśli więc przejdziemy starym tunelem pod miastem i...

- Temmin. - Tym razem przemówiła jak matka. Tonem, którym wymuszała uwagę ludzi. W następnym zdaniu go złagodziła. - Synku, czy... możemy chwilę porozmawiać?

- Czas goni. Już zapomniałaś o zbirach, którzy tu byli? Za jakiś czas się ockną i powloką do swojego bossa na drugim końcu miasta. Surat nie zostawi tak tej sprawy i mi nie odpuści. Ale następnym razem przyśle tu kogoś większego i bardziej okrutnego, albo jeszcze lepiej: sam się pofatyguje.

Norra podeszła bliżej.

- Temmin, nie wiem, co tu się dzieje. To wszystko jest dla mnie... takie obce.

- Bo nie było cię tutaj. Całe trzy lata.

- Wiem, ale...

- Przez trzy lata nawet tu nie zajrzałaś.

- Rebelia potrzebowała ludzi...

Podniósł głos, coraz bardziej się rozkręcając. Pojawiły się w nim gniewne tony.

- Nie. Chciałem, żeby ojciec wrócił, a ty myślałaś, że jeśli przyłączysz się do Rebelii, łatwiej będzie ci go znaleźć. I co? -

Przyjrzał się jej podejrzliwie, jakby sądził, że ukrywa coś za plecami. - Nie ma go i nie było. A może jednak gdzieś jest? Ukrywasz go? Czy to ma być niespodzianka? Prezent urodzinowy, żeby mnie udobruchać? Żebyś wybaczył ci te trzy lata nieobecności? Nie sądzę.

- Toczyła się o wiele ważniejsza rozgrywka. Nie chodziło tylko o twojego ojca, ale o... wszystkich ojców, wszystkich synów, matki i rodziny, którzy zginęli albo zostali pojmani przez Imperium. Walczyliśmy. Walczyłam w bitwie o Endor...

- Daj spokój, oszczędź mi tej bohaterszczyzny. Nie potrzebuję idolki.

- Powinieneś szanować własną matkę - warknęła.

- Żartujesz? - Zaśmiał się szyderczo. - Proszę, oto najnowsze wieści dla pani: już nie muszę cię szanować. Nie jestem małym dzieckiem i nie potrzebuję cię. Dorosłem.

- Wciąż jesteś chłopcem. Czternaście lat to...

- Piętnaście.

Wzruszyła ramionami.

Temmin ciągnął:

- Jestem dorosły i samodzielny. Inne dzieci miały rodziców, ale ja nie. Moja mama latała. Nie było jej całymi miesiącami, a potem w ogóle znikła. Musiałem sobie dawać radę sam. I co? Teraz robię interesy i muszę o nie dbać. Ty podjęłaś decyzję. Mając do wyboru mnie i galaktykę, wybrałaś galaktykę, więc nie udawaj, że teraz cię obchodzę.

- Bardzo mnie obchodzisz. Temmin, przysięgam na gwiazdy, jesteś dla mnie najważniejszy. Przyleciałam, żeby cię stąd zabrać. Opłaciłam przemytnika, który wywiezie nas z planety, i...

Komunikator u jej pasa ożył i zaczął wibrować.

To oznaczało nagle wezwanie. Alarmowy sygnał Nowej Republiki.

Aż nazbyt jej znany głos wypełnił przestrzeń:

- Tu kapitan Wedge Antilles z Nowej Republiki. Powtarzam: tu Wedge Antilles z Nowej Republiki. Znalazłem się w pułapce na gwiazdnym niszczycielu „Vigilance”, na orbicie Akivy, i jestem w...

Odgłos wystrzału z blastera. Okrzyk bólu Wedgea i...

Cisza. Koniec połączenia.

Krew zastygła jej w żyłach.

Natłok myśli... Norra usiłowała dociec, co to wszystko ma znaczyć. Skąd tutaj kapitan Antilles? W dodatku na gwiazdnym niszczycielu? Naprawdę dzieje się coś dziwnego. A ona nagle znalazła się w oku cyklonu. Znowu.

- Skąd ja to znam? - mruknął Temmin.

- Co? - zapytała z roztargnieniem.

- Taką minę robiłaś zawsze, kiedy za chwilę miałaś mnie porzucić.

- Temmin, proszę. To bardzo ważne.

- Och, jasne, wiem. Zawsze wiem, kiedy coś jest dla ciebie ważne, bo gonisz za wielką sprawą, porzucając tych, którzy się już nie liczą.

Powiedziawszy to, zniknął w kamiennym korytarzu. Norra pospieszyła za nim, ale pociągnął jakąś dźwignię z boku i...

Drzwi zatrzasnęły się jej przed nosem.

INTERLUDIUM SALEUCAMI

Rodzinny obiad w domu Taffralów - głowa rodu, Glen, króluje u szczytu stołu. Po jego lewicy siedzi Webb, starszy z dwóch braci. Po prawicy - Dav, młodszy. Webb ma szerokie bary, jest potężny i brzuchaty. Włosy obcięte krótko, po wojskowemu, jak u ojca. Dav jest szczuplejszy, niższy i nosi się bardziej niedbale.

Jak zwykle nikt nie rozmawiał w trakcie jedzenia, co nie znaczyło, że przy stole było cicho. Noże zgrzytały na talerzach. Łyżka chrobotąła o drewniany półmisek, z którego nakładano jadło. Skrzypiała podłoga z desek starego farmerskiego domu. Za oknami wiatr gwizdał w łądogach popperów i niósł z sobą klangor ptaków starkle lecących na wschód.

- Podaj mi fasolę - poprosił Dav. Brat łypnął na niego. - Proszę...

Webb sięgnął po miskę, ale znieruchomiał nagle z naczyniem w ręku i odstawił je z powrotem. Napięta szczęka poruszała się, kiedy intensywnie żuł w ustach twarde nasiona.

- Nie mogę uwierzyć, że wróciłeś. - Brzmiało to tak, jakby wcale nie chciał tego powiedzieć. I jakby chciał połknąć następne słowa. A jednak wystrzeliły mu z ust. - Ty pieprzony gualamojebco, ty pasterski wypierdku!

Dav skrzywił się z niesmakiem.

- Rany, Webb, nie możesz po prostu powiedzieć, co naprawdę czujesz?

Glen spoglądał na nich ponad stołem, milczący jak sędzia.

- Och, dobra, powiem. Wreszcie to usłyszysz. Zdradziłeś rodzinę, opuszczając nas i przystając do rebeliantów. Do tych cholernych terrorystów spod ciemnej gwiazdy, w których widzisz jakichś wspaniałych obrońców wolności, a nie bandę kryminalistów, którymi naprawdę są!

Dav ze szczękiem odłożył sztucce na talerz.

- Oni nie są terrorystami, Webb. Narodzili się jako ruch oporu, ale teraz są legalnym rządem. I mają wielką siłę. - Wytarł usta serwetką. - Dni Imperium są policzone.

Nagle Webb zerwał się gwałtownie od stołu, wywracając krzesło.

- Uważaj na słowa! Mówisz jak zdrajca!

- To ty uważaj - ostrzegł Dav, powoli podnosząc się z krzesła. - A swoją drogą ciekawe, czemu tak uparcie włączysz w tyłek Imperium? Wylali cię z Akademii, a wcześniej trzepali ci skórę, aż się kurzyło.

Webb wypiął pierś.

- Zrobili ze mnie lepszego człowieka.

- Zrobili z ciebie napastliwego świra.

- Ta wredna śliska kreatura śmie się zwać moim bratem?!

Webb rzucił się na niego przez stół, lecz był opity koja-rumem, a Dav trzeźwy niczym poranek. Wystarczyło, aby zrobił unik, a Webb wylądował na jego pustym krześle i razem z nim grzmotnął o ścianę.

Jednak choć pijany, nadal był groźny. Wstał chwiejnie i mówiąc potężnymi ramionami, rzucił się na Dava. Bracia potoczyli się po podłodze, zajadle zadając ciosy, kopiąc i wyzywając się od najgorszych. Wreszcie Glen odchrząknął głośno, chwycił misę z sałatą i z całej siły wyrzucił ją w ścianę. Naczynie odbiło się od niej z hukiem, a zielone liście oblepiły ścianę i sufit.

Bracia znieruchomieli i unieśli głowy czujnie jak dwa świstaki.

- Obaj siadajcie - powiedział Glen, odchylając się na krzesło. - Już!

Obaj posłusznie spełnili ojcowskie polecenie.

- Tatku, on zaczął - poskarżył się Dav.

- Tatku, nie słuchaj tej zdradzieckiej małpy! - przerwał mu Webb.

- Zamknąć się, jeden i drugi! Obu przyda się lekcja. Jestem już starym człowiekiem i spłodziłem was później, niż powinienem. Żyłem sobie samotnie, ja, prosty farmer, kiedy pojawiła się wasza matka, niech wszystkie gwiazdy świecą nad jej duszą. - Przyłożył dłonie do serca i przymknął oczy. - Niejedno w życiu widziałem.

- Na zajęciach kazali mi się czołgać na łokciach i kolanach, w błocie i wśród cierni; zżerały mnie... - wymamrotał Webb pod nosem gorzkim tonem.

Glen powstrzymał go gestem noża.

- Lepiej zamilcz, chłopcze, jeśli nie chcesz, żebym wygarbował ci skórę wysuszoną łodygą poppera!

- Przepraszam, tatku - powiedział pokornie Webb.

- A teraz słuchajcie. To, co było kiedyś, powróci jeszcze raz. Świat szedł kiedyś drogą Republiki i teraz znów pójdzie tą drogą. Przez jakiś czas wszyscy będą im przyklaskiwali i wszystko będzie ładnie, pięknie, ale później sprawy zaczną się psuć i ktoś wymyśli, że jest lepsza droga. I Nowa Republika albo Nowa-Nowa Republika, albo Republika z Tego Tygodnia rozsypią się jak domki z kart, a ci spece od lepszej drogi staną się dzielnymi buntownikami, zaś Republika stanie się ich wrogiem. Koło znów się obróci, i tak dalej. - Potarł oczy. - Jestem na tyle stary, że pamiętam, jak Republika strzeliła sobie w stopę. Wcale nie została pokonana przez Imperium. Sama stawiała się Imperium, powoli, stopniowo, nie jednej nocy, ale całymi latami, dziesięcioleciami. Owoc jest smaczny, kiedy jest dojrzały. Ale każdy piękny owoc zgnije, jeśli będzie za długo wisiał na gałęzi. Pamiętajcie o tym.

- Nie, tato. Tym razem tak nie będzie - zaprzeczył gorąco Dav.

- On wybrał swoją stronę - rzekł Webb. - A ja wybrałem swoją.

- I to jest właśnie cholerny problem! - Glen z hukiem walnął pięścią w stół. - Obaj wybraliście swoje strony, gdy tymczasem jedyną stroną, którą powinniście wybrać, jest rodzina. Zawsze i żeby nie wiem co. Ale nie, wy tu siedzicie i kłócie się jak ptaki o pędraka. Pamiętacie Lawquanów? Stary Gut walczył w wojnach klonów. I tam poznał jedyną prawdę, która mówi, że żadna strona w wojnie nie walczy po dobrej stronie. I zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić: wyłączył się z tego i zajął się ziemią. Założył rodzinę. Nigdy więcej nie dał się już wciągnąć w to bagno. Ale wy dwaj nie potraficie...

Nagły dźwięk. To obłądne wycie. Myśliwce TIE.

- Wydaliście mnie - wyszeptał pobladły Dav.

Webb uciekł spojrzeniem w bok.

- Imperium płaci za ujawnianie rebelianckiej zarazy. -Ale w jego głosie nie było już niezłomnej pewności. Brzmiały w nim żal i wyrzuty sumienia.

Nagle wystrzelił promień ogłuszający. Wybuchł niebieski rozbłysk i Webb krzyknął, a potem zwałił się twarzą w talerz. Dav wytrzeszczył oczy.

- Czy wierzysz w to, co robisz, Dav? - zapytał ojciec.

- Ja... tak.

- Dobrze. To mi wystarczy. Mam nadzieję, że czynisz słusznie. - Stary westchnął. - A teraz uciekaj. Przez okno z tyłu. Weź skuter ze stodoły.

- Tatku... dzięki.

- Idź już.

- A co z tobą?

Ojciec wzruszył ramionami.

- Powiem im prawdę. Że mi groziłeś, strzeliłeś do mnie i uciekłeś. - Wycelował w siebie i nacisnął spust. Paraliżujący impuls zwałił go z krzesła. Z jękiem padł na podłogę.

Dav przełknął łzy, a potem chwycił broń i głową naprzód wyskoczył przez okno, gdy z hukiem wyważono frontowe drzwi.



Kontury miasta rozmywały się we mgle. Nawet jaskrawe, bezlitosne słońce tej planety nie potrafiło przeniknąć palącymi promieniami wilgotnych oparów spowijających Myrrę. Parna atmosfera otulała wszystko jak dusząca zasłona mokrej gazy.

Dlatego Jas Emari potrzebowała chwili, żeby upewnić się, co naprawdę widzi - statek, błyszczący w słońcu, opuszczający się z niebios niczym boski rydwan. A raczej nie statek, tylko luksusowy jacht - bogato zdobiony, lśniący od mosiądzu i karminowej czerwieni, równie piękny jak funkcjonalny.

Jacht Arsina Crassusa.

Imperium Galaktyczne jest potężne niczym lewiatan; jest jak pancerna pięść krusząca światy, które ośmielą się kwestionować jego władzę. Jednak taka potęga i władza nie biorą się znikąd. Nawet Sithowie nie potrafią wyczarować czegoś z niczego. Tu chodzi o inną magię.

„Kredyty”.

Kasa.

Crassus był jednym z głównych pożyczkodawców Imperium. Był nim od lat. Legenda głosiła, że już jako młody człowiek, pracując w Federacji Handlowej, pomagał rodzącemu się dopiero, ale już rosnącemu w siłę Imperium. Ponoć za jego sprawą zarząd Federacji dał się zwabić na Mustafar, gdzie został wymordowany. W tym czasie Crassus wyczyścił do zera jego konta, zapewniając w ten sposób dofinansowanie nowego rządu. I odtąd ustaliła się jego rola - korporacyjne wsparcie imperialnych rządów.

Był również handlarzem niewolników.

A dzisiaj został jej celem.

Jas usadowiła się na szczycie porzuczonego starego masztu, sterczącego na dachu opuszczonego budynku rządowego. Była przywiązana do kratownicy linkami owianymi wokół talii i prawego uda. Dzięki tej asekuracji mogła się swobodnie wychylić, a co najważniejsze, miała wolne obie ręce.

Płatna zabój czyni tkwiła tam od dłuższego czasu. Czekwała. Prawie nie spała. Była zmęczona i bolały ją mięśnie. Cóż, taka praca. (Życie łowcy nagród składa się głównie z obserwowania i czekania. Długich okresów przerywanych bardzo krótką, gwałtowną akcją).

Zdjęła karabin z pleców. Tę długolufową broń rogata Zabrakanka skonstruowała sobie sama. Wykorzystała starego typu myśliwską broń Czerki, modyfikując ją tak, żeby strzelała w rozmaitych konfiguracjach, różnymi seriami, z jednej czy z drugiej lufy, w zależności od potrzeb. Jas usłyszała kiedyś, że Jedi sami konstruowali swoje świetlne miecze, i pomyślała - czemu nie może zrobić sobie broni na miarę? Tak też się stało. Zawsze robiła to, co zamierzyła.

Przyłożyła karabin do ramienia, po czym lewą ręką opuściła i rozciągnęła teleskopową podstawkę, mocując jej drugi koniec w specjalnym gniazdku u pasa. W ten sposób dodatkowo stabilizo-

wała broń, co było ważne przy niestabilnej pozycji, jaką zajmowała, wisząc prawie sto metrów nad rozciągającym się w dole miastem. Przyłożyła oko do lunety.

Namierzyła jacht. W wizjerze wyświetliły się dane - temperatura gazów wylotowych, szybkość i trajektoria, ewentualne ślady biologiczne (zwykle żadnych z uwagi na pole ochronne maszyny).

Wycelowwała broń w lądowisko na dachu pałacu - siedziby lokalnego satrapy Isstry Dirusa, sprzedajnego burmistrza słynącego z całkowitego braku troski o mieszkańców miasta oraz ponadprzeciętnej troski o napychanie sobie kieszeni.

W idealnej galaktyce on też byłby do odstrzału.

Jednak Jas Emari była profesjonalistką. Żadnych zbędnych ofiar. Nawet jeśli by na to zasługiwały.

Nie odsuwała oka od wizjera.

Jacht zaczął schodzić do lądowania. Smugi pary ulatywały z niego jak duchy. Zakołysał się łagodnie i osiadł na ziemi. Wypuścił trap. Na dachu ukazał się dostojnik: wysoki mężczyzna, który kiedyś musiał być przystojny, choć nawet z tej odległości widać było bruzdy, które wyżłobiły jego kamienne rysy niczym strumień górskie zbocze. Rozpływał się w uśmiechach, kłaniał się i machał na powitanie, jakby dobrze wiedział, z której strony jego placek muftari jest przyprawiony i posolony. Jas sprawdzała jego kartotekę i wiedziała, że okrągłe sumy spływają z różnych imperialnych korporacji do przepastnych skarbców satrapy. Planety Zewnętrznych Rubieży zawsze słynęły jako świetne miejsca do ukrycia lewego majątku i obrotu zakazanymi dobrami (jak niewolnicy). Akiva była właśnie takim światem.

Za satrapą kroczyło dwóch gwardzistów w wysokich hełmach z czerwonymi piórami. Byli uzbrojeni w długie wibropiki sterzące ponad czubkami ich pióropuszy.

Na trapie ukazał się Crassus w asyście własnej gwardii - kobiet w zwierzęcych maskach z laki. Zapewne niewolnic.

Był dość łatwym celem - wysoki i tęgi, z brodą ufarbowaną na kolor najgłębszej kosmicznej czerni, strojny w połyskującą szatę, która ciągnęła się za nim po ziemi niczym złożony pawi ogon. Crassus przyłożył ręce do piersi w powitalnym geście, po czym wyciągnął je do satrapy i chwycił jego przeguby.

Roześmiali się.

Cha, cha, cha.

„Dosyć tej radości, Arsinie Crassusie”.

Wtem wizjer zamigotał...

Kolejne statki!

Jas przesunęła lufę w kierunku wskazanym przez strzałkę i zobaczyła imperialny prom kosmiczny typu Lambda, opadający w warstwie spiralnych chmur. Zamigotały druga i trzecia strzałka.

Jeszcze dwa promy.

Z eskortą myśliwców TIE.

Jas przesunęła lufę w stronę lądowiska. Crassus nadal tam był (nerwowo wciągnęła powietrze przez zęby, bo mało brakowało, a straciłaby swój cel, rozpraszając uwagę). Stał obok satrapy, a kobieca gwardia ustawiła się za nim w szeregu, czekając na dalsze rozkazy. Crassus zdjął wierzchnią szatę i jedna z kobiet podeszła z wachlarzem, żeby go chłodzić.

Wtem z drzwi na dachu wyłoniło się trzech szturmowców.

Dziwne.

„Strzelaj - pomyślała. - Zarób tę kasę”.

Ale...

Zaraz.

Coś tu się działo. Z rozpoznania, jakie zrobiła przed akcją, nic nie wynikało, ale teraz była na siebie wściekła, że dała się wpędzić w pułapkę. Zbyt często działała tak, jakby miała na

oczach klapki. Widziała tylko cel i dążyła do niego jak najprostszą drogą. Przez takie tunelowe myślenie umykało jej wiele rzeczy. Szersza perspektywa. Ukryci nieprzyjaciele. Komplikacje. Uważała, że najważniejszy jest wycinek rzeczywistości widziany w lunecie karabinu - dopóki rzeczywistość nie przywołała jej do porządku. Od miesiąca polowała na Arsina Crassusa, śledząc jego jacht śmigający po całej galaktyce niczym wystraszony wróbel. Kiedy doszły ją słuchy o jego spotkaniu z satrapą Dirusem, nie zastanawiała się dłużej.

A powinna!

Wahała się z palcem na spuście, podczas gdy dwa następne promy lądowały po kolei.

Ustawily się w półkole na platformie i otworzyły drzwi, wypuszczając pasażerów.

Jas z wrażenia niemal zapomniała o oddychaniu. Czuła się jak ktoś, kto kopał sobie zwykły dół w ogródku i nagle dokopał się do kufra z archiwum Starej Republiki - skarbu, jakiego się nie spodziewał.

Zatem nie tylko Arsin Crassus.

Również ktoś, kogo nie znała, w niedorzecznym nakryciu głowy (gdyby Jas miała je opisać, powiedziałaaby, że przybysz zabił szmaragdowego kuraka kofta i wsadził go sobie na głowę), ubrany w aksamitną, fioletową, tradycyjną szatę imperialnego doradcy.

Za to od razu rozpoznała osobę, która wysiadła z drugiego statku. Była to Jylia Shale - stara kobieta, zasuszona i twarda niczym orzech koją, szorstka jak kamień żółciowy.

Szła zgarbiona, z rękami splecionymi za plecami. Była ubrana w nienaganny szary imperialny uniform, a włosy miała zwinięte w ciasny kok na czubku głowy. Pilnowało jej dwóch członków Gwardii Imperialnej w czerwonych płaszczach i hełmach.

I wreszcie trzeci i ostatni prom.

Moff Valco Pandion.

Był surowy i sztywny, o ostrych twardych rysach; jego brew przecinała blizna, za którą musiała stać cała historia.

Na piersi munduru miał dziwny emblemat - prostokątną płytkę z sześcioma niebieskimi polami w górnym rzędzie oraz trzema czerwonymi i trzema żółtymi w dolnym.

Nie były to insygnia zwyczajnego moffa, tylko wielkiego moffa.

Tytuł zasłużony czy raczej kupiony albo zagarnięty?

Tam, na lądowisku, stały trzy ważne cele. Crassus był planowany, ale Shale? Pandion? Niezła kasa! Pandion jest przecież najwyższą kartą z talii pazaaka, którą wręczył jej łącznik z Nowej Republiki. Im wyższa karta, tym wyższa nagroda za poszukiwanego zbrodniarza, proste. A tu miała aż trzy!

Motyle zatrzepotały jej w brzuchu.

„Zabij Pandiona”.

Nowa Republika najchętniej wolałaby ich żywych, ale za zwłoki też zapłaci niezłe sumki. Pod warunkiem, że zostaną zachowane, a nie dostarczone w pojemnikach w postaci popiołu i sadzy. Zawsze chciała zabić Crassusa. Lepiej, żeby taki człowiek jak on trafił do ziemi, a nie do celi. Choć za jego grzechy nie ma odpowiedniej kary.

Pandion dołączył do grupy dostojników, ale trzymał się o krok czy dwa z tyłu. Był chłodny, wyniosły i wyraźnie zdystansowany. Pozostali rozmawiali z ożywieniem, witając się ze sobą lub przedstawiając się sobie nawzajem.

Jas odtworzyła to jeszcze raz w głowie. Musi zdjąć klapki z oczu i przemyśleć przez chwilę sprawę, zanim naciśnie spust.

Zabicie Pandiona albo kogokolwiek z nich jest korzystne.

Jeden strzał, jeden trup. I dobry zarobek.

Reszta się rozbiegnie. Uciekną do promów albo do pałacu. W tym drugim przypadku będą musieli przebiec lądowisko aż do drzwi i zapewne zdąży ustrzelić kogoś jeszcze. A jeśli zdołają odlecieć? Wtedy dużo na tym straci.

Powiał wiatr. Gorący nawet jak na tutejsze warunki. Jak palący oddech bestii. Zagwizdał w rożkach wyrastających z jej głowy jak korona.

Nie, resztę trzeba odpuścić.

I skupić się na jednym celu. Wtedy wyjdzie.

Ale jest okazja do zagrania na większą skalę. Załatwić ich wszystkich. Co to dla niej? Jas Emari miała swoją markę w Imperium. Jak również wśród rozlicznych zbrodniczych syndykatów, działających na Zewnętrznych Rubieżach -Huttów, Czarnego Słońca, Crymorah czy Kartelu Perlemiańskiego. Jednak po ponownym zniszczeniu Gwiazdy Śmierci, kiedy przestała być lojalna, jej nazwisko i reputacja straciły na znaczeniu, podobnie jak różne inne układy w całej galaktyce. Teraz żeby zarobić, trzeba podejmować większe wyzwania. Niespieszne, dobrze ubezpieczone akcje to już przeszłość. Jas podjęła ostateczną decyzję i odłożyła karabin.

Jeden cel to za mało.

Musi załatwić ich wszystkich.

„I to jak najszybciej” - pomyślała.

Przy wejściu w atmosferę Akivy zaczęły się turbulencje. Sloane, siedząc w fotelu nawigatora promu - na tym krótkim dystansie nie była to ważna rola - patrzyła, jak kosmiczną czerń stopniowo rozjaśnia światło planety. Pojawiły się chmury, a na ekranach wyświetlała się linia horyzontu, trajektoria lotu oraz planowany kurs.

Obok miała swojego pilota - Mornę Kee. Morna pracowała dla niej od pewnego czasu. Była bardzo zdolna i lojalna wobec

Imperium. Wierna Imperium. Milo mieć wokół siebie ludzi, których się zna. Po klęsce pod Endorem znacznie ich ubyło. Do tego polityka Nowej Republiki, która zakładała wchodzenie w układy z przywódcami planet i planetarnych federacji, aby w jej imieniu polowali na resztki imperialnej floty, stwarzała ogromne zagrożenie. Nie mówiąc już o groźbie wewnętrznego rozłamu. Niespokojny umysł Sloane usiłował skupić się na szczegółach, które kiedyś uważała za ważne. I które zapewne już nic nie znaczyły.

Za jej plecami siedział archiwista - drobny mężczyzna, który miał stenografować obrady zjazdu, a potem umieścić w kronikach notę o początkach odradzania się Imperium. Obok siebie miał asystentkę, która miała mu pomóc w wypełnieniu zadania - Adeę Rite, bystrooką, młodą Korelianę. Pod tylną ścianą sterówki stała połowa oddziału szturmowców - wybrańcy z najlepszymi wynikami z Akademii, oddelegowani z „Vigilance”. Pilnowali jej nowego więźnia -kapitana Wedge’a Antillesa. Rebeliant leżał na unoszącym się nad podłogą stole operacyjnym, oszołomiony środkami podawanymi przez kroplówkę. Nad nim tkwił w zawieszaniu droid medyczny monitorujący pacjenta.

Łyżka dziegciu.

Nawet teraz jest niebezpieczny. Buntownicy będą go szukać.

Mimo woli mocniej zacisnęła szczęki. To musi wypalić. Zjazd musi przynieść rezultaty. Stawką jest przecież przyszłość Imperium i stabilizacja całej galaktyki.

Zjazd nie był wyłącznie jej pomysłem, choć przeważnie tak uważano. Tym bardziej musi rozegrać tę sprawę zgodnie z założeniami własnej strategii, unikając niepotrzebnych komplikacji. „Jeśli się nie uda, obwinia mnie”.

W dole pojawiło się miasto Myrra. Rozległe, duszące się w ciasnocie i chaotyczne. Budynki pochylone pod dziwnymi kątami usiłowały wyrwać się z dżungli, która zdawała się wciągać je z

powrotem. Pnącza niczym okrutne palce pełzały po ścianach i dachówkach, jakby próbowały powoli zdławić miasto. Przestrzenie pomiędzy domami były zbyt wąskie, aby można je było nazwać ulicami. Były to raczej alejki czy przesmyki, co czyniło ewentualną okupację tej planety przez Imperium zadaniem bardzo problematycznym. W tych zaułkach utknęłyby imperialne pojazdy - oczywiście poza skuterami, choć i one miałyby kłopoty z nawracaniem i skrętami.

„To nieważne” - powiedziała sobie. Zjazd nie będzie trwał wiecznie (choć czasem się tego obawiała).

Prom przechylił się gwałtownie, schodząc nad miasto. Przed dziobem rósł w oczach pałac ich sojusznika, satrapy Isstry Dirusa; śliskiego cmokiera, którego trzeba było hołubić dla dobrej sprawy. Czasami tacy są potrzebni, gdyż maszyna funkcjonuje dobrze tylko wtedy, kiedy wszystkie elementy ze sobą współpracują. Pałac zapierał dech w piersiach - satrapa kazał przebudować starożytną świątynię na pomnik bogactwa i blichtru. W kwarcytowych murach prześwitywały jasnocynobrowe smugi, a ich szczyty zdobiły niezliczone złote zwieńczenia. Wielofasetowe okna, lśniąco kryształowymi szybami, może i wyglądały pięknie, ale brakowało im tego, co stanowi istotę każdego okna - przejrzystości. Rae osobiście wolała styl bardziej surowy i...

Nagły ruch w polu widzenia.

Ktoś zaczął zjazd na linie z najbliższego masztu telekomunikacyjnego. Widać było, że był od dawna nieużywany. Stanowił element kompleksu dawnych budynków rządowych. Rządu też już od dawna nie było, gdyż całą władzę przejął satrapa (nie przypadkiem stało się to wtedy, kiedy Imperium opanowało Senat Galaktyczny). Rae wcisnęła klawisz, obróciła pokrętło i...

Na szybie zaczął powiększać się obraz zjeżdżającej po linie postaci. Zabrak, sądząc po rogach na czole. Płeć żeńska. Karabin na plecach. Długa lufa... to snajperka.

„Łowczyni nagród”.

Rae Sloane z wściekłym pomrukiem zerwała się z fotela i błyskawicznie przesiadła się na stanowisko strzeleckie. Nie miała czasu ani tym bardziej cierpliwości dociekać, kim może być ta kobieta. I choć admirałowi nie wypadało bawić się w Strzelca, nie zamierzała się tym przejmować.

Wycelowwała i zaczęła ostrzał.

Jas modliła się, żeby linka, którą wystrzeliła ze szczytu wieży do najbliższego dachu, zakotwiczyła się dobrze i utrzymała ją. Zjazd był długi, a przerdzewiała konstrukcja wieży groziła w każdej chwili katastrofą. Sunąc w dół, słyszała jej skrzypienie.

Po chwili okazało się, że ma większe zmartwienie.

Nagle, jak z nicości, z lewej strony wyłonił się prom. Kolejny imperialny transportowiec typu Lambda.

Czujny i bezlitosny.

Działa plunęły ogniem. Jas wciągnęła powietrze i podciągnęła nogi do brody, kuląc się przy lince, żeby zmniejszyć powierzchnię wystawioną na cel. Mięśnie piekły nieznośnie.

Laserowe smugi przecięły przestrzeń. Przed nią. Za nią. Poniżej i powyżej. Wiedziała, że z jest ust wydobywa się dźwięk - przeciągły krzyk wściekłości i strachu - ale nie słyszała go. Słyszała tylko kanonadę i wiatr gwizdzący w uszach.

Na szczęście blastery umieszczone pod skrzydłami maszyny nie były przystosowane do precyzyjnego namierzania małych celów takich jak ona. Chyba że strzelec wspomaga się Mocą i jest Jedi albo Siostrą Nocy z Dathomiry. Bo jeśli nie, ten ktoś musiałby mieć kosmiczny fart, żeby ją trafić.

Na nieszczęście ten ktoś musiał dojść do identycznego wniosku.

Ogień ustał i statek lekko zmienił położenie.

Po czym wypalił w wieżę.

Za plecami Jas buchnęły płomienie. Huk. Zgrzyt dartego metalu. Wieża zaczęła się chylić. Wiedziała to, ponieważ linka, po której zjeżdżała, zwisała nagle jak rozgotowany makaron. „Trzymaj, nie puszczaj jeszcze, przelecisz na niej” -nakazała sobie.

Nie dała rady. Linka wyślizgnęła się jej z rąk.

Jas Emari spadała.



Norra wróciła do podziemi. Tajemne drzwi były nadal zamknięte. Mruknęła z rozczarowaniem, gdyż to oznaczało, że będzie musiała zrobić coś, w czym była kiepska.

Musi sobie przypomnieć, jak się gra na valachordzie.

Nawet nie musi grać, tylko wygrać parę taktów, ale to i tak było dla niej wyzwaniem, ponieważ nie posiadała nawet części muzycznych zdolności męża i syna. Usiadła przy instrumencie i uderzyła na próbę w parę klawiszy. Odpowiedziały melodyjnymi tonami podszytymi lekkim mechanicznym szmerem. Tap, tap, tap. Nie grała muzyki. To była kakofonia.

Lecz nagle - ach! Jest. To musi być ten dźwięk. Początek *Ballady o wozie i bruku*, no nie? Stara górnicza piosenka. Norra przymknęła oczy, usiłując przypomnieć sobie dłonie męża na klawiaturze. Zasięg rozpostartych palców, kciuka i małego. Sekwencja dźwięków... raz-dwa-trzy-cztery-pięć...

Wzięła głęboki oddech i zagrała.

Drzwi otworzyły się z poszumem powietrza.

Norra poczuła ogromną ulgę. Szybko ruszyła do wejścia. Znów wychwyciła tę woń - zapach starości, kurzu i stęchlizny.

Jakby rozgniotło się w ręku grudkę wyschniętej brudnej ziemi albo kawałek mchu.

Kamienne ściany wyglądały na bardzo stare. Norra знаła swoje miasto i wiedziała, że pod Myrrą ciągną się katakumby - miasto pod miastem, starożytny labirynt. Krążyły plotki, że kryją się tam różne tajemnice, jak choćby świątynia Jedi, pułapka Sithów, pierwotne siedziby prymitywnych Uugteenów, czy wylęgarnie śluzowatych Huttów. Straszono opowieściami o śmiałkach, którzy się tam zapuścili i nigdy nie powrócili. Albo zostali pożarci przez rankory, albo wpadli w bezdenne, czarne studnie, albo zostali uprowadzeni przez Uugteenów, którzy przerobili ich na swoją modłę, cokolwiek by to miało znaczyć. Krążyły też opowieści o duchach, jakby te miejsca były nawiedzone.

Norra dobrze pamiętała te wszystkie historie.

Nie wiedziała tylko, że katakumby mają połączenie z jej cholernym domem. Czy to coś znaczy?

Zrobiła jeszcze jeden krok i omal nie krzyknęła.

Temmin siedział w małej niszy; niebieska poświata małego holotabletu wydobywała z mroku jego twarz. Wyświetlała się mapa, ale szybko ją wyłączył i ekran ściemniał. Pociągnął nosem, ocierając oczy wierzchem dłoni, a potem hardo uniósł podbródek, jakby pragnął ukryć fakt, że płakał.

- Przepraszam - powiedziała Norra.

- Taa... ja też.

Wyciągnęła do niego rękę i pozwolił się dotknąć. Norra lekko ścisnęła dłoń syna.

- Nie wiedziałam, że... to tu jest.

Temmin obrzucił spojrzeniem kamienne ściany.

- Katakumby? Tak. Parę lat temu zdobyłem mapę. Podziemne korytarze łączą wiele domów, zwłaszcza tutaj, w Chenza Hill.

- Rozmawiałam z twoimi ciotkami. Powiedziały, że już od dawna z nimi nie mieszkasz.

Odkasznął nieznacznie.

- Tak, mieszkam tutaj. Jestem niezależny. - Westchnął. - Odwiedziłaś je?

- Nie.

- Chrzanić je.

Poczuła ukłucie gniewu. Nie na Temmina, tylko na te dwie kobiety - swoją siostrę Esmellę i jej żonę Shirene. Z jednej strony zdawała sobie sprawę, że to nie ich wina, a jednak nie mogła powstrzymać irytacji. Nie potrafiły poradzić sobie z jej synem i teraz jest, jaki jest. Prowadzi ten swój interes, żyje własnym życiem. Omal go nie zabili... no właśnie, kto? Miejscowe zbiry. Złodzieje. Brutale.

- Rozmawiałam z nimi wcześniej. Nie chcą opuścić Akivy. Wrosły w ten świat i już tego nie zmienię.

Temmin wstał i uśmiechnął się z sarkastycznym niedowierzaniem.

- Opuścić Akivę? Co dokładnie masz na myśli?

- Temmin. - Norra przysunęła się bliżej. - Dlatego jestem tutaj. Przyleciałam, żeby cię stąd zabrać. Musimy jak najszybciej odlecieć.

- Zabrać mnie? Nie ma mowy. To jest moje życie i mój sklep. Mój dom. Chyba oszalałaś, jeśli myślisz, że się zgodzę.

- Posłuchaj mnie przez chwilę. Coś się tu dzieje. Imperium, choć rzucone na kolana, nadal istnieje. Miasto roi się od szturmowców. Imperium jest tutaj. Założyli blokadę łączności i dostępu do planety.

Temmin zmarszczył czoło. Czyżby nic nie wiedział? Większość mieszkańców Myrry nie wiedziała, ale pewnie wcześniej czy później się dowiedzą.

- Dobra, może i tak jest, ale ja znam paru imperialnych. Sprzedają im towar. Nie muszę się bać. Za to ty powinnaś iść i ratować swojego... kumpla. Jak on się nazywa... Wedgie czy jakoś tak.

- Wedgie.

- No właśnie.

- Nie, Temmin. Słyszałam, co powiedziałeś, ale już podjęłam decyzję. Ty jesteś teraz najważniejszy. Zabieram cię stąd.

- W żadnym razie. Nawet o tym nie myśl. Ja zostaję. Możesz sobie lecieć, jeśli chcesz, a ja będę dalej robił to, co robię: dawał sobie radę bez ciebie.

Norra przygryzła usta, z trudem powstrzymując słowa, których nie powinna wypowiedzieć. Zawsze był uparty i samowolny, ale teraz stał się zupełnie niesterowalny. Chłopak przesunął się obok niej i ruszył w stronę schodów.

- Temmin, zaczekaj...

- Muszę zacząć przenosić sprzęt do katakumb, żeby go ukryć przed Suratem. Miło było cię widzieć, mamó. Możesz spokojnie odlecieć - rzucił za siebie, nie zatrzymując się.

Dogoniła go w drzwiach i chwyciła za ramię. Kiedy odwrócił się i zobaczył, co trzyma w ręku, jego usta ułożyły się w nieme „o”, ale zanim zdążył...

Norra wbiła mu w szyję złamaną igłę, którą wykradła z droi-da przesłuchującego. Zdążyła docisnąć tłoczek do połowy, kiedy powieki chłopaka zatrzepotały jak motyle w słoju.

Podtrzymała go, zanim padł na ziemię.

- Przepraszam, synu - szepnęła.

I zaczęła go taszczyć na górę.



Zaledwie admirał Sloane przekroczyła próg sali, od razu ją obiegli. Pomieszczenie było obszerne, o wysokim suficie i lukowym sklepieniu. Pośrodku stał masywny stół zrobiony z jednego pnia jakiegoś wiekowego drzewa, inkrustowany lustrzanymi płytkami. Tłumek tak na nią napierał, że Rae nagle poczuła się klaustrofobicznie, jakby ta wielka przestrzeń była jedynie iluzją kryjącą o wiele skromniejszą salę. Musi wytrzymać. Nie może pokazać słabości i napięcia.

Wszyscy chcieli wiedzieć, co się stało, ale to moff Pandion najbardziej naciskał. Kiedy zaczął mówić, inni momentalnie zamilkli.

Zakonotowała to sobie. W sumie nie powinna się dziwić, ale jednak.

- Zlituj się i powiedz wreszcie, co to był za hałas? - zapytał, wysuwając się naprzód. Stał z nią nos w nos, irytująco naruszając jej przestrzeń osobistą.

- Chodzi o salwy z blasterów? - upewniła się.

- Skądże - odparł, kpiąco przewracając oczami. - Miałem na myśli skrzeczenie ptaków, szczekanie psów i melodię, którą pogwizdywałaś, kiedy tu weszłaś. - Zadziwiające, ale udało mu się połączyć grymas z uśmiechem. - Tak, chodziło o strzały. Co to było?

- Partyzant.

- Rebeliant? - zapytał dawny doradca Palpatinea Yupe Tashu. Przeżalenie pojawiło się na jego twarzy, jakby nagle usłyszał dzwonek alarmowy. - Tutaj?

- Nie - skłamała. I pewnie nie będzie to jej ostatnie kłamstwo na tym zjeździe. - Nic z tych rzeczy. Ktoś miejscowy. Jak dobrze wiesz... - Urwała nagle i dodała innym tonem: -Możemy przejść do stołu? I usiąść, żeby posmakować jadła, które przygotował dla nas satrapa Dirus? - Jej sugestię skwitowano niechętnymi pomrukami i skinieniami głowy.

Rae ruszyła do stołu wraz z tłumem, pozdrawiając po drodze krótko Jylię Shale, Arsina Crassusa, satrapę oraz cały rząd jego doradców kłaniających się w pas.

Kelnerzy krążyli po sali z drewnianymi tacami, podsuwając je gościom, aby mogli spróbować przeróżnych specjałów, które Rae widziała po raz pierwszy w życiu. Na przykład małe wijące się stworki z atramentowoczarnymi mackami. Czy kluseczki pachnące śliwkami. Albo tajemnicze kulki obtaczane w ziarenkach, cuchnące gorzej niż wewnątrz jej butów po całym dniu służby. Yupe Tashu tylko skubał jedzenie. Crassus pochłaniał je żarłocznie. Jylia postawiła przed sobą mały talerzyk z nałożonymi paroma kąskami, ale ich nie tknęła. Pandion, jak było do przewidzenia, odprawił kelnera.

- Jak zapewne wiesz - podjęła, przesuwając się do szczytu stołu, ale nie usiadła, tylko stała - rebelianci zaczęli rozpowszechniać propagandę w formie holofilmów. Albo też kradną nasze

sondy i przeprogramowują je, aby rozpowszechniały ich kłamstwa.

- Czy oni rzeczywiście kłamią? - zagadnęła Shale na tyle głośno, żeby słyszano ją wokół. - A może to my okłamujemy samych siebie?

Na moment zapadło lodowate milczenie. Pandion Spiorunował wzrokiem starszą kobietę.

Rae zignorowała ten wtęret i kontynuowała:

- Zostaliśmy zdradzeni przez różnych gubernatorów i przywódców sektorów galaktycznych. Tak zwana Nowa Republika przeprowadziła całą serię ataków na nasze okręty i transportowce, udanych ataków, muszę dodać. To jeszcze bardziej przeczędziło nasze szeregi. Szczerze mówiąc, jesteśmy w defensywie. Tym bardziej w tak trudnym momencie nie możemy pozostać rozproszeni i bez przywództwa. I taki jest właśnie cel naszego spotkania. Chciałabym ci podziękować za...

Pandion przerwał jej:

- Czekaj. Powiedziałaś, że zostaliśmy zaatakowani przez kogoś z miejscowej partyzantki? A nie przez... prawdziwego rebelianta?

- Nie. - Rae nie lubiła, kiedy jej przerywano, ale on mógł sobie na to pozwolić. - Powtarzam, to był ktoś miejscowy. Ktoś, kto zapewne uległ wspomnianej propagandzie. Dlatego wieczorem, kiedy zacznie się narada...

- Po pierwsze, spóźniłaś się. Po drugie, otworzyłaś ogień w pobliżu pałacu satrapy. I co z tym rebeliantem, którego pojmałaś? A statek przemytniczy, który przerwał blokadę i uciekł? Czy na pewno jesteśmy bezpieczni, pani admirał?

Niedobre, gorzkie przeczucie ścisnęło jej żołądek. Skoro Pandion o tym wie, na jej statku musi być kabel. Wtyka.

Zapachniało zdradą. Już czuła, że traci kontrolę nad wydarzeniami, a minęła dopiero godzina.

Yupe Tashu zrobił zachwyconą minę.

- Mamy więźnia?
- I nic nam nie powiedziałaś? - zapytał z pretensją Crassus.
- Interesujące - mruknęła Shale. - Całkiem interesujące.

Rae odwróciła się i spojrzała na własny oddział szturmowców strzegących drzwi. Dała nieznaczny znak głową im oraz pilotowi.

Natychmiast wyszli.

- Rebeliant działał w pojedynkę - wyjaśniła. - Jeśli wykonywał jakieś zadanie, to na własną rękę. Na przykład śledzenie ruchów Imperium.

- No i wyszedł - podsumował ironicznie Pandion.

Drzwi otworzyły się ponownie i weszli szturmowcy z noszami i nieodłącznym droidem medycznym towarzyszącym więźniowi. Na razie kapitan Antilles pozostawał w uśpieniu.

- Ten przypadek - powiedziała Sloane - jest dla nas niebezpieczny, ale też fortunny. Pojmaliśmy bowiem nie byle jakiego rebelianta. Oto kapitan Wedge Antilles, jeden z bohaterów niechlubnej rebelii, czynnie obecny w obu atakach na Gwiazdę Śmierci. Antilles ma szansę udzielić nam ważnych informacji, a na wypadek gdyby rebelianci wykryli nasz zjazd, możemy posłużyć się nim jako kartą przetargową.

Tashu podniósł rękę.

- Czy mogę być obecny w czasie... przesłuchania?

Zignorowała go.

- Tylko tym teraz jesteśmy? - zapytał gorzko Pandion. - Zredukowani do roli porywaczy zakładników? Zaiste, blask Imperium Galaktycznego naprawdę błędnie, jak gwiazda, która po ostatnim rozbłyku zacznie się zapadać.

A przynajmniej taki los je czeka, jeśli podobni tobie dorwą się do steru. - Ostatnie zdanie było szpilą jawnie wymierzoną w Sloane.

- Narada zaczyna się dzisiaj - powiedziała. - Dlatego proponuję odpocząć, póki jeszcze jest czas. Później może już go nie być. Musimy zdecydować o przyszłości Imperium. - Zerknęła na archiwistę - szczupłego, niesympatycznego mężczyznę, który nazywał się Temmt. Februs Temmt. - Zanotuj w kronice, że przyjmujemy nazwę Rada Przyszłości Imperium, w skrócie RPI. - Niecierpliwie skinęła głową w stronę zebranych. - Na razie dziękuję i do zobaczenia wieczorem.

Szybko przesunęła się do drzwi i dyskretnie ujęła pod łokieć Adeę, swoją nową asystentkę.

- Wiadomo coś o tej snajperce? - syknęła.

Spanikowana Adea nieznacznie pokręciła głową.

- Nic, pani admirał.

- Jakież problemy? - zapytał Pandion, znieczeka pojawiając się przy nich. Gadzi uśmiech rozciągnął jego zbyt bladą twarz.

- Skądże - zaprzeczyła Sloane.

- Pani admirał, podziwiam pani działania tutaj, szczerze. Ma pani absolutną rację, że musimy natychmiast przejść do działania. Imperium, które kochałem i któremu służyłem, nieprędko podniesie się po ciosie, jakim była nie tylko utrata Gwiazdy Śmierci, lecz także naszych przywódców. Pragnę jednak, abyś uświadomiła sobie, że o przyszłości Imperium nigdy nie rozstrzygały ciała tak bezwolne i niezdecydowane jak rada. Imperium potrzebuje lidera. Imperium potrzebuje Imperatora!

- Którego ta rada ma szansę wyłonić - odparowała. Jej spojrzenie na moment spoczęło na plakietce na jego piersi. -

Widzę, że awansowałaś na wielkiego moffa. A raczej za-
właszczyłaś sobie ten tytuł.

Znów ten gadzi, podstępny uśmiech.

- Jeśli ktoś chce władzy, musi ją sobie wziąć.

- Można i tak.

- Nie można, tylko trzeba. I dobrze o tym wiesz. A ja wiem, że wywalczyłaś sobie kontrolę nie tylko nad „Vigilance”, ale też nad „Ravengerem”. Być może także nad flotą przypisaną do tych statków. Kto by pomyślał? Mała Rae Sloane komenderująca samodzielnie ogromnym gwiazdowym superniszczycielem. W dodatku ostatnim, jaki nam został, prawda?

Milczała. Mogła tylko wpatrywać się w niego z kamienną twarzą.

Pandion ciągnął:

- To był flagowy okręt admirała, tak?

- Był.

- Był... On naprawdę nie żyje?

- Naprawdę. Szkoda. Był jednym z najlepszych - odparła.

- To prawda.

Dojrzała przebiegły błysk w oczach Pandiona. Wielki moff miał swoje sekrety. Wszyscy je mają. Wcześniej tego nie zauważała.

- Cóż, widzimy się wieczorem, pani admirał. Nie mogę się doczekać.

INTERLUDIUM NAALOL

Miasteczko w górach zamienione w gruzy. Wiatr świstał, pędząc suche liście po jezdni, pomiędzy trupami. Ciała walały się wszędzie. Po drugiej stronie ulicy leżało dwóch szturmowców. Dwóch żołnierzy Nowej Republiki zostało przy ścianie spalonego domu, którego dach jeszcze dymił.

Dalej też nie wyglądało lepiej.

Mon Mothma szła wśród ruin ze swoimi asystentami - Hostisem Ij z lewej i Auxi Kray Korbin z prawej. Byli niczym dobry i zły duch siedzący na jej ramionach (choć te funkcje nie zostały dokładnie określone i zamieniali się rolami w zależności od sytuacji). Za nimi maszerowało czterech żołnierzy Nowej Republiki z bronią gotową do strzału.

„Tak wygląda wojna” - myślała Mon Mothma. Wkrótce powinna się skończyć. Musi. Zakończenie tego konfliktu było najwyższym priorytetem. Planeta Naalol nie miała znaczenia strategicznego. W miasteczkach rozsianych wśród gór, w krzywych, niskich domach, żyli pasterze, rzemieślnicy i górnicy. Nieopodal jednak znajdował się niewielki imperialny garnizon i kiedy Imperium zaczęło tracić grunt pod nogami, usiłowało za wszelką cenę utrzymać mało uczęszczane peryferyjne świąty, jak właśnie Naalol. Mały garnizon rozrósł się, i tak wojna zawitała do tych spokojnych ludzi. Dziś mieszkańcy miasteczka albo nie żyli, albo stracili dach nad głową.

Hostis musiał chyba usłyszeć jej myśli. Idąc, gładził swoją długą brodę, mrużąc co chwila „hmm” albo „aaach”. Wreszcie przemówił niepytany, jak często mu się zdarzało:

- Taka jest cena wojny. Czy to nie błąd Nowej Republiki, pani kanclerz?

- Widziałam niejedną wojnę - odparła Mon Mothma. - Znam ich istotę. Ich ograniczenia. I nigdy się z nimi nie pogodzę.

„Jak wielu z nas” - dodała w myśli. Przechodzili teraz obok grupy ocalałych mieszkańców, którzy stali w kolejce wzdłuż niskiego kamiennego muru. Dwóch żołnierzy Republiki wydzielali im gorący rosół z kotła. Idąc, Mon Mothma ścisnęła ludziom ręce, wsuwając w dłonie po parę kredytów i wypowiadając krótkie słowa wdzięczności i przeprosin.

- To nasza wina, ale inaczej nie doprowadzimy do celu. Wojna musi się skończyć jak najszybciej. Nie stać nas na dłuższą kampanię. Nie jesteśmy na tyle wyposażeni - powiedziała, kiedy się oddalili.

Hostis prychnął sceptycznie.

- Nieprawda. Jesteśmy lepiej wyposażeni niż kiedykolwiek, pani kanclerz. Imperium się kończy i cała galaktyka to czuje. Ledwie ogarniamy kolejki kandydatów na rekrutów, którzy tylko marzą, żeby walczyć dla nas - teraz, kiedy rozgrywka jest jawna i weszła w decydującą fazę.

Mamy więcej statków. Więcej sprzętu. Więcej broni. Karta się odwróciła i...

- Nie mówiłam o wyposażeniu w dosłownym sensie, Hostis. Wojna nie jest sposobem na życie. Wojna to chwilowy chaos w przerwach pomiędzy czasami pokoju. Ale są tacy, którzy postrzegają wojny jako normalny bieg rzeczy i niezbędny element swojej egzystencji. Póki żyję, nie pozwolę, żeby tak zostało.

Na to włączyła się Auxi, cichym głosem Togrutanki:

- Pani, chciałam ci przypomnieć, że musimy niedługo stąd odlecieć, jeśli chcemy zdążyć na Chandrilę, na pierwsze oficjalne posiedzenie Senatu.

- Jasne. Oczywiście.

Stała pośrodku tego wszystkiego i jeszcze raz się rozejrzała. Gruzy. Trupy. Wrak imperialnej maszyny kroczącej, która opadła na przednie nogi jak śmiertelnie postrzelone zwierzę. W

oddali sterczały połamane skrzydła płonącego X-winga w białego w górskie zbocze.

W perspektywie ulicy widać było kolumnę wrogów zakutych w kajdany pod napięciem, połączonych iskrzącymi się więzami. Jeńcy maszerowali w stronę punktu transportowego zorganizowanego przez wojska Nowej Republiki.

Chaos, który tu szalał, dogasał. Imperialny garnizon rozbito. Niedobitki uciekły w góry i teraz ścigali ich żołnierze Nowej Republiki. Mon Mothma pomyślała, że dawniej tak spokojny czas Naalol gwałtownie zawrzał w kotle wojny, który zaraz ostygnie. A przynajmniej taką miała nadzieję. Z drugiej strony wiedziała, że wojna pozostawia blizny, nawet jeśli trwa krótko. I że Naalol nigdy nie zapomni tego strasznego dnia.

- Czy nie uważasz, że to raczej my, prac naprzód, znajdujemy się w defensywie? - zwróciła się Auxi do Hostisa.

- Co? Chyba żartujesz. - Obrócił się do Mon Mothmy. - Pani, błagam. Nie czas na takie rozmowy.

- Zawsze jest czas na takie rozmowy - powiedziała spokojnie, ale twardo. - Teraz, gdziekolwiek zawędruję palcem na gwiazdnej mapie, tam polecą nasze oddziały. I będą walczyły. Niektórzy zginą. To moja odpowiedzialność, choć nigdy jej nie pragnęłam. Nadzwyczajne uprawnienia kanclerza wprowadził Palpatine, ale dziś trzeba od nich odejść. Są trucizną dla demokracji. Degenerują moją rolę.

Hostis otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Mon Mothma obróciła się ku niemu i ujęła jego dłoń w swoje.

- Nie jestem przywódcą wojskowym, Hostisie - powiedziała. - Jestem głową Senatu i jeśli chcemy przyciągnąć do siebie więcej światów i przekonać je do powrotu pod naszą władzę, nie możemy tego robić siłą.

- Przecież armia i marynarka Republiki...

- Będą działać jeszcze długo, lecz nie pod moim przywództwem. Sądzę, że na zasadach, które same już się ustaliły, w praktyce, nie na papierze. Pozostaną częścią rady mędrców, która będzie starała się określić najlepsze formy naszej militarnej obecności w tej wojnie domowej. - Przerwała, zastanawiając się przez moment nad następnym zdaniem. -Sprawą decydującą jest zdemilitaryzowanie naszego rządu, aby galaktyczna wojna nigdy więcej się nie zdarzyła. - Zerwał się wiatr i podmuch rozwał rzadkie włosy na jej pokrytej plamami wątrobianymi głowie. - Ten moment jeszcze nie nadszedł - podjęła. - Na razie musimy zademonstrować naszą wojskową potęgę. Bo jeśli okażemy słabość, Imperium natychmiast to wykorzysta. Oddanie wojny w ręce lawiranczyków i nieprzewidywalnych polityków spowolni nasz czas reakcji, osłabi decyzyjność i stworzy wrażenie, że jesteśmy słabi. I w dużym stopniu będzie to prawda.

Auxi odpowiedziała znaczącym, cierpkim uśmiechem. To musiało się jej podobać.

- Będzie jeszcze gorzej, Hostisie. Niech pani mu powie, pani kanclerz.

Mon Mothma westchnęła.

- Dzisiaj poddam pod głosowanie projekt, aby docelowo zredukować naszą militarną obecność o dziewięćdziesiąt procent, gdy tylko będziemy mogli ogłosić koniec wojny.

Starszy mężczyzna wyglądał, jakby dostał obuchem w głowę. Wybałuszył oczy i rozdziawił usta, jakby chciał złapać jedną z pomarańczowookich much rojących się wokół nich.

- Chyba nie mówisz poważnie, pani - wyjąkał.

- Najzupełniej poważnie. Rozejrzyj się tylko. Ci, którzy zginęli tu dla nas, nie byli prawdziwymi żołnierzami i nic nie pomoże udawanie, że było inaczej. To zwykli farmerzy, górnicy, piloci i przemysłowcy, którzy zostali wciągnięci w walkę ze złem

Imperium. I kiedy konflikt wreszcie się zakończy, co im powiemy? Walczcie dla nas dalej? Przeciwko komu? Po co? W imię jakich ideałów?

- W imię demokracji, to chyba jasne...

- Demokracja nie potrzebuje obrony. Ludzie potrzebują. I dlatego te dziesięć procent trzeba zachować. Jako siły pokojowe. Podobne siły musimy stworzyć na innych planetach. Mamy być prawdziwym sojuszem galaktycznym, a nie fałszywym, kręcącym się wokół autorytarne go słońca.

Hostis skrzywił się i powiedział ponuro:

- W takim razie będziemy mieli niekończącą się wojnę, pani kanclerz. Mniejsze armie oznaczają jedynie mniejsze wojny domowe w całej galaktyce. Przemoc będzie się pleniła jak chwasty, a my nie będziemy mieli możliwości, żeby ją śledzić, kontrolować, a tym bardziej zatrzymać. W okresie zmian i zamętu galaktyka będzie potrzebowała prawa i porządku, a ty chcesz tylko powiększyć chaos. Właśnie ta nasza słabość sprawiła, że Imperium urosło w siłę. Ludy galaktyki potrzebowały silnej, centralnej władzy, szukały ochrony...

Znów włączyła się Auxi. Ta kobieta była z natury kąśliwa, napastliwa i potrafiła pluć jadem.

- Odnoszę wrażenie, jakbyś obstawiał tamtą stronę. Imperium powitałoby cię z otwartymi ramionami, Hostisie.

- Co... jak śmiesz...

Mon Mothma zamachała rękami.

- Błagam, przestańcie. Nie kłóćcie się. Po co ta zajądlność? Musimy szanować różnice zdań. Sądzę, że Auxi ma rację. Nie po to walczymy z Imperium, żeby sami się nim stać. Pragnę pokazać galaktyce, że nie chodzi nam o zagarnięcie całej władzy. Chcę, aby wszyscy wiedzieli, że im ufamy; że Republika im ufa. Jeśli w razie potrzeby poprosimy kogoś, aby

walczył dla nas, ten ktoś musi wiedzieć, o co ma walczyć. O zjednoczoną, demokratyczną galaktykę. Nie taką, która jedynie udaje demokrację, a w rzeczywistości zaciska się jak dławiąca pięść. Musimy być nieustępliwi. Zaś w kwestii twojej uwagi o historii... zadbamy o zabezpieczenia. Będziemy parli do przodu mądrzej. Bardziej czujnie.

- Pani... - zaczął Hostis, ale błaganie utknęło mu w gardle.

- Już podjęłam decyzję. Dlatego przyprowadziłam was tutaj. Chciałam, żebyście zobaczyli ciała. Zniszczenia. Tragedię wojny. Żebyście zrozumieli, dlaczego musimy to zakończyć. Nie mogę prosić naszych ludzi, aby walczyli wciąż od nowa i od nowa. Nie będą musieli, kiedy Imperium zniknie.

Auxi kiwnęła głową.

- Musimy iść, pani kanclerz. Historia czeka.

Hostis już nic nie powiedział. Przytaknął niechętnym ruchem głowy, z kwaśnym, wymuszonym uśmiechem.

- Tak jest - mruknął.

- Dzięki wam obojgu - powiedziała Mon Motha. Zawrócili pośród rumowiska wojny, ponieważ śpieszno

im było do domu. Nadszedł czas, żeby przywrócić galaktyce demokrację.



- Muszę wiać z tej kupy kamieni - mruknął Sinjir, przepychając się przez wąskie, zatłoczone uliczki Myrry.

Mijał kram z jedzeniem, które sprzedawał wielkogłowy Bith - jeden z wielu handlarzy, którzy poupychali swoje stoliki czy budy w niszach, bramach i załomach budynków. Przechodząc, ściągnął z haczyka smakowicie wyglądający kęs i szybko przełożył go do drugiej ręki. Kiedy się oddalił, obejrzał, co ukradł. Był to jakiś ptaszek usmażony w panierce. Sinjir z apetytem zanurzył w nim zęby. Ciepły, soczysty, aż za bardzo.

„Dobre i to” - pomyślał, gdyż nagle poczuł się bardzo głodny.

Twi’lek z baru Poka deptał mu po piętach.

- Dlaczego chcesz stąd wyjechać?

„Żeby się wreszcie uwolnić od ciebie”. Obcy od godziny trzymał się go jak cień. Sinjir wyszedł z baru, żeby otrzeźwieć a

przede wszystkim oddalić się od miejsca tej głupiej nawałanki - co go podkusiło, żeby dać się w to wciągnąć? -i tego wylupiastego blurriga, który snuł się za nim jak bezpański nek.

Zamiast tego powiedział:

- Nie chcę być tutaj, kiedy to wszystko rozpieprzy się w kawałki. Ta bieranina, krzyki... - Gestykułując, zobrazował totalne zamieszanie. - Chaos jest wybitnie nieprzyjemny.

Jak na zawołanie para myśliciów TIE z upiornym rykiem przemknęła nad ich głowami, nisko nad dachami.

Może to jeszcze nie okupacja, ale coś tu jest grane.

- Przecież jesteś rebeliantem. Jesteś tutaj, żeby walczyć z Imperium.

Sinjir zatrzymał się. „Jesteś rebeliantem”. Omal nie parsknął śmiechem, bo ten pomysł był absurdalny; tak absurdalny, że wryło go w chodnik. W sumie mógłby podtrzymać to kłamstwo - które sam zapoczątkował wiele miesięcy temu na leśnym księżycu Endora - i ciągnąć je dalej.

- Tak - powiedział, obracając się do Twideka. W jego głosie zabrzmiała stal. - Zgadza się. Jestem agentem Nowej Republiki. I muszę zawieźć wiadomości o tym, co się tutaj dzieje, do moich sojuszników.

Patrząc ponad ramieniem Twideka, dostrzegł w oddali trio szturmowców przepychających się przez zatłoczoną uliczkę - ramię przy ramieniu, z blasterami gotowymi do strzału. Najwyraźniej kogoś szukali. Może jego.

Sinjir chwycił Twi'leka, wciągnął go za załom muru i położył mu palec na ustach. Szturmowcy przeszli.

- Widzisz? Mamy kłopoty.

Twi'lek kiwnął głową.

- Jestem Orgadomo Dokura - przedstawił się. Jego leku wiły się jak węże, kiedy z dumą wypowiadał swoje nazwisko. - Proszę, pozwól mi sobie pomóc. Mianuj mnie agentem rebelii.

- Chciałeś powiedzieć: Nowej Republiki?

- Tak! Tak.

- A ja się nazywam Markoos... Cozen - zmyślił na poczekaniu Sinjir. Takie nazwisko występowało w jego rodzinie, tej dalszej, ze strony matki. A imię... takie mu po prostu przyszło do głowy. - Mówisz, że chcesz mi pomóc? Dobra, w takim razie załatw transport z tej planety. Jeśli tu jest blokada... - Wymownie pokazał na niebo, gdzie w prześwitach chmur można się było dopatrzeć trójkątnych kształtów unoszących się wysoko. Imperialne gwiazdne niszczyciele. -Będę musiał dyskretnie się stąd ulotnić. Kto mi to załatwi? Do kogo mam się zgłosić, Ogadoki Domuro?

- Orgadomo Dokura.

- Jasne, mniejsza o to. Po prostu odpowiedz na pytanie.

- Powinieneś się spotkać z Suratem Nuatem.

„Gangster”.

- Surat? Serio? Nie ma tu innej konkurencyjnej mafii? Gildii przemytników? Żadnego gościa, który zna innego gościa, a ten gość zna jedną przystojną panią pilot? Nic z tych rzeczy?

Twi'lek uśmiechnął się blado, ukazując ostre ząbki.

- Dobra, chodźmy. Zaprowadzisz mnie.

Wyłonili się zza muru i...

Nadziali się na dwóch szturmowców, którzy stali na ulicy. Omal na nich nie wpadli.

- Z drogi - warknął jeden z nich, wyciągając rękę, żeby ich odepchnąć.

Ale drugi zerknął na nich kontrolnie jeszcze raz.

- Ej, ej. Trzymaj ich!

Akurat!

Sinjir zanurkował pod wyciągniętym ramieniem pierwszego i podbił blaster drugiego, aż broń wystrzeliła w niebo. Wyrwał mu ją i walnął kolbą w hełm pierwszego szturmowca, aż ten padł na ziemię.

- Uciekaj - wyszeptał bezgłośnie do Twi'leka.

Chyba naprawdę nie widzi lasu spoza drzew.

A co widzi? Księżniczkę Leię Organę. Ale nie jest ubrana jak księżniczka ani jak dostojniczka, dyplomata czy wysłan-niczka do innych światów, tylko ma na sobie żołnierski strój. I nie jest to kostium. Jas czytała jej kartotekę. Zresztą nie trzeba było dokumentów; wystarczyły opowieści, z których wynikało, że Leia jest bojo-wą kobietą. Sama jedna z blasterem wystarczy za dziesięciu wo-jowników. A nawet dwudziestu.

Ale teraz jest ranna.

Ptak ze złamanym skrzydłem. Łatwy cel.

Jas siedzi na jednym z endoriańskich drzew o potężnych pniach. Na ogromnym drzewie. Czuje się taka mała. Sporo czasu zajęło jej dotarcie do tego punktu - musiała walczyć, unikać lase-rowego ognia i małych, czarnookich szczurków z tamtejszej rasy. Teraz jest już na miejscu. Potyczki wokół ustały. Wszędzie roją się futrzaści tubylcy. Ściągają hełmy z głów szturmowców, dobijają ich i ciągną w głąb lasu.

Wtem ziemia zaczyna dudnić i nadciąga imperialna zwiadowcza maszyna krocząca, z trzaskiem przedzierająca się przez poszycie. Działa celują w imperialny bunkier z generatorem pola siłowego. Wylania się stamtąd Han Solo, a księżniczka Leia kuli się przy drzwiach. Han podnosi ręce do góry. Wokół nich krąży złoty droid, a towarzyszy mu drugi, astro-mechaniczny.

Co zrobi, jeśli AT-ST strzeli do nich? Czy uda się jej zabrać ciała? I sprzedać je za ładną sumkę? To byłby sukces!

Ale i oszustwo. Z typu, jakich starała się uniknąć. Jas Emari jest profesjonalistką. I choć gardzi Imperium Galaktycznym, oni są przecież jej klientem i gdyby kiedyś się wydało... Ale to przecież nie ma znaczenia.

I nie powinno jej obchodzić.

Najważniejsze jest tu i teraz.

Okazja do dokończenia zadania.

Jas skupia się na Lei. Jej palec owija się wokół spustu jak wygłodniały wąż drzewny i...

Ktoś trącił ją butem. Jas otworzyła oczy i zerwała się. Ten szybki ruch przypomniał jej boleśnie o upadku w czasie zjazdu z wieży. Późno - zbyt późno - wyrzuciła linę asekuracyjną i kotwiczka zahaczyła o poręcz balkonu zaledwie dwa piętra nad ulicą. Szarpnięcie omal nie wyrwało jej ramienia ze stawu, a potem zrobiła wahadło i walnęła w pałacową ścianę, pokrytą twardym, szorstkim tynkiem. Skórę na dłoniach miała w strzępach. Już zaczęły się robić strupy.

Ale to nieważne. Teraz ważne jest...

- Kogo my tu widzimy?

To był Sullustanin. Jedno oko było ślepe, zmatowione kataraktą, a wokół oczodołu rozchodziły się gwiazdziście blizny. Miał szczątkowy nos z dwiema niewielkimi dziurkami, wydatne wargi i długie obwisłe fałdy policzkowe. Na czubku głowy nosił czarną, ciasno przylegającą czapkę. Jakby pająk siedział mu na czaszce.

- Surat - powiedziała.

Oczywiście nie był sam. Stało za nim sześciu różnych zbirów z różnych ras: dwóch Narkizów z blasterami gotowymi do strzału, Ithorianin z karabinem i opuchniętym jednym okiem, dwóch Durosów o szarych twarzach oraz ogromny, sapiący Herglic. Z nozdrzy na czubku głowy, pokrytej czarną, lśniącą skórą, wypuszczał

głośne, syczące wydechy, pryskając śliną. Herglic miał topór. Bardzo wielki topór.

Jas Emari skłęła się w duchu.

„Cholera, musiałam zasnąć”. Tu, w sklepie ze starociami le-go chłopaka. Zjawiała się i nie zastała Temmina Wexleya, choć wszędzie go szukała. Była tak zmordowana, że położyła się na ławce w drugim pomieszczeniu, obok stołu z jakąś... dzieciną grą strategiczną. I usnęła.

- Znam cię - powiedział Sullustanin. Sądząc po jego twarzy o wilgotnej skórze z wielkimi, obwisłymi fałdami policzkowymi, można się było spodziewać potoku bełkoczących dźwięków albo mlaskania, a tymczasem Surat mówił gładkim, niemal aksamitnym głosem. Głębokim basem. - Ty jesteś tą łowczynią nagród. Jas Emari.

- Cieszę się, że jestem znana w rozmaitych kręgach - odparła z wymuszonym, fałszywym uśmiechem. - Ale nie mamy ze sobą nic wspólnego. A teraz wybacz.

Zrobiła ruch, żeby go ominąć i wyjść.

Surat zastąpił jej drogę. Uniósł palec i pokiwał nim ostrzegawczo.

- Zaraz, zaraz. Czy możemy chwilę porozmawiać?

- Muszę dokończyć robotę. Chyba że masz parę kredytów do wydania?

- Och, skoro miałaś czas na drzemkę, na pewno znajdziesz chwilę, żeby pogawędzić z przyjacielem.

Trudno było odmówić mu racji. Sama się podłóżyla.

- Przyjacielem? Nie wiedziałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Nie, ale możemy nimi zostać. Jeśli będziesz ze mną szczerą.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem cofnęła się z westchnieniem.

- Dobra, pogadajmy.

- Skąd się tu wzięłaś? Rzadko zdarza się widzieć łowcę twojej klasy w takim dziwnym miejscu. Ten chłopak... ta jego buda... - Sullustanin zrobił minę, jakby polizał bantę z drugiego końca. - Stanowczo poniżej twojego poziomu.

Wzruszyła ramionami.

- Potrzebowałam części do karabinu, a on ma to i owo.

- Ja też mam to i owo.

Jeden z Narkizów zachichotał.

- Nie chciałem cię obrazić - powiedział Surat. - To naprawdę nędzna dziura. Zaslugujesz na coś lepszego. Dlatego tutaj jestem.

Gangster klasnął w dłonie z mlaszczącym odgłosem.

- Doskonale, doskonale. - Nagle jowialny uśmiech znikł z jego wydatnych warg. - Ale czy mogę naświetlić sprawę z innej strony?

Jas potrafiła doskonale czytać język ciała. Ćwiczyła tę zdolność od lat, tak jak pozostałe zmysły, które musiały być stale wyostrzone i czujne. Ciało Surata było teraz napięte. Na moment zmrużył oczy, a potem je otworzył. Paranoja emanowała z niego falami. Tak często bywa z indywidualnościami jego typu i pozycji - wszak herszt mafii żyje w bezustannym zagrożeniu. Jej życie było podobne - tyle że ona wiedziała, jak się przed tym bronić. Paranoja jest stanem śmiertelnie niebezpiecznym.

Nie tylko dla ciebie. Także dla ludzi wokół ciebie.

- Cokolwiek uważasz...

- Uważam, że ten bezczelny smarkacz Temmin Wexley zaczął ze mną pogrywać. Ukradł mi coś... coś bardzo dla mnie ważnego. A teraz chce się mnie pozbyć. - Przysunął się do niej o krok. - Ten mały trylobit jest cholernie zdolny. I cwany, aż za cwany.

Obstawia cię podstępnie, tak jak mnie w zeszłym roku. I podgryza twój biznes jak te syczące

pędraki z Sullust, które niszczą nasze podziemne ogrody, podgryzając korzenie drzew. - Fałdy policzkowe zatrzęśły się z oburzenia. - A ty... On cię wynajął. Żebyś mnie zabiła.

A więc o to chodzi.

- Masz paranoję - powiedziała.

- Dzięki paranoi ciągle jeszcze żyję. Nawet kiedy sytuacja wymyka mi się spod kontroli, pozostaję szczęśliwym paranoikiem i niczego nie żałuję. Lepiej zapobiegać niż leczyć.

- Nie przybyłam tu, żeby cię zabić.

- Tak twierdzisz. Jeśli pozwolę ci odejść, najpewniej jeszcze dzisiaj zarobię strzał w potylicę, kiedy będę chciał złożyć głowę na poduszce.

„Gdybym chciała zakończyć twój żywot, już bym to zrobiła” - pomyślała Jas. Na plecach miała przyczepiony mały nóż sprężynowy, którego ostrze wyskakiwało za naciśnięciem guzika. Jest szybka. Szybsza niż on. Podejrzewała jednak, że nawet znakomity refleks nie wygra z jego obstawą. A już na pewno nie z ich bronią. Inną opcją była nagła ucieczka - pochylić się, skoczyć przed siebie, kluczyć, pędzić ile sił. Zaatakować ich, nie jego. Odwrócić uwagę. Zrzucić rzeczy z półek. Ale obstawa Surata blokowała drzwi. A ona była poturbowana i zmęczona. Kiepsko.

Szybko kalkulowała w myślach.

Tylko jedna opcja była sensowna. Rozpaczliwe rozwiązanie, ale nie miała innego wyboru.

- Nie poluję na ciebie. Mam zlecenie na kogoś innego. Zapłata jest godziwa. Możemy się podzielić. Odpalę ci dwadzieścia pięć procent.

- O rany. - Udał, że jest pod wrażeniem. - Dwadzieścia pięć procent? - Usta wygiął mu kpiący grymas. - Myślisz, że twoje życie jest tyle warte?

„A jednak trzeba go zabić”.

Nie.

- Czterdzieści - zaoferowała. - I pomożesz mi podejść jak najbliżej. Przy takiej stawce oczekuję od współnika współpracy - wyjaśniła.

To akurat była prawda. Albo może raczej byłaby, gdyby Jas nie pracowała w pojedynkę.

- Niech zgadnę. Cel jest imperialny, tak? Przecież widzę, co tu się dzieje. W mieście pełno szturmowców. Agenci rojący się wszędzie jak małe szare ptaszki. Myśliwce TIE. Promy. - Zachichotał. - Chodzą plotki, że jeden taki prom -typu Lambda - ostrzelał wieżycę starej siedziby rządu.

- Dlatego mi pomożesz.

- Na gwiazdy, nie! Imperium to sojusznik. Myślisz, że nie słyszałem? Już nie oferujesz swoich usług takim jak oni. Albo jak ja. Teraz łasisz się do innego pana. Chodzisz na smyczy Sojuszu. Doprawdy, żałosne.

Ciało Jas napięło się. Nie udało się. Spróbowała ostatni raz:

- Popatrz w gwiazdy, Surat. Galaktyka ruszyła z posad i zwraca się przeciwko Imperium. Nie stawiaj na ten statek, bo za chwilę utonie. Nowa Republika...

- To bastion głupoty! - wrzasnął zniecierpliwiony, aż śmierdząca ślina prysnęła jej na policzki.

Jas odskoczyła do tyłu...

Strzał jednego z Narkizów trafił ją w bok. Zachwiała się i z hukiem upadła na stół, zawałony częściami. Osunęła się na podłogę wraz z lawiną kawałków metalu sypiących się z głośnym szcękaniem. Jej ciało było kompletnie bezwładne. Umysł utracił

łączność z mięśniami. Dostała wiązkę obezwładniającą, a nie uśmiercającą.

Surat stanął nad nią z rękami założonymi na piersi i powiedział z irytacją:

- W Nowej Republice nie ma miejsca dla takich jak ja. Wolę sobie nie wyobrażać, co by było, gdyby całą władzę przejęła banda moralistów i naprawiaczy świata. Imperium pozwala mi żyć i pracować, więc Imperium pozostanie moim przyjacielem. I tak się szczęśliwie złożyło, że mam nowy dar dla mojego przyjaciela.

Znów klasnęła. Na ten znak jego pretorianie błyskawicznie podnieśli Jas i Herglic zarzucił ją sobie na oślizgły bark. Usiłowała zmusić ręce, żeby się poruszyły. I nogi. Szczęki. Wszystko. Na próżno. Żadna część ciała nie była jej posłuszna.

Kiedy ją niesiono, myślała: „Powinniście mnie zabić”.

Sinjir pozostawił za sobą gasnące światło dnia i zszedł do zatęchłych podziemi. Jak nazwać tę dziurę? Oficjalnie był to bar, przynajmniej w części. Na szyldzie widniała nazwa „Alkazar”. Ale na tym nie koniec. Było tam jeszcze kasyno. Oraz dom uciech. I jak można było się domyślać, nielegalny targ niewolników, czarnorynkowy kantor i giełda rzeczy trefnych - słowem cała cholerna fabryka zła w jednym miejscu. Pośrodku baru królowało podium, na którym rzępoliła jakaś tandetna kapela. Wzdłuż ściany ciągnęła się długa czarna lada barowa, zrobiona z twardego drewna pradawnego pnia, który spędził wieki w wodzie. Resztę miejsca wypełniały stoły dla graczy, którzy marzyli o wygranej życia, splukując się w pazaaka, w kości sheg czy wytrwale szarpiąc wajchę jednorękich szmuglerów.

Hazard. Sinjir nigdy nie mógł tego pojąć. Wiele razy musiał dyscyplinować imperialnych żołnierzy czy oficerów umilających sobie grami nudę bunkrów, kwater lub wart. Z czasem uznał, że w hazardzie w gruncie rzeczy nie chodzi o kasę, tylko o ryzyko.

Ryzyko i upojny dreszcz, jaki ono wywołuje.

Sinjir nie lubił tego dreszczu.

Marzył, żeby jak najszybciej wynieść się z tej planety.

- Chodź, Ogly - powiedział, przywołując gestem swojego nowego kumpla.

- Orgadomo.

- Dobra, lepiej się napijmy. - Kac zaczął podnosić swój wredny łeb, co oznaczało, że trzeba przywrócić miły stan. I oczywiście zdobyć nieco informacji.

Agent chwycił lekku Twi'leka i pociągnął go w stronę baru. Usiedli i Sinjir energicznie klepnął w blat.

Barman - rasy ludzkiej, niechlujny jak Wookiee, a zarazem śliski jak worrt - odwrócił się ku niemu, żując jakiś zielony liść. Tak intensywnie, że sok spływał mu po brodzie. Oblizwał go, ukazując samotny ząb królujący w ustach.

- Co dać?

- Dwa driny. Dla mnie... - Sinjir odwrócił się do Twi'leka. - Ty pierwszy, przyjacielu. Co zamawiasz?

- Ee... piwo? - Głowoogoniasty był nieco nerwowy.

Sinjir zrobił minę.

- Ten pan zamawia piwo. Ja potrzebuję czegoś mocniejszego. Może masz... na przykład jogańską rakiję?

- Ty przypadkiem nie pomyliłeś lokalu? - burknął barman.
- Mam piwo. I piwo. Różne piwa. Grog. No i gwiazdne skee.

- Dobra, wolę to ostatnie. Kapkę skee dla mnie.

Barman zakrzętnął się za ladą i nalał mu szklaneczkę brunatnego szlamu, drugą rękę serwując Twidekowi pieniące się piwo.

- Należy się dziesięć kredytów.

Sinjir chwycił go za przegub - delikatnie, jakby spodziewał się, że skóra okaże się spocona i śliska. Barman spojrzał na jego

dłoń jak na węża i strzyknął nową porcją zielonej śliny. Sinjir zaśmiał się, cofnął rękę i powiedział:

- Jeszcze jedna sprawa.

- Wał.

- Muszę się zobaczyć z gościem, który rządzi tym miejscem. Z Suratem Nuatem.

- Och, naprawdę?

- Tak. Zapłacę.

Senne spojrzenie ożyło.

- Dajmy na to stówę.

„Za tę kasę mógłbym się nieźle napić” - pomyślał Sinjir. W tym momencie uświadomił sobie, że do ucieczki będzie potrzebował forsy. Wyjął garść monet i przesunął je ku barmanowi po lepkiem blacie.

- Dobra - powiedział. - Gdzie mogę go znaleźć?

Barman uśmiechnął się szerokim wrednym uśmiechem, jakby ktoś maznął błotem po ścianie.

- Właśnie tu wchodzi - poinformował.

Sinjir obejrzał się z westchnieniem.

Sullustanin pojawił się w drzwiach. Oko z zaćmą. Zadowolony z siebie uśmiech. Za nim asysta zbirów i pochlebców. Spółzob, w jaki poszybowały ku niemu wszystkie spojrzenia - z mieszkanką podziwu i najwyższej obawy - powiedział Sinjirowi, że ten kosmita jest piekielnie niebezpiecznym gościem. Jest legendarnym Suratem Nuatem.

Już miał odwołać sprawę i poprosić o zwrot pieniędzy, gdy wtem...

Zobaczył jeszcze kogoś.

Kobietę. Zabrakanka czy Dathomirianka? A może Iridonianka? Nie był pewien, czy to nie jest jedno i to samo. Znał te blade

oczy. I ciemne tatuaże w formie spiral i węzłów na policzkach, brwiach i podbródku. Wstrzymał oddech.

Sinjir stoi w paprociach sięgających mu do pasa. Przed nim pień przewróconego drzewa spoczywa na miękkim, gąbczastym mchu Endora. Za nim leży rebeliant. Martwy. Sinjir ma na sobie jego ubranie - kurtkę, ponczo i spodnie maskujące. Założył też hełm. Z wysiłkiem przetyka ślinę i mruga parę razy, usiłując skupić wzrok.

Strumyczek krwi splywa mu z głowy na czubek nosa. Krwawa kapka wisi tam przez moment, zanim jej nie zdmuchnie.

W uszach ciągle mu dzwoni od huku eksplozji bunkra z generatorem pola ochronnego.

Dłonie ma umazane brudem i krwią. Własną krwią.

Nagle: trzask nadepniętej gałęzi.

Odwraca się i widzi kobietę obcej rasy. Ostre wyrostki kostne formują koronę na gładkiej srebrnoniebieskiej skórze głowy. Nieznajoma odwraca się czujnie i już go widzi. Tatuaże na jej twarzy - spirale i zawijasy, wydziergane czarnym atramentem - zdają się wić i skręcać niczym kłębowisko węży. Jeszcze jedno mrugnięcie - i znieruchomiały. Pewnie złudzenie. Ciągle jest w szoku. Może ona nawet nie istnieje.

Kiwa do niego głową na powitanie.

On też.

Kobieta schyla się, pociąga za coś, co wygląda jak pnącze -i nagle ukazuje się cała konstrukcja z siatki z powplatanymi gałkami oraz koców, która najwyraźniej ma coś maskować. Jak się za chwilę okazuje, jest to skuter repulsorowy.

Kobieta zarzuca karabin na plecy.

Rzuca Sinjirowi ostatnie szybkie spojrzenie, po czym uruchamia silnik, podkręca obroty i rusza jak strzała, klucząc wśród krzaków i drzew.

To musi być ona.

- Znam ją - powiedział tak cicho, żeby tylko Twi'lek usłyszał.

Nowy kumpel zerknął na niego ze zdziwieniem.

- Tę tam, ze świty Surata. - „Widziałem ją na księżycu Endora”. - Tylko nie pamiętam skąd. Nieważne. Idziemy.

Zsunął się ze stołka, ale...

Odwrócił się do baru i szybkim ruchem opróżnił do dna swój kieliszek. Skee smakowało, jakby napił się płynnego laserowego ognia, i przepalało mu gardło w drodze do żołądka. Sinjir wzdrygnął się, a potem ruszył śladami Surata i jego świty.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Za oknem, na tle bezdennej czerni, przepłynął oddział droi-dów naprawczych, holujących jakieś szczątki i długą czarną tubę kryjącą aparat do spawania. Choć minęło parę miesięcy od bitwy o Endor, flagowy okręt „Home One” nadal wymagał napraw. „Dobrze, że wygraliśmy tę bitwę” - myślał Ackbar. To był zaiste szczęśliwy traf. Postawili wszystko na jedną kartę. I omal nie przegrali. A jednak dzięki łasce gwiazd i mórz, bogów i wszystkich bohaterów jakimś cudem im się udało.

Odchrząknął. Już czas. Płetwiastą ręką sięgnął po plastikowy dozownik, wycisnął sobie porcję nawilżacza na dłoń, a potem wtarł go w szyję i odsłonięte czerwonobrunatne przedramiona, aż do palców.

Głęboko nabrał powietrza.

Znów go zaatakowali. Błyskawicznym ruchem uniósł kar-shak - tradycyjną broń z Kalamara: kij uzbrojony z jednej strony w hak, a z drugiej w siatkę - i zakręcił nim młyńca w sali ćwiczebnej o grubo wyściełanych ścianach. Szturmowiec ruszył na niego, celując z blastera.

Ackbar chrumknął wściekle, śmignął kar-shakiem i trzasnął szturmowca w hełm. Zaostrzony hak gładko wciął się w białą powierzchnię.

Impet ciosu na moment zaburzył hologram. Obraz szturmowca zafalował i wróg osunął się na ziemię.

W ułamku sekundy pojawił się następny, a potem jeszcze trzeci. Temu ostatniemu Ackbar zarzucił na głowę sieć i cisnął go na drugiego. Hologramy znów zafalowały, a potem obraz powrócił, nim zgasł.

Teraz z trzech kątów sali ruszyli na niego trzej szturmowcy wyemitowani przez projektory.

Ktoś odchrząknął.

Ackbar zatrzymał się.

- Pauza - warknął i atakujące trio zamarło w pół ruchu, migocząc.

W drzwiach stał młody człowiek. Kadet.

- Panie - odezwał się. W jego spojrzeniu kryła się lekka obawa, ale stał wyprostowany, bez drgnienia, z uniesionym podbródkiem. Do piersi przyciskał podręczny ekran. - Jeśli nie przeszkadzam...

- Deltura, tak?

- Chorąży Deltura, rozkaz.

- Dobrze, mów - warknął Ackbar, odkładając broń. - Rozumiem, że to coś ważnego?

- Dobrze rozumiesz, panie.

- Czemu nie przyszła z tym do mnie komandor Agatę?

- Jest zajęta naprawami, panie.

Ackbar mruknął coś pod nosem i podszedł do kadeta. Ostro zakończone palce zwarły się ciasno.

- Dobrze, zobaczmy.

Młody człowiek podsunął mu ekran.

Admirał pochylił się nad nim. Po chwili jego duże żółte oczy znów zwróciły się na Delturę.

- Jesteś tego pewien?

- Tak, panie. Kapitan Antilles nie zameldował się, a jego komunikator nie odpowiada. Nie możemy nawet go namierzyć.

- Ostatnie znane położenie?

- Raydonia.

- I tam nic nie znalazł?

- Nic, panie.

- I jak podejrzewam, nic nam nie wiadomo o jego następnym ruchu?

Chorąży pokręcił głową i stało się jasne, że kapitan Wedge Antilles rozegrał sprawę po swojemu. Postanowił zrobić rekonesans na własną rękę. Określił to jako mały urlop - tylko on i jego starhopper. Sam na sam z własnymi myślami.

„Ostrzegalem go przed tym” - pomyślał Ackbar.

„I tak niczego nie znajdę” - odpowiedział mu wtedy Wedge.

„Tego nie możesz wiedzieć. Można niechcący wdepnąć w kłębowisko węgorzy - przestrzegał Ackbar. - Bo przecież nikt nie robi tego rozmyślnie”.

„Zachowam należyta czujność - obiecał Wedge. - To będzie miła wycieczka”.

Miła.

Hmm.

Chorąży ciągnął:

- Pięć światów najbliższych Raydonii to potencjalne kolejne cele kapitana Antillesa. - Na ekranie wyświetliła się lista pięciu planet. Mustafar. Geonosis. Dermos. Akiva. Tatooine.

Każda mogła być tym celem, ponieważ wiadano tam, że Imperium idzie na dno. - Mustafar pasuje, Geonosis też...

Deltura urwał i zerknął na dowódcę. Wyraźnie miał coś w zanadrzu.

- Co takiego? - zapytał admirał.
- Jest jeszcze coś.
- Tak?
- Coś więcej niż na tym ekranie.
- Wyduście to z siebie, chorąży. Szkoda czasu na podchody.

- Mamy wiadomość. Od Operatora.

Ackbar podszedł bliżej.

- Skąd wiecie o Operatorze, chorąży? To tajna informacja.
- Komandor Agatę mnie wtajemniczyła.
- Komandor Agatę musi ci bardzo ufać.

Krótki ruch głową.

- Tak myślę.
- W takim razie ja też ci ufam. Co to za wiadomość?

Deltura powiedział mu. Ackbar poczuł, jak uchodzi

z niego cała wilgoć. Na okręcie starano się utrzymać jak największą wilgotność powietrza - w końcu należał do Kalamarian - ale jego dowódca miał wrażenie, że znalazł się na pustyni. Znow miał poczucie, że wielkimi krokami zbliża się coś ogromnego, niebezpiecznego.

- Jesteś pewien?
- Nie. Nie mamy szpiegów w tym rejonie.
- Nie jestem już młody - powiedział niespodziewanie Ackbar, patrząc w pustkę. - Robię to, czyli stoję, macham kar-

shakiem i ćwiczę kotas, bo chcę być w formie. Zachować siłę i giętkość. Żeby zawsze być o krok przed wrogiem. Wiem, że pewnego dnia mi się to nie uda. Mało brakowało, a nie udałoby się nam na Endorze. Działaliśmy zbyt gorączkowo. Nieostrożnie. I omal nie straciliśmy wszystkiego.

Na moment pomiędzy nimi zapadło milczenie. Słysząc był ciężki oddech Ackbara.

- Panie...

- Tak, tak, wyślij zwiadowców na każdą z tych planet. Ale na Akivę wyślij dwóch. Musimy się dobrze upewnić, zanim zrobimy jakiś ruch.

Deltura zasalutował.

- Tak jest, panie.

Wymaszerował i Ackbar znów został sam. Zupełnie sam. Przez chwilę ta samotność zaciążyła mu straszliwie, jakby dźwigał na swoich barkach ciężar całej galaktyki. Oczywiście to tylko złudzenie. Nie jest jedyną podporą Nowej Republiki i niewiele od niego zależy. Ale presja, którą odczuwał, była podobna.

Razem z tą myślą pojawiła się inna, niepokojąca. Ich informator w Imperium, który sam nazwał się Operatorem, nigdy dotąd nie wprowadził ich w błąd. Bezbłędnie wystawiał im słabo chronione imperialne szlaki i konwoje, a na dodatek dostarczał listy gubernatorów i innych galaktycznych przywódców, którzy chętnie zdradziliby Imperium. Jego pomoc była wprost nieoceniona.

Dlaczego więc admirał Ackbar nie mógł się pozbyć uczucia, że zastawiono na nich pułapkę?

CZEŚĆ DRUGA



- *Mamy problem.*

Ktoś potrząsa Temminem, budząc go. Chłopiec gwałtownie wciąga powietrze i siada na łóżku stojącym w alkowie na poddaszu ich domu. Za oknem grzmot huknął jak wystrzał; jakby okręty ostrzelały się na niebie błyskawicowymi salwami. To mausim - tak w dawnym akivańskim języku nazywają się coroczne potężne burze zwiastujące nadejście pory deszczowej. Zgęstniałe i poczerniałe chmury dławią miasto. Mausim może trwać całe dni, a nawet tygodnie. Zalewa miasto potopem nawalnic. Huraganowe wiatry uniemożliwiają ruch na drogach i w powietrzu.

Temmin ziewa, przecierając zaspane oczy. To tata. Pochyla się nad nim, całuje go w czoło.

- *Tato... c-co się dzieje?*

Od drzwi rozlega się głos. To mama.

- *Brentin, co się dzieje?*

Tata odpowiada:

- Przepraszam, ale...

Na dole ktoś wali do drzwi.

Huk kolejnego grzmotu.

Brentin przyciąga syna mocno do siebie.

- Temmin, proszę, żebyś był dobry dla mamy. Obiecuj mi.

Chłopiec mruga, ciągle nierozbudzony.

- Tato, o czym ty mówisz...

Mama staje nad łóżkiem; w świetle błyskawic miga jej strwożona twarz. W dole słychać coraz głośniejszy łomot, aż wreszcie ktoś traci cierpliwość i zaczyna wyważać drzwi. Mama krzyczy z przerażenia.

Brentin powtarza:

- Obiecuj mi, synku.

- Ja... obiecuję.

Tata przytula go ostatni raz.

- Norra, pomóż mi z tym...

Brentin jednym skokiem dopada okna okrytego od zewnątrz metalowymi żaluzjami. Mają chronić szyby przed huraganem - kiedy siła wiatru rośnie, listwy automatycznie się zamykają, tworząc szczelną warstwę. Tata szarpie się z żaluzją po jednej stronie, usiłując wyrwać ze ściany haki mocujące jej ramy. Mama szarpie się z drugą.

- Brentin, powiedz mi, co tu się dzieje? - pyta drżącym głosem.

- Przyszli po mnie. Nie po ciebie. Po mnie.

Głosy. Szczekanie komunikatorów. Nagle pokój się zapelnia. Białe zbroje dwóch szturmowców. Czarny uniform funkcjonariusza imperialnego. Krzyki. Wycelowane w nich lufy blasterów. Tata mówi, że pozwoli się wyprowadzić. Temmin płacze. Mama staje

pomiędzy żołnierzami a tatą, z rękami w górze. Jeden z nich wali ją kolbą w głowę.

Mama upada z krzykiem. Tata, wyzywając ich od potworów, rzuca się na nich i wali pięściami w hełm tego, który uderzył mamę.

Impuls z blastera. Tata zwija się z bólu i pada na ziemię. Wywlekają go z pokoju. Mama usiłuje czołgać się za nimi na czworakach. Mężczyzna w czerni przystaje, pochyla się nad nią i podstawia jej datapad pod nos.

- Nakaz aresztowania Brentina Lorea Wexleya. Rebelianckiej szumowiny.

Mama owija palce wokół jego buta, ale mężczyzna strząsa je z siebie.

Temmin zerka na mamę, która z płaczem kuli się na podłodze. Narasta w nim wściekłość, która bierze górę nad strachem i rozpaczą. Chłopak zrywa się i zbiega na dół. Właśnie wyszli za drzwi. Wloką jego tatę ulicą zalaną ulewą, rozchlapując buciorami wodę. Temmin wybiega na zewnątrz, w strumienie lodowatego deszczu. Czuje się jak w koszmarnym śnie. Przecież to nie może być realne; zupełnie jakby niebo się otworzył o i wraz z deszczem sphynęło z niego całe zło galaktyki. Niestety, to jest realne.

Krzyczy za nimi, żeby się zatrzymali. Agent odwraca się i śmieje, kiedy szturmowcy wpychają jego tatę na tył bala-bala, jednego z tych małych skuterów używanych do przemieszczania się po ciasnych ulicach Myrry.

Agent wyciąga pistolet i celuje w niego.

- Nie mieszaj się, mały. Twój ojciec jest kryminalistą. Nie stawaj na drodze sprawiedliwości.

- To nie jest sprawiedliwość!

- Jeszcze krok, a zobaczysz, czym jest sprawiedliwość.

Temmin chce zrobić krok...

Jakieś ręce chwytają go w pasie i podrywają do góry. Temmin wyrывa się, wierzga i krzyczy. Mama szepcze mu do ucha:

- Temmin, nie, ciii, nie w ten sposób. Wracamy. Szybko, do domu!

- Zabiję was! - wrzeszczy, choć nie bardzo wie kogo. - Obiecuję, zabiję was za to!

- Mamy problem.

To był głos mamy; szeptała mu do ucha.

- O co chodzi? - wymamrotał, przemagając suchość w ustach.

- Ciii! - ostrzegła. - Jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Temmin wciągnął powietrze i rozejrzał się. Przedział ładunkowy. Niewielki statek. Może frachtowiec. Model koreliański. Siedzieli na palecie za stosem skrzyń z włókna węglowego. Na palecie nośnej, jak się zorientował. Teraz jednak poduszka magnetyczna była wyłączona i platforma po prostu leżała na metalowej podłodze.

A potem zobaczył coś jeszcze.

Ciało.

Ciało mężczyzny. Leżało na boku. Połowę jego twarzy pokrywała księżycowa rzeźba blizn i śladów po oparzeniach. Zmattowane oko patrzyło pustym spojrzeniem.

Po lewej miał drzwi ładunkowe - szerokie na tyle, by zmieściła się w nich paleta z owymi trzema skrzyniami. Po prawej były mniejsze, zamknięte drzwi, prowadzące zapewne do wnętrza statku, gdzie powinny się znajdować: kajuta, wieżyczka Strzelca, kópkit i sterówka.

Zza tych drzwi słychać było gadanie komunikatorów; nagłośnione głosy z hełmów.

- Szturmowcy - powiedział zniżonym głosem.

Usiłował sobie przypomnieć, co się stało i jak się tu znalazł, ale równie dobrze mógł próbować chwytać chmury rękami. Jednak po chwili takich wysiłków pamięć zaczęła wracać. Był na dole, w katakumbach. Na samym ich skraju. Siedział tam sobie. Nadeszła mama, pokłócił się z nią i...

Wbiła mu coś w szyję.

Mama zaczęła coś do niego mówić, ale przerwał jej:

- Ty mnie tu sprowadziłaś! - syknął.

Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie.

- Musiałam.

- Och, tak prostu musiałaś?

- Trzeba uciekać z tej planety, Tem.

- Gdzie jest Pan Bones? I gdzie my jesteśmy?

- Twój droid? - upewniła się niemal z irytacją. - Nie mam pojęcia. A my jesteśmy na statku. Na obrzeżach... niedaleko Akar Road.

O, bogowie, dokąd go wywiozła! W te dzicze, gdzie są kanyon i ruiny starożytnej świątyni. Ogarnęła go panika. „Mój sklep. Moje sprzęty. Moje droidy”.

- To jest pilot. - Pokazała na martwego mężczyznę. - Miał nas stąd zabrać. W pobliżu roilo się od szturmowców, więc wkradłam się z tobą na pokład i zobaczyłam, że leży tu martwy. Wtedy wrócili szturmowcy. Nie wiem, dlaczego i po co. Druga kontrola. Może szukają kontrabandy.

„Szukają nas” - pomyślał.

- Musimy przejąć ten statek i uciec - mówiła dalej. - Razem damy radę. Ale musisz mi służyć jako nawigator, bo nie mamy astromecha. - Chyba zauważyła jego minę, ponieważ dodała: - Pomogę ci.

Krótkim gestem uściśnęła mu dłoń.

Ale Temmin się zachnął.

- Nie mogę stąd wyjechać. Tu jest mój dom.
- Teraz mamy nowy dom.
- Nie musiałaś porywać mnie i...
- Nie musiałam, ale mogłam, bo jestem twoją matką.

Tysiące gniewnych ripost przemknęło przez jego głowę niczym stado wściekłych psów. Ale to nie był czas na kłótnie.

- Posłuchaj... mam plan - oznajmił. Nie kłamał. A przynajmniej nie całkiem.

- Zamieniam się w słuch.
- Zostań tu i czekaj na mój znak - powiedział.

Chciała zaprotestować, ale Temmin już wyskoczył zza skrzyń i podbiegł do zewnętrznych drzwi. Na ścianie znajdował się panel. Chłopak zerknął do tyłu na matkę, która obserwowała go ze zdziwieniem.

„Wybacz” - wymówił bezgłośnie.

Nagle zrozumiała i jej źrenice rozszerzyły się gwałtownie.

„Mam plan, ale nie taki, jaki byś chciała”.

Szybko zastukał palcami w klawisze panelu, uruchamiając pneumatyczne zawiasy luku bagażowego. Drzwi rozsunęły się i rampa zaczęła powoli opadać na ziemię ruchem tak subtelnym jak u matki, która wkłada niemowlę do kołyski. Ale Temmin nie miał czasu, żeby się tym zachwycić. Kolejnym klawiszem ponaglił tłoki, aż z głośnym syknięciem popchnęły rampę, która grzmotnęła o ziemię.

Na zewnątrz znajdował się stary, popękany terminal załadowniczy. Korzenie drzew wysadzały plastobeton i miejscami przebijały przez niego. Dżungla jest ekspansywna.

Byli też szturmowcy.

Cały oddział szturmowców.

Zaskoczył ich. Kręcili się po terenie, zaglądając pod krzaki i wyłamując wieka walających się wokół skrzyń, żeby sprawdzić, co jest w środku.

To mu dało chwilową przewagę.

Temmin z wrzaskiem rzucił się naprzód, waląc barkiem w paletę ze skrzyniami. Kolanem wcisnął guzik na sterowniku palety i platforma nagle się uniosła, aż zawisała

kilkanaście centymetrów nad podłogą luku. Matka skoczyła ku niemu.

Ale była nie dość szybka.

Temmin mocno wypchnął kwitującą paletę przez wrota luku, jednocześnie kryjąc się za nią, żeby nie trafiła go nagła kanonada blasterów. Matka krzyczała coś do niego, ale w głowie chłopaka kołatała tylko jedna myśl: „To był głupi, głupi pomysł”.

- Jakiś problem? - zagadnął Surat Nuat.

Sinjir maszerował przez jaskinię hazardu, rozpychając zastępy graczy w kości i w karty, aż zatrzymał się przed obliczem sullustańskiego szefa mafii. Gangster zmierzył go spojrzeniem jedyne go widzącego oka. Sinjir poczuł się nagle, jakby dokonywano na nim wiwisekcji; jakby był owadem, któremu okrutne dziecko odrywa skrzydełka i odnóża. Upiorne wrażenie wzmógł szcęk blasterów, odbezpieczanych i kierowanych prosto na niego.

Cała sala wstrzymała oddech. Muzyka zamilkła. Spojrzenia skupiły się w jednym miejscu.

Sinjir czuł, jak nowy „przyjaciel Twi' lek dygocze za jego plecami.

Odchrząknął i przywołał na twarz uśmiech.

- Ależ skąd - zaprzeczył żywo. - Żadnych problemów. Co najwyżej mogę mieć uprzejmą prośbę. Pozwól, abym odwołał się do twojej... - Jakie słowo może pochlebić temu nadętemu mafio-

sowi? Połechtąć jego próżność i ego rozdęte do monstrualnych rozmiarów niczym zewłok shaaka leżący na słońcu? - Do twojej nieskończonej łaskawości, twojej wszechogarniającej mądrości i twojej niepokonanej mocy— dokończył z emfazą.

Surat oblizał usta.

- Masz elokwencję i maniery. Podoba mi się to. Nawet jeśli siedzisz w gównie po sam koniec swojego ludzkiego nosa. Dobra, przedstaw swoją prośbę. Tylko się streszczaj.

Myśli przelatywały przez głowę Sinjira: „Daj spokój, odejdz stąd. Nie twoja sprawa. Ona jest nikim. Nie liczy się. W ogóle jej nie znasz. To była tylko chwila, jeden ulotny moment. Takie chwile mijają bez echa. Uciekaj, to przecież świetnie potrafisz!”.

Ale ta Zabrakanka... czuł na sobie jej wzrok. Może mu się wydawało, ale miał wrażenie, że go rozpoznała. A może tylko była czujna.

Nagle, jak dla potwierdzenia, niedostrzegalnie skinęła głową.

- Chodzi o tę kobietę - powiedział do Surata. - Masz ją na sprzedaż?

- Owszem - potwierdził Surat z rozbawioną miną.

- W takim razie chcę ją kupić. Dobrze zapłacę i...

- Procedura - przerwał mu Surat - w przypadku towaru pierwszej jakości, jak ten, przewiduje licytację. To zwiększa konkurencję i daje szansę wszystkim chętnym.

- W takim razie zapłacę ekstra, żeby ich odsunąć.

Surat pohamował go gestem ręki.

- To i tak nie ma znaczenia, gdyż w tym przypadku nie będzie aukcji. Mamy już poważną ofertę. I nie sądzę, żebyś miał większe zasoby niż skarbiec Imperium Galaktycznego.

Nadzieje Sinjira przepadły w okamgnieniu. Jednak nie pokazał po sobie strachu i rozczarowania. Zamiast tego zatarł ręce, przywołując na twarz szeroki uśmiech.

- W takim razie musiało nastąpić nieporozumienie, jakiś błąd na łączach. Rozumiesz, ja właśnie reprezentuję Imperium Galaktyczne. Nazywam się Sinjir Rath Velus i jestem agentem rządowym. Moim ostatnim przydziałem była

baza z generatorem pola na Endorze, a obecnie realizuję na Akivie pewną... misję dyplomatyczną. Nie powiadomili cię o moim przybyciu? Powinniśmy współpracować, żeby te rebelianckie świnię nie sprzątnęły nam zabawki sprzed nosa. Racz wybaczyć, że...

- Jeszcze nie poinformowałem Imperium o tej zdobyczy - wyjaśnił spokojnie Surat.

- Słucham? Nie rozumiem.

- Oni jeszcze nie wiedzą, że ją mam. - Gangster gestem wskazał na kobietę. - Czyżbyś miał gdzieś pod ręką Jedi, którzy przewidzieli moją ofertę? A może ty, agencie Sinjirze Rathu Velusie, jesteś jakimś magiem z darem przewidywania przyszłości?

- Cóż, mam wiele zdolności.

- Albo też jesteś rebeliantem. Albo mistrzem kamuflażu. Zresztą nieważne.

Sinjir z wysiłkiem przełknął ślinę i zmusił się do uśmiechu.

- Zapewniam cię... - zaczął.

Rysy Surata stężały.

- Zabić go! - warknął.

Jego ludzie zaczęli strzelać.

- Pani admirał, mamy problem - powiedziała Adea Rite.

Sloane szła przez pałacowy hol, którego ściany zdobiły portrety dawnych władców: satrapy Mongo Hingo o leniwych rysach i obwisłym podbródku; zgorzkniałego, chorobliwie wyglądającego satrapy Tina Withrafispa oraz wyjątkowo wypieszczony portret przystojnego satrapy Kade Hingo, młodego gubernatora, który

odszedł zbyt wcześnie (w kronikach zapisano, że zginął z ręki mordercy, lecz szeptana historia podaje, że przyczyną była choroba weneryczna). Sloane zatrzymała się.

- Jaki problem? Przypominam ci, że idę na historyczne zebranie, które może pogрузić Imperium lub podnieść je z kłęczek, aby odzyskało władzę w galaktyce.

Och, ten wyraz strachu, który przemknął przez twarz biednej dziewczyny - jakby chmura zakryła słońce. Sloane przez ułamek sekundy zrobiło się przykro. Jakikolwiek by to był problem, z pewnością nie powstał z winy dziewczęcia. Na jej korzyść trzeba przyznać, że szybko się opanowała.

- Dwa rebelianckie statki zwiadowcze - zameldowała Adea. Mądra dziewczyna powiedziała to cicho. Ściany mają uszy.

- Skąd się wzięły? Tutaj? Nad tą planetą?

Nieznacznie skinęła głową.

- Tak. Tothwin mówi, że oba to „A-wingi, ich typowy model.

„Za wcześnie się zaczyna”.

- Co z nimi?

„W sumie nieważne”.

- Oba zostały zniszczone, zanim weszły w nadprzestrzeń - odpowiedziała Adea.

Rae skrzywiła się lekko.

- Czy inne nasze niszczyciele je widziały?

- Nie sędzę. A przynajmniej nie meldowali o tym. Myśliwce wyłoniły się po prawej burcie, z dala od niszczycieli, które były z naszej drugiej burty.

Dobrze, dzięki temu zyska trochę cennego czasu. Gdyby A-wingi wróciły ze swojej misji i zdały raport, można by się spodziewać błyskawicznego ataku rebeliantów na ich prowizoryczną blokadę. Na szczęście obserwatorzy nie wrócili, więc żadne in-

formacje nie dotarły. I dobrze. Przecież zwiadowcy mogli zginąć nie tylko od dział Imperium.

Mogły wlecieć w lotny obłok oorta. Albo w pole kosmicznych śmieci. A może rebelianci zaczną ich szukać? Tak czy owak, na razie miała czas.

Pojawił się jednak nowy problem - czy mówić o tym innym? Dałaby im wtedy odczuć, kto tu rządzi. Ani Shale, ani Pandion nie byli admirałami. I żaden z nich nie miał technicznej możliwości dowodzenia ruchami floty jak ona. Jednak każdy z nich dowodził gwiazdnym niszczycielem, a w tym trudnym okresie regulaminy się rozluźniły i wcale nie było takie jasne, kto naprawdę ma uprawnienia i władzę w jakiegokolwiek dziedzinie.

Jeśli podejmie z nimi rozgrywkę...

Oni odpowiedzą tym samym. Może nawet posuną się do zamachu.

A wtedy cały zjazd stanie się zupełnie inną grą.

Zmeła w ustach przekleństwo.

- Dobrze - powiedziała do asystentki. - I dzięki. Admirał Sloane ruszyła dalej, na obrady wiekopomnego zgromadzenia.

- Co tu się dzieje... hej!

Norra obróciła się i zobaczyła, że głos należy do szturmowca - jednego z trzech stojących w wewnętrznych drzwiach statku. Cała trójka ruszyła przed siebie, rozglądając się czujnie, z Masterami gotowymi do strzału.

„Temmin, czy musiałeś uciekać?”

Cichy wewnętrzny głos odpowiedział: „Nie zostawiłaś mu wyboru”.

Na zewnątrz statku, za rufą, rozległy się blasterowe strzały. Ktoś zaczął krzyczeć.

- Tam! - zawołał jeden ze szturmowców, pokazując na nią. Dwaj pozostali unieśli broń, celując w Norrę.

- Nie ruszaj się!

Trzeci rozkazał:

- Wstań.

Norra podniosła się powoli. Blaster zaciążył jej u biodra jak ciężar ryzyka, które powinna podjąć. Dłoń ją swędziała, żeby wyrwać go z kabury i postawić wszystko na jedną kartę. Krew szumiała jej w uszach jak burzliwa rzeka strachu i gniewu. W myśli wdarło się wspomnienie łomotu wysadzanych drzwi, widoku szturmowców, wywlekających jej męża z pokoju syna, a potem żołnierza walącego ją w głowę kolbą.

„Jesteś szybka. Oni nie mają refleksu. Strzelaj” - pomyślała.

Jeden ze szturmowców odwrócił się w stronę ładowni i aż drgnął z zaskoczenia. Nie miała pojęcia, o co chodzi.

- Zobaczcie... - Chciał zawołać do nich, ale ogień blastera przygwoździł go do ściany. Jego dwaj kompani obrócili się w pośpiechu, wycelowali, ale nie zdążyli, i...

Skuter wleciał przez otwarte drzwi ładowni, obrócił się, robiąc młyńca, i tyłem zagarnął dwóch szturmowców, powalając ich na podłogę. Upadli z krzykiem i znieruchomieli.

Temmin kciukiem uniósł osłonę swojego nowego hełmu.

- Jedziemy! - zawołał. - No już, wskakuj!

Norra wciągnęła powietrze i wskoczyła na tylne siedzenie, a Temmin podkręcił obroty. Pojazd wystrzelił przez drzwi niczym rakietą protonową.

- Mamy... - zaczęła Rae.

- Tak, zgadza się, mamy problem - przerwał jej Pandion. - Słyszałem, że kapitan Antilles nie zareagował dotąd na nasze... wysiłki.

Tashu, który pojawił się spóźniony w dziwnej, czerwonej, metalowej masce, nadającej mu całkiem demoniczny wygląd, zakręcił nią ruchem ręki (teraz leżała twarzą w dół na stole).

- Nie martw się, moffie Pandionie - powiedział. - Moja technika wymaga czasu, ale pobierałem nauki u najlepszych. To stara sithańska sztuka...

- Mój tytuł to Wielki Moff - poprawił go Pandion. -A poza tym pragnę ci przypomnieć, że Sithowie wszyscy są już martwi, a ty nie masz ich magicznych mocy.

- Problem polega na tym - wtrąciła Rae, nadając swojemu głosowi nutę sensacji - że „Vigilance” namierzył dwóch rebelianckich zwiadowców w A-wingach. Zniszczyliśmy oba...

Arsin Crassus zerwał się z miejsca. Ten mężczyzna, normalnie o skórze białej jak wyschnięta kość, teraz zrobił się prawie przezroczysty. Panika brzmiała w jego głosie i dławiała mu gardło, kiedy wyduszał z siebie słowa:

- Rebelianci po nas przyjdą. Musimy natychmiast zakończyć to spotkanie. Nie jestem wojownikiem, tylko zwykłym kupcem i...

- Siadaj - powiedziała Rae.

Crassus zawahał się, pocierając palce kciukami. Taki nerwowy nawyk.

- Crassusie, nie panikuj - dodał Pandion. - Usiądź.

Crassus usiadł. Jak zauważyła Sloane, dopiero po słowach Pandiona.

- Mam plan - oznajmiła. - Może się wam wydać niekonwencjonalny.

Jylia Shale wychyliła się z miejsca.

- Zamieniamy się w słuch.

- Chcę przesunąć gwiazdne niszczyciele do nadprzestrzeni. Nie za daleko, ale na tyle, żeby odsunąć je poza zasięg daleko-siężnych sensorów.

- To kto nas będzie pilnował? - zdenerwował się Crassus.

- Jeśli rebelianci niczego tu nie znajdą, polecą dalej. Nie mają czasu ani środków, żeby dokładnie spenetrować peryferie takie jak ta planeta. Ale jeśli zobaczą tercet imperialnych gwiazdnych krążowników...

Pandion z szyderyczym uśmiechem odchylił się na oparcie krzesła.

- Widzę, że siedzę przy jednym stole z bandą tchórzy. Pani admirał, proszę pozwolić mi przedstawić alternatywne rozwiązanie. Dowodzisz flotą „Ravagera”, naszego ostatniego gwiazdnego superniszczyciela. Ile ona liczy jednostek? Nie wiadomo. Nie możemy się dowiedzieć, bo jak zachłanne dziecko zagarniasz do siebie najlepsze zabawki. - Wychylił się na krzesło i oskarżycielsko wycelował w nią palec. -Może pora zacząć się dzielić, pani admirał? Zademonstruj swoją flotę w całej okazałości; nie przyczajaj się z podkulonym ogonem. Zastosujmy inną strategię. Demonstrujmy naszą obecność. Kiedy rebelianci zaczną węszyć, zobaczą, że poruszyli gniazdo żmij!

- Nie - powiedziała generał Shale, waląc w stół drobną, pomarszczoną pięścią. Stara kobieta stanowczo pokręciła głową. - Nikt z nas nie jest na to gotowy. Jak w grze w chatta-ragul: wszystkie figury muszą stanąć na planszy, czy nam się to podoba, czy nie. Pacholki, zwiadowcy, króle, aż do kapłanów, al-kazaru i cesarzowej. Cesarzową robisz ruch tylko w ostateczności. Stąd klęska wielkiej stacji bojowej Palpatinea. Gwiazda Śmierci była naszą cesarzową. Wystawiliśmy ją za szybko. Ten gambit chatta-ragul okazał się spektakularną klęską.

- Wyrażaj się jasno - powiedział Pandion. - To nie jest gra.

- Owszem, to jest gra - ucieła twardo Jylia. - Gra o bardzo wysoką stawkę, w której musimy przewidywać ruchy przeciwnika. Dowódcą floty Nowej Republiki jest generał Ackbar, geniusz taktyki wojskowej. Wojownik o wielkim umyśle. Nie jest jednak powiedziane, że da się nam sprowokować. Najpierw stracił jednego zwiadowcę, a teraz jeszcze dwóch. Zacznie się obawiać, że coś się dzieje, że zastawiono na niego kolejną pułapkę. Jednocześnie, jeśli nie otrzyma informacji wartych dalszego zbadania, będzie się wzdrażał przed posłaniem następnego zwiadowcy na pewną śmierć. Możliwe więc, że jego następnym ruchem będzie wysłanie statku-drona.

- Albo droida - wtrąciła Rae.

- Tak, tak! Sondy dalekiego zasięgu. To bardzo prawdopodobne. Wysłanej ze statku, który będzie się trzymał na dystans, ale na tyle blisko, żeby zachować zasięg skanera na wypadek, gdyby sonda wykryła nasze jednostki. W tej sytuacji droid byłby nieprzydatny. Oczywiście ów statek znajdowałby się poza zasięgiem naszych dział. W razie potrzeby umknąłby w nadprzestrzeń, zaś Ackbar zmobilizowałby flotę. I raz jeszcze rozpętałaby się otwarta wojna. Tej konfrontacji moglibyśmy nie wygrać, gdyż jak pragnę wam przypomnieć, tracimy sprzęt i wyposażenie szybciej, niż zdołamy je wyprodukować. Straciliśmy już w wielkim stopniu statki, fabryki broni i droidów, kopalnie surowców i magazyny paliw. Czy mamy ryzykować i stracić jeszcze więcej? Nie damy rady tego potem odtworzyć.

-Tchórze! - ryknął wściekle Pandion, tak gwałtownie zrywając się z krzesła, że omal go nie przewrócił. - „Ravager” jest potężną bronią, a Sloane siedzi na nim jak tłusta kwoka na gnieździe, wysiadująca jaja, które dawno już się wylęgły. - Wskazał na Crassusa i Tashu. - To jest narada, na której każdy głos jest waż-

ny, czy nie tak? W takim razie pozwólcie, że zapytam tych dwóch. Jak głosujecie?

Czy jesteśmy Imperium tchórzliwych kundli i kur? Skowyczących i kwoczących w ciemnych kątach? Jakie jest wasze zdanie?

Crassus skinął głową.

- Moim zdaniem należy wystawić gwiazdny superniszczyciel. I atakować - powiedział i niezdarnie uderzył pięścią w rozwartą dłoń.

- Crassus wcześniej przyznał, że nie jest wojownikiem, tylko zwykłym kupcem - zabrała głos Rae. - Tak było, Arsin? Naprawdę poprzesz jego zdanie?

Tahu przemówił szybko, żeby uprzedzić kolejny wybuch Pandiona:

- A ja powiem tak: Sithowie to mistrzowie oszustw. Nie będzie tchórzostwem przycażenie się w cieniu i uderzenie na wroga, kiedy się zbliży. Zgadzam się z panią admirał.

Sloane kiwnęła głową.

- Czyli trzy do dwóch. Przegrupujemy niszczyciele.

- Nie - sprzeciwił się Pandion. - Jeden z tych statków jest pod moją komendą. I nie ruszę go. Zostanie tu, gdzie jest.

Patrzył na nią z wyzywającym błyskiem w oku. To stało się wcześniej, niż Sloane się spodziewała - choć zawsze podejrzewała, że Valco Pandion będzie chciał ją przetestować. Podniosła się krzesła, obeszła stół i stanęła twarzą w twarz z Wielkim Moffem.

- Jestem admirałem tej gwiazdnej floty. A ty nie masz władzy, z własnego nadania czy nie, która pozwalałaby ci dowodzić jednym statkiem w kontrze do reszty. I nie masz prawa mi się sprzeciwiać.

Pandion uśmiechnął się szyderczo.

- A jeśli się ośmielę, co zrobisz?

- „Vigilance” zestrzeli twój niszczyciel z nieba, a jego szczątki spadną na nas jak deszcz i taki będzie koniec

Imperium. Nic nie wskóramy, jeżeli będziemy niszczyć siebie nawzajem i skakać sobie do oczu jak wygłodniałe szczury, które wolą się pożerać niż zapolować na coś innego.

- Mogę odlecieć swoim statkiem do jakiegoś odległego świata i...

- Odlecieć? Powiedz od razu, że chcesz uciec. A zatem jesteś tchórzem.

Pandion ledwie słyszalnie wciągnął powietrze.

„Mam cię”.

Przynajmniej na razie.

- Pani admirał - powiedział i jego ton nagle się zmienił. Postarał się nawet o niewyraźny uśmiech i skłonił głowę. - Oczywiście odgrywam tylko rolę obrońcy Imperium. Czasami trzeba zrobić pełną sekcję zwierzęcia, żeby zrozumieć, jak działa jego organizm. Tym bardziej doceniam, że pozwoliłaś mi na taką prowokację. Oczywiście zrobisz to, co uznasz za stosowne.

Kiwnęła głową. „Chwilowe zwycięstwo” - pomyślała. Musiała jednak przyznać, że Pandion postępuje dokładnie tak, jak ona ma zamiar postąpić z flotą nad Akivą - chwilowo się wycofuje w nadziei, że któregoś dnia powróci do walki. Jak to powiedział Tahu? „Przyczaić się w cieniu i uderzyć na wroga, kiedy się zbliży”.

„Chyba jednak mamy problem” - pomyślał Sinjir, nurkując pod smugami laserowego ognia i przemykając pomiędzy stolikami do gier. Jeden się przewrócił i posypały się sztony. Gracz, jakiś zdegenerowany pasterz nerfów z opuchniętą spoconą gębą, rzucił się na klęczki, żeby je pozbierać, i za tę fatygę zarobił serię w plecy. Tymczasem Sinjir zdążył już zwalić kości z innego stolika, omal nie wpadł na koło ruletki, a potem rzucił się skokiem i...

Wylądował brzuchem na ladzie baru. Impet uderzenia na moment zatamował mu oddech. W ogniu blasterów sypały się drzazgi, a butelki i szklanki z hukiem spadały z półek, rozpadając się w locie. Sinjir ochłonął i usiłował przetrząsnąć się za ochronną barierę baru, jednocześnie chroniąc głowę przed sypiącym się szkłem.

Nagle wszystko ucichło.

„Już koniec?” - pomyślał.

Padł na niego jakiś cień.

Poczuł na sobie wzrok barmana. Zobaczył jego śliski uśmiech. Na brodzie zasychały mu smużki śliny zazielenionej od przeżutych liści.

- Masz problem - powiedział barman.

Jego pięść runęła w dół niczym spadający meteor i walnęła w Sinjira jak zepsuty siłownik uchylnych drzwi. Oczy uciekły mu w głąb czaszki. Rzeczywistość zaczęła mu się wymykać, aż zapadł w niebyt.

INTERLUDIUM UYTER

- Mamy problem - powiedział kierowca.

Młody Pade zobaczył dym nad wzgórzami na długo przedtem, zanim zorientował się, co się pali. Nie znaczy to jednak, że chłopak nie miał swojej hipotezy.

Zerknął na innych rekrutów - czy raczej potencjalnych rekrutów. Teraz wszyscy o tym szeptali. Otwierali okna i wyglądali z pojazdu.

Kierowca poduszkobusa - wąsaty Nimbanel o krągłym pysku - zerknął do tyłu oczami okrągłymi jak paciorki oprawione w masywne oczodoły i rzucił do Pade'a oraz pozostałych chłopców:

- Powiedzcie im, dobra? Powiedzcie im, że nie pracuję dla Imperium. Jestem tylko kierowcą. Przecież wiecie o tym, prawda?

- Jedziemy - ponaglił go Pade. - Niech pan się odwróci i dowiezie nas tam.

Nimbanel mruknął coś brzydkiego pod nosem.

Jeden z chłopców - pulchny dzieciak o ciemnych włosach, twardych jak druty, i dziobatych policzkach - obrócił się i popatrzył na Pade'a ponad oparciem fotela.

- Myślisz, że mamy przesrane?

- Nie wiem. - Pade wzruszył ramionami. - Niedługo się przekonasz.

Przybrał obojętną minę. Udawał. On też się bał.

Bus parł przed siebie, sunąc nad wyboistymi drogami Uyter. Wzgórza po obu stronach były coraz bliższe i wyższe. Trawa, niegdyś zielona, teraz była blada, wytrawiona z koloru. Po niedługim czasie w oddali pojawiła się imperialna akademia szturmowców wciśnięta pomiędzy wzgórza.

Akademia płonęła. A raczej już dogasała. Połowa budynków miała ściany i dachy rozdarte zachłannymi szponami płomieni. Sączył się z nich czarny dym.

Na ziemi leżało kilkunastu martwych szturmowców.

Byli tam też inni - mężczyźni i kobiety. Nie imperialni. Mieli proste stroje i pasy wielozadaniowe. Karabiny i klastery. Chłopcy gapili się na to wszystko, wychyleni z okien busa. Tak jak Pade nigdy dotąd nie widzieli broni z bliska. Znali raczej widły, klucze maszynowe i inne proste narzędzia. Przeważnie były to chłopaki ze wsi. Miejscowi ściągnięci z prowincji. Niektórzy zrekrutowani przez oficerów.

A niektórzy - jak Pade - po prostu zostali... wyrzuceni i odesłani.

Odesłani tutaj.

Do miejsca, które przestało istnieć.

Bus zatrzymał się, gdyż jeden z mężczyzn - „jeden z rebeliantów” - pomyślał Pade - stanął na drodze przed jego maską. Nimbanel otworzył drzwi i wysiadł. Chłopcy pozostali na swoich miejscach, nie bardzo wiedząc, co robić.

Pade postanowił grać dalej twardziela i też wysiadł.

Nimbanel i rebeliant, facet z niechlujną brodą i blizną z boku szyi, dyskutowali zajadle. Nimbanel perorował nerwowo, wymachując rękami:

- Nie, nie, ja nie jestem odpowiedzialny za te dzieciaki. Nie! Nie odwiozę ich z powrotem. Nie zapłacono mi za to, więc...

- Panie - przerwał mu rebeliant - jak sam pan widzisz, imperialna akademia nie działa. Tu naprawdę nie ma miejsca dla dzieciaków, więc...

Nagle spostrzegł Padea, stojącego obok i przysłuchującego się tej wymianie zdań. Odwrócił się i popatrzył na chłopca.

- Proszę pana... - zaczął Pade.

- Synku - przerwał mu mężczyzna. - Wsadzimy cię do busa i nim nerf dwa razy machnie ogonem, znajdziesz się w domu...

- Nie chcę wracać do domu.

- Ale tu już nie ma twojego nowego domu, sam widzisz.

- W takim razie nigdzie nie mam domu. Rodzice wywalili mnie na ulicę i wynieśli się, zanim zdążyłem się połapać. Zaczęli jakieś wędrowne życie. Dlatego imperialna akademia stała się moim jedynym celem.

To dało rebeliantowi do myślenia. Spojrzał na wzgórza, a potem przeniósł spojrzenie na Nimbanela, na jego bus i wreszcie na Padea.

- Co chcecie robić dalej, skoro tu już nic nie ma?

- Już ci mówiłem, wielu nie ma dokąd wracać - powtórzył Pade, zniżając głos. - Zabijesz młodzików, którzy chcieli się tu uczyć? Kandydatów do przedszkola szturmowców?

- Ja? Za żadne gwiazdy!

- No to co z nimi zrobisz?

- Chyba wsadzasz nos w nie swoje sprawy, mały.

- Może dlatego starzy chcieli się mnie pozbyć.

Mężczyzna westchnął głęboko.

- Dobra - ustąpił. - W takim razie niektórzy z was wrócą do domów, a reszta pojedzie do Nowej Akademii na Chandrili. Jeżeli będą w odpowiednim wieku, przyjmujemy ich i wyuczymy na żołnierzy, oczywiście, jeśli zechcą przyłączyć się do naszej sprawy. Jeśli nie, zostaną odesłani do rodziców. Albo trafią do sierocińców.

Pade bojowo zadarł podbródek.

- Tam bym chciał trafić. Do Nowej Akademii.

- Hm. - Mężczyzna przyglądał mu się spod zmrużonych powiek. - Dobra. Masz. - Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął garść kredytów i wcisnął w dłoń kierowcy, po czym powiedział do Pade'a: - Central City jest nadal zapleczem Imperium, więc dopilnuj, żeby dowiózł cię do Riverbreaker. Prom do Hanna City odchodzi jutro rano. Nie spóźnij się.

- Dzięki, panie. - Pade kiwnął głową.

- Inni chłopcy mogą do ciebie dołączyć, jeśli zechcą. Powiedz im to.

- Jasne. - Pad odwrócił się i zawołał przez ramię do kolegów. - Dzięki - powiedział do rebelianta. - Niech Moc będzie z tobą, panie.

- Z tobą też, dzieciaku. Z tobą też.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dziwna rzecz, rodzicielstwo. Rodzic wychowuje dziecko licząc, że nauczy je... nauczy wszystkiego. Jak ma jeść, oddychać, pracować, bawić się, żyć... Matka doradza synowi, jak ma sobie radzić z łobuzami w szkole, mówi mu, które ulice są bezpieczne, a które nie, albo uczy, jak sterować bala-bala, żeby nie rozbić się o mur. Rodzic uczy je tego wszystkiego, gdyż dziecko musi wiedzieć. I ktoś musi mu w tym pomóc. Nie dlatego, że jest niezdolne, tylko dlatego, że rodzi się jako niezapisana tablica. Zadaniem rodzica jest napisanie na niej pierwszego zdania, aby służyło jego potomkowi jako przewodnik po życiu. Aby mieć pewność, że... no cóż, że dziecko nie zginie, gdy będzie musiało samo zdobywać tę wiedzę.

Niełatwo jest się wypisać z tej rodzicielskiej powinności. Niełatwo jest widzieć, jak dziecko zrzuca zasłonę niewiedzy i zaczyna samo decydować, co i jak ma robić.

Albo jak przetrwać.

Teraz Norra miała okazję to zobaczyć.

Jej syn wyraźnie zamierzał zabić ich oboje.

Wskoczyła na skuter i Temmin wystrzelił z ładowni „Ćmy” niczym nietoperz jogan, któremu podpalono skrzydła. Norra szarpnęła syna za ramię, pokazując na dżunglę. Lasy deszczowe pokrywały wielkie obszary planety i łatwo było się w nich ukryć - zwłaszcza że szturmowcy nie byli przygotowani do działania w

takiej dziczy. I kiepsko latali na skuterach. Dlatego też, lawirując wśród drzew i lian, mieli szansę im uciec. Na przykład do kanienu.

Jednak Temmin jej nie słuchał.

Najwyraźniej zatracił umiejętność słuchania drugiej osoby, choć kiedyś był dobrym słuchaczem. Takie miłe dziecko! Owszem, bywał uparty, ale słuchał mamy. Przyjmował jej rady i robił to, o co go prosiła.

Teraz się zmienił. Całkowicie. Chciała, żeby wleciał w dżunglę, a on poleciał w drugą stronę. Skierował skuter z powrotem ku miastu.

Ale przecież ulice są za wąskie! Mogą najwyżej polecieć głównymi arteriami, jak CBD czy Main 66. Tyle że pierwsza będzie na pewno zapchana ludźmi, a druga - pojazdami i stadami zwierząt, które są tamtędy przepędzane. Norra zaczęła krzyczeć Temminowi do ucha, próbując jeszcze raz przekonać go, żeby zawrócił i ukrył się w dżungli, ale zbył ją machnięciem ręki.

W tym momencie laserowy ogień rozbryznął wokół nich błoto i kamienie.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła dwa skutery zbliżające się szybko.

Szturmowcy lecieli pochyleni nad kierownicami, z przepustnicami otwartymi na cały gaz. Czerwone smugi tryskały z blasterów umieszczonych pod łopatkami kierunkowymi pola sterującego na przodzie każdego pojazdu.

- Za nami! - wrzasnęła synowi do ucha.

Kiwnął głową i skręcił ostro w prawo. Przeleciał nad niewysokim wałem i w dole mignął pas potrzaskanego plasto-betonu prowadzący do krętej uliczki.

Ściany zaczęły migać po obu stronach skutera. Norra z napięcia wstrzymywała oddech. Parę centymetrów w tę czy w tamtą

stronę i zahacza o mur. Nawet gdyby ona sama nieopatrznie poruszyła ręką czy nogą, ściany starłyby jej łokcie i kolana w ułamku sekundy, jak potworna tarcza ścierna.

Nagle Temmin poderwał skuter ostro w górę, żeby ominąć druty przegradzające uliczkę.

Goniący ich szturmowcy wykonali ten sam skok - jeden po drugim, gdyż nie mogli już lecieć obok siebie. To oznaczało, że teraz strzelać mógł tylko pierwszy. Niezłe to wymyślił jej syn. Może się uda.

Chyba że rozbiją się, bo skręci za ostro.

Temmin wykonał ryzykowny skręt i śmignął za róg ośmio-kątneho budynku. To stary bank, co oznacza, że lecą w stronę rynku i alei CBD. Tam jest szeroko, ale też bardziej niebezpiecznie. Sytuację skomplikują tłumy ludzi i pojazdów wypełniających przestrzeń niczym rój asteroid. Oczami wyobraźni widziała, jak serie z blasterów trafiają jakiegoś drobnego handlarza czy sprzedawcę liści quilka, zamieniając go w czerwoną mgiełkę.

Z przodu pojawił się przesmyk pomiędzy stosami skrzyń, prowadzący w kierunku alei CBD.

Seria z blastera przeszła skrzynie i stosy zaczęły się walić.

Pojawiło się skrzyżowanie.

Ale Temmin nie skręcił.

Pędził dalej przed siebie.

Prosto na ścianę. „Ślepy zaułek - pomyślała w popłochu. - Zawalony kupą gratów - zwojami drutu, stosem skrzyń i kawałem pogiętej aluminiowej blachy”.

- Temmin! Temmin! - wrzasnęła.

Syn pokazał jej uniesiony kciuk.

- Zaufaj mi! - odkrzyknął.

Zaufać swojemu dziecku.

Uwierzyć, że podjęło właściwą decyzję.

Ufać, że nie zabije siebie, jej i tych dwóch szturmowców, którzy siedzą im na ogonie.

Mur rósł w oczach - skrzynie, druty, blacha.

I nagle zrozumiała: nie poleci prosto przed siebie.

Chce wznieść się w górę.

Szybki strzał z blastera wycelowany przed dziób sprawił, że blacha podskoczyła i przesunęła się lekko w lewo, tworząc krótką rampę.

Temmin skierował skuter właśnie tam. W następnej chwili Norra poczuła, że jej żołądek pozostał parę metrów pod nimi, przy ziemi.

Czuła, jak ciało jej syna sztywnieje w napięciu, gdy turbo-repulsory całą mocą pchnęły skuter naprzód. Maszyna śmignęła po rampie, ponad skrzyniami, i wystrzeliła nad szczyt muru, który zamykał zaułek. Jego betonowa powierzchnia miała faliste kształty i skuter podskakiwał na niej jak prawdziwa łódka. Za murem znów gwałtownie zanurkowali w dół i Norra jeszcze mocniej objęła syna w pasie.

Za nimi pierwszy szturmowiec próbował powtórzyć ten manewr.

Blacha wygięła się na wypukłości ściany, odrzucając dziób skutera do tyłu. Pojazd stanął dęba i runął w dół. Szturmowiec krzyknął przeraźliwie, kiedy skuter zwałił się na niego, stając w płomieniach.

Drugiemu szturmowcowi skok się udał. Z rykiem przeciął płomień, pokonał mur i pędził dalej, waląc z blasterów ustawionych na pełną moc, aż wyło powietrze.

Temmin odbił w prawo i poleciał wzdłuż ukośnej przypory łączącej mur zaułka ze ścianą sąsiedniego, wyższego budynku z zaniedbanym ogrodem dachowym. Ze świstem przemknęli obok brzuchatego Lutrillianina z twarzą pobrużdżoną fałdami, siedzą-

cego w pokrzywionym ze starości ogrodowym fotelu, z na wpeł zjedzonym płazem w ręku. Zerknął na nich leniwie i nawet nie drgnął.

Norra uświadomiła sobie, że Temmin nie zamierza zniżyć lotu i korzystać z ulic. Wyraźnie preferował dachy. Mieszkańcy Myrry z mozołem przepychali się wiecznie zatłoczonymi ulicami. Ale Temmin i jego przyjaciele zawsze woleli śmigać z budynku na budynek. Kiedyś Norra spróbowała tego i kostka trzasnęła jej jak sucha gałąź. Ale młodzi doprowadzili ten sposób przemieszczania się po mieście do perfekcji, posiłkując się deskami, belkami, linami i tykami do balansowania po nich oraz takimi właśnie pochylniami z blach.

Temmin znał te dachy jak własne podwórko.

Zawsze po nich skakał, ale teraz nagle pojęła, że po raz pierwszy wzniósł się tam na skuterze.

I zrozumiała, że jej syn jest cholernie dobrym pilotem.

A cichy głos w głębi duszy dopowiedział: „Ta sama brawura co u ciebie”.

Nagle za nimi posypały się iskry. Jej kość ogonowa zadrgała, kiedy strzał z blastera trafił w ogon maszyny. Skuter zakołysał się, ale zdążył wślizgnąć się po deskach na jeszcze wyższy dach. Temminowi udało się utrzymać go na kursie.

Sięgnął do tyłu, chwycił matkę za ręce i pociągnął je w przód, kładąc jej dłonie na rączkach kierownicy.

- Teraz ty! - wrzasnął i zaczął wysuwać się spod niej.

- Co? - odkrzyknęła w panice.

Przed nimi rosła w oczach metalowa rura, stercząca ze szklarni pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Temmin pospiesznie wycofał się na tył skutera.

- Do zobaczenia u cioci Esmelle! - wrzasnął, zsuwając się po tyce.

„Temmin, nie!”.

Już go nie było.

Chcąc nie chcąc, kontynuowała ten szaleńczy lot - przed siebie, po pomostach skleconych z blachy, rozpiętych pomiędzy dachami. Odruchowo chciała użyć hamulców, ale nie zrobiła tego. Nie chciała tracić szybkości. Wystarczyło choć trochę zwolnić gaz, żeby dziób skutera opadł i zawadził o krawędź dachu, a to groziło katastrofą.

Jedyne, co mogła zrobić, to jeszcze dodać gazu.

Zerknęła za siebie i zobaczyła, jak jej syn sprawnie niczym cyrkowiec opuszcza się spiralnym ruchem po tyczce. „Kiedy on się tego nauczył?” - zastanawiała się. Zeskoczył i wylądował na dachu tuż za drugim szturmowcem na skuterze.

Norra przeskoczyła na kolejny dach i wcisnęła hamulce.

Skuter jęknął, wyhamowując rozpęd. Szybko manewrując kontrolkami, ustawiła go równoległe do krawędzi dachu. Spojrzała w stronę Temmina i serce się jej ścisnęło.

Na dachu leżał szturmowiec. Nieruchomo.

Poszukała wzrokiem syna.

Temmin, dosiadający imperialnego skutera, pędził z powrotem drogą, którą tu przybyli.

Norra zacisnęła zęby i wystartowała z dachu. Nie prowadziła skutera od lat i straciła wprawę, ale pędziła przed siebie. Nagle uświadomiła sobie coś i poczuła się, jakby dostała cios w podbródek.

„Straciłam go”.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Huk grzmotu przetoczył się przez niebo nad Myrrą; błyskawica mignęła pomiędzy zwałami czarnych chmur jak język dewbacka. Zapadły ciemności, a wraz z nimi nadciągnęła ulewa. Norra wyjrzała przez okno. Strugi wody spływały po okrągłej szybie. Wzdrygała się z każdą błyskawicą, z każdym grzmiotem.

- Na pewno nic mu nie jest - powiedziała jej siostra Esmelle.

Dzieliła je duża różnica wieku - kiedy Norra się urodziła, Esmelle już ganiała po mieście z bandą chuliganów i była zupełnie samodzielna. Od tamtego czasu straciła buntowniczy pazur i zmieniła się w domatorkę, rzadko kiedy ruszając się ze swojego domu w Orchard Hill. Jak gdyby czekała, aż umrze i spocznie w jednym z tych grobów, które oczekiwały przy ulicy. Cmentarz znajdował się w sadzie, pod owocowymi drzewami. „Abyśmy mogli jeść tych, których

straciliśmy, i pamiętać o nich” - głosiła tabliczka na bramie. Dla Norry ten pomysł był chory.

Odwróciła się do Esmelle. Próbowwała trzymać swój gniew w sobie niczym zamknięty szczelnie w butelce, ale nie potrafiła ukryć zdenerwowania. Czowała, jak butelka się trzęsie i dzwoni szkło.

- Tak sądzisz? Na jakiej podstawie?

Esmelle, cicha i eteryczna, uśmiechnęła się tylko.

- Nigdy mu się nic nie stało.

- Jasne. Nic mu się nie stało. Zawsze było świetnie. Nieważne, że nie chciał mieszkać z tobą i pozwoliłaś mu zamieszkać w naszym starym domu. Patrzyłaś spokojnie, jak rozkręca ten

swój czarnorynkowy interes, uczony fachu przez kryminalistów, aby kraść i sprzedawać gwiazdy wiedzą co...

Esmelle, która wszystko załatwiała uśmiechem, znów go użyła i poklepała siostrę po ramieniu.

- Kochana, powinnaś być z niego dumna. Wychowałam go tak, żeby zawsze sobie radził. I był niezależny. Nie możesz mieć do niego pretensji, że zachowuje się tak, jak go nauczyłaś.

Norra roześmiała się pustym, gorzkim śmiechem.

- Nie mam do niego pretensji, Esme. Jestem zła na ciebie. Zostawiłam go pod twoją opieką. Miałaś mu matkować pod moją nieobecność. A teraz widzę, że go sobie odpuściłaś. Czy chociaż próbowałaś się nim zająć?

- Czy próbowałam? - Uśmiech znikł z twarzy Esmelle jak zdmuchnięty wichurą suchy liść. Zmrużyła oczy.

„Dobra - pomyślała Norra - miejmy to wreszcie za sobą”.

- Racz pamiętać, kochana Norro, że odleciałaś, zostawiając dziecko. Ja nie byłabym zdolna zaangażować się w krucjatę jakiegoś szaleńca na drugim końcu galaktyki, zrzucając na innych odpowiedzialność za wychowanie własnego syna. Poza tym... - Esmelle sapnęła z naganą - jeśli zastanawiasz się, czemu twój syn woli towarzystwo kryminalistów, pragnę ci przypomnieć, że twój mąż...

- Zostaw go. - Norra powstrzymała ją gestem.

Esmelle zamrugła i przełknęła ślinę. Jakby nagle spostrzegła, że balansuje na krawędzi przepaści i kamienie zaczynają osuwać się jej spod nóg.

- Chciałam powiedzieć tylko tyle, że chłopak ostatni raz widział ojca wywleczonego przez nich z domu jak pospolity przestępca - wyjaśniła kulawo.

- Brentin był dobrym człowiekiem. Był kurierem rebelii, zanim jeszcze powstała sama rebelia. A teraz dzieje się coś jeszcze ważniejszego: nowy świt, nowy dzień, Nowa Republika. Między innymi dzięki ludziom takim jak on.

Esmelle sceptycznie pokiwała głową.

- Tak. I pewnie ty też uważasz się za bohaterkę. Ocaliłaś galaktykę, ale straciłaś syna. Warto było, kochana siostrzyczko? „Jak możesz... ty podstępna żmijo...”

Do domu weszła Shirene, żona Esmelle. Ujęła Esme pod łokieć i pocałowała ją w policzek.

- Esme, napij się gorącej herbaty? Zostawiłam termozbanek na płycie w kuchni.

- O, tak, tak, chętnie. Zaraz... zaraz przyniosę herbatę. - Esmelle uśmiechnęła się sztywno i pospieszyła do kuchni, jakby tylko o tym marzyła.

Shirene westchnęła. Była pod wieloma względami przeciwieństwem żony — Esme była chuda, o piskliwym głosie i blada jak duch. Shirene dla odmiany była korpulentna, pulchna, a cerę miała ciemną jak świeżo odwrócona skiba ziemi. Krótko ostrzyżone kędzierzawe włosy ciasno przylegały do czaszki. Włosy Esmelle spływały jej na plecy długą srebrną kaskadą.

- Shirene, nie musisz brać udziału w tym...

Kobieta cmoknęła językiem.

- Norro, daj spokój, ja i tak w tym siedzę. I też przegrałam w tej grze. Kocham Temmina jak własnego syna. Ale przypominam ci, że on nie jest naszym synem. - Norra chciała zaprotestować, lecz Shirene ją uciszyła. To jej „cii! było magiczne - łagodne, życzliwe, subtelne, a zarazem stanowcze i bezdyskusyjne. - Tylko nie zrozum mnie źle. Chodzi o to, że zupełnie nie byliśmy na to gotowe. Na niego. On ma twojego ducha. Twojego i Brentina. Niełatwo sobie z nim poradzić, bo jest sprytny jak wąż i bystry

jak mewa. Wybacz Esmelle. I mi też wybacz. Naprawdę nie byliśmy gotowe. A ty postanowiłaś odejść, więc jaki miałyśmy wybór?

- Musiałm odejść. Żeby walczyć.
- Wiem. I przykro mi, że nie znasz losu Brentina.

Rysy Norry stężały. Czuła się tak, jakby dostała w twarz.

Shirene nie chciała tego - po jej minie widać było, że po prostu pragnęła być szczerą, ale nie po to, żeby zranić. Jednak ból był ten sam.

- On nie był kryminalistą.
- Wiem. I Esmelle też to wie.

Za oknami niebo rozdarła błyskawica i przetoczył się grzmot. Deszcz zacinał o ścianę domu. Jak zwykle o tej porze roku, kiedy nadchodziły burze mausim, zapowiadając nadejście pory deszczowej.

- Prawda jest taka - podjęła Shirene - że Temmin troszczy się o nas bardziej niż my o niego. Pomaga nam finansowo. Zawsze wpada tu na początku tygodnia z koszykiem owoców i chlebem; czasami przynosi też suszone mięso wyrg albo tę pikantną kielbasę arguez. Jeśli zepsuje się nam osuszacz powietrza lub pompa powodziowa, zaraz pojawia się z częściami i narzędziami, żeby je zreperować. Jesteśmy parą starych prukw, a twój syn bardzo o nas dba. Będzie nam go brakowało.

- Możecie polecieć z nami. Moja propozycja jest nadal aktualna, więc...

- Cii, Norro. Starych drzew się nie przesadza. Zapuściłyśmy tu korzenie. Wrosłyśmy w te wzgórza jak sad, jak kości w ziemię pod drzewami. Ale ty zabierz swojego syna do jakiegoś lepszego świata.

Norra westchnęła.

- Problem w tym, że on wcale nie chce.

- Nie ma się co dziwić, ma tu swoje życie. Ten jego sklep... „Ten jego sklep”.

Norzę nagle oświeciło.

- Tam musi być - powiedziała z przejęciem. - Temmin nie miał zamiaru się tu ze mną spotkać. Poleciał prosto do swojego sklepu.

„Moim największym błędem było zabranie go stamtąd”.

- To chyba dobrze?

- Bardzo niedobrze! Te zbiry, o których wspomniałam... będą go szukać! Cholera! Że też wcześniej się nie domyślałam. Szturmowcy wcale go nie ujęli. On tylko chciał, żeby tak wyglądało. - Westchnęła, przyciskając dłonie do oczu. Pod powiekami zobaczyła kłębiące się gwiazdy. - Muszę pożyczyć wasz bala-bala - powiedziała.

Shirene uśmiechnęła się smutno.

- Oczywiście, Norro. Dostaniesz wszystko, czego potrzebujesz.

„Przeklęty deszcz!” - Temmin zaklął w duchu. Leżał płasko na dachu piekarni pana Hyor-ka, specjalizującego się w bułeczkach dao-ben, która znajdowała się po drugiej stronie

ulicy, naprzeciwko jego sklepu. Choć okrył się nieprzemakalną płachtą, wszechobecna wilgoć sprawiła, że był mokry jak szczur, który wpadł do cysterny.

Znów podniósł od oczy lornetkę i przestawił ją na tryb nocny.

Dwóch sługusów Surata Nuata - brzuchaty Rodianin i ten oślizgły Herglic - kontynuowało czynności, które wykonywali od dobrej godziny. Wyrzucali fanty z magazynu Temmina na ulicę, ze szczękiem, hukiem i pluskiem. Wtem para kowakiańskich małpojaszczurek opuściła się z sąsiedniego dachu. Błyskawicznie wypatrzyły w stosie na ulicy najbardziej błyszczące kawałki,

chwyciły je i umknęły z nimi, chichocząc jak miniaturowi pomyśleńcy.

A w jego sklepie zaczęło się kucie i wiercenie. Okrzyki i przekleństwa.

Próbowali się przebić do dolnego poziomu. Żeby odzyskać to, co ukradł Suratowi.

To musiała być broń. Teraz był pewien.

Ale cokolwiek to było, obecnie należy do niego. A nie do tego fałdzistego sullustańskiego łba.

Zostawili otwarte drzwi i mógł zajrzeć do środka. Zobaczył znajome, spiczaste stopy swojego osobistego ochroniarza - droida bojowego B1, czyli Pana Bonesa. Stopy były nieruchome. I leżały bokiem, a obok widać było ręce obejmujące piszczele, co oznaczało, że stary droid znajduje się w pozycji złożonej i jest przewrócony. Co gorsza, Temmin dostrzegł lekką niebieską poświatę wokół jego metalowych członków.

Podjeżdżał, że ta poświata oznacza więzy jonowe. To by tłumaczyło, dlaczego Pan Bones nie odpowiadał na sygnały jego komlinka. Musieli unieruchomić droida i uwięzić go w polu jonowym.

Sprytne posunięcie.

To oznaczało, że Temmin ma o jedną opcję mniej. Szkoda, ponieważ z Bonesem miał największą szansę na szybkie (przynajmniej chwilowe) odzyskanie sklepu. Zamierzał posłać przestrojonego i zmodyfikowanego droida B1, żeby trochę ich przetrzepał, a sam w tym czasie przekraść się na dolny poziom i zabezpieczyć swoje skarby.

Niestety, bez tego asa w rękawie pozostała mu dłuższa i dużo bardziej żmudna droga. Musi odnaleźć na mieście któryś z włazów prowadzących do katakumb i podziemnymi korytarzami powrócić do swojego sklepu. Temmin znał drogę i wiedział, że nie

da się jej szybko pokonać. Lepiej więc się pospieszyć. I mieć nadzieję, że dotrze tam, zanim tępaki Surata dojdą wreszcie, gdzie jest ukryte wejście.

Temmin odsunął lornetkę od oczu i...

Zaraz, a to co? Przenikliwy chichot z prawej.

Znał ten odgłos.

I nagły ruch - niewielki przyczajony kształt skoczył ku niemu. Jedna z małpojaszczurek chwyciła lornetkę. Mały demon zasyczał i plunął na niego, a potem dziabnął go zębami w rękę i zaczął ciągnąć lornetkę do siebie.

- Spadaj! Już! - warknął Temmin.

Wtem coś usiadło mu na karku.

Druga małpojaszczurka.

Pazurzasta zmora zaczęła szarpać mu uszy i wrywać pasma włosów z głowy, cały czas upiornie chichocząc. O jedną zmorę za wiele. Lornetka wysunęła mu się z palców i triumfująca małpojaszczurka umknęła z łupem.

Temmin zerwał się na nogi, usiłując ją złapać...

W tym momencie druga małpojaszczurka śmignęła w dół tuż przed nim. Ciało zwierzęcia musnęło jego kostkę, a długi ogon owinął mu nogi. Temmin poczuł ostre szarpnięcie i zleciał z dachu prosto na markizę nad sklepem pana Hyor-ka, stoczył się po niej i z pluskiem wylądował w wielkiej kałuży na ulicy.

Wstał, plując wodą. Ociekające błotem włosy niczym brudny wodospad opadły mu na twarz. Temmin odgarnął je i...

Wygięty czubek ostrza potężnego topora zahaczył o jego nozdrze i zmusił go do uniesienia głowy. Au, au! Topór należał do Herglica, który stał przed nim. Jego paszcza wykrzywiła się w złowieszczym uśmiechu i niezliczone rzędy drobnych ostrych zębów otarły się o siebie z dźwiękiem piły wrzynającej się w drzewo.

- To chłopak! - wrzasnął Herglic. - Mamy chłopaka!

Nad ich głowami małpojaszczurki zaniósł się śmiechem.

Chwiejnie przedziera się przez las. Przez dogasające zgliszczca. Tli się poszycie. Obok wala się spalony, na wpół stopiony hełm szturmowca. Z drugiej strony widać resztki płomieni. W oddali majaczy wypalony wrak AT-AT. Wybuch wysadziłabinę; płaty rozgiętego metalu otwierają się jak olbrzymi kwiat. Tam też pełgają płomienie.

I wszędzie ciała.

Wiele anonimowych, obcych. Przynajmniej dla niego. Ale inne zna. Albo znał. Na przykład ten - młody oficer, Cerk Lormin. Dobry dzieciak. Zawsze na rozkazy. Zgłosił się do sił Imperium, idąc za jego przykładem. Żaden tam zwolennik i wierny wyznawca; nie na dłuższą metę. Niedaleko od niego następny: kapitan Blevins. Całkowicie oddany sprawie. A przy tym choleryk, buc i palant. Krwawa maska zamiast twarzy. W tym wypadku Sinjir ucieszył się, że gość nie żyje. Dalej: młoda kobieta. Kojarzył ją z kantyny, ale nie znał nawet jej imienia, a dystynkcje na piersi pokryła krew.

Kimkolwiek była, teraz jest nikiem. Pożywkę dla lasu. Dla Ewoków. Już tylko gwiazdny pył i nicość.

„Wszyscy jesteśmy gwiazdnympyłem i nicością...”

Absurdalna myśl. Ale nie bardziej absurdalna niż następna:

„Sami sobie to robimy”

Powinien ich winić. Rebeliantów. Słyszy z oddali, jak fetują zwycięstwo. Salwy na wiwat z Masterów. Wrzaski i wycia. Banda kmiotów, którym dano broń do ręki. Prostaccy piloci.

Niech im będzie.

Zasłużyli na swoje święto.

Tak jak my zasłużyliśmy na swoje groby.

Obudził go kamyk. Pach! Odbił się od jego głowy - głowy, której nie miał, bo musiała na nią nastąpić imperialna maszyna krocząca - i upadł tuż przy twarzy, na kupkę podobnych kamyków.

Sinjir z jękiem próbował wstać.

Ziemia krążyła i kołysała się pod nim; miał wrażenie, że spada, choć tak nie było. Musiał przeczekać zawrót głowy.

Zamrugał i rozejrzał się.

Był zamknięty w klatce z żelaznych porzewiałych prętów. Wyglądała jak powiększona klatka na ptaki. Wisiała na grubym ciężkim łańcuchu, opadającym obok poszarpanej, ociekającej wodą ściany skalnej studni, mrocznej i przepastnej.

Pod nim...

Przepaść.

Była to potężna szczelina; czarna głębia pomiędzy urwistymi ścianami połyskującymi od wilgoci w pełgającym blasku ognia płonącego w metalowych koszach rzadko rozmieszczonych wzdłuż przeciwległej ściany. Tam też ciągnął się wąski metalowy podest zakotwiczony w skale.

Jakaś postać chodziła po nim tam i z powrotem. Sakiyanin, sądząc po łysej czaszce i atramentowoczarnej skórze. Strażnik trzymał w ręku napiętą linę, której jeden koniec okręcił sobie na przedramieniu aż do łokcia. Na tej smyczy prowadził czerwonoooką bestię o długim cielsku i skórze równie twardej i pełnej ostrych występów jak skała obok. Wąska paszcza była pełna zębów. Błady brzuch wił się po ziemi.

- Ocknąłeś się - powiedział jakiś głos za plecami Sinjira.

Agent drgnął gwałtownie, aż zakołysała się klatka i ból znów zatętnił mu w głowie. Bał się, że zaraz zwymiotuje.

Obejrzał się i dopiero teraz zobaczył jeszcze z pół tuzina klatek takich jak jego.

Tylko dwie z nich nie były puste.

W jednej znajdował się szkielet. Nie ludzki, ale humanoidalny. Coś z rogiem na głowie. Resztki gnijącej skóry zwisały z kości jak łachmany.

A w drugiej klatce ona - zabrakańska łowczyni głów.

Całe szczęście, że nie przemówił do niego szkielet. Znowu poczuł gulę w gardle.

- Ty... - wydusił z siebie. - Ty rzucałaś kamyki.
- Tak, ja. Ta, którą próbowałeś kupić.
- Nieprawda. To nie tak, jak myślisz.
- A jak?

Oparł czoło o zimne żelazo. Krople wody skapywały mu na głowę i spływały na czubek nosa (*krwawa kapka wisi tam przez moment, zanim ją zdmuchnie...* Pamięć zaczęła wracać z siłą fali sejsmicznej).

- Naprawdę mnie nie pamiętasz?
- Nie pamiętam.

Rozczarowanie ogarnęło go jak ruchome piaski.

- Myślałem, że oboje przeżyliśmy wyjątkową chwilę.
- Najwidoczniej nie.

Endor - powiedział. - Kiedy już było po wszystkim. Kiedy rebelianci świętowali zwycięstwo. Wtedy... wtedy się spotkali śmy.

Zawahała się.

- Och... tak.
- Już sobie przypomniałaś?
- Tak sądzę.

- Dobra, przejdźmy do rzeczy. Nie uważasz, że coś w tym jest? Że nasze spotkanie ma kosmiczne znaczenie? Jakby galaktyka pragnęła nam coś powiedzieć? Po prostu zastanawiam się, jaka była szansa, że znowu się spotkamy?

Prychnęła lekceważąco.

- Nie mam droida, żeby mi to powiedział.

- Powiedzmy, że astronomiczny ułamek.

- I co to oznacza?

- Nie wiem. Po prostu myślę, że nasze spotkanie nie jest przypadkowe. - Nagle z półmroku wystrzelił kamyk i trafił go w głowę. - Auć! Musisz to robić? Już się ocknałem.

- Wszystko coś znaczy, ale nie wszystko jest ważne. Nie wierzę w kosmiczne zbiegi okoliczności. Nie wierzę w magię ani w Moc, ani w rzucanie monet do fontanny na szczęście. Wierzę w to, co widzę, czuję, smakuję i co najważniejsze, co sama mogę zrobić. I ty nic dla mnie nie znaczysz, dopóki nie zaczniesz działać. Jesteś rebeliantem?

Przygryzł wargę.

- Tak...

- Dlaczego tutaj trafiłeś?

- Przyszedłem do Surata, bo chcę się wyrwać z tego dusznego, zielonego kosmicznego zadupia. Może przypadkiem wiesz, co się stało z moim przyjacielem? Tym głowoogoniastym?

- Wynieśli go zaraz po tobie.

- Tak, nie żył.

Sinjir zamknął oczy i zmówił krótką, zdawkową modlitwę za tego nawiedzonego głupola.

„Orgadomie, Orlagummo, Orgie-Borgie czy jak cię tam zwał - nie zasłużyłeś na taki los”.

- A jak z tobą? - zapytał.

Zabrakanka zignorowała pytanie. Wyciągnęła szyję, obserwując coś uważnie.

Podążył za jej spojrzeniem. Po drugiej stronie strażnik z bestią na smyczy zeszli z podestu i zniknęli w wylocie tunelu.

- Zamierzam się stąd ulotnić - oznajmiła.

- O, to świetnie. Może zabierzesz mnie ze sobą?

Sięgnęła do głowy i zaczęła rozgarniać palcami włosy.

Sinjir widział, jak namacała jeden z ostrych rogów, które tworzyły ciernistą koronę, przygryzła wargę i odłamała go z trzaskiem.

- To musiało boleć?

- Nie. Jest sztuczny.

Wyjęła coś z wnętrza rogu - coś metalowego. Jak klucz. I zaczęła gmerać tym w zamku klatki.

Wytrych. Sprytne.

- Możesz ze mną iść, jeśli będziesz przydatny - rzuciła.

- Jestem bardzo przydatny. Wielce pożyteczny rebeliant.

Zamek szczęknął i puścił. Drzwi stanęły otworem.

- Na razie jakoś tego nie widzę.

Wyskoczyła tyłem z klatki i chwyciła jej krawędź rękami. Klatka zaczęła się bujać. Zabrakanka rozhuśtała ją porządnie i w momencie największego wychylenia potężnie zamachnęła się nogami do tyłu, wyginając plecy tak, że Sinjirowi w tej pozycji kręgosłup trzasnąłby jak sople. Stopy śmignęły

w górę i mocno objęły szczyt klatki z łańcuchem. Wtedy puściła ręce i podciągnęła się do góry na nogach.

- Jesteś... akrobatką - powiedział z podziwem.

- A ty jesteś nieprzydatny. Moje kondolencje.

Błyskawicznie zaczęła się wspinać po łańcuchu, znikając mu z oczu w mroku.

„Nie, nie!”

Przecież jest jego jedyną szansą! Trafił do tej klatki, bo chciał ją ratować!

- Zaczekaj! - krzyknął. - Nie jestem rebeliantem! Służę Imperium! - Wydarł się jeszcze głośniejsze: - Były agent wywiadu! Na Endorze ukradłem strój rebelianta! I jego... - Już jej nie

było. Pusta klatka przestała się kołysać. - Identyfikator - dokończył ciszej.

„Podobnie jak tożsamość, statek i jak widać, jego rebeliancką postawę moralną”.

To już koniec.

Jęknął. Miał wrażenie, że teraz już rzygnie.

Wtem jego klatka się zatrzęsała.

Twarcz rogatej kobiety zawisała przed jego twarzą, odwrócona do góry nogami.

Zabrakanka zmarszczyła brwi.

- Agent Imperium. Robisz się całkiem interesujący. I użyteczny. - Łowczyni nagród wyjęła wytrych. - Pomożesz mi upolować mój łup. Jeśli przyjmiesz układ, otworzę drzwi. Od mówisz, a Surat pewnie odda cię Imperium. Słyszałam, że nie pieszczą się zbyt z dezerterami. Kiedyś czekałby cię proces, ale w dzisiejszych czasach zastrzelą cię na ulicy jak byle kundla.

- Pomogę ci, jeśli ty potem pomożesz mi wydostać się z tej planety.

Rozważała przez chwilę jego słowa.

- Dobra.

Dłubiąc wytrychem w zamku, przedstawiła się:

- Jestem Jas Emari.

- Sinjir Rath Velus.

- Miło mi cię poznać. Jeśli spróbujesz mnie zrobić, wypruję z ciebie flaki.

- Zapamiętam.

Otworzyła szeroko drzwi i podała mu rękę.

- Chodźmy.

Toomata Wree - zdrobniałe Tooms - czujnie obszedł sklep chłopaka. Tamci odjechali. Jak tylko dorwali młodego, zaraz przestali kopać i kuć. Surat powiedział, że szybciej bę-

dzie wyciągnąć informacje od chłopaka, choć to niezły cwaniak - ale jak go dobrze przycisną, wszystko wyśpiewa i zdradzi, jak się dostać na dół. A wtedy odzyskają skarb Surata i przy okazji zgarzną jeszcze parę innych rzeczy.

Tooms pogrzebał w kieszeni, wyciągnął spray znieczulający i popsikał sobie obitą twarz. Pss! Pss! Pss! - i ból od razu złągodniał.

Ten droid bojowy tak go urządził.

Droid bojowy, kto by pomyślał?

Ten dzieciak jest nie tylko cwany, ale też piekielnie zdolny.

Zresztą nieważne. Tooms wszedł do magazynu i zaczął się rozglądać. Pomyślał, że poszuka czegoś fajnego na prezent dla swojej dziewczyny, Loody. Właśnie się pokłócili (stale ta sama śpiewka: „Ciągłe tylko pracujesz, Toomata, w ogóle cię nie obchodzę, skoro tak uwielbiasz Surata Nuata, to może zacznij sypiać z nim, a nie ze mną?”), więc przydałoby się coś na zgodę. Tylko co wybrać z tych gratów? Kupa części do droidów, obwody i odłamki statków kosmicznych. Na innych półkach części do osuszaczy powietrza. Pod nimi części do skraplaczy. Potem skrzynki rozdzielcze i bezpieczniki w nadgniętym pudle. I cała skrzynka starych detonatorów termicznych, które teraz mogłyby najwyżej służyć jako przyciski do papieru.

Wtem coś dostrzegł.

Głowę droida translatorskiego stojącą na wysokiej półce. Trochę zmatowiałą, ale nadal lśniącą. Jego Looda kocha błyskotki. Może uda mu się zrobić z tym coś fajnego. Na przykład włożyć do niej krwawe orchidee albo rozciąć, sklepać i używać jako... talerza.

Wyciągnął rękę i sięgnął po nią, ale głowa nie drgnęła. Była przymocowana do półki.

Wczepił palec w oczodoły droida, żeby pociągnąć mocniej ...

Nagle coś szcęknęło i oczy droida z cichym szmerem zapadły się w głąb czaszki.

Otworzyły się drzwi w ścianie wraz z częścią półki. Rodianin poczuł delikatny powiew i zobaczył za nimi schody prowadzące w dół. To jest to! Odkrył wejście do podziemi! Do tajnego magazynu Temmina Wexleya. Tooms sięgnął do pasa po komunikator, ale się zawahał. Może najpierw zejdzie tam i sam się rozejrzy. Rozumiecie, Looda...

Zachichotał i ruszył ku drzwiom.

- Gdzie jest mój syn? - zapytał głos za jego plecami. Kobięcy głos.

Rodianin zacisnął wąskie skórzaste wargi i zrobił błyskawiczny półobrót, jednocześnie sięgając po blaster...

Kobieta strzeliła pierwsza.

Strzał trafił go w brzuch. Krzyknął i zachwiał się do tyłu, usiłując unieść broń, ale kobieta strzeliła drugi raz i blaster wypadł mu z ręki. Tooms zgiął się wpół, łapiąc się za rozdarty, dymiący brzuch.

Podeszła bliżej i zsunęła kaptur, odsłaniając twarz. Ciemne oczy świdrowały go stalowym spojrzeniem. Poznał ją - to ona była dziś rano w sklepie. Bruzdy na jej twarzy pogłębiły się. Matka chłopaka wraziła mu lufę pod brodę, zmuszając, by podniósł głowę.

- Pytam jeszcze raz: gdzie jest mój syn Temmin?

But cisnął kark Temmina.

Ręce miał ciasno związane za plecami, oplecione łańcuchem i unieruchomione magnetycznymi kajdankami. W ustach czuł posmak krwi i pyłu.

- Okradłeś mnie - powiedział Surat, mocniej naciskając mu kark butem. Temmin usiłował nie krzyczeć, ale bolało strasznie i z

jego gardła wydobyło się niekontrolowane, niemal zwierzęce wycie.

Znajdowali się w gabinecie Surata. Pomieszczenie miało wystrój prosty, wręcz surowy - czerwone ściany zdobiły jedynie rzędy wiszących kajdanek. Pośrodku stało biurko, którego blat stanowiła płyta karbonitu z zamrożonym w niej Sullustaninem. Na blacie leżał blaster i stał kubek z kolekcją piór oraz flaszka atramentu. Poza tym w pokoju był jeszcze tylko jeden mebel - wysoka, czarna biurowa szafa, zamknięta na zamek magnetyczny.

- Ja... ja nie chciałem - wyjąkał Temmin. - To był przypadek. Nie wiedziałem, że...

Oderwał się od podłogi. To Herglic uniósł go jednym ruchem.

Surat stanął przed chłopakiem i wysunął wargi, jak gdyby chciał pocałować powietrze. Sullustański gangster przesunął palcami wskazującymi pod zwisającymi fałdami policzkowymi, usuwając spod nich brud, po czym strzepnął go kciukami i powiedział:

- Kłamiesz, chłopcze. A może nawet i nie kłamiesz, ale czy to ważne? Wyciąłeś mi numer i należy ci się kara. Chyba nie myślałeś, że ci odpuszczę?

- Nie, ale mam nadzieję, że...

Sullustanin chwycił Temmina za gardło i ścisnął. Krew zadudniła chłopakowi w skroniach, kiedy zaczął rzeźnić i charczeć, rozpaczliwie walcząc o oddech. Poczzerwieniała twarz pulsowała boleśnie. Czerń rozlewała się na obrzeżach pola widzenia, pochłaniając je niczym potop czarnego oleju.

- Jedyłą Nadzieją, jaką znałem, była koreliańska niewolnica. Była dla mnie miła, a ja dla niej. Przeważnie.

Władca zbrodni zwolnił uścisk. Tlen znów popłynął przez płonącą tchawicę Temmina. Spazmatycznie łąpał oddech i kaszłał, a ślina ściekała mu z kącików ust.

Herglic podciął mu kolana od tyłu i Temmin znów upadł. Mając ręce skrępowane za plecami, mógł tylko asekurować upadek barkiem, unikając uderzenia głową w metalową podłogę.

- Pozwól, że najpierw opowiem ci o sobie - rzekł Surat. - Wtedy zrozumiesz, do czego jestem zdolny. Zabiłem swoją rodzoną matkę, bo śmiała mi robić wymówki. Mieszkaliśmy w szybie wiatrowym na Sullust i cisnąłem ją na łopaty turbiny. Kiedy ojciec ją znalazł, oczywiście chciał zrobić ze mną to samo. Śmieszne! Był wrażliwcem i mięczakiem. Próbował mnie uderzyć, więc podciąłem mu gardło nożem stołowym. Dopiero mój brat okazał się prawdziwym wyzwaniem. Walczyliśmy ze sobą całe lata, ciągle dybiąc jeden na drugiego. Był bezwzględny. O, tak, Ruthar był godnym przeciwnikiem. -Gangster w zamyśleniu pokiwał głową, jakby opadły go wspomnienia. - To on. - Pokazał na biurko. - Zamroziłem go w karbonicie na pamiątkę. Niektórzy twierdzą, że przejąłem ten trik od Imperium, ale zapewniam cię, że było odwrotnie.

- Proszę - jęknął Temmin, a bąbelki śliny wyływały mu z ust i pękały na wargach. - Daj mi szansę, żebym mógł naprawić swój błąd. Odwdzięczę ci się. Będę twoim dłuż...

- Powstaje pytanie, co mam ci teraz zabrać? Ucho? Rękę? Brat w finałowej walce oślepił mnie na jedno oko. - Surat przekrzywił głowę i popatrzył na Temmina ślepym, mlecznym okiem w oprawie pokiereszowanego oczodołu. - I to stało się od-tąd moją zasadą. Wróg musi mi zapłacić czymś żywo-tnym i ważnym. Nie tylko pieniędzmi. Kredyty są takie pospolite. Chodzi o

coś naprawdę niezbędnego. Kawałek siebie, który ofiaruje i który zostanie przyjęty. Co mi ofiarujesz?

- Nie, nie! Możesz wziąć mój sklep, przejąć moje droidy. Oddam ci broń, wszystko. Pogadajmy o tym. Spróbujmy coś ustalić, dobrze?

Surat westchnął.

- Czas na rozmowy już minął, przykro mi. - Nagłym gestem uniósł palec i szeroki uśmiech rozjaśnił mu oblicze. -Ach! No jasne. Lubisz rozmawiać, prawda? Mogę przyjąć twój język.

Temmin ugiął nogi i spróbował wstać, z okrzykiem bólu i strachu. Herglic kopnął go w bok i z powrotem obalił na ziemię. Oślizgły brutal zarechotał ubawiony.

- Gor-kooda, zaprowadź go do lochu. Ja się przygotowuję. - Surat żwawo podszedł do szafki i podciągnął rękaw, odsłaniając bransoletę. Przyłożył przegub do magnetycznego zamka. Rozległo się ciche kliknięcie.

Kiedy Gor-kooda wywlekał z pokoju wrzeszczącego i wierzącego Temmina, gangster wyjął z szafki długi chirurgiczny fartuch i zaczął go nakładać, nucąc przy tym pod nosem, jak to miał w zwyczaju.

- Czy to takie ważne?

- Owszem, ważne.

- Nie musimy się nim przejmować.

- Zaraz utną mu język.

- Och, nagle zrobiłaś się wrażliwa? Myślałem, że pomagasz tylko tym, których uważasz za... jak to określiłaś? Użytecznych?

- Ten chłopak jest użyteczny. Liczę, że naprawi moją broń. Inaczej bym się nim nie przejmowała. A ty?

Sinjir przygryzł wargi. Znów opadły go pytania: „Jakim jestem człowiekiem? Czy potrafię zerwać z przeszłością? Czy teraz jestem już inny, czy stale ten sam?” Tamtego dnia na Endorze za-

sza w nim przemiana. Coś w nim umarło. Nagła porażająca świadomość utraty wszystkiego uczyniła z niego nowego człowieka.

Ale jakiego? Kim jest teraz?

Tchórzem czy też kimś większego i lepszego formatu?

Oboje siedzieli przyczajeni w jednym z tuneli ciągnących się pod Alkazarem - knajpą i kryminalnym królestwem Surata. Kiedy łowczyni nagród uwolniła go z klatki, długo błądzili w ciemnościach, szukając drogi wyjścia - i w pewnym momencie usłyszeli głosy dobiegające z pobliskiego pomieszczenia. Zorientowali się, że Surat przesłuchuje i torturuje jakiegoś chłopaka.

Ciężkie kroki Herglica zbliżały się w akompaniamencie jęków i okrzyków więźnia, punktowanych łomotem rąk i nóg młócających ściany w daremnej próbie wyrwania się losowi.

- Ty pierwszy. - Jas syknęła Sinjirowi do ucha.

I wypchnęła go na spotkanie Herglica.

Wielkiej bestii, błyszczącej od śluzu. Olbrzyma o maleńkich oczkach osadzonych w masywnej głowie - monolicie pozbawionym szyi. Z masą drobnych zębów w szerokiej żabiej paszczy, bez podbródka.

- Hęę? - mruknął Herglic.

Sinjir sprężył się i z całej siły kopnął bestię w kolano. U istot humanoidalnych jest to słaby punkt, ale w tym przypadku poczuł, jakby kopnął w drzewo. Łup! Herglic spojrział tylko w dół i prychnął. A potem puścił chłopaka i chwycił Sinjira obiema łapskami, tak potężnymi, że mógłby skręcić skuter w precel. Ale były też oślizgłe, toteż Sinjirowi udało się z nich wymknąć i niezwłocznie przejść do następnego słabego punktu - gardła potwora. Obrócił się, usiłując objąć szyję Herglica i... Ups, ten gość nie miał żadnej szyi! Gor--kooda zarechotał i ostro szarpnął potężnym cielskiem w prawo, a potem w lewo, rzucając przeciwnikiem po ścianach.

Sinjir zobaczył gwiazdy przed oczami, a mózg miał zbełtany jak koktajl.

Głos. Jej głos. Rogatej Zabrakanki.

- Nos - powiedziała.

Wyprowadziła cios płaską dłonią. Prosto w nos bestii.

Herglic zawył z bólu i zacisnął powieki. Z otworów nosowych zaczęły mu wyciekać śluzowate gluty i nieszczęsny olbrzym złapał się za twarz, jakby go paliła.

- Bierz chłopaka - poleciała.

Sinjir okrążył wielkie cielsko i pomógł chłopakowi podnieść się z ziemi. Dzieciak wyglądał jak uliczny włóczęga. Miał ogorzałą cerę i długie włosy związane w niechlujny węzeł. Ktoś musiał się dobrze nad nim napracować, gdyż na opuchniętej twarzy miał świeże sińce, a warga była rozcięta.

- Ekipa ratownicza - powiedział Sinjir z chłodnym uśmiechem.

Popchnął chłopaka naprzód, jak najdalej od Herglica, młócacego na oślep łapskami.

Chłopak popatrzył na łowczynię nagród.

- Znam cię - powiedział.

- Pogadamy o tym później - ucięła. - A teraz zmiatamy stąd. Już!

To było jej życie. Awanturnicze. Niełatwe. Raz na wozie, raz pod wozem. Łowcy nagród są dobrzy w swoim fachu, ale nigdy nie wiedzą, co ich spotka. Cholerne zajęcie! Taka robota nie jest dla każdego. Można by pomyśleć, że zlikwidowanie jakiegoś bukmachera z Quarren, który orznął Imperium, to bułka z masłem - a tymczasem w praniu się okazuje, że gość ma szóstkę głowoo-goniego rodzeństwa, które wygląda jak jego klony. Za chwilę przychodzi kolejne zlecenie i tu już naprawdę nie powinno być komplikacji. Ot, po prostu trzeba zabić niepozornego księgowego

z syndykatu Czarne Słońce. Już prawie go masz, kiedy nagle wychodzi na jaw, że jest zlecenie na ciebie, i zanim się obejrzyysz, lądujesz w ładowni statku należącego do tej flei w bandażach, łowcy Dengara. A twoja niedoszła ofiara spieprza ile mocy w dyszach w najdalszy kąt Rubieży. Albo myślisz sobie: „Tak, wyeliminuję tę narwaną rebeliancką księżniczkę-wojowniczkę, skoro Imperium sobie tego życzy”. Ale potem widzisz, jak rebelianci odwracają bieg historii i uświadamiasz sobie, że silniejszy nie jest już zwycięzcą, więc jeśli chcesz przeżyć, musisz albo zmienić strony, albo po prostu zniknąć.

Niedawno myślała podobnie: „Mam tylko sprzątnąć Arsina Crassusa”. Pach, jeden strzał, zrobione.

Tymczasem znany schemat upiornie się powtórzył. Już miała strzelić, kiedy spostrzegła, że trafiła na kolekcję imperialnych tuzów, których głowy były warte majątek. Nic, tylko do nich walić! A w następnej chwili zwała się razem z masztem, uszkodzając broń. Jakby tego było mało, miejscowy mafijny boss z manią wielkości dorwał ją i musiała uciekać z jego więzienia i lokalu, ale kiedy wyszła na górę i zmierzała do drzwi...

Zobaczyła dwóch imperialnych oficerów w asyście czterech szturmowców oraz kolejny rzut Suratowych zbirów. Nie mówiąc już o posiłkach, które mogły się zjawić w każdej chwili. Teraz też.

Bo uciekła im po raz drugi. I przy okazji uwolniła dwóch innych więźniów.

Po prostu w tym zawodzie nic nie może być proste i tak łatwe, jak się wydaje. Nawet karkołomne zadania okazują się jeszcze trudniejsze. Cóż, takie życie wybrała.

Jas nauczyła się działać bez paniki. (Albo przynajmniej trzymała ją na wodzy. Strach może działać mobilizująco, ale nie możesz pozwolić, żeby przejął nad tobą kontrolę).

Bar i sala gier były pełne, nawet o tak wczesnej porze. Wydawały się wręcz bardziej zatłoczone niż przedtem. Opary dymu wisiały w powietrzu; tak gęste, że można je było kroić. W obu salach słyhać było stały, jednostajny łomot, złożony z głośnego gwaru, przekleństw i okrzyków, stukotu kości, terkotu kulek, szmeru kart, dźwięku szkła.

Musieli się przekraść bokiem do małych drzwi prowadzących na zewnątrz. Zwanych drzwiami wstydu. Jeśli urznąłeś się skee, przegrałeś portki przy ruletce Kessela albo zapoznałeś kogoś i chcesz ulotnić się dyskretnie - wybierz drzwi wstydu. Bo jeśli nie, usuną cię po cichu ludzie Surata. W tak kulturalnym lokalu nie wypada po prostu wywalać gości na ulicę. To mogłoby zniechęcić niektórych wrażliwych graczy, gotowych wydać tu większą liczbę kredytów.

Sęk w tym, że drzwi wstydu były zawsze strzeżone.

Dzisiaj na warcie stał Ithorianin z jedną połową młotowatej głowy owiniętą bandażem zakrywającym także oko.

Jas nie podzieliła się z towarzyszami swoim planem.

Po prostu ruszyła przed siebie, przyzywając ich gestem.

Ithorianin zagulgotał coś na ich widok w swoim rodzinnym języku i dał znać gestem, żeby się cofnęli...

Wtem jego zdrowe oko rozszerzyło się gwałtownie. Poznał ich.

- Hej, wy! - zawołał w basicu.

Jas skoczyła na niego, oplotła mu tułów jedną nogą, okręciła się na nim jak na drążku i wykorzystując moment odśrodkowy, trzepnęła bokiem jego głowy w kamienną ścianę. Jedyne oko zamknęło się i strażnik upadł jak podcięte drzewo ashsap.

Sinjir rzucił się do drzwi i zaklął szpetnie:

- A niech je czarna dziura pochłonie, pieprzone gwiazdne wrota! - Kopnął w nie z wściekłością.

Jas początkowo nie wiedziała, o co mu chodzi, ale zaraz zobaczyła.

Drzwi były zamknięte. Na ścianie za strażnikiem znajdował się panel szyfrowy: trzy różnokolorowe metalowe płytki umieszczone w kole. Czy wystarczy, że naciśniesz je we właściwej kolejności i przekręcisz koło, żeby zamek się otworzył? Zapewne tak. Problem w tym, że nie znali właściwej kombinacji.

Dałaby całą swoją planetę za droida astromechanicznego.

Wtem wyczuła ruch...

Po drugiej stronie sali, przy przejściu do baru, szturmowiec jedną ręką trącił w ramię imperialnego oficera. A drugą?

Drugą wycelował w nich z blastera.

- Zobaczyli nas - syknęła.

Zręcznym ruchem nogi wykopała broń z kabury leżącego Ithorianina i chwyciła ją w locie.

Za nimi, z drzwi, przez które tu weszli, wyłoniła się trójka ludzi Surata.

- Tam! - wrzasnął Rodianin. - Zabić ich!

Uniósł pistolet - mały, strzałkowy BlasTech - i wystrzelił.

Jas chwyciła Temmina, zakreśliła nim i odrzuciła na bok.

Laserowa strzałka ze świstem przemknęła koło nich i uderzyła w zamek. Panel wyskoczył w gradzie iskier i spadł ze ściany jak obraz w czasie trzęsienia ziemi. Jas zaklęła przez zęby. „Tędy nie da się wyjść”.

Myliła się. Drzwi zadrżały, zaiskrzyły i otworzyły się zapraszająco z cichym szmerem. System zadziałał na ich korzyść.

- Biegiem! - krzyknęła, wypychając chłopaka i byłego agenta na zewnątrz, prosto w siekącą ulewę.

Zrobiła jeszcze unik przed strzałem i jednym skokiem znalazła się na ulicy.

Burza szalała. Woda spływała krętą uliczką, zamieniając ją w rwący potok. Odbite w nim światła neonów pełzały po nurcie jak fosforyzujące, różowe ślimaki. Deszcz był tak gęsty, że ograniczał widoczność prawie do zera. Wtem niebo rozdarł jaskrawy zygzak błyskawicy i po chwili ziemia zadrżała od uderzenia pioruna. Na moment wszystko zalał upiorny blask.

„Wybierz kierunek” - ponagliła się w myśli Jas.

Dala krok w jedną stronę...

- Tam są! - Rozległ się okrzyk i za ścianą deszczu zamajaczyły białe postacie.

Szturmowcy. Przyszli tu od frontu Alkazaru. Jas oddała kilka strzałów, po czym popchnęła chłopaka i Sinjira w przeciwnym kierunku.

Puścili się biegiem ulicą, rozchlapując wodę. Każdy krok groził potknięciem na popękany plastobetonie i wpadnięciem w zalane rowy, gdzie deszcz mógł ich utopić jak niechciane kociaki. Pędem skręcili za róg i...

W świetle błyskawicy zobaczyli przed sobą mur ślepego zaułka.

W oddali przez szum ulewy przebijały się głosy, tupot nóg, plusk wody

Uliczka miała być ich wybawieniem, a teraz śmierć zajrzała im w oczy.

- Jesteśmy w potrzasku - powiedział Sinjir.

Temmin szturchnął Jas brakiem.

- Kajdanki! Przestrzel je!

Odwrócił się do niej i wyciągnął ręce za plecami. Jas przytrzymała chłopca za przegub i przyłożyła lufę skradzionego blastera do kajdanek.

Pociągnęła za spust. Buchnął czerwony blask i dym poszedł z lufy. Pocisk ze zgrzytem przebił się przez okowy i Temmin z

wrzaskiem zachwiał się w przód, wymachując uwolnionymi rękami, jakby ukąsiła go pszczoła.

- Chodźcie - rzucił szybko. - Drabina burzowa!

Pokazał na ślepy koniec alejki. Rzeczywiście, była tam drabina - łańcuchowa, zwinięta na krawędzi wąskiego dachu. Jas skinęła głową. Burzowa drabina. Świetnie. Instalowano je po to, żeby w czasie gwałtownych ulew można było szybko ewakuować się z ciasnych zaułków przed falą powodziową. Były na wielu dachach.

Wszyscy troje rzucili się tam. Temmin zaczął macać ścianę, aż natrafił na przycisk.

Wdusił go nasadą dłoni. Nad ich głowami rozległ się zgrzyt i drabina uwolniona z zacisków ze szczękiem opadła przy ścianie.

Kroki. Okrzyki. Pewnie już skręcają za róg, o kilkadziesiąt metrów od nich. Seria z blastera z sykiem przebiła deszcz i z hukiem odprysnął kawałek ściany. Temmin zaczął się wspinać na drabinę.

Nagle w górze brzęknął metal i przeciągły, głośny zgrzyt odbił się echem w zaułku.

Górne zaczepy drabiny puściły, gdy kotwy wyskoczyły ze ściany. Temmin spadł z metrowej wysokości na plecy i na moment stracił oddech. Jas krzyknęła ostrzegawczo i chłopak odtoczył się błyskawicznie na bok. W samą porę, bo na miejsce, w którym przed chwilą miał głowę, gruchnął zaczep z łańcuchami.

Jas pomogła mu wstać.

Jedyna droga ucieczki została przerwana.

Już nie musieli się bać strzałów, bo wrogowie mieli ich jak na patelni. Zbliżał się do nich zadziwiający mieszany skład - ramię w ramię imperialni i kryminaliści. Zbiry Surata po bokach, a w środku imperialni - jeden oficer i czterech szturmowców. Ofi-

cer, gryziپیۆrek z długim nosem, szczyrzył się, jakby zaraz miał zjeść pierwszy kęs pieczonego ptaka w Dniu Założyciela.

- Rzuć ten blaster! - zawołał, przekrzykując szum ulewy.

Jas wciągnęła powietrze, gorączkowo rozważając inne opcje ucieczki. Wypchnąć chłopaka i agenta przed siebie, wskoczyć im na barki i popędzić do przodu, skacząc po hełmach szturmowców jak po kamieniach w nadziei, że element zaskoczenia i zła widoczność ułatwią ucieczkę. I że wróg zadowolony się imperialnym zdrajcą i chłopakiem.

Nie da rady. Zbyt ryzykowne.

Prychnęła wściekle, upuszczając blaster w wodę omywającą jej nogi.

Znów zajaśniała błyskawica.

Wtedy to zobaczyła.

„O mało nie zmiażdżyło mi głowy pomyślał Temmin, czując, jak woda wlewa mu się do uszu. Nad nimi ciężkie, burzowe chmary pęczniały od energii - aż wreszcie znalazła ujście i potężne wyładowanie rozgałęziło się na niebie. Kobieta -łowczyni nagród, o ile pamiętał - wyciągnęła do niego rękę i pomogła mu wstać.

Ciągle był oszołomiony, lecz nie na tyle, aby zrozumieć, że już po sprawie. Przedstawienie się skończyło. Byli jak droidy na złomowisku czekające na zgniatarkę.

Kazali Jas rzucić broń.

Zawahała się, ale posłuchała.

Temmin zadrżał. Wolność była tak blisko! Tym razem Surat weźmie sobie coś więcej niż język. W tym momencie zabłysła kolejna błyskawica. Na twarzy Temmina pojawił się uśmiech.

Jej blask oświetlił postać stojącą na dachu górującego na tyłach oddziału wrogów. Kiedy wyładowanie wygasło, postać skryła ciemność. Ale pod powiekami Temmina przez chwilę trwał jej

powidok, niczym kontur na kliszy. Znał ten szkieletowaty kształt. Tę głowę wydłużoną jak dziób. I okrągłe stawy.

„Pan Bones!”

Znów błysnęło...

Zobaczył go. Już w locie. Zwiniętego, szczypcowatymi rękami obejmującego kolana, koziołkującego w dół, uchwyconego w świetle błyskawicznego flesza. I znów połknęła go ciemność.

Ale nie zniknął.

Wylądował na ulicy z twardym łomotem i z pluskiem.

I się zaczęło.

„To, co się dzieje, przypomina najgorszy koszmar” - pomyślał Sinjir. (Choć w tym przypadku koszmar byłby dla nich pomyslnym snem). Stali biernie, czekając, aż ich pojma, gdy nagle zobaczył coś - ruch w powietrzu, wirowanie. A potem to coś wylądowało.

Imperialni i najemnicy Surata nie zareagowali natychmiast.

Za późno, jak się zaraz okazało.

Dwa stłumione krzyki, błyskawicznie uciszone - i dwa białe hełmy szturmowców odskoczyły do góry, kręcąc się jak fajerwerki. W następnej sekundzie Sinjir skorygował swoje spostrzeżenie: „Nie hełmy, lecz głowy z hełmami”.

Dwaj pozostali szturmowcy obrócili się ku nim, podobnie jak banda Surata. Zanim oficer zdążył skojarzyć, co się stało, został zwalony z nóg, kiedy coś wparowało pomiędzy nich, młócąc jak oszalały kombajn. Jakiś cień, jakiś kształt o kościstych członkach krążył pomiędzy nimi, a brzęczące wibroostrze siekło bez litości. Preraźliwe krzyki wypełniły powietrze. Pruli do niego seriami, ale to coś było szybkie, za szybkie, nieprawdopodobnie szybkie i w końcu rozstrzelali się nawzajem, kiedy przypadło do ziemi i odbiegło błyskawicznie jak spłoszony pająk. Wpadło na oficera w momencie, gdy podnosił się z ziemi. Został ponownie powalony i

zmiażdżony. Trzaskowi łamanych kości przez chwilę towarzyszył wrzask, ale szybko się urwał.

Sinjir stał z rozdziawionymi ustami.

„Co to jest, do gwiazdnej cholery?”

Chłopak nagle szarpnął go za łokieć.

- Musimy uciekać!

Sinjir posłusznie kiwnął głową. Tak, tak, trzeba.

Biegli. Pośród chaosu żywych ciał walczących w deszczu z pojedynczym, szalonym droidem bojowym, który teraz nucił fałszywie jakąś piosenkę, kosząc swoim ostrzem zbirów Surata niczym opętany, wirujący demon.

Temmin biegł tak szybko, że omal nie upadł w wodzie, stawiającej opór nogom. Nie pomagało mu, że był głodny, obity i nakręcony adrenaliną do granic, aż bał się, że lada moment rozpadnie się na molekuly.

Nagle zastąpił im drogę wielki trzyoki przypominający kozę Gran - kolejny z osiłków Surata. Zabczał ostrzegawczo i wycełował w nich miotacz sieci. Temmin napiął się czujnie, czekając na strzał. Ale strzał padł z tyłu i nagle trzy oczy potwora opadły na swoich wyrostkach, a on sam zwałił się gębą w wodę.

„Mama!”

Z tyłu stała Norra, obejmująca nogami skuter bala-bala - wąski, mocny, zwrotny skuter, przeznaczony do jazdy w ciasnych kanionach ulic Myrry. Rano i wieczorem na CBD, przelotowej arterii miasta, utykało w korkach tysiące takich pojazdów: każdy w innym kolorze, każdy jakoś tam spersonalizowany przez swojego właściciela. Ten akurat był niebieski, z solidnym koszem na zakupy z tyłu, z hakiem holowniczym i łańcuchem.

Temmin od razu rozpoznał skuter swoich ciotek.

Norra przyzwała go gestem:

- Chodź, szybko!

Temmin jedyni skokiem usadowił się za matką. Norra pokręciła gaz, ale krzyknął do niej, żeby jeszcze nie ruszała i pocze-kała na jego przyjaciół. Odwróciła się do niego ze zdenerwowaną miną.

- Musimy się spieszyć - powiedziała błagalnie.
- Oni mnie uratowali. Albo ich zabierzesz, albo zostaję.

Kiwnęła głową.

Wysoki mężczyzna, który towarzyszył łowczyni nagród, rzucił się przed siebie, chcąc uniknąć trafienia. Omal nie upadł, ale zdążył uchwycić się skutera. Temmin pokazał mu kosz na bagaż. Mężczyzna skrzywił się lekko, ale wszedł tam i z trudem się umościł, jak duże zwierzę w za małej klatce.

- A co z nią? - krzyknął do Temmina.

W tym momencie nadeszła tyłem Jas, cofająca się z blasterem w rękę. Najwyraźniej ubezpieczała ich ogniem.

Łowczyni nagród odwróciła się i zobaczyła skuter.

A potem wszyscy czworo zerknęli na siebie w panice.

Drzwi baru otworzyły się z hukiem i wylała się z nich nowa nawała zbirów, z Herglikiem na czele. Surat kroczył za nim, ciągle jeszcze w swoim chirurgicznym fartuchu. Krzyczał wściekle, pokazując na nich.

Łowczyni nagród ruszyła biegiem, upychając blaster za pasem.

Biegając, klasnęła i zawołała do wysokiego mężczyzny:

- Rzuć mi ten łańcuch!

Posłusznie zebrał łańcuch i cisnął jej koniec. Sprawnie złapała go w powietrzu i błyskawicznie opasała nim ciało martwego Grana.

Temmin zrobił wielkie oczy. Czy ona robi to, co mu się wydaje?

Nie mylił się. Kobieta, kuląc się pod ogniem kanonady, wrzasnęła:

- Jedź, jedź, jedź!

Norra dodała gazu do oporu. Bala-bala stanął dęba i wyrwał do przodu jak tantaun, któremu ktoś nadepnął na ogon. Trzyokie ciało ruszyło za nim; najpierw sunęło, po ziemi, rozbryzgując wodę, lecz chwilę później poszybowało nad ulicą.

Łowczyni nagród zdążyła dosiąść trupa i jechała na nim, jakby robiła to całe życie. Ot, kolejny dzień z życia Jas Emari.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W otchłani Zewnętrznych Rubieży lekki krążownik gwiazdny typu Carrack o nazwie „Oculus” unosił się bez ruchu pośród pola kosmicznych odpadów. Tymi odpadami były zamienione w pył resztki komety Kinro - ciała niebieskiego, które wiele eonów temu miało przelecieć przez Światy Jądra, zagrażając kilkunastu planetom i ich mieszkańcom. W książkach historycznych sugerowano, że Jedi połączyli swoje siły i zdolności - kilkunastu straciło przy tym życie (a niektórzy rozum) - i w rezultacie udało im się doprowadzić do rozpadu komety, zanim zdążyła dotrzeć do Środkowych Rubieży.

Choraży Deltura nie myślał o tej historii. Nie dlatego, że nie interesowały go galaktyczne dzieje. Wręcz przeciwnie. Jego ojciec był miłośnikiem historii, a w ich domu regały z książkami i stopy map zdominowały nieliczne meble.

Jednak w tym momencie resztki komety interesowały go wyłącznie jako idealne schronienie dla statku i jego załogi.

Zerknął na młodą Togrutankę siedzącą obok niego - oficer naukową Nirriian. Pytającą obróciła ku niemu głowę. Nirriian była zimna i efektywna. Praca nade wszystko. Swoje lekku odkładała do tyłu i związywała cienką czarną linką. Na niego i na innych patrzyła jak na insekty przyszpilone do tablicy. I to właśnie w niej lubił. Dlatego była taka świetna we wszystkim, co robiła. A skoro już mowa o...

Skinął do niej.

- Wystrzel probota - powiedział.

Przytaknęła.

- Wystrzelam sondę szpiegowską; destynacja: Balki. -
Wcisnęła klawisz i w pustce rozszedł się obłoczek gazu, kiedy z wyrzutni wyleciał probot.

Był to droid imperialny ukradziony i przekonwertowany na rozkazy i cele Sojuszu, to znaczy Nowej Republiki.

- Wszystko gra? - zapytał.

Niirian przestawiła pokrętko na konsoli i nacisnęła włącznik. Ekran momentalnie zapełnił się danymi, a z głośnika popłynęła dziwna zaszyfrowana pieśń droida.

- Przesyła już dane o atmosferze.

- Dziękuję, oficer Niriian.

Ujął jej dłoń i ucałował.

Odpowiedziała skromnym uśmiechem. Ten uśmiech był dla niego jedną z najpiękniejszych, najcenniejszych rzeczy. Fakt, że tylko jemu udało się przełamać lodowy mur, który wzniosła wokół siebie ta zimna księżniczka, sprawił, że Deltura uwierzył w siebie, w ich związek i w Nową Republikę. Ba, nawet w całą galaktykę! Jego optymizm rozkwitał.

Wybrał połączenie i na ekranie pojawiła się twarz Ackbara. Admirał wyglądał na zmęczonego. Trudno się było temu dziwić. Wysilek utrzymywania w ryzach rozlatującej się

galaktyki był ogromny. Deltura mógł sobie tylko wyobrazić, jakie brzemień dźwiga Kalamarianin.

- Probot wystrzelony - zameldował Deltura.

- Doskonale - odpowiedział admirał. - Widzimy się za sześć godzin, chorąży.

Sześć godzin: po tym czasie szpiegowska sonda wleci na orbitę Akivy. Nawet stąd było już ją widać - mała kulka unosząca się daleko za polem kosmicznego pyłu.

Niriian znów się uśmiechnęła.

- Mamy czas. Kolacja, a potem odpoczynek?

- Kolacja, coś jeszcze, a potem odpoczynek?

Zaśmiała się dźwięcznie.

Spory ciągnęły się aż do wieczora i były tak samo gwałtowne jak burza, szalejąca za oknami pałacu satrapy. (Jakkolwiek satrapa wydawał się jedyną osobą obojętną na wszelkie burze, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz swojego pałacu. Siedział w kącie z głową opartą o ścianę i chrapał).

- ..nie możemy zapominać, że mamy jeszcze kredyty - powiedział Arsin Crassus, postukując kłykciami w stół. Zawsze tak robił, gdy dochodził do ważnego miejsca w swoich wystąpieniach - i miało się wrażenie, że składają się one wyłącznie z ważnych słów, gdyż bębnił z irytującą częstotliwością. - Kredyty do wydania na to, czego potrzebujemy.

Jylia Shale słuchała z kamienną twarzą. Prawie się nie poruszyła w ciągu ostatnich paru godzin, jakby to wszystko wcale jej nie męczyło - czego nie można było powiedzieć o innych.

- Kredyty nie odkupią dla nas galaktyki - powiedziała. - Nie kupią serc i umysłów jej mieszkańców. Poza tym imperialne zasoby nie są już tak imponujące, jak były kiedyś, Arsinie.

- Nadal zachowaliśmy rezerwy, a Klan Bankowy ma kapitał, realny kapitał, z którego możemy uszczknąć...

- I wepchnąć galaktykę w recesję? - prychnęła Shale z irytacją. - O tak, na pewno zyskamy w ten sposób zaufanie społeczeństw.

- Nie chodzi o to, by zjednać sobie wszystkich - odpowiedział Crassus. Stuk, stuk, stuk. - Już ci mówiłem, że najlepszym wyjściem będzie formalne ustanowienie Imperium w wersji okrojonej. A potem zawarcie rozejmu z tymi parszywymi psami z Nowej Republiki, abyśmy mogli podążać swoją drogą, a oni swoją. I tak tkwimy już w pacie zimnej wojny z tymi, którzy obstawili

nasze terytoria swoimi ludźmi, więc wystarczy jedynie usankcjonować ten stan.

Shale przewróciła oczami.

- Jasne, przedzielcie murem środek galaktyki. Oni zachowają swoją połowę, a my swoją. To nie działa w ten sposób. Pozwólcie, że wyrażę się z okrutną jasnością, mówiąc do wszystkich, którzy jeszcze chcą słuchać: przegraliśmy tę wojnę. Prowadziliśmy ją głupio, z nadmierną pewnością siebie i brawurą, a teraz płacimy za to ogromną cenę. Nie mamy podstaw, aby żądać rozejmu. Nowa Republika nie pozwoli, żebyśmy zabrali swoje zabawki i osiedli na Zewnętrznych Rubieżach. Będą nas ścigać aż do skutku. Będą traktować nas jak zbrodniarzy wojennych. Jednych będą pakować do więzień, a innych skazą na karę śmierci.

Sloane obserwowała, jak archiwista notuje w pośpiechu. On i satrapa byli jedynymi osobami spoza kręgu, którym wolno było przebywać w tym pomieszczeniu. Nawet Adea nie miała tu prawa wstępu. (Oczywiście byli jeszcze szturmowcy strzegący wejścia).

Arsin znów wychylił się nad stołem i zaczął mówić, punktując swoje słowa bębnieniem kłykci.

- Nie rozumiem, Shale, byłaś ważnym strategiem Imperium, a teraz lamentujesz nad jego taktyką? To...

- Arsin! - Rae nie wytrzymała. - Jeśli jeszcze raz zastukasz w ten stół, połamię ci paluchy.

- Ale... ja nie potrafię inaczej przemawiać - wyjaśnił, czerwiąc się.

Pandion uśmiechnął się zjadliwie.

- Ona ma rację, Crassus. To jest wybitnie irytujące. Zrób tak jeszcze raz, a złamię ci rękę, żeby załatwić sprawę do końca.

Bankier usiadł, splatając ramiona na baryłkowatej piersi, i nadał się jak obrażone dziecko.

- Strategia Imperium Galaktycznego - podjęła Shale -nie podlegała mojemu ostatecznemu nadzorowi. Pragnę po raz kolejny podkreślić, iż byłam przeciwna budowie obydwu Gwiazd Śmierci. I to od samego początku, kiedy sprawa była jeszcze na etapie pomysłu. Ten sprzeciw upośledził moją dalszą karierę. No, może z wyjątkiem Hoth. A Gwiazda Śmierci stała się naszą zgubą. Stare porzekadło: „Nie posyłaj dzieci do pracy w kopalni, w której sam pracujesz”, dobrze tutaj pasuje. Zaangażowanie ogromnych zasobów czasu, pieniędzy, wysiłku i ludzi w zbudowanie i utrzymanie tak ogromnej stacji bojowej było marzeniem szaleńca. Buta Palpatinea nie miała granic.

Tashu, który przeważnie milczał, bawiąc się frędzlami swoich rękawów, jak gdyby to wszystko głęboko go nudziło albo jakby odpływał myślami gdzie indziej, wreszcie zabrał głos:

- Co do buty Palpatinea zgadzam się całkowicie. Ale z drugiej strony, gdyby nie ona, Imperium nie byłoby tym, czym było.

Moff Pandion - wielki moff Pandion, jak sam siebie nazywał - wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż swojego końca stołu.

- Wyjątkowo zgadzam się z Jylią Shale - zaczął. - Nie tylko w kwestii tego, że Gwiazda Śmierci była naszą największą pomyłką, ale też co do tego, że rozejm niczego nie ułatwi. Nie stępi apetytu na naszą krew tak zwanej Nowej Republiki. Oni mają zakodowane w głowach, że jesteśmy potworami, i nic ich nie przekona, że jest inaczej. Tym bardziej musimy walczyć. Ale nie możemy ustąpić nawet o włos. Oni będą chcieli posmakować naszej krwi - toteż nie powinniście być zaskoczeni, jeśli któregoś dnia zobaczycie, jak najlepsi z nas są wyciągani na ulice i rozstrzeliwani bez sądu przez uzbrojony motłoch.

- Tak, Valco - powiedziała Shale. - Wiemy, że chcesz atakować, atakować, atakować. Nie oglądając się na koszty.

Pandion prychnął wzgardliwie.

- A ty wolałabyś złożyć broń i położyć głowę pod topór, tak? Nie wyobrażasz sobie, że można by walczyć?

- To jest historia, której nikt już nie kupi. Legenda, którą opowiada sobie prosty lud: o walce, w której gladiator o szlachetnym sercu rzuca na kolana opresyjny reżim, każący mu ginąć na arenie. Teraz oni przejmą ten mit. A my pozostaniemy tymi, którzy zniewolili wszystkie zamieszkane światy. To my pod przewodnictwem stetryczalego starego goblina stworzyliśmy broń koszmarnie nazwaną Gwiazdą Śmierci, bo ten szaleniec wierzył w „ciemną stronę” jakiegoś starożytnego mrocznego kultu.

Yupe Tashu popatrzył na nią z naukowym zainteresowaniem.

Pandion tylko sarknął.

- W innych czasach zostałabyś skazana za zdradę, pani generał.

- No widzisz? - odparowała. - My jesteśmy specjalistami od egzekucji, Wielki Moffie, nie oni. Gdybyśmy się poddali, aberracyjnie humanitarne zasady Nowej Republiki zadziałałyby na naszą korzyść. Zapewne ocalilibyśmy karki. - Z westchnieniem pokręciła głowę. - Zresztą nie ma o czym mówić. I tak nie mamy żadnej sensownej strategii ataku.

- Oczywiście, że mamy - odparł ze śmiechem Pandion. - Czyś ty już całkiem upadła na głowę? Rebelianci, czyli buntownicy, kryminaliści i dewianci, bo tym tylko są, zrobili to, co zrobili, nie dysponując prawie żadną machiną wojenną. Po prostu pospolite ruszenie. Cudem zaliczyli parę celnych strzałów ze swoich proc, ale my nadal mamy flotę, żołnierzy i doświadczenie. - Pokazał na Arsina. - Oraz kasę.

- Tak? Dlaczego więc gubernatorzy odwracają się od nas? Dlaczego każdego tygodnia tracimy jakieś statki? Dlaczego ciągle musimy oglądać holowidy z wyzwolonych światów, z tymi paradami i wywracaniem pomników? Tak niewielu zrobiło tak wiele, Pandionie. Mylisz się co do naszego miejsca w historii.

- Nas niewielu też zrobi wiele. Zresztą - lekceważąco machnął ręką - te holowidy to propaganda i cholernie dobrze o tym wiesz. Prawda jest taka, że Sojusz Rebeliantów nie ma środków, żeby kontrolować galaktykę. Ale my jeszcze mamy. Poza tym... - zwrócił się do Rae Sloane - ...pamiętajmy, że dysponujemy gwiazdnym superniszczycielem. Czyż nie tak, pani admirał Sloane? A może to nie my nim dysponujemy, tylko ty? Możliwe, że masz w sobie coś z egoistycznego małego dziecka, które nie chce się dzielić flotą z innymi?

Spodziewała się podobnego komentarza, bo od początku narady stale robił takie wycieczki. Dlatego odpowiedziała mu tak jak za każdym razem w podobnym przypadku:

- „Ravager” i jego flota są do dyspozycji Imperium Galaktycznego, Valco. Pozostaje natomiast pytanie...

Wszedł jej w słowo, zanim skończyła, mówiąc dużo bardziej kpiącym tonem:

- Pozostaje pytanie, co obecnie stanowi Imperium i kto nim zarządza? Tak, przyjmuję twoje oświadczenie. Chciałbym tylko mieć pewność, że w naszym imieniu trzymasz palec na spuście naszej najgroźniejszej broni. Niestety, trzymasz ją w ukryciu... no właśnie, i nawet nie wiemy gdzie.

- Twoi szpiegowie jeszcze nie podali ci tego tłustego kąska na talerzu, he? - zapytała ze złośliwym uśmiechem.

Pandion chciał zaprotestować, lecz przerwała mu, pragnąc pokazać, kto kieruje naradą.

- Postanowiliśmy zebrać się tu, żeby zdecydować o dalszych losach Imperium, z udziałem grupy doradców, a nie tylko jednego - ciągnęła. - Gdybym naprawdę chciała przejąć „Ravengera”, musiałabym dokonać małego zamachu i pewnie by mi się to udało. Ale wolałabym nie powtarzać błędów z przeszłości. No cóż, Wielki Moffie, poznaliśmy twoje stanowisko. - „Kolejny raz”.

- Jedyнным głosem, którego jeszcze tu nie słyszałam jest twój, doradco Cashu. Czy zechcesz nas oświecić w kwestii swoich poglądów?

Tashu spojrział na nią z roztargnieniem, jakby wyrwała go z zamyślenia.

- Słucham? Och, tak, tak. Oczywiście.

Tashu był bliskim doradcą - a nawet przyjacielem, na ile to możliwe - nieżyjącego Imperatora Palpatinea. Człowieka, który był senatorem, a potem został Najwyższym Kanclerzem. O którym chodziły plotki, że jest również Mrocznym Lordem Sithów. W Imperium istnienie Sithów było traktowane raczej jako legenda niż prawda. Nieliczni w nich wierzyli, ale reszta uważała te doniesienia za spreparowane bujdy. Niektórzy władcy przed Palpatineem tworzyli mity na swój temat, jakby byli zesłani z kosmosu. Historycy twierdzili, że regent Starej Republiki Hylemane Lightbringer uważał się za „zrodzonego z pyłu mgławicy Tyfona” i twierdził, że „nie może być zabity bronią śmiertelników”. (To ostatnie okazało się nieprawdą, gdyż zginął właśnie od broni śmiertelników, zatłuczony nogą od krzesła). Legenda Palpatinea również kwitła i rozciągnęła się na jego zausznika Dartha Vadera. Zdaniem Sloane ich moce były realne, choć raczej nie tak potężne, jak głosił Palpatine.

Nic dziwnego, że Tashu w pierwszych zdaniach nawiązał do tych spraw.

- Piętnujecie ciemną stronę, jakby to była ścieżka zła, złowroga jak w bajce o czarnoksiężniku. Ale nie mylcie tego ze złem, podobnie jak nie należy sądzić, że światło jest wyłącznie emanacją dobra. Jedi z dawnych dni byli oszustami i łgarzami. Szaleńcami, opętanymi żądzą władzy, działającymi pod przykrywką świętego zakonu. Wojownikami jasnej strony Mocy, uprawiającymi politykę mieczy świetlnych. Ciemna strona jest przynajmniej szczerą. Nie działa podstępnie. Jeśli ma ci wbić nóż, wbije go raczej w pierś niż w plecy. Owszem, dba wyłącznie o swoje interesy, ale rozciąga je na wszystkich. Palpatine dbał o galaktykę. Nie przejął władzy, aby sam tylko z niej korzystać - wszak już wcześniej rządził, kiedy był kanclerzem. Chciał jedynie zabrać władzę tym, którzy jej nadużywali. Pragnął objąć systemem kontroli i bezpieczeństwa mieszkańców wszystkich światów. To musiało kosztować. Wiedział o tym i ubolewał nad tym. Jednak ponosił koszty, ponieważ ciemna strona rozumie, że wszystko musi mieć swoją cenę i tę cenę zawsze trzeba zapłacić.

Skończył i zapadła cisza.

Przerwał ją zjadliwy chichot Pandiona. „Gdyby Imperator żył nadal, ten śmieszek kosztowałby Moffa utratę głowy. Tak powinno się karać zdradliwych opluwaczy”.

Moff uniósł rękę nad głowę i udawał, że manewruje marionetką.

- Wypowiedziałeś wiele słów, doradco Tashu, ale żadne z nich nie wnosi niczego nowego... Znów prychnął. -Kompletnie nic.

Tashu uśmiechnął się łagodnie, całkowicie niezrażony.

- Chciałem po prostu powiedzieć, że Palpatine był sprytny. Sprytniejszy niż my wszyscy razem wzięci. Trzeba brać z niego przykład. Imperator wiedział, co zawdzięcza ciemnej stronie, więc i my powinniśmy się do niej zwrócić.

- Hmm - mruknęła Shale. - A jak to mamy zrobić? Nie sądzę, aby ktokolwiek z nas przeszedł trening Mocy.

- Nie ma już Sithów - stwierdził Tashu. - A jedyny żyjący jedi, syn Anakina Skywalkera, ma niezłomną duszę. Przynajmniej na razie. Musimy więc sami powrócić do ciemnej strony. Palpatine miał poczucie, że źródło jego mocy leży poza granicami naszych map. Dlatego przez całe lata z naszą pomocą wysyłał mężczyzn i kobiety na misje w nieznaną nam przestrzeń. Budowali laboratoria i przekaźniki komunikacyjne na odległych księżycach i asteroidach. Musimy kontynuować jego dzieło. Wycofać się z naszej galaktyki i przeniknąć przez zasłonę gwiazd. Musimy poszukiwać źródeł ciemnej strony, jak wędrowiec szuka wody na pustyni.

Pucołowata obwisła twarz Crassusa wydłużyła się i wyglądała teraz jak wymięta ścierka.

- Chcesz powiedzieć, że mamy stąd... zniknąć? Spakować statki i zwiewać, dokąd oczy poniosą? Jak wystraszone dzieci, które boją się ojcowego pasa?

- Nie wystraszone, tylko pełne nadziei - sprostował Tashu.

Od tego momentu rozpętała się nowa bitwa na argumenty i rozgadali się wszyscy naraz. Przerzucano się stale tymi samymi hasłami. Rozejm. Pieniądze. Poddanie się. Zimna wojna. Wojna.

Chaos i nonsens. Nie byli w stanie zgodzić się w żadnej kwestii. Sloane zastanawiała się, czy w ogóle tego chcą. To by oznaczało, że zjazd był głupim pomysłem.

„A jednak trzeba próbować”.

Imperium Galaktyczne było jak stłuczone lustro, w którym każdy odłamek odbijał swój obraz. Sloane powiedziała sobie z mocą: „Muszę doprowadzić do naprawienia lustra. Aby odbijało jeden spójny obraz”. Wierzyła w Imperium. I wierzyła, że to właśnie ona może i musi je naprawić. Odrodzone Imperium znów za-

panuje nad galaktyką, zaś Rae Sloane zajmie w nim należne miejsce - tym razem już nie marginalne. Będą się z nią liczyli.

Wstała.

- Proszę, kontynuujcie beze mnie - powiedziała. - Zaraz wracam.

Nawet nie zauważyli, że wyszła. Nie była pewna, czy to dobrze, czy źle.

W przestrzeni nad Akivą szpiegowski droid zwiadowczy wytracił pęd, parę razy czujnie włączając silniki hamujące. Kiedy się wreszcie ustabilizował, wysunął na zewnątrz pięć nóg przypominających pajęczę odnóża. Rozjarzyło się oko. Z kopułkowatej głowy wyrosły małe anteny.

Sonda zaczęła swoje pomiary.

Stanowcze palce uchwyciły jego brodę. Uniosły mu głowę, opuściły, przekręciły w prawo, w lewo. Potem dłoń parę raz klepnęła go policzku. Lekko.

Wedge odetchnął głęboko i otworzył oczy.

To była ona. Kobieta, która dopadła go w kabinie łączności. I strzeliła mu w plecy.

- Co teraz? - spytał. - Będziesz mnie osobiście torturowała?

Ten drugi - facet o bladej twarzy i ciemnych zmarszczkach, który wyglądał jak półtrup - nie przyszedł z nią, ale pojawiał się często. Może nawet co godzina, choć trudno było powiedzieć, bo Wedge stracił poczucie czasu. W każdym razie zjawiał się zawsze, kiedy kapitan zaczynał zasypiać. Ów dziwny człowiek dręczył go przy każdej wizycie. Czasami nacinał mu boki nożem - nie były to poważne rany, tylko płytkie nacięcia. Albo wkładał pałkę elektryczną w krocze, a wtedy Wedge czuł, jakby miał zwarcie w trzewiach. Pewnego razu po prostu stał przy nim i młaskając, zajadał się jakimś owocem, a potem oblizwał palce. Nigdy nie odezwał się słowem. Czasami chichotał cichutko, zadając ból.

Ale ta kobieta... Admirał, jak się zdaje?

- Nie - odpowiedziała. - Nie jestem oprawcą.

- Nie - stęknął. - Oczywiście, że nie. Ty tylko przesłuchujesz, tak?

- Tak sędzę. Ale nie jestem pewna. - Czuwający w pobliżu droid medyczny sprawdził rurkę, która oplatała ramię pacjenta i nikła pod skórą. - I tak mi nic nie powiesz, prawda?

- Nic - potwierdził, usiłując nadać głosowi stalowy ton. Nie chciał, żeby jego strach wybrzmiał w tym słowie. Jeśli ona wyczuje strach, będzie po nim. Rozedrze go jak wampa, która wyczuła krew na śniegu. Ale przecież się bał. Przeżył tyle bitew - w przestrzeni kosmicznej, w śniegu, na pustyni i na bagnach - aby na koniec trafić tutaj. Ranny i przypięty do blatu. Torturowany, dopóki nie umrze.

- To zresztą nie ma znaczenia - podjęła. - Mogłabym zapytać cię o żywotne sprawy Nowej Republiki: ruchy statków, lokację baz, plany ataku, tylko co z tym zrobię? Obawiam się, że niewiele.

- Czyżbyście dojrzeli do poddania się? - spytał i posłał jej uśmiech. Nie był to uśmiech uprzejmy, tylko okrutny. Miał ją zranić.

„Śmieję ci się w nos” - pomyślał.

- Pozwól, że jednak o coś cię zapytam. Dlaczego?

- Co... dlaczego?

- Dlaczego rebelia? Dlaczego walczysz?

- Żeby zniszczyć Imperium.

Pokręciła głową.

- Nie, to za proste. To tylko zewnętrzna powłoka. Kiedy się zdrapie farbę, pod spodem musi być coś osobistego.

Znów wyszczerzył zęby w nienawistnym uśmiechu.

- Oczywiście, że tak, pani admirał. Imperium skrzywdziło najbliższych mi ludzi. Rodzinę. Przyjaciół. Dziewczynę, którą kiedyś kochałem. I nie jestem w tym sam. My wszyscy z Nowej Republiki mamy podobne historie. - Zakaszłał i oczy zaszyły mu łzami. - Jesteśmy pokłosiem każdego z tych koszmarnych nasion, które zasialiście.

- Ale zaprowadziliśmy porządek w galaktyce bezprawia.
- I zrobiliście to pięścią zamiast otwartą dłonią.
- Za dobrze się wysławiasz jak na pilota.

Chciał wzruszyć ramionami, ale nawet to sprawiało ból. Jęk narastał mu w gardle, ale go stłumił.

Kobieta skinęła głową na pożegnanie, po czym odwróciła się i wyszła bez słowa.

Głowa chorążego Deltury zawisła nad stołem. Niebieskawa poświata otaczała hologram. Ackbar pochylił się ku niemu.

- Jesteście całkowicie pewni, chorąży?
- Ani śladu statków Imperium, admirale.
- Ale namierzyłeś ślady naszych.
- Tylko szczątki. Niedostrzegalne dla ludzkiego oka, jednak ten probot jest zaskakująco sprawny. Wykrył molekuly pasujące do naszych jednostek.

- A-wingi - mruknął Ackbar. - Coś je zestrzeliło.
- Coś z powierzchni, sir?
- Mało prawdopodobne. Nie dałoby się trafić A-winga z takiej odległości. - Długie płetwiaste palce Ackbara splotły się i zaczęły pocierać o siebie. Obrócił się z fotelem do drugiej osoby w pomieszczeniu.

Ona również była hologramem.

Ale tylko zarysem postaci.

Obraz wyświetlał się w kącie pomieszczenia i wyglądał, jakby przedstawiał ducha. Kontury twarzy i ciała drgały i ciągle się

rozmywały, niewyraźne i niedookreślone. To był ich kret - informator znany tylko pod kryptonimem Operator. Dotychczas wszystkie jego doniesienia były wiarygodne. Wręcz stuprocentowo. Dlatego Ackbar był podejrzliwy.

- Co ty na to, Operatorze?

Głos, który mu odpowiedział, był równie zmieniony jak obraz - brzmiał mechanicznie, urywanie.

- Czy droid wykrył jakikolwiek ruch do miasta i z niego? Albo wokół planety? - zapytał.

- Słyszałeś pytanie - zwrócił się Ackbar do Deltury.

- Nie, panie. Zero ruchu. Żadnych statków.

Znów włączył się Operator:

- Każcie droidowi pelengować wszystkie połączenia z komunikatorów na planecie. Zobaczcie, co z tego wyjdzie.

Deltura skinął głową i zaczął mówić coś do osoby spoza ekranu. Zapewne do oficera naukowego - tej młodej

Togrutanki. Chwilowa niezręczna cisza ciągnęła się jak smuga jakiejś wstrętnej cieczy rozlewającej się po podłodze. Ackbar nie lubił takich momentów. Sceptycyzm narastał w nim, wysysając resztki optymizmu, jakie jeszcze posiadał.

Hologram chorążego znów się zgłosił.

- Nic - zameldował zdruzgotany. - Naprawdę nic, sir. Droid nie może namierzyć żadnych połączeń. Jakby wysiadły wszystkie komunikatory.

- Blokada komunikacyjna - wyjaśnił Operator. - Stary imperialny trik. Oni tam są, admirał Ackbar. Ich statki muszą trwać w ukryciu. Blokada jest totalna. Żadnych lotów. Żadnych połączeń. Coś tam się musi dziać. Ale na razie nie wiem co.

- Dziękuję - powiedział Ackbar.

- Co z tym zrobisz, admirał? - zapytał szybko Operator. Zbyt gorliwie?

Ackbar nie odpowiedział. Wyłączył hologram.

- Czy to wszystko, co mogę dla pana zrobić, admirale? - zapytał Deltura.

- Utrzymuj pozycję - odparł Ackbar. - Potrzebuję czasu, żeby to wszystko przemyśleć i przedyskutować z innymi. Dziękuję, chorąży.

- Tak jest, sir.

Młoda twarz znikła.

Robak zmartwienia podgryzał Ackbara. Potrzebował czasu do namysłu, lecz zbyt zwlekając, mógł stracić decydującą okazję. „Albo odwrotnie - uniknąć jeszcze jednej imperialnej pułapki” - pomyślał. Czy to podstęp, czy prawda? Tajne spotkanie byłoby całkiem prawdopodobne. Ironia całej sytuacji była zbyt oczywista, aby ją ignorować - oto kiedyś rebelianci musieli używać forteli i ukrywać swoją obecność, a teraz robi to Imperium. Role się odwróciły.

Widomy znak rodzącego się zwycięstwa nad imperialną tyranią. A może jednak nie? Martwiła go zbyt pewność siebie, którą przejawiali. Imperium nie odeszło w niebyt. Jeszcze nie.

Przyczaiło się, żeby znów uderzyć. Tego był prawie pewien.

INTERLUDIUM CHANDRILA

Fioletowy owoc wyleciał z za kamery i pacnął w policzek Olii Choko. Pękł i sok pociekł jej po policzku i szczęce. Rozejrzała się zaskoczona.

- Bach! Bach w Senat Galaktyczny! Bach w Nową Republikę! - zawołał gniewny głos.

Następny owoc śmignął w powietrzu. Tym razem chybił i przeleciał nad głową Olii.

- Dobrze, Lug, robimy cięcie... - zaczęła Tracene, lecz Olia jej przerwała:

- Nie. - Z obrzydzeniem starła lepki miąższ z policzka. - Hej, ty, kontestatorze. Podejdź bliżej - zachęciła.

Tracene ruchem głowy dała znać Ługowi.

Para łuskowatych trandoszańskich łap pojawiła się z boku ekranu i skierowała unoszącą się w powietrzu kamerę w stronę małego humanoida Xana, ubranego w brudny szary kombinezon. W rękę miał koszyk pełen owoców i warzyw, przeważnie nadgniłych.

Był sam.

Zobaczył kamerę wycelowaną w siebie i zamachał rękami.

- Nie, nie, nie filmujcie mnie, proszę.

Olia zbliżyła się do niego. Powoli, spokojnie, z rozpostartymi rękami - na znak, że nie ma wrogich zamiarów.

- Jeśli masz zastrzeżenia, chciałabym o nich usłyszeć.

- Ja... - zająknął się Xan i powiódł wokół spojrzeniem. Zupełnie jakby był w ukrytej kamerze. Albo jakby sytuacja go przerosła. - Przepraszam, ja już sobie pójdę. - Zaczął się wycofywać rakiem, ale Tracene zastąpiła mu drogę.

- Masz okazję, żeby się wypowiedzieć.

- Naprawdę? - upewnił się podejrzliwie.

- Naprawdę - zapewniła go Olia. - Powiedz mi, jaki masz problem.

Tracene bezgłośnie szepnęła do kamery: „Jesteśmy na wizji?”.

Gadzi kciuk, uniesiony w górę, mignął przez moment na ekranie podglądu.

- No dobra - zaczął humanoid. - Jestem Geeska Dotalo z Gan Moradir. To taka kolonia na Środkowych Rubieżach. No więc nastąpiła Nowa Republika. Zaczęli od tego, że... no, zniszczyli bazę imperialną. Teraz imperialnych już nie ma. Imperium było okrutne. Ale przynajmniej był porządek! Mieliśmy co jeść i była woda. Sprawy jakoś się kręciły. Teraz rebelianci odlecieli. I władzę przejęły bandy. Piraci. Zaczyna brakować jedzenia. Studnie się zapychają i... - Zatrzęsło nim łkanie. - Wszyscy złożyli się, że-bym tu przyleciał. Jestem naszą jedyną nadzieją.

Olia zaniemówiła na chwilę.

Tracene już myślała, że trzeba będzie puścić reklamy, lecz rzeczniczka powiedziała:

- Dobrze, że pan do nas dotarł, panie Dotalo. Nie do wiary, że planeta Gan Moradir nie ma jeszcze swojego przedstawiciela w Senacie Galaktycznym. Dzisiaj zostanie nim pan.

Xan miał oczy jak spodki.

- C... co?

- Wojna jest straszną rzeczą. Wojsko nie rozwiąże wszystkich problemów. Potrzebujemy nowych ludzi i rozwiązań na czas, w którym armia robi swoje i trzeba będzie wziąć władzę we własne ręce. Dlatego znów zacznie działać Senat. I będzie działał tutaj, w rodzinnych stronach kanclerza. Niektórzy uważają, że ten świat jest mały i zaściankowy, ale Chandrila od wieków była kołębą wielkich idei i obywateli, którzy rozsiewali je po całej galaktyce. Nasz świat potrzebuje pomocy. Potrzebuje takich właśnie wielkich idei, ale jak sam pan powiedział, potrzebuje także zwykłych rzeczy, jak woda, żywność czy bezpieczeństwo. Podstawowych. Życiowych. Wojna się skończyła i nadszedł czas, żeby naprawić zniszczenia. Zapraszam pana, aby dzisiaj wygłosił pan przemówienie w Senacie i opowiedział o sprawach swojego świata. Niech pana wysłuchają. I pomogą wam.

Gestem dała znak komuś z offu. Pojawił się Pantoranin w niebieskiej, urzędniczej szacie. Olia szepnęła coś do niego, a potem szybko przedstawiła mu Geeskę Dotalo. Pantoranin kiwnął głową i pociągnął małego humoanoida za sobą.

Tracene z uśmiechem zawołała „Cięcie!”, ale jej wzrok skupił się na czymś w oddali.

Zaczął się jakiś zamieszanie. Inni też spoglądali w tamtą stronę. Tracene dała znak ręką i Lug uruchomił kamerę.

Z dala zbliżał się rząd imperialnych jeńców, skutych parami, prowadzonych przez oficera Nowej Republiki.

- To jest nie do przyjęcia! - syknęła Olia i rzuciła się, żeby interweniować.



ROZDZIAŁ SZESNASTY

Śniła koszmar.

Klasyk; jeden z tych snów, które wciąż na nowo odtwarzały się w głowie Norry. Fabuła była zawsze taka sama - ona, jej Y-wing i jej astromech, droid naprawczy R5-G4, znów znajdowały się w trzewiach Gwiazdy Śmierci. Wymknęła się z głównego tunelu, pociągając za sobą bandę myśliwców TIE, trzymających się jej jak muchy ogona gorthy. Nie mogła ich zgubić ani odgonić. Nagle zobaczyła jeszcze więcej wrogów przed sobą, blokujących wyjście z labiryntu. Wtem poczuła falę wstrząsową rozchodzącą się z wybuchu w sercu stacji i wszystko zaczęło się rozpadać. Z tyłu z rykiem doganiał ją ogień, a po chwili inny wybiegł jej na spotkanie...

Obudziła się zlna potem, jak zwykle - obojętnie, czy w sypialni było zimno, czy ciepło. Zerknęła na zegarek. Spała niecałą godzinę. Po wyratowaniu syna z łap okrutnego gangstera nadal miała poczucie, że są ścigani. Serce jej waliło; miała napięte mię-

śnie, zaciśnięte zęby, a adrenalina buzowała jej w żyłach jak płynny ogień z blastera. Drzemka była złym pomysłem.

Norra zeszła na dół, żeby napić się herbaty. Spodziewała się, że wszyscy będą jeszcze spali. Kiedy się obudzą, będzie musiała podziękować swojej siostrze Esmelle za to, że bez pytania zgodziła się przenocować tę dziwną dwójkę, którą przyprowadziła ze sobą. Schodząc, usłyszała głosy w kuchni.

Weszła tam i zobaczyła swoich nowych znajomych - Jas Emari i Sinjira Ratha Velusa, siedzieli przy niewielkim stole stojącym obok hydrokopuły Esmelle (miała tam miniaturowy ogródek z ziołami, jak heartweed czy sinthiańskie siemię). Na blacie stołu był rozłożony dziwny zbiór obiektów: solniczka, pojemniki na zioła, serwetkownik, wykałaczki i parę noży do owoców.

Na jej widok drgnęli i wyprostowali się przy stole.

Jak dzieci, które coś nabroili.

Hm.

- Co to ma być? - spytała Norra.

- Nic - odpowiedziała Jas.

- Po prostu... taka gra - odpowiedział z uśmiechem ten facet, Sinjir.

Dziwna była z nich para. Ona - chłodna, lakoniczna Zabra-kanka. On - wysoki przystojniak, niedbały styl, przesiąknięty jakimś alkoholem, winem czy brandy. Ona -oczy twarde jak szlifowane kamienie. On - szeroki, nieszczerzy uśmiech.

Norra mruknęła coś pod nosem i włączyła czajnik. Z górnej szafki wyjęła herbatę gesha i wsypała sobie porcję do kubka. Miała wrażenie, że ich spojrzenia zaraz wypalą jej dziurę w plecach.

Czajnik zagwizdał i zalała herbatę. Obróciła się z parującym kubkiem.

- To wygląda jak mapa.

- To nie jest mapa - odparł Sinjir, ciągle się uśmiechając.
- Jest - powiedziała Zabrakanka niemal w tym samym momencie.

- Czy zdradzicie mi, co to jest? - spytała Norra.

- Nie - odpowiedzieli chórem Jas i Sinjir, po czym spojrzeli na siebie. Lekko zdziwieni, lekko rozbawieni.

Norra podeszła i pochyliła się nad stolikiem. Przez chwilę przyglądała się układowi przedmiotów na blacie.

- Ten serwetkownik jest o wiele większy niż inne przedmioty, więc musi reprezentować coś dużego. Pałac satrapy, jak się domyślam. Dalej już wszystko pasuje: dawny budynek rządowy, a tu aleja Satrapii i wąska Withrafisp Road, kiedyś podobno była to tajna droga, którą satrapa mógł być wywożony z pałacu, ale jak byłam mała, zrobiono już z niej normalną ulicę.

- Pudło - powiedział Sinjir, udając niewiniątko. - Przykro mi, ale dzięki, że spróbowałaś zagrać. A teraz, jeśli pozwolisz...

- Zamknij się - powiedziała do niego Jas, po czym zwróciła się do Norry: - Tak, masz rację. Wychowałaś się tutaj?

Norra kiwnęła głową.

- Tak.

- Jesteś... - Jas obcięła ją szybkim spojrzeniem. - Rebeliantka?

- To tak widać?

Zabrakanka wzruszyła ramionami.

- Nie, ale umiem myśleć. Wczoraj wieczorem bez problemu strzelałaś do szturmowców, a jednak nie wyglądasz na kryminalistkę. Ani na jakąś inną miejscową postać. Poza tym... ubierasz się jak rebeliantka. Militarna kurtka. Pas z przyborami. I te buty. - Zerknęła spod oka na Norrę. - Pilotka?

Norra roześmiała się.

- Trafiłaś.

- A ja jestem łowczynią nagród - powiedziała Jas. - Działam na zlecenie Nowej Republiki. Myślę, że przydałaby mi się twoja pomoc.

- Hej, jesteś szybsza od światła! - zaprotestował Sinjir, machając z oburzeniem rękami. - Umówiliśmy się na nędzne dwadzieścia pięć procent dla mnie, a teraz chcesz dalej kroić ten tort?

- Mam nadzieję, że ona potraktuje pomoc dla nas jako walkę za sprawę, bo chodzi przecież o zamach na Imperium. Kredyty najmniej ją obchodzą.

Norra poczuła, że bojowy zew ogarnia ją niczym stado kąsających mrówek. Już by chciała znać szczegóły, rzucić się w to głową naprzód, splunąć w oko Imperium, ale...

- Nie mogę - wymamrotała przez zaciśnięte zęby. - Naprawdę nie mogę. Muszę jak najszybciej zabrać syna z tej planety. To jest dla mnie w tej chwili najważniejszy...

- Lepiej ratuj swojego przyjaciela - przerwał jej Temmin. - Antillesa. Boja nigdzie nie polecę, jak ci już mówiłem. - Szurając nogami, wszedł do kuchni. - Jeśli myśleliście, że reszta śpi i was nie usłyszy, to się myliliście - dodał. - Słyszać was w całym domu.

Norra chwyciła go za ramię.

- Załatwię, żeby... ktoś inny uratował kapitana Antillesa. Walka przestała już być moim obowiązkiem. Teraz ty nim jesteś.

Temmin strząsnął jej rękę. Podeszedł do chłodziarki i wyjął z niej szklankę niebieskiego mleka.

- Mój droid wrócił? Już powinien tu być.

Norra chciała przemówić mu do rozumu, ale ugryzła się w język. Był tak samo uparty jak ona. Równie dobrze mogłaby napierać na ścianę.

- To był twój droid, tak? - zagadnął go Sinjir.

- Taa.

- Droid bojowy?

- Zgadza się.

- To nie miał trudnego zadania. Oni byli istną bandą ciurów... jakich nie widziała galaktyka. Wierz mi, szturmowcy zasadniczo nie różnią się od uzbrojonych koszy na śmieci, zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

- Nie lekceważ szturmowców - warknęła Jas. - W kupie są niebezpieczni.

- Błotne bawoły też. - Sinjir wzruszył ramionami. - To nie znaczy, że są skuteczne. A tym bardziej droidy bojowe. Niemniej jednak pragnę ci pogratulować, młody człowieku. Zrobić z takiego droida prawdziwą maszynę bojową ... no, no! - Z podziwem pokiwał głową. - Jednak sądzę, że warto mieć jeszcze coś w odwodzie na wypadek, gdyby go pokonali. W końcu to jednak prosty droid, a nie cud techniki.

- Nie powiedziałbym. - Temmin z pewną siebie miną stał oparty o blat, pociągając z kubka. - Nie odróżniasz kupy borcata od bobków dewbata, stary. Pan Bones jest zaprogramowany na... W każdym razie wierz mi, jest naprawdę w porządku.

Norra obserwowała syna, kiedy tak stał, niedostrzegalnie zaciskając pięść, ze zmarszczonymi brwiami. Był wyraźnie poirytowany. Tak jak ona... musiała to przyznać. Wtem zawędrował spojrzeniem do stołu i zmrużył powieki.

- A to co? - zapytał Temmin.

- Nic - powiedział Sinjir.

- To mapa - stwierdził Temmin i Norra poczuła dumę, która wzrosła, kiedy chłopak dodał: - Tu jest pałac satrapy, nie?

- A niech to ciemna gwiazda! - mruknął Sinjir. - Wykapana mamusia.

Temmin zachnął się nieznacznie. Norra stłumiła uśmiech.

Jas Emari od razu przeszła do rzeczy:

- I właśnie tutaj, w tym pałacu - albo tak przynajmniej się nam wydaje - odbywa się tajna narada. Uczestniczy w niej wąski krąg bardzo ważnych szyc z elity Imperium. Ci, którzy teraz tym kręcą. Łupy warte majątek. - Wymieniła ich. moff Valco Pandion, admirał Rae Sloane, doradca Yupe Tashu, generał Julia Shale oraz jej pierwotny cel: Arsin Crassus.

- No jasne. - Norra strzeliła palcami. Jedna jej połowa ubolewała, że powinna się już tego dawno domyślić, lecz druga - bardziej realistyczna lub może bardziej cyniczna - uważała, że jest tylko zwykłym pilotem, więc skąd miałyby wiedzieć? Na razie górę wzięła druga połowa. - Teraz wszystko pasuje. Gwiazdne niszczyciele. Blokada. Cisza radiowa. Ochroniają naradę. A Wedge...

Zabrakanka uniosła brew.

- Wedge?

- Wedge Antilles - wyjaśnił Sinjir. - Zgadza się? Pilot Sojuszu Rebeliantów.

Norra skinęła głową.

- Tak. Skąd wiedziałeś?

Mężczyzna zawahał się niedostrzegalnie.

- Ja... też jestem rebeliantem.

A jednak się zdziwiła. Owszem, wygląd i ubranie mogły pasować, ale coś się nie zgadzało. Nie potrafiła jednak

sprecyzować co. Cóż, do rebelii przystępowali ochotnicy różnej maści.

Norra kontynuowała:

- Muszą go mieć. Wedge zapewne patrolował Zewnętrzne Rubieże i musiał natknąć się na to... czymkolwiek by było.

- Zapewne nadal żyje - powiedziała Jas. - Co oznacza, że mamy szansę, tylko musisz mi pomóc. Zadamy cios w imieniu twojej Nowej Republiki. Unicestwimy wysiłki Imperium i podetniemy im ścięgna, zanim zdążą się naradzić, jak się podnieść. A ty uratujesz swojego przyjaciela.

Znów odezwał się nagłący zew, wzywający do kolejnej słusznej walki. Norra nie mogła jednak pominąć głosu swojej drugiej połowy, która przekonywała, że pora wreszcie stanąć z boku i skupić się na swoich sprawach. Nie miała ochoty lecieć w paszczę bestii. Nie tym razem.

- Nie - powiedziała, nie patrząc nikomu w oczy. - Najlepszym wyjściem będzie wymknięcie się z tej planety. A jak tylko wylecimy poza zasięg blokady, zaalarmujemy Republikę, żeby przysłała statki, wojsko i...

Łowczyni nagród przerwała jej:

- Błąd. Do tego czasu narada się skończy, o ile już się nie skończyła. A twój przyjaciel albo ucieknie, albo będzie martwy. Najlepsze wyjście to zostać i działać. Nikt za nas tego nie robi.

- Wchodzę w to - oświadczył Temmin. - Ale chcę swoją część.

- Młody człowieku - powiedział ze śmiechem Sinjir - nie bądź pazerny. Narażaliśmy się, żeby ocalić twój tyłek, więc...

- Dobra - ucięła Jas Emari. - Możesz dostać połowę jego udziału. - Gestem rogatej głowy wskazała na Sinjira.

- Ejże! - zaprotestował.

- Ty też będziesz potrzebował wywózki z tej planety - powiedziała Zabrakanka z wyniosłym skinieniem głowy. Pasmko włosów, płaskie i gładkie niczym ostrze topora, zsunęło się na bok. - A zysk będzie tak wielki, że nawet mając jego uła-

mek, będziesz mógł sobie kupić najlepsze alkohole z całej galaktyki i nie trzeźwieć do chwili, aż Nowa Republika znów stanie się Dawną Republiką. Więc się decyduj.

Sinjir przewrócił oczami.

- Dobra.

- To mnie nie interesuje - powiedziała Norra.

- Mogłabyś mi bardzo pomóc. Twój przyjaciel na pewno też.

Norra ciągle się wahała. Zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy miała skoczyć z jednego z wodospadów w kanionie Akar. Jak wtedy wstrzymała oddech, zanim powiedziała:

- Dobrze, zgoda. Ale mnie też musisz zapewnić wylot z tej planety.

- Oczywiście - przytaknęła Jas. - A teraz myślę, że powinniśmy. ..

Łup! Łup! Łup!

Dom się zatrzęsł. Ktoś walił do drzwi. Kiedy Jas wyciągnęła blaster, przyływ wspomnień zalał Norrę tak gwałtownie jak srebrna woda, kiedy wylądowała po skoku u stóp wodospadu. Ten odgłos pięści walących do drzwi. Odgłos Imperium, które przyszło po jej męża.



Przy stole siedziały trzy osoby z krwi i kości oraz dwa hologramy. Realnie obecni byli: admirał Ackbar, komandor Kyrsta Agatę i kapitan Saff Melor. Zaś zdalnie: generał Crix Madine oraz nowo wybrana kanclerz Nowej Republiki, Mon Mothma. Wszyscy sprawiali wrażenie zmęczonych i zmartwionych. Ackbar podejrzewał, że sam wygląda nie lepiej. Coraz bardziej miał wrażenie, że balansuje na cienkiej linii i nie ma innej drogi. Wystarczy najmniejszy powiew wiatru, a spadnie na drugą stronę. Filozofia brzytwy odcinającej zło od dobra.

- Czy na pewno możemy zaufać informatorowi? - zapytał Madine, gładząc bujną białą brodę. Bruzdy na jego twarzy, widoczne nawet na hologramie, jeszcze się pogłębiły.

- Na razie wszystko wskazuje, że tak - odparła Kyrsta Agatę.

- Musimy jednak pamiętać, że Imperium potrafi rozgrywać długodystansowe strategie - wtrącił się Ackbar. -

Cudem odnieśliśmy zwycięstwo na Endorze, lecz Imperium przygotowywało tę pułapkę długo i cierpliwie.

- Poślij flotę - doradził Melor. Cereański kapitan emanował ukrytym dostojeństwem. Jego wysoka, stożkowato wysklepiona głowa, w połączeniu z uniesionymi, wydatnymi brwiami, obrazowała namysł, troskę i zarazem sceptycyzm. -Proponuję dwa lekkie krążowniki i kontyngent myśliwców z Eskadry Złotych. Niech sprawdzą, co tam się dzieje. Jeśli zajdzie konieczność walki, flota będzie w gotowości.

Głos zabrała Mon Mothma:

- Musimy być ostrożni. Na Zewnętrznych Rubieżach nasze wpływy są słabe. Poza tym, choć w tej chwili panuje pokój, jest on oparty na bardzo niestabilnym gruncie. Wypad tego formatu mógłby zostać uznany za demonstrację siły czy potencjalną agresję, a my chcemy być postrzegani jako przyjaciele, nie jako wrogowie. Nasza obecność w przestrzeni wokół Akivy może być kłopotliwa.

Melor pokręcił głową.

- Pani kanclerz - przy okazji serdeczne gratulacje! - otóż, nie uchybiając niczym Akivie, nie jest ona perłą w niczyjej koronie. To wybitnie marginalna planeta, której satrapa siedzi głęboko w kieszeni Imperium. Nie jesteśmy zainteresowani jej zasobami, a stara fabryka droidów w pobliżu stolicy nie działa od dziesiątków lat. Z tego względu Akiva ma dla nas bardzo niewielkie znaczenie, także strategiczne, toteż...

- Ale los mieszkańców ma dla nas znaczenie - przerwała mu oschle Mothma.

Ackbar wyczuł jej rezerwę. Melor pochodził z rodziny wojskowej i mimo cereańskiego poloru i intelektu potrafił być agresywny. Mon ciągnęła:

- Dysponujemy doniesieniami wywiadu, które sugerują, że nasze idee w tych rejonach trafiły na podatny grunt.

Mieszkańcy dojrzeliby do zmiany - a tą zmianą jest Nowa Republika.

Melor chciał odpowiedzieć, lecz ubiegł go Ackbar:

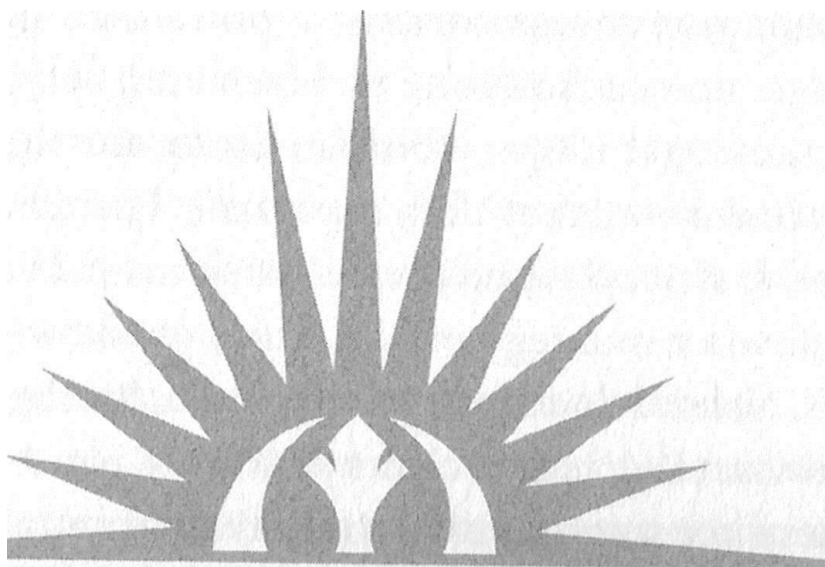
- W tym momencie zgadzam się z panią kanclerz. Pokój jest kruchy i musimy być wyjątkowo czujni, aby nie dać się złapać w pułapkę. Generale Madine, czy mógłbyś sformować oddział uderzeniowy? Mały - pięciu do siedmiu żołnierzy Republiki.

- Dałoby się. Do działań na ziemi?

- Uhm - mruknął Ackbar. - Suborbitalny desant. Siły specjalne. Zrzut z górnych warstw atmosfery. Musimy mieć bezpośrednie raporty z planety. W ten sposób najpewniej możemy je uzyskać. Minimalny, ale efektywny. Czy jesteśmy zgodni w tej kwestii?

Wszyscy skinęli głowami, oprócz Melora. Kapitan zmarszczył brwi i odął usta, jakby zamierzał się sprzeciwić. Jednak po chwili westchnął i również przytaknął.

- Świetnie. W takim razie zacznijmy działać. Za sześć godzin komandosi mają stanąć na planecie. Albo wcześniej, jeśli się uda. Dziękuję wszystkim.



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jas jednym ruchem otworzyła drzwi, celując z blastera.

Na progu droid moknął w porannym deszczu.

Droid bojowy B1. Ten droid - ochroniarz Temmina, zwany Panem Bonesem. Woda zalewała serwomotor pracujący w rozplątanej czaszce, iskrzący i buchający obłoczkami pary. Temmin przepchał się przed Jas.

Pomalowany na czarno i czerwono droid zaśmiał się jak szaleniec mechanicznym, przerywanym śmiechem. Poruszył ręką (drugiej już nie miał) i zawieszona na niej zwierzęce kosteczki zastukały delikatnie.

Pan Bones triumfalnie pokazał im uniesiony kciuk.

- Bones! - zawołał Temmin, obejmując swojego pupila.
- Stosowałem przemoc - zaterkotał droid. Jas przysięgła-
by, że słyszy dumę w głosie tego dezela. - Rozkaz, rozkaz.

Snop iskier wytrysnął z jego głowy. Oczy zgasły.

Droid zwałił się na bok jak podcięte drzewo.

- Jest noc, jeśli chcesz wiedzieć - powiedział głos.

Wedge, unieruchomiony na blacie magnetycznymi więzami, zamrugął nieprzytomnie. Śniło mu się, że dryfuje w przestrzeni w statku, który ma awarię. Poziom tlenu spada, astromech sfajczył się na żużel i statek rozpada się w oczach jak budowla z mokrego piasku, który gwałtownie wysycha.

Głos. Należał do dziwnego człowieka, którego wiek trudno było określić; tego z ciemnymi bruzdami w bladej twarzy, które nie przypomniały raczej zmarszczek. O oczach zimnych jak kamienie i wężowym uśmiechu.

Tego, który nacinał go nożem.

Tym razem Wedge nie dostrzegł noża. Mężczyzna po prostu trzymał dłonie w szerokich, wiązanych rękawach szaty.

- Przyszędłeś znów mnie torturować? Nie pęknę.

Złowrogi uśmiech nawet nie drgnął.

- Wiem. Widzę. Widzę, że fizycznie jesteś niezłomny. - Uniósł palec wskazujący, jakby miał ogłosić jakąś ważną prawdę. Ale nie własnego autorstwa - raczej pragnął przekazać. - Czy wiesz, że Lordowie Sithów potrafili czasami pobierać energię Mocy ze swoich więźniów? Wysysać z nich życie i używać ich w celu wzmocnienia więzów z ciemną stroną? Także po to, żeby przedłużać własne życie i trwać przez wieki, odsuwając własną śmierć?

- Uważasz się za jakiegoś maga?

Mężczyzna cmoknął z ubolewaniem i pokręcił głową.

- Daleko mi do niego. Jestem Tashu. Zwykły historyk. Pilnie studiujący dzieje. I do niedawna doradca Palpatinea.

- Mój przyjaciel Lukę opowiadał mi co nieco o nim.

Tashu uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokazując aż nazbyt białe zęby.

- Tak, mogę sobie wyobrazić. Imperator widziany oczami zapewne zdezorientowanego, naiwnego młodzika. - Zrobił palcami ruch w powietrzu, niczym pajak sprawdzający swą sieć. - Wiem, że nie złamię cię fizycznie.

- Więc po co tu przychodzisz?

- Żebyś nie mógł sobie pospać. I żeby pomóc w złamaniu twojej psychiki. Nie wiadomo, czy dostarczy nam informacji. Ale ja lubię wyzwania.

- Jestem pilotem. Brak snu to dla mnie norma.

- Owszem, ale nie jesteś odporny na brak nadziei. Rozejrzyj się. Jesteś tu zamknięty. I torturowany dla samych tortur. W tej chwili, za ścianami tego pałacu, odradza się Imperium. Twoja Nowa Republika ma swoje pięć minut, ale my mamy maszynę wojenną. I błogosławieństwo ciemnej strony. Nie szkodzi, że twoi będą posuwać się naprzód, odzyskując kolejne światy - my poczekamy. W tej formie, albo w innej. Rozumiesz, Imperium jest jak skóra. Skorupa. Tu chodzi nie tylko o porządek i prawo. Chodzi o całkowitą kontrolę. Zawsze będziemy wracali, żeby ją odzyskać. Nieważne, jak wielkie wysiłki podejmiecie, żeby nas pokonać. My jesteśmy jak rak w kościach galaktyki, który odradza się i atakuje wtedy, kiedy najmniej się go spodziewa.

- Mylisz się - wycedził Wedge przez zaciśnięte zęby. - Galaktyka jest domem dobra. Wy jesteście w mniejszości.

- Nie chodzi o liczby czy procenty, tylko o wiarę. Garstka naszych ma nieskończenie więcej wiary niż całe zastępy waszych.

- Wierzę w Nową Republikę.

Tashu zachichotał.

- Twoja wiara zostanie poddana testowi.

- A twoja gęba zostanie poddana testowi, kiedy kopnę cię w zęby.

- Otóż to. - Tashu strzelił palcami z cichym trzaskiem, jakby złamał kark ptaszкови. - Witalny wykwit nienawiści i gniewu. Zrodzony z poczucia beznadziei, które w tobie zasiałem. Koszmarne ziarenko. Nie mogę się doczekać, kiedy wyrośnie z niego to żalosne drzewo i wyda swój szpetny owoc.

INTERLUDIUM

KORONET, KORELIA

Bójka trwała w rozbłyskach błyskawic. Na dachu starego holoplexu, pod jaskrawo świecącym, krzykliwym, przewijającym się bez przerwy ekranem wielkiego billboardu, w strugach ulewy walczyło dwóch mężczyzn. Musieli się tłuc już długo i wyraźnie stracili poczucie czasu. Byli wyczerpani. Brudni. Przemoczeni.

A jednak walczyli dalej.

Starszy - mocno zbudowany, niechlujny, ubrany w zardzewiały pancerz, z głową owiniętą nasiąkniętymi wodą bandażami - czał się z zaciśniętymi pięściami, gotowymi do ciosu. Z nosa sączyła mu się czerwona strużka. Od czasu do czasu zlizywał ją z uciechą pijaka.

- Możemy wypisać się z tego pata w każdej chwili - powiedział Dengar niskim głosem. - A potem usiąść sobie gdzieś przy piwie i spróbować się porozumieć.

- Nie chcę porozumienia - odparł drugi, ten, który przedstawiał się jako Mercurial Swift.

Był młody i zwinny. Bez zbroi. Ciemne mokre włosy oblepiały mu czoło. W rękach miał pałki, którymi kręcił młyńce.

- Mógłbyś to sobie darować, Dengar. Zapędzasz się poza galaktykę. To kruczjata głupców...

Dengar znów ruszył na niego; pięści śmigły jak młoty. Jakby nie tyle chciał uderzyć młodszego, szybszego mężczyznę, ile zetrzeć go na pulpę, niczym owoce na swój poranny sok. Mercurial zainkasował cios w obojczyk i ból rozlał mu się po całej ręce, aż do palców. Pałka wypadła mu z dłoni i uderzyła o dach, rozchlapując wodę w kałuży.

Wtedy zmienił taktykę. Kiedy Dengar wyprowadzał następny cios, młody łowca nagród zanurkował mu zręcznie pod ręką i z całej siły wraził czubek drugiej pałki w szparę zbroi, prosto w żebra.

Starszy bandzior zacharczał i zachwiał się, przyciskając rękami bok.

Na jego twarzy pojawił się ni to uśmiech, ni to grymas.

- Przyłącz się do mnie. Dobry jesteś. Szybki. Ale tępy. Cholernie nieogarnięty. Popatrz tylko na siebie. Jesteś zielony jak świeże liście doaki. Potrzeba ci... nauczyciela.

- I niby ty miałbyś nim być? - Śmiech Mercuriala przeszedł w kaszel. - Nie wyobrażam sobie tego, dziadku. -Znów błyskawica, tym razem bez grzmotu. - Nie kumasz? Nawalam się z tobą, bo lubię działać sam. I lubię ten fach. -Znów się zaśmiał; tym razem dziwnie melodyjnie. - Jeśli nie dołączę do grupy, nie mam prawda zostać łowcą nagród, to chciałeś powiedzieć?

Dengar znów zaczął krążyć wokół niego z nastawionymi pięściami.

- Zawsze trzymaliśmy się razem! - zawołał.

- I pewnie dlatego zawsze trzymali cię na dystans. Inni łowcy zagarniają ci łupy spod nosa. Robią cię w jajo. - Mercurial poczuł pod nogami pałkę. Podrzucił ją zręcznie stopą, prosto do ręki.

- Och, nie, nie... Myślisz, że z każdym krokiem tracę?
- Jak możesz tracić, skoro nie robisz żadnych kroków naprzód?

Dengar prychnął z oburzeniem.

- A ty pożerasz resztki z cudzego stołu! - odparował. - Kiedy mnie było stać na odrzucanie lukratywnych kontraktów, ty chodziłeś jeszcze w kosmicznych pieluchach.

- Niektórzy mówią, że ty już chodzisz w kosmicznych pieluchach.

- Ty chyba mnie nie lubisz, co, młody?

- Szczerze? Jesteś dziwnym, niechlujnym starym dziadem, jeśli mam powiedzieć prawdę. Wolisz, żebym był szczery do bólu? Dobra. Nikt nigdy cię nie lubił i nie polubi.

I tu go miał. Dengar był jak nieobliczalna bestia - wystarczyło pomachać odpowiednią przynętą przed jego nosem, żeby zaatakował. I atakował, rzucając się na ofiarę niczym drapieżnik z wygłodniałego stada.

Ale teraz młody w ostatnim momencie uskoczył w lewo. Starszy łowca stracił równowagę i padając, przetoczył się po dachu. Kiedy się podniósł parę metrów dalej, miał już w ręku pistolet dezintegrujący, zdolny rozłożyć Mercuriala na atomy i rozrzucić je po billboardzie.

Znów znieruchomieli, jakby ktoś włączył pauzę - Mercurial z podniesionymi rękami i Dengar w przykłęku, z wycelowaną w przeciwnika szeroką paszczą lufy.

Tym razem nic nie mówili. Napięcie łączyło ich jak drgająca nić. Palec Dengara od spustu dzieliły milimetry. Broń szumiała cicho. Dłonie Mercuriala mocniej ścisnęły pałki.

Czuło się, że zaraz nastąpi przesilenie.

Musi nastąpić przesilenie. Chyba że Dengar go zastrzeli.

Spojrzenie Mercuriala pobiegło ku sąsiedniemu dachowi i jego oczy rozszerzyły się gwałtownie, a szczęka opadła.

- Boba Fett? - wyjąkał.

Dengar obrócił głowę w tamtym kierunku, na moment przestając mierzyć w przeciwnika.

Mercurial tylko na to czekał. Jedna z pałek świsnęła, trafiając Dengara w czoło w chwili, kiedy ten znów powrócił spojrzeniem do przeciwnika. Głowa starego łowcy odskoczyła w tył, a młody już był w powietrzu. Huknął Dengara kolanem w bok twarzy, jednocześnie waląc łokciem w obojczyk i ciosem pałki w przegub wytrącając mu pistolet.

Błyskawicznym ruchem chwycił broń z ziemi i wcisnął Dengarowi lufę pod brodę. Deszcz, który na moment ustał, znów zaczął padać, a raczej siąpić.

Dengar skrzywił się.

- Dobry jesteś.

- Tak mówią.

- A ten trik? Ja się chyba starzeję. Dałem się złapać jak dziecko.

Mercurial wzruszył ramionami.

- Byłem aktorem i tancerzem.

- Poważnie? - zachrypiał Dengar. - Czemu w takim razie wybrałeś to, co robisz?

- Imperium nie dba o sztukę.

- Fakt. - Dengar wydmuchnął z nosa banieczkę krwi. - Ale z nami nie będzie lepiej. Wszystko się teraz zmienia. Nasza profesja też się będzie marginalizowała. Nie sądzę, żeby rebelianci zasmakowali w naszych usługach. Dlatego musimy się zjednoczyć. Założyć regularną organizację. Stać się oficjalną siłą, z którą będzie trzeba się liczyć.

- Ja wolę nadal działać na własną rękę.

Dengar kiwnął głową.

- Dobra, rozumiem. Czy... ee... zamierzasz mnie zabić?
- Nie ma za ciebie nagrody, więc szkoda fatygi.
- Na razie, ale ten moment nadejdzie, zobaczysz. Będą nagrody za głowy łowców głów. I to niedługo. Nawet za mojego życia. Jeszcze wspomnisz moje słowa.

Mercurial kiwnął głową i schował broń.

- Trzymaj się, Dengar.
- Ty też, młody.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Był ranek. Adea czekała na admirała Sloane.

Miała świadomość, że jest tylko małym trybikiem w machinie wielkich spraw. Pionkiem. Asystentką. Automatem do noszenia dokumentów i podsuwania ich do podpisu, do podawania kawy, przypominania i przekazywania wiadomości.

Ale pewnego dnia stanie się kimś więcej.

Trafiła na wspaniały moment historii.

Imperium się chwieje. To oczywiście nie jest dobra wiadomość, ale w tych pęknięciach i szczelinach kryją się nowe możliwości. Adea uważała, że wystarczy wsunąć czubek nogi w takie pęknięcie i poty je drażyć i poszerzać, póki znajdzie się tam miejsce dla siebie. Dlatego tak podziwiała Sloane.

Admirał też to rozumie. I potrafi obrócić sytuację na swoją korzyść. Dziś Adea miała dla niej złe wieści.

Czuła dreszcz emocji, choć pewnie nie powinna. Złe wieści, jak sama nazwa wskazuje, są rzeczą niekorzystną i niepożądaną. Jednak liczą się nie one, ale reakcja na nie. Presja kształtuje ludzi. Formuje ich kryzys. Andrea wychowała się na Coruscant. Jej rodzice byli zwykłymi ludźmi. Ojciec pracował jako spawacz. Ich pozycja była na tyle wysoka, że nie musiał harować w trzewiach miasta giganta, gdyż miał zlecenia od Imperium. Ale była to ciężka, brudna robota. Dłonie miał wiecznie poparzone i pokancerowane, aż z czasem zamieniły się w artretyczne szpony, pełne nagiotków i blizn.

Adea zawsze podziwiała pracę laserowych spawaczy, którzy równie sprawnie potrafili łączyć materiały, jak je rozcinać.

I tak jest teraz.

Kryzys może ich spoić albo zniszczyć. Wierzyła jednak, że Sloane ów kryzys tylko wzmocni. Nie ten mały, o którym Adea miała jej zaraz zameldować, tylko dużo większy.

Ogromnie podziwiała admirał Sloane.

Szkoda, że będzie musiała ją zmartwić.

Rae stała pod strumieniami lodowatej wody. „Pompowanej prosto z kanionu - jak chwalił się satrapa. - Najczystsza woda, jaką można znaleźć na Akivie. Dawny lud Ahia-Ko wierzył, iż jest ona tak czysta, że zmywa z człowieka grzechy i czyni go lepszym”.

Szkoda, że naprawdę tak nie jest.

Zwyczaj brania lodowatego prysznica narodził się u niej wiele lat temu, kiedy dostała pierwszy przydział do jednostki. Była kadetem na imperialnym gwiazdowym niszczycielu „Defiance”. Z czasem to polubiła. Zimna woda ją wzmacniała. Orzeźwiała i pobudzała. Tak jak teraz.

Dodatkowo na tej planecie chłód miło kontrastował z upałem. Tropikalny żar Akivy dopadł ją na nowo, gdy tylko wyszła spod prysznica. Powietrze było wilgotne i gorące; czuła się, jakby weszła do gotującego się bagna, które bezlitośnie wciąga.

W salonie luksusowego apartamentu, który satrapa przygotował dla Rae, czekała Adea. Poranne słońce oświetlało jej stojącą postać z holopadem w ręku, sztywną jak wieszak na ubrania.

- Spałaś trochę? - zapytała Rae, która wychynęła z łazienki, wycierając głowę ręcznikiem.

- Tak, pani admirał - odparła Adea, czerwieniąc się i odwracając oczy, kiedy Rae wycierała się i ubierała.

Ta dziewczyna nie była jednak wojskowym typem. Sloane zapominała czasami, że w świecie poza marynarką czy armią panują nieco inne obyczaje. Dla niej nagość była tylko przejściowym stanem ciała, niemającym w sobie nic romantycznego; sta-

nem, którego nie trzeba było się wstydzić. Po prostu zwyczajny aspekt egzystencji.

- Dobrze - powiedziała. - Sen się przyda przed tym ciężkim dniem.

- Myślałam, że narada idzie dobrze.

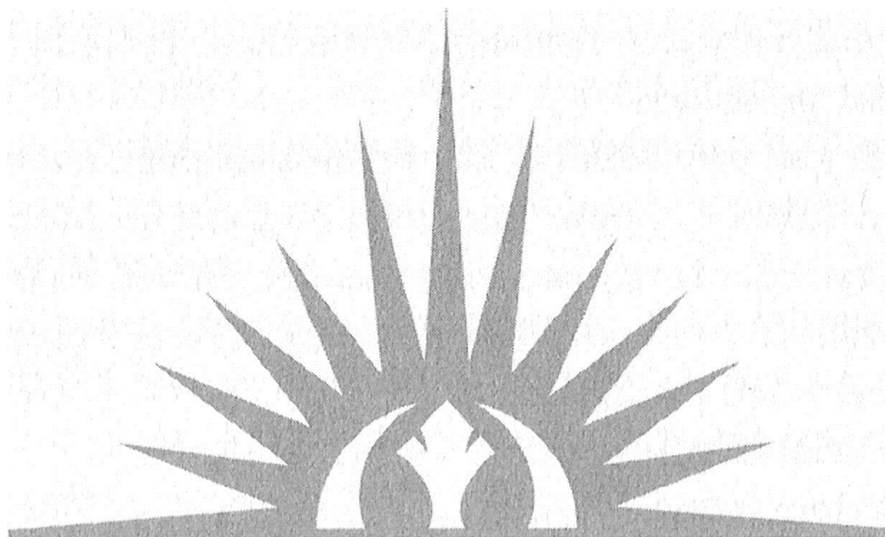
- Mniej więcej tak dobrze, jak może pójść awaryjne lądowanie. To dopiero pierwszy krok, nieskuteczny i nieistotny. -Rae włożyła mundur i wygładziła fałdy. Chociaż pod tym względem wilgoć ułatwiała jej życie. (Dała też nowe życie jej włosom, które od lat nie wyglądały tak dobrze. Sloane nie przywiązywała zbyt wiele wagi do swojej aparycji, ale czasami miło było sobie uświadomić, że wygląda jeszcze całkiem atrakcyjnie). - No nic, może dzisiaj dojdziemy do czegoś, choć raczej nie mam złudzeń. To jest dopiero pierwsze spotkanie. Potrzebujemy całego ciągu narad. Z udziałem jeszcze innych uczestników. Powiedz Mornie, żeby prom był gotowy zaraz po kolacji.

- Tak jest, pani admirał. Czy przewiduje pani, że przywołamy „Vigilance” z powrotem na orbitę, czy też Morna ma przeliczyć koordynaty do skoku w nadprzestrzeń na komputerze wahad... - Ekran jej holopada rozbłysnął - raz, drugi, a potem zrobił się czerwony.

Rae zmarszczyła brwi.

- Co tam znowu?

- Mamy problem. Obce... wtargnięcie.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Statek zniżał się, miotany przez powietrzne prądy, przebijając gęstą pokrywą chmur nad Akivą. Słońce rozpalało ich krawędzie, nadając im wygląd płynnej stali. W dole majaczyła Myrra. Kiedy opadli niżej i wybiegła im na spotkanie, wyglądała jak skąpana w różowawej mgiele.

Starszy sierżant Jom Barell z Sił Specjalnych Nowej Republiki obejrzał się na piątkę kobiet i mężczyzn stojących za nim przy otwartych drzwiach. Mieli karbonowe pancerze, a na ramionach nosili godło Nowej Republiki - Feniksa Sojuszu, teraz przedstawionego na tle słońca z promieniami. Symbol nowego świtu, nowego dnia. Prawdziwego odrodzenia, jak Feniksa z popiołów.

Jego żołnierze - kaprale Kason, Stromm, Gaheeabee, Polnichk i Durs. Wiedział, kto jest kim, choć twarze zasłaniały im maski, niezbędne przy suborbitalnym desancie.

Skinął głową.

- Skaczemy!

Jeden po drugim wypinali się z liny i skakali w morze chmur. Broń na plecach. Ręce wyciągnięte przed siebie, jakby chcieli złapać słońce.

Teraz on.

Barell nienawidził skoków. W ogóle nienawidził całej tej roboty. Przedzierania się przez bagna na Naboo. Odmrażania sobie tyłka w jakiejś lodowej bazie. Raz na Geonosis musieli lecieć śmigłowcem bojowym w czasie superburzy elektrycznej, żeby wybić imperialnym z głowy szkodliwy pomysł reaktywowania geonosiańskiej fabryki droidów. Przedzierali się przez morze błyskawic, zmagając się z huraganowymi porywami wiatru i gradem, który tak mocno bębnił o burty, że zostawił wgniecenia w metalu. Barell był pewien, że nie dożyją lądowania. A to i tak było lepsze niż skok ze statku.

Zwłaszcza suborbitalny.

Zaraz go czeka.

Barell wyskoczył za Durs jako ostatni. Czuł się tak jak zawsze w tym momencie - jakby ktoś wysysał mu flaki przez tyłek, jakby serce zostało gdzieś w przestrzeni nad jego głową, jakby panika pożerała go żywcem. A potem...

Przestrzeń zakołysała się razem z nim, kiedy dosięgła go fala uderzeniowa. Impet obrócił jego ciało i Barell zobaczył rozdartą burtę statku i buchające z niej kłęby czarnego dymu przetykane płomieniami i snopami iskier. Statek zakołysał się, a potem przechylił i zaczął spadać...

Barell w pierwszym odruchu chciał się skontaktować, ale w porę przypomniał sobie o blokadzie łączności. Jego słowa i tak by nigdzie nie dotarły.

Pozostało mu tylko opadać dalej i nie dać się zabić.

Zadanie okazało się trudniejsze, niż myślał. Nagle zobaczył, że kapral Kason, lecący na czele, znika w jaskrawym rozbłysku.

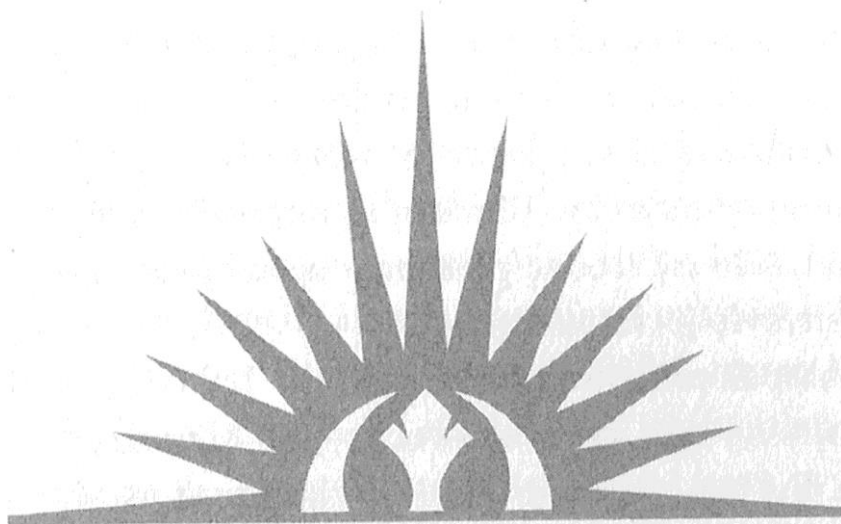
Coś nadlatywało z dołu - oślepiające wiązki energii z turbolasera. Jeszcze przed chwilą Kason był tam, a w następnej zamienił się w czerwoną mgiełkę. Potrzaskany karbonowy pancerz, wirując, spadł w dół.

„Już po nas” - pomyślał Barell.

Kolejny strzał i tym razem trafiło Stromma. Wyparował w jednym rozbłysku. Barell wleciał w przestrzeń, gdzie Stromm był dwie sekundy temu.

Zasygnalizował pozostałym: „Walą do nas jak do kaczek. Musimy zmienić się w sokoły - wysuwamy paraskrzydła”. Zbyt wczesna komenda, byli jeszcze za wysoko. Wiatry i zawirowania były zbyt silne. Tylko czy mieli inne wyjście? Pod nim pozostała trójka rozpostarła nogi i ramiona, aby lotne płaszczyzny kombinezonów mogły zadziałać.

Tylko Gaheeb nie zdążył. Zginął w momencie, kiedy rozwinął skrzydła. Jeden strzał z planety zamienił go w spadający, porwany łachman.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Nad Myrrą po raz pierwszy od paru dni wstał pogodny dzień. Ulewa ustała; mokre dachy i ulice parowały, zasnuwając wszystko duszną mgiełką. Para niebieskich niebołowów śmigła w powietrzu nad głową Norry, ścigając jeden drugiego - może w walce o terytorium, a może w godowym tańcu. A może taka już była natura tych dzielnych ptaków.

Cieszyła się pogodą i spokojem, popijając herbatę na dachu domu Esmelle i Sirene. Jednak błogi spokój na zewnątrz nie był w stanie złagodzić zamętu, jaki czuła w duszy.

Norra знаła to uczucie. Pojawiało się, kiedy oczekiwała na lot w swoim Y-wingu. Tkwiła w hangarze „Home One”, czekając na sygnał, na skok w nadprzestrzeń. Szmer ściszonych głosów tu i tam. Droid przemieszczający się ze szmerem. Odgłosy starej gwiazdnej fregaty - cykanie rur w ścianach, lekkie, jęklive zgrzy-

ty metalu trącego o metal i warkot włączających się klimatyzatorów powietrza.

Usiłowała to zwalczyć, ale dzisiaj był właśnie taki dzień.

Bardzo chciała już wrócić do domu.

Lecz obowiązki raz jeszcze ją wezwały.

W dole, w piwnicy, Temmin reperował swojego droida. Innym udało się trochę przespać; sama spała parę godzin, choć nie było jej łatwo zasnąć.

A chłopak pracował. Podziwiała go. Był jak jego ojciec - skupiony na tym, co robi, precyzyjny. Ale miał też rys jej uporu. Był jak ona popędliwy i bezkompromisowy; miał tę samą awanturniczą żyłkę, która kazała jej rzucić wszystko i przyłączyć się do Sojuszu Rebeliantów w szalonym przekonaniu, że sama jedna zdoła odnaleźć męża i... No właśnie, co? Uratować go, jakby był księżniczką z bajki zamkniętą w wieży? Co za romantyczne mrzonki!

Dalej, przy sadzie, widać było inny dach, na którym siedziała para starszych Bithów. Znała ich. Mieszkali tu od niepamiętnych czasów. Nie pamiętała już, jak się nazywają. Esmelle pewnie będzie wiedziała. Siedzieli pod parasolem, obserwując słońce wschodzące nad dżunglą i pociągając jakiś napój z jednego pojemnika - pewnie oratajski bełt. Bithowie uwielbiają takie rzeczy.

Bithowie, galaktyczni pacyfiści.

Norra żałowała, że nie jest taka jak oni.

Wtem z oddali napłynął jakiś dźwięk. Norra poczuła go w kościach, zanim jeszcze dotarł do uszu - aż do bólu jej znany ryk imperialnego myśliwca TIE.

Leciał nisko nad dachami, w kierunku śródmieścia.

Bithowie - pokojowi, drinkujący Bithowie - zerwali się na równe nogi. Starszy mężczyzna wyszarpnął spod fotela karabin blasterowy i bluzgając przekleństwami w swoim rodzinnym języ-

ku, oddał parę strzałów do ryczącego myśliwca Imperium, którego i tak nie zdołałby trafić.

Jego partnerka dołączyła do wścieklej tyrady, wygrazając pięścią niebu.

„No jasne - pomyślała Norra. - No jasne”.

Pociągnęła ostatni łyk herbaty i wstała, żeby zejść na dół, kiedy na niebie nad centrum Myrry eksplozja rozdarła chmury. Norra obróciła się gwałtownie na schodach i zobaczyła, że w górze coś płonie - jakiś niewielki, czarny kształt. Statek. Nagle przechylił się i runął w dół jak kamień.

Kolejny błysk - wiązka energii z turbolaseru przecięła niebo. I trafiła w coś... coś jeszcze mniejszego.

Może w żołnierza.

Norra poczuła ucisk w dołku. Żołnierz rebelii?

To by miało sens.

Ale oznaczało również zmianę planów.

Bang! Baang! Baaang!

Z ostatnim uderzeniem klucza oczy droida bojowego drgnęły i ożyły. Z głośniczka pod metalowym dziobem rozległ się charkoczący, przerywany dźwięk:

- Przyyy....

Temmin znów go walnął.

Bang!

- Rrrrozkaz, rozkaz.

Droid wyprostował się. Zaszumiały serwomotory, kiedy zaczął uważnie oglądać swoją nową rękę, czy raczej nogę astromecha w roli ręki. Poruszył śmieszoną kończyną i zaczął nią kręcić. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej i szybciej, aż kontury się rozmazały.

- To nie moja ręka.

- Wiem, Bones. Wybacz.

- To noga astromecha.
- No wiem, wiem.
- Astromechy są gorsze. To bipające kosze na śmieci. Montaż nieręki czyni mnie gorszym.

Temmin wzruszył ramionami.

- Na razie nic ci nie poradzę, ale obiecuję, że poprawię to, jak tylko wrócimy do sklepu. Dysponowałem jedynie tym, co miały ciotki.

Bonesa zbudował w podziemiach swojego sklepu, składając go z części zniszczonych droidów, które znajdował w katakumbach pod miastem. Pochodziły jeszcze z czasów wojen klonów. Wtedy działała fabryka taśmowo produkująca droidy dla separatystów. Obecnie był tam wypalony poszarpany krater.

Sięgnął po klucz i wsunął go z powrotem. Posługiwał się swoim podręcznym uniwersalnym narzędziem. W zestawie znajdowało się właściwie wszystko, czego potrzebował. Elementy wysuwały się teleskopowo. Temmin przyczepił narzędzie do roboczego pasa.

- Chyba nadal będę funkcjonalny. - Droid machnął nogą astromecha. - Będę tłukł twoich wrogów. Ubiję ich na miązgę. Nie bój się, panie, ze mną jesteś bezpieczny.

- Dzięki, Bones. - Temmin czule objął droida. Pan Bones odwzajemnił uścisk - delikatnie, jedną ręką - tą prawdziwą. Nogą astromecha tylko niezgrabnie poklepał swojego pana po ramieniu. - Myślałem, że cię straciłem.

Miał Bonesa od niedawna. Myśl, że mógłby go stracić...

- Zrobiłem dobrze. Wróciłem.

Tak. Dzięki, Bones.

- Rozkaz, rozkaz.

Skrzypnęła deska - ktoś do nich schodził. Mama. Patrzyli na siebie przez parę sekund, jakby nie wiedzieli, jak mają się wobec

siebie zachować. W sumie nic dziwnego, prawda? Przecież są sobie prawie obcy. Temmin teraz sobie to uświadomił. Wyprostował się, skonsternowany. Czy mama widziała, jak ściska się z droidem? Uch.

- Mamo... Następnym razem mogłabyś zapukać, co?
- Temmin, coś się stało. I... myślę, że mam plan.
- Zaraz przyjdę na górę.

Zawahała się.

- Wiesz...

- Co? Mów!

- Cieszę się, że znów jesteśmy razem. I że wszystko już dobrze z twoim droidem. On chyba wiele dla ciebie znaczy.

- Nie, skąd. To tylko droid, dobra? Powiedziałem, że zaraz przyjdę.

Kiedy wyszła, Temmin szepnął do Pana Bonesa:

- Nie miałem tego na myśli.
- Wiem.
- Jesteś super.
- To też wiem.

Esmelle czekała na nią na górze. Minę miała zmartwioną i rysy napięte.

- Z droidem w porządku? - zapytała.

- Chyba tak. - Norra nie raczyła wspomnieć, że zamiast ręki Pan Bones ma teraz cudzą nogę. - Dlaczego pytasz?

- On wiele znaczy dla Temmina.

- To wiem.

- Nie, nie wiesz do końca. Zbudował Pana Bonesa w roku, w którym wyjechałaś. Temmin nie ma zbyt wielu przyjaciół. Ten droid mu ich zastępuje.

- Nie można się przyjaźnić z droidem.

- Jak widać, można. Temmin był dręczony przez gang... młodych tyranów. Bones go bronił. Ale nie jest tylko jego ochroniarzem. Kiedy wyleciałaś w tę swoją... podróż...

- Rozumiem - przerwała jej ostro Norra. - Chcesz wywołać we mnie wyrzuty sumienia. Czułam się wtedy fatalnie. Jeszcze gorzej czuję się teraz. Usiłuję jakoś dojść z tym wszystkim do ładu.

- Wróciłaś i znów pracujesz dla rebeliantów. Twój syn cię potrzebuje, Norro, a nie ta twoja... krucjata.

Krucjata. A więc tak widzi to siostra. Norra gorzko zacisnęła usta.

- Wojna zbliża się do Akivy, Esmie. Szybko. Bardzo szybko. Może już tu jest. Możesz udawać, że ciebie ona nie dotyczy, ale wierz mi, moja delikatna, niemrawa siostrzyczko, że żadne pobożne życzenia nie powstrzymają tego kataklizmu. A teraz pozwól, że cię pożegnam. Szkoda mi czasu na tę rozmowę.

Siostra chciała zaprotestować, ale Norra odsunęła ją i odeszła.

- Nie mogę po prostu siedzieć i patrzeć? - zapytał Sinjir.

W kuchni był tylko on i Jas. Przed nimi na stole powiększała się kolekcja kuchennych przedmiotów. Mapa Myrry rozrosła się od zeszłego wieczoru.

- Do kitu jest cały ten interes - narzekał Sinjir. - Siedzę tylko i kibicuję. Może pomachać pomponami?

Pociągnął łyk z butelki bez nalepki. Napitek był słodki. Najpierw miód, a potem lawenda w końcówce. Na języku długo utrzymywał się miedziany posmak, niemal szczypiący prądem, jakby się polizało wierzch torowej baterii.

- Już ci mówiłam, że potrzebuję konkretnej pomocy, a nie jej iluzji. - Jas przyglądała się, jak pije. Nagle wyrwała mu butelkę z ręki i powąchała.

- Hej, co robisz?

- Jesteś pijakiem.

- W żadnym razie! Piję mniej od gąbki. Ja po prostu utrwalam w sobie niezbędny poziom... - pomachał palcem w powietrzu - rauszu. Dzięki temu życie wydaje mi się o wiele przyjemniejsze.

- Dla mnie musisz być czysty.

- Och, jesteśmy czyści jak łza - zapewnił kpiąco.

Łowczyni nagród spiorunowała go wzrokiem.

- Co się z tobą dzieje? Pamiętam cię z Endora. Stałeś przede mną cały we krwi. Własnej?

Sinjir skrzywił się.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

- Ale ja mam. - Usiadła i westchnęła. - Zostałam łowczynią nagród, bo nie lubiłam życia, jakie matka dla mnie wybrała. Czulałam się... ustawiona. To mnie dławilo. Dlatego wzorem stała się dla mnie siostra mamy. Ciotka Sugi też była łowczynią nagród. Tyle że ona zawsze pracowała ze swoim oddziałem. Nie była samotną wilczycą, ale też nie wiązała się z przestępcami. Nauczyłam się od niej jednego - że jeśli zdarzy mi się pracować z grupą, muszę im ufać. Muszę ich dobrze znać. Dlatego działałam sama, bo tylko siebie znam dobrze i tylko sobie mogę ufać. A teraz wypadło mi pracować z tobą.

- Lepiej nie mogłaś trafić, wierz mi. Jestem naprawdę świetny. To niemal tak, jakbyś wygrała na imperialnej loterii. - Uśmiechnął się chytrze. - Słuchaj, a gdzie masz statek? Czy nie możemy go wykorzystać, żeby po prostu... żeby zmyć się z tej dziury? I poszukać sobie lepszego miejsca?

- Jest parę dni marszu stąd, w dżungli - wyjaśniła tonem, który jasno dawał do zrozumienia, co myśli o jego propozycji. - Wolałam nie pokazywać się w nim za blisko miasta.

- Jakże słusznie, choć niewygodnie.

Gdyby mogła, przepaliłaby go wzrokiem na wylot.

- Co się wtedy stało? Tam, na Endorze?

- Przecież wiesz. Też tam byłaś.

- Z tobą. Co się działo z tobą?

- Ze mną? - Sinjir uśmiechnął się gorzko. Nie miał ochoty odgrzebywać wspomnień, które rozdzierały mu duszę. - Naprawdę chcesz wiedzieć? I będziesz drążyć, aż się dowiesz? Dobra, miejmy to wreszcie z głowy. - Zakręcił butelką z resztą trunku na dnie. - No więc tak jak już mówiłem, byłem tajnym agentem Imperium stacjonującym w bazie Endori... o rany, to Norra! - Omal nie upuścił flaszki, kiedy zobaczył, kto wszedł do kuchni.

Norra. Stała przed nim, kipiąc furią. Pierś unosiła się i opadała jak u zwierza, który węszy krew. Powinien usłyszeć, jak nadchodzi. Ale popijanie i rozmowa stępiły jego czujność.

- Imperialny! - powiedziała oskarżycielsko.

- Musiałaś się przesłyszeć. Na pewno czegoś takiego nie powiedziałem.

-Tajny agent Imperium - powtórzyła. Głośniej.

- Norro, posłuchaj...

Rzuciła się na niego i popchnęła go na ladę. Zadzwończyła naczynia. Solniczka zleciała ze stołu i się rozbiła. Sinjir widział twarz Norry tuż przed swoją twarzą i czuł palce, dławiące mu gardło.

- Powinnam się domyślić - warknęła. - Nie przypominasz kogoś z nas. Jest w tobie wyższość, zadzieranie nosa. I ta wymowa. Twarda i sztywna jak suchar. Ty skurwy...

Szczęk bezpiecznika blastera.

Jas przyłożyła lufę do głowy Norry.

Łowczyni nagród powiedziała spokojnym głosem:

- Norra, będziesz musiała się z tym pogodzić. Bo jeśli nie, wszystko się walnie. Kiedyś pracował dla Imperium. Teraz możemy się nim posłużyć.

Miało się wrażenie, jakby znad wody wyparowała mgła. Z Norry uszedł bojowy zapach i jej spojrzenie stało się nieobecne. Sinjir wysunął się ze słabnącego chwytu i pomasaował sobie szyję.

- Możemy się nim posłużyć - powtórzyła Norra. - Masz rację. - Jej wzrok znów się wyostrzył, jakby podjęła decyzję. - Coś się wydarzyło i trzeba zmienić plany. Musimy działać natychmiast.

- Czy przeszkodziłem w czymś? - zapytał Temmin zza ich pleców.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Co się dzieje? Hej, wy!

Norra uśmiechnęła się do niego i oznajmiła:

- Mam plan.

INTERLUDIUM

SEYARCOS

Trzech niewolników kulilo się w cieniu wieżyczek strażniczych Imperium, kryjąc się za poszarpanymi skałami, za którymi wrzała bitwa. Byli to: Weequay o imieniu Hatchet, o obliczu przeoranym centralnie blizną, biegnącą od czoła do podbródka; Palabar - Quarren, którego macki twarzowe były wysuszone i poobcierane (gdyż powietrze było suche i pełne pyłu, który działał jak papier ścierny), oraz Greybok, jednoręki Wookiee - bestia, górująca nad nimi wzrostem, na której pomoc mogli liczyć - jak

wtedy, gdy A-wing rozbił się o czerwoną skałę nad nimi i deszcz odłamków spadł im na głowy.

- Musimy uciekać - syknął Hatcher. - Imperialni wygrywają tę bitwę. A kiedy zwyciężą, kopalnie znów będą ich. Razem z nami!

Quarren kiwnął głową. Ten Palabar, zniszczony wieloletnią, ciężką niewolą, był bierny, wiecznie przerażony, kulący się po kątach i zawsze przytakujący.

Ale Greybok ryknął - gardłowo, ochryple i na znak protestu wznosił pięść, odsłaniając zęby w grymasie.

Wieżyczki plunęły ogniem w stronę otwartej przestrzeni, przed wejściem do kopalni. W pobliżu znajdowali się inni nie wolnicy. Niektórzy ranni. Niektórzy martwi. Większość usiłowała przeżyć za wszelką cenę.

Greybok znów ryknął, zadzierając głowę do tyłu, aż zadrżało długie, pozlepiane futro.

Hatcher potrząsnął głową.

- Zwariowałeś! Nie możemy ułatwiać rebeliantom zwycięstwa. To nie jest nasza wojna, ty przerośnięty futrzaku! Musimy się tylko martwić, jak przeżyć.

Jednak Palabar w rzadkim u niego odruchu protestu powiedział:

- A jeśli... jeśli Wookiee ma rację? I to jest nasza jedyna szansa? Bo jeśli tylko uciekniemy, odnajdą nas i...

Greybok zaryczał z aprobatą i znów bojowo potrząsnął jedyną pięścią. Panowie niewolników z Seyarcos przed laty ucięli mu rękę, kiedy próbował uciekać. Owi panowie nie podlegali bezpośrednio władzy Imperium, ale kopalnia -tak. Inspektorzy wizytowali ją regularnie, nadzorując wydobycie oraz przepływ kredytów i surowca. Imperium nie potępiało niewolniczej pracy, bo wszak zostało na niej zbudowane. Jego kasę napelniali ci, których zmu-

szano do harowania wbrew ich woli. Całe światy! Greybok wiedział o tym wszystkim, ponieważ nie był zwykłym robotnikiem, choć w takiej roli występował w kopalni. Harował, rozbijając skałę młotem pneumatycznym, lecz kiedyś był dyplomata w swoim plemienu. Umiał myśleć i wyciągać wnioski. Znał mechanizmy władzy i polityki.

I choć nigdy nie był wojownikiem, dziś miał szansę nim zostać.

- Nie wychodź stąd - ostrzegł go Hatchet. - Nie bądź głupi, Wookiee.

Greybok jednak już go nie słuchał.

Wstał, wyprostował się na całą wysokość i wydał okrzyk bojowy swojego ludu. A potem popędził do bitwy, klucząc i kuląc się pod laserowym ostrzałem. Imperialny żołnierz w egzozkielecie obrócił się w jego stronę, podnosząc do strzału ciężki ręczny blaster. Jednak Wookiee miał przewagę szybkości i zaskoczenia. Zbił ciężkiego przeciwnika z nóg i zepchnął go do skalnej szczeliny.

Dzielny Greybok, nie zmieniając tempa, parł dalej.

Miał już plan.

Z przodu pojawiła się zagroda - wysokie ogrodzenie z elektrycznie otwieraną bramą. Wewnątrz tłoczyły się stworzenia co najmniej dziesięć razy większe od Greyboka. Rankory. Drapieżne bestie, których agresję podsycali właściciele niewolników. Zmuszali je, żeby krążyły w sieci wąwozów oplatających kopalnię. Miały wyłapywać więźniów próbujących ucieczki. Każdy w obozie wiedział, że jeśli zapuści się w kaniony, rankory mogą go rozszarpać i pożreć.

Kiedy jednak nastąpiło Imperium, rankory zostały zagonione do zagrody i tam je trzymano. Były wrogo nastawione do wszyst-

kich - czy to zniewolonych, czy imperialnych. Uznawały tylko niewolników, którzy się nimi opiekowali.

Potwory kłębiły się w zagrodzie, rycząc i zgrzytając zębami. Jeden z nich był mniejszy niż inne; miał jasnożółte oczy i szarozielony pysk. Inne były rdzawe jak góry w tej części Sevarcos. I dużo większe.

Greybok pospieszył w stronę zagrody. Po drodze zagarnął duży odłamek skalny. Rankory rzuciły się w jego stronę, skrzecząc głośno. Greybok odpowiedział im rykiem i zaczął walić kamieniem w zamek bramy.

Bach. Bach. Bach. Rankory umilkły i obserwowały jego poczynania z rosnącym zainteresowaniem. Imperialni zaczęli krzyczeć. Laserowe serie ryły grunt wokół jego stóp i z sykiem przelatywały przez ogrodzenie.

Wookiee nie przestawał. Bach. Bach. Bach. Aż wreszcie...

Zamek pękł na pół i spadł na ziemię.

Trzeszczące wyładowania elektryczne pełzające po całym ogrodzeniu zamigotały i zgasły. Już nie było pod napięciem.

Brama zaczęła się otwierać.

Mały rankor ryknął i popchnął bramę łapą. Wrota zagarnęły Greyboka i rzuciły go na ziemię. Wookiee uderzył głową w skałę i świat rozmył mu się w oczach.

Nad nim pędziły niewyraźne kształty - uciekające rankory. Coś eksplodowało. Ktoś darł się w panice. Wtem ktoś stanął nad Greybokiem - właściciel zniewolonych. Zygerrianin.

- Coś ty zrobił, niewolniku?

Greybok usiłował wstać, ale Zygerrianin wycelował w niego okrutną broń - blaster zwany needlerem. Nadzorca wcisnął guzik z boku i nacisnął spust. Sznury czerwonego światła wystrzeliły z lufy i otoczyły jednorękiego Wookiee.

Wszystko stało się jednym przeraźliwym blaskiem, ogniem i bólem.

Nie mógł nawet zaryczeć, tylko charczał i gulgotał.

Czarne krawędzie jego wizji nasyciły się krwią. Zygerrianin go zabije. To jedna ze strasznych właściwości needlera - może spowodować niewielki ból albo całe morze bólu. Wystarczy, żeby w jednej chwili stanęło ci serce.

Wtem koszmar ustał. Ogień i ból znikły (choć Wookiee wiedział, że zapamięta to na długo). Zygerrianin upadł.

Zamiast niego stał Hatchet ze skalnym odłamkiem w opuszczonej dłoni.

Greybok wyryczał podziękowanie.

I ogarnęła go ciemność. Ale tylko na moment. Albo tak mu się wydawało. Kiedy otworzył oczy, miał wrażenie, że nic się nie zmieniło.

A jednak się zmieniło.

Hatchet siedział na ziemi, dłubiąc patykiem w zębach. Wokół roztaczał się krajobraz po bitwie - płonące wieżyczki strażnicze, rebelianci wyłapujący nadzorców niewolników, beczki z przyprawą rzucone w ogień. W pobliżu leżały zwłoki jednego z rankorów, tych wielkich. Mniejszego, szarozielonego, czy reszty rudych nie było nigdzie widać ani słyszeć.

Greybok ryknął pytająco.

Odpowiedział mu Weequay:

- Wyszło na to, że wygraliśmy. Albo raczej rebelianci wygrali. W każdym razie ktoś wygrał i nie są to panowie niewolników.

Siedzący obok Palabar ciałniej objął kolana długimi ramionami.

- I co teraz? - zapytał.

Niski, gardłowy pomruk Greyboka powtórzył pytanie. Hatcher zawołał do przechodzącej obok rebeliantki:

- Hej, kotku, powiedz, co dalej? To znaczy z nami, niewolnikami?

Uśmiechnęła się, ale Greybok widział, że ona też jest zagubiona. Wzruszyła tylko ramionami.

- Nie wiem. Nikt nie wie. W każdym razie jesteście wolni.

I poszła dalej. Kopnęła na bok hełm szturmowca i wkrótce znikła im z oczu. W oddali narastały odgłosy kolejnej potyczki. Greybok zastanawiał się, czy cała Seyarcos trafi w ręce rebeliantów, czy Imperium ją odbije. Przyszłość wydała się nagle niepewna - zmienna, chwiejna, przeskakująca z chwili na chwilę jak spłoszony loormor z drzewa na drzewo.

Hatchet roześmiał się gorzko.

- Jednym słowem nikt nic nie wie. Słyszeliście, chłopaki? Nikt nie wie, co ma być dalej. - Sapnął z niezadowoleniem, wstając. - Cokolwiek ma być, musimy coś zrobić. Chodźmy stąd. Jesteśmy wolni. Przekonajmy się, co galaktyka ma do zaofiarowania trójce nędznych eksniewolników, no nie?

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Admirał Ackbar, mrugając oczami opuchniętymi z braku snu, wpatrywał się w dane. Był to krótki ładunek informacji, ukazany w formie trójwymiarowego filmu. Przed jego oczami rosła planeta Akiva; rozdymała się jak balon, aż wydawało się, że może dotknąć jej ręką, rozgarniając obłoki niczym kosmiczny olbrzym. Ale to była tylko projekcja. Hologram. Dane przesłane przez szpiegowską sondę, która nadal wisiała nad planetą. Teraz widział to co ów droid -małą plamkę (podświetloną czerwoną obwódką), przedstawiającą transportowiec, z którego jeden po drugim wyskakiwali komandosi Sił Specjalnych (każdy obwiedziony żółtą obwódką). A potem rozbłysk ognia z działa. Z turbolasera na powierzchni planety. Gdzieś pod zasłoną chmur.

Czerwony krąg roziskrzył się, a potem znikł, eksplodując w przestrzeni, zanim zdążył dolecieć do celu.

Jeden po drugim żółte kręgi także wybuchały i gasły.

Z wyjątkiem jednego.

Sonda zgubiła jego sygnał, kiedy wylądował, ale wydawało się, że sierżant Jom Barell przeżył atak. Czy przeżyje dalej - tego Ackbar nie wiedział. I małe były szanse, żeby się dowiedział. Blokada łączności nie ułatwiała sytuacji. Sonda miała ograniczone, głównie wizualne możliwości, a jej sygnał wędrował drogą okrężną - najpierw na „Oculus”, który znajdował się na tyle daleko, że mógł go retransmitować na „Home One”, do Ackbara.

- Sądzymy, że Barell przeżył - powiedział admirał.

Hologram Deltury przytaknął.

- My też.

Odsunął się na bok i pojawiła się Nirriian, oficer naukowa.

- Jakkolwiek to nie jest pewne - powiedziała. - Proszę zauważyć chaotyczny wzorzec zachowania, który nagle się pojawił - wzorzec, który będzie trwał do lądowania. - Cofnęła ostatni fragment nagrania. Świecący krąg Barella nagle szarpnął się w prawo, potem w lewo i poleciał zygzakami w dół. - To sugeruje, że wcześniej rozwinął paraskrzydła. Wiatr na tej wysokości jest bardzo silny. Nie możemy być pewni, że człowiek, który wylądował na planecie, jest żywy i zdrowy.

Ackbar skinął głową.

- Dziękuję, oficer Nirriian. Dobra robota, jak zwykle. - Wyciągnął szyję i pomasaował sobie kark.

Powrócił obraz Deltury.

- Jakie rozkazy, admirale?

- Pozostać na miejscu i czekać na dalsze instrukcje. I zachować wzmożoną czujność. Coś tu się dzieje. Zdaje się, że będziemy musieli zerwać zasłonę i zobaczyć, co jest pod spodem, działając bardziej aktywnie, niż pierwotnie zakładaliśmy.

Jeśli rzeczywiście chodzi o Imperium, co sugerował ich tajemniczy informator, oznacza to, że wojna niespodziewanie wkroczyła w ten daleki sektor Zewnętrznych Rubieży.

Od razu wiedzieli, że weszła do sali. Rozmowy obecnych i tak już były głośne, ale kiedy Rae Sloane pojawiła się w drzwiach, lawina wykrzykników uderzyła w nią z siłą laserowej salwy. Satriapa, który wcielił się w rolę sługi, podbiegł do niej i powiedział - nie do niej, lecz do wszystkich obecnych:

- Mówiłem ci, że tu jest bezpiecznie; te ściany są tak grube, jak ty wysoka. - Podsunął Rae tacę z pachnącymi ciasteczkami w kształcie wiatraczków z kwietnym wzorem w środku. Gestem od-

sunęła poczęstunek, choć jej żołądek głośno protestował. Nie chciała jednak psuć swojego wizerunku efektywnego lidera chrupaniem niepoważnego ciasteczka.

Albo nie. Lepiej będzie... właśnie, jak najlepiej odegrać surową powagę?

Nagle złapała odchodzącego satrapę za ramię, zgarnęła z tacy garść ciasteczek i zaczęła zajadać z apetytem.

Niech zobaczą, że nie traktuje poważnie tego zagrożenia.

Oczywiście udaje. Sprawa jest poważna. Albo za chwilę taka się okaże.

Fakt, iż kolejny raz dowiadują się, że coś się dzieje, daje argumenty Pandionowi. Czyżby miał wtykę w jej otoczeniu? Tothwin? Możliwe. Nigdy nie ceniła tego palanta. Adea czy Morna? To by było bardziej bolesne.

Nic z tym teraz nie robi. Nie pora na szukanie kreta.

Strząsnęła z dłoni parę okruszków.

- Jak wiecie... - zaczęła. Musiała podnieść głos, żeby ich uciszyć. - Jak wiecie, nastąpiło naruszenie przestrzeni wokół Akivy. Odkryliśmy rebeliancki transporter nad Myrrą.

Zlikwidowaliśmy go z pomocą jednego z naszych suborbitalnych dział systemu ziemia-orbita. I na tym koniec kłopotów.

- Koniec? - warknął Crassus. - Wybitnie nietrafne określenie. Wręcz zwodnicze. Istnieje realne zagrożenie, pani admirał Sloane. Sojusz Rebeliantów...

- Rebelianci wyślą tu flotę - przerwał mu Pandion. - Nie w tej chwili, ale wkrótce. Powinniśmy być na to przygotowani. Oni nie mają pojęcia o sytuacji. My mamy jasność. To daje nam ogromną przewagę. Oni przyślą flotę, a my mamy tu własną, która czeka na podporządkowaniu pod wodzą gwiazdowego superniszczyciela „Ravager”. Zwyciężymy dla Imperium, a nasze zwycięstwo za-

brzmi jak triumfalny dzwon, obwieszczający całej galaktyce powrót dawnego porządku.

Tashu i Crassus przytaknęli. Shale odsunęła łokciem natrętnego satrapę i jego łakocie.

- Oni nadal mają przewagę wojskową - przypomniała. - Zwłaszcza jeśli przyślą tu dużą flotę. Nie jestem w stanie ocenić, na ile to prawdopodobne, więc tym bardziej ujawnienie któregoś z naszych statków flagowych byłoby nieroztropne. Stawką w bitwie będzie wyłącznie nasze przeżycie. W takim przypadku walczy się tylko wtedy, kiedy nie ma innego wyjścia. Bo jeżeli przegramy, stracimy nie tylko naszą flotę, ale też zapewne życie i wolność. Dzwon będzie bił na trwogę, moffie Pandion. Chcesz przegrać tutaj, jak przegrałeś na Malastare? Utrata stacji łączności sprawiła, że tamten świat wymknął się nam z rąk.

Rae też słyszała o klęsce Pandiona. Tyle tylko działał, że uszedł z życiem. Zdążył odlecieć na promie ratunkowym, a w tym czasie rebelianci przejęli bazę. W marynarce kapitan idzie na dno razem ze swoim statkiem. Moffowie, jak widać, nie przestrzegają zasad honorowych.

Wzmianka o tych niechlubnych chwilach ukłuła Pandiona. Gniew ściał jego rysy, zmieniając je w brzydką maskę.

- Jesteś tchórzem! - warknął.

Shale wzruszyła ramionami.

- Nie aż takim, żeby uciekać, kiedy moi ludzie umierają czy dostają się do niewoli.

Sloane stwierdziła, że musi wkroczyć, zanim tych dwoje się pozabija. (Z drugiej strony rozwiązałyby to problem, czyż nie? Niestety, nie potrafiła być aż tak okrutna).

- Moim zdaniem - zaczęła, znacząco podnosząc głos - powinniśmy kontynuować nasze śniadanie i dyskusję na temat szerszych i ważniejszych celów - przyszłości Imperium Gala

ktycznego i galaktyki, którą ono rzekomo kontroluje. W międzyczasie nasi ludzie przygotowują promy, spakują bagaże, a moja asystentka Adea poszuka dla nas innego miejsca na naradę. Do lunchu powinniśmy już znać zastępczą lokalizację i szybko się tam przenieśmy, aby kontynuować obrady.

Miała nadzieję, że tym oświadczeniem zdoła ich przygwoździć - jak butem węża, wijącego się na ziemi, zanim ten zdąży ukąsić. Miała wrażenie, jakby cała ta narada była liną, bezustannie wyslizgującą się jej z rąk. Wydawało się, że na chwilę przywróciła spokój, ale zdawała sobie sprawę, że w każdej chwili ktoś taki jak Pandion znów dorwie się do głosu i wywróci wszystko do góry nogami. Tak jak wczoraj wieczorem, kiedy popełniła błąd, pragnąc poznać ich zdanie. (W ogóle zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła jeszcze większego błędu i czy narada nie jest zbyt ryzykownym pomysłem? Być może Pandion miał rację, twierdząc, że Imperium potrzebuje nowego Imperatora, a nie użerającego się ze wszystkim zarządu. Narady spowalniają koło postępu, każąc mu się obracać niemrawo. Senat Galaktyczny słynął z niemożności podjęcia jakiegokolwiek decyzji).

Trudno, jest, jak jest.

- Zacznijmy naradę - powiedziała.

Jim Barell zakaszłał i wróciła mu ostrość widzenia. Gdzie jest? Co się stało?

Pamięć wróciła szybko - w tym samym tempie, w jakim powierzchnia planety rosła mu w oczach. Pamięć spadania. Transportowiec w ogniu. Jego drużyna zmiotana po kolei z nieba, jedno po drugim, jakby strącał ich palcem jakiś bezduszny, nieuważny bóg. A on rozpostarł skrzydła. Wiatr porwał go i szarpał. Pod nim Durs. Polnichk nad nim. Laser anihiluje Durs. Wiatr zabija Polnichka, zanim laser zdąży upomnieć się o swoją ofiarę.

Jom wpadł w to piekło, dławiony pędem powietrza; lodowaty wiatr szarpnął nim jak wielka brutalna ręka. W parę sekund opadł trzydzieści metrów, a potem przekoziółkował i skrzydła straciły siłę nośną. Na moment stracił przytomność, a kiedy ją odzyskał, zobaczył, że jest już blisko ziemi. Pod nim rozciągało się wyraźnie widoczne miasto. Raz jeszcze rozpostarł ręce i nogi i poczuł, że powietrze znów go unosi...

Słabo kontrolował spadanie. Łądując, trzasnął w jakiś mały wózek, a potem resztką sił wpełznął do drewnianego spichlerza na słupach, który pod dachem miał skład siana i skórek owoców - pozostałości po jakimś domowym zwierzęciu. Tam odpłynął w mrok, bojąc się, że odpływa w śmierć.

A jednak przeżył.

Było gorąco jak w paszczy rankora. Jom zdarł z twarzy maskę i cisnął ją na ziemię. Próbował się podnieść, ale jedna ręka zwisała bezwładnie i wyładowanie bólu przeszło ją od barku do palców. Nie mógł nawet zacisnąć pięści. W rękawie skafandra krył się kawałek bezużytecznego ciała.

Ręka była złamana.

„Wtopa”.

Sięgnął za plecy, do karabinu, aby użyć go jako laski.

Karabinu nie było.

„Druga wtopa”.

Musiał złamać rękę w ostatniej fazie lotu (albo przy lądowaniu). Przewrócił się na bok i zaczął wstawać, unosząc się z kolan i podpierając się zdrową ręką, kiedy...

Uniósł głowę i przez piekący pot, zalewający mu oczy, zobaczył białe buty szturmowców. Trzech stało przed nim z blasterami gotowymi do strzału.

„Trzecia wtopa. Pieprzona trójca”.

- O, cześć, chłopaki - powitał ich Jom, wyduszając z siebie słowa przez zaciśnięte zęby. - Ale upał, co?

- Nie ruszaj się - powiedział jeden.

- Wstań - dodał drugi.

Idioci.

- Z chęcią spełniłbym wasze zachcianki - rzekł Barell -ale jestem tylko jeden, a was jest trzech, chłopcy... - Wymawiając ostatnie słowo, przekręcił się i z całej siły kopnął w słupek podtrzymujący konstrukcję. Wystarczyło. Spróchniała belka trzasnęła jak kość i dach skosem runął na ziemię, sypiąc glinianymi dachówkami. Na moment oddzielił go od szturmowców.

Nie było czasu do stracenia. Jom zerwał się jak sprężyna, przewyciężając ból, i zdrowym barkiem staranował dach, popychając go w przód. Szturmowcy padli na ziemię, chrzęszcząc zbrojami. Zanim zdążyli zareagować, Barell wskoczył na dach, który ich przygniatał, i zaczął skakać po nim, opadając na nogi całym ciężarem. Dostrzegł jakiś ruch przy krawędzi. Jeden ze szturmowców usiłował się wyczołgać. Ukazała się dłoń z blasterem.

Jom rzucił się do niej i wyrwał broń.

- Ej! - krzyknął szturmowiec.

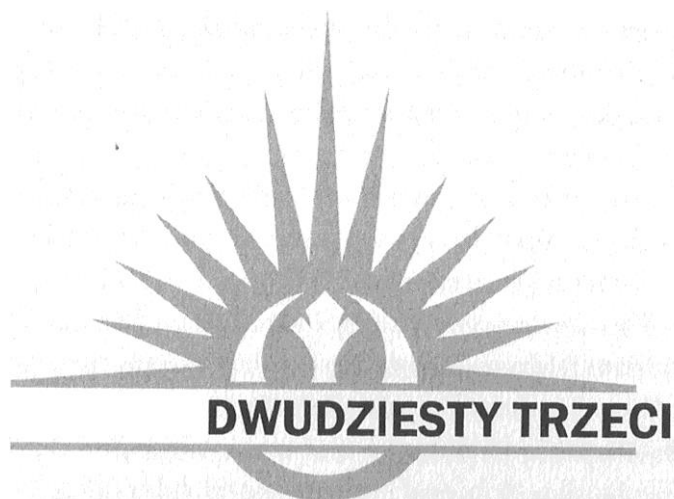
- Ej - odpowiedział Barell i podparł się blasterem, żeby wstać.

A potem przeszył serią dach, aż pryskały odłamki drewna i dym unosił się z wypalonych dziur. Szturmowcy przestali się szarpać i znieruchomieli.

Jom, skrzywiony z bólu, splunął i zszedł z platformy.

Trzeba stąd spadać.

ROZDZIAŁ



Szły przez miasto. Niełatwo jest ukryć twarz na ulicach Myrry, zwłaszcza w tak upalny dzień. Kaptury wyglądałyby dziwnie, a pod maską pot zalewałyby oczy. Pozostały tylko zasłony. Norra nosiła białą, zakrywającą pół twarzy, a Jas - woal na całą głowę, czarny jak noc. (Niestety, odznaczały się pod nim rogi).

Z naprzeciwka nadchodziła para szturmowców.

Zza pleców kobiet ktoś cisnął joganem. Owoc roztrzaskał się na głowie jednego ze szturmowców. Fioletowy sok z bladymi pestkami zapaćkał biały hełm.

- Kto to zrobił? Kto?
- Pokaż się!

Oczywiście nikt się nie pokazał. Imperialni zakleli i patrol ruszył dalej.

Jas i Norra pochyliły głowy i szybko przeszły na drugą stronę zatłoczonej ulicy. Udało się.

Norra w napięciu tak zaciskała szczęki, aż bała się o swoje zęby. Próbowwała wyluzować, ale poczucie, że wszystko wisi na włosku, było zbyt silne. Jeden niewłaściwy ruch i zdarzy się katastrofa.

- Twój plan naprawdę może zadziałać - powiedziała Jas.
- Tak myślisz? Bo ja nagle zwątpiłam - przyznała Norra.

Jas wzruszyła ramionami.

- Po tym, co przed chwilą widziałyśmy? Dlatego właśnie nabrałam nadziei. O, jesteśmy już przy sklepie twojego syna.

„Sklep Temmina” - pomyślała Norra, ale nie powiedziała, że był to także jej dom.

Ze środka dobiegał łomot. Metal uderzał o kamień. W głębi pracował świder. Norra czuła pod stopami wibracje przechodzące do łydek.

- Na pewno nie chcesz, żebym ci towarzyszyła? - spytała Norra.

Jas przeciągnęła kciukami po kłykciach dłoni.

- Za duży tłok. Będziesz mi tylko przeszkadzać.
- Dzięki za zaufanie.

- Ty lepiej pilotuj. Ja się zajmę łowieniem nagród.

- Racja. Będę miała broń w pogotowiu, gdybyś jednak mnie potrzebowała.

Jas skinęła głową, odbezpieczyła blaster i podeszła do drzwi. Norra schowała się za rogiem i z daleka obserwowała rozwój wydarzeń. Drzwi sklepu otworzyły się cicho i Zabrakanka weszła do środka. Drzwi zamknęły się za nią.

Wiercenie ustało. Zastąpiły je krzyki. Zobaczyli ją. Krzyki się urwały.

Odgłosy ciosów. Łomot, jakby upadło coś ciężkiego. Strzały z blasterów. Kolejne ciosy. Znów łomot. Parę szybkich blasterowych serii. Ktoś jęknął z bólu. Pojedynczy strzał. Jęk urwał się jak ucięty nożem.

Nastala pełna napięcia cisza.

Drzwi się otworzyły.

Jas stanęła w progu; strużka krwi ciekła jej z nosa. Wargę miała rozciętą i krew na zębach. Mrugnęła do Norry.

- Czysto. Możemy iść.

- Odłóżcie broń! - warknął Sinjir, patrząc w lufy blasterów wycelowane w jego twarz. Popatrzył na nich z wysoka z niezadowoloną miną. - Nie wiecie, kim jestem? Nikt was nie poinformował o mojej obecności?

Dwóch szturmowców wymieniło zdziwione spojrzenia, jakby chcieli powiedzieć nieznajomemu: „To jakaś sztuczka Jedi?”.

Za plecami Sinjira paru mieszkańców Myrry, widząc, co się dzieje, pośpiesznie przemknęło wąską uliczką - spłoszony Dug, dwie praczki i karłowaty Ugnaught, siedzący na pochyłym, długim karku Ithorianina.

Za plecami szturmowców były drzwi, które prowadziły do lokalnego centrum łączności. Dwupiętrowy budynek w kształcie kopuły miał na szczycie dość długą, lekko krzywą antenę. Antena nie była zbyt efektowna. Na tyle duża, żeby można było się na niej powiesić, i na tyle rozchwierutana, że musiała się kiwać w porywach mocniejszego wiatru, niczym złowrogi szpon czarownicy.

Nie mogła wysłać sygnału w kosmos.

Ale lokalnie - tak.

- Odejdź stąd - rozkazał jeden z wartowników.

Sinjir udał niedowierzanie.

- Wy naprawdę... ha, nie do wiary... rzeczywiście, nie kojarzycie, kim jestem. Ale kiedy wreszcie skojarzycie, zrobicie się czerwoni pod tymi groźnymi hełmami. Rozumiem, że jest z wami oficer? Zawołajcie go!

Znów ta wymiana spojrzeń. Wreszcie jeden z nich włączył komunikator:

- Melduję... mamy pewien problem przy bocznym wejściu. Aha. Ktoś mówi, że pracuje dla Imperium. Tak jest. Tak jest. - Zwrócił się do Sinjira: - Oficer Rapace zaraz zejdzie.

Podrzucił lufę karabinu do góry, po czym znów wycelował nią w Sinjira, jakby chciał pokazać, kto tu rządzi, i ostrzec: „Tylko bez głupich pomysłów”.

Sinjir miał wyłącznie głupie pomysły, ale na razie ich nie zdradził.

Za moment otworzyły się drzwi i w progu stanął regularny imperialny oficer - czapka, dystynkcje - wszystko, co trzeba. Niepozorny mężczyzna miał miękką, rzadką bródkę.

- O co chodzi? Kto to jest?
- Oficer Rapace? - upewnił się Sinjir.
- Tak. A ty kim jesteś?
- Tajny agent rządowy Sinjir Ralph Velus.

O to chodziło. To urocze drżenie. Zmrużenie oczu. Nagłe zacisnięcie rąk. Nagły, dziki taniec obaw i niepewności. Choć Rapace usiłował nie pokazać po sobie niczego, Sinjir widział, co się z nim dzieje. Miał zawodowo wyostrzone wycucie tych spraw.

Zresztą każdy bał się tajnych agentów.

- O ile wiem, nie stacjonują tu żadni agenci - powiedział Rapace lekko drżącym głosem. Wyjął zza pasa skaner i potrzymał go chwilę przed twarzą Sinjira, podczas gdy szturmowcy trzymali go na muszce. Teraz jednak lufy lekko opadły w dół, po-

nieważ ich także obleciał strach. Pewnie trzęśli się wewnątrz tych zbroi.

Skaner bipnął.

Rapace zeszywniał jeszcze bardziej.

- Sinjir Ralph Yelus. Ty... zginąłeś na Endorze. Figurujesz jako ofiara działań wojennych.

- Och - mruknął Sinjir z udawaną irytacją. - Ten urzędniczy błąd ciągnie się za mną jak smród. - Przewrócił oczami. - Otóż nie: nie zginąłem na Endorze. I tak: stoję tu przed wami we własnej osobie.

- Ale... - Oszołomiony oficer potrząsnął głową. - Nie jesteś w mundurze.

- Bo przebywałem tu na urlopie. Ale już się skończył i chciałem się zgłosić do służby, a ta stacja była najbliższa. Bo to jest stara stacja łączności, prawda? I bardzo dobrze. Pełna kontrola nad punktami przekazu informacji. Dobra robota, oficerze. - Zanim Rapace zdążył wydukać podziękowanie, Sinjir zapytał szybko: - Możemy wejść do środka? Muszę ocenić sytuację.

- Tak jest - odpowiedział oficer z krótkim skinieniem głowy. - Oczywiście, oficerze Velus. Proszę tędy. - Zasalutował służbiście, jakby chciał podkreślić, jak dobrze służy Imperium, po czym obrócił się energicznie i pomaszerował przodem.

Sinjir wezwał gestem szturmowców.

- Wy też. Do środka.

- Sir, musimy pilnować drzwi...

- Kwestionujecie polecenie oficera rządowego? A może rzeczywiście powinniście tu zostać, a ja w tym czasie przeskam waszą kwaterę, przejrzę wasze kartoteki i porozmawiam z Rapaceem, czy zdarzały się wcześniej... przypadki niesubordynacji.

- Już idziemy - powiedział drugi ze szturmowców.

(Kiedy Sinjir odwrócił się i poszedł pierwszy, jeden trącił drugiego łokciem).

Weszli do środka.

Drzwi zamknęły się za nimi.

Oficer Rapace wszedł na słabo oświetlone schody, prowadzące na piętro.

Nagle ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Metal uderzał o metal.

To oznaczało: „Już czas”.

Szturmowcy odwrócili się z pomrukiem zaskoczenia. W tym momencie Sinjir podskoczył i jedną ręką wyszarpnął Rapaceowi blaster z kabury, a drugą pchnął oficera na schody.

Padł strzał. Rapace zwałił się twarzą na stopnie.

Szturmowcy z krzykiem zawrócili ku niemu. Za późno. Drzwi otworzyły się z hukiem i pojawił się w nich droid bojowy - Pan Bones, droid Temmina. Noga od astromecha wirowała jak rotor turbiny i tak mocno trzepnęła jednego ze szturmowców, że biały hełm pękł na pół jak zgnieciony orzech kukuia. Drugi wydał okrzyk paniki, ale uciszyło go na zawsze wibroostrze, które weszło się w pancerz piersiowy.

Obaj padli martwi.

- Halo mogę wejść - powiedział mechanicznym głosem Pan Bones.

Sinjir westchnął.

- Tę kwestię wypowiedziałeś nieco za późno.

- Rozkaz, rozkaz.

Schody zadudniły od ciężkich kroków. Sinjir przykucnął z boku, za małą szafką, i kiedy dwaj kolejni szturmowcy pojawili się u góry, wystrzelił szybko dwa razy. Jeden upadł na twarz, a drugi na plecy i zsunął się w dół w swoim gładkim pancerzu. Potem znieruchomieli.

Sinjir skinął głową droidowi.

- Powiedz Temminowi, że już czas.
- Pan Temmin. Nazywa się pan Temmin.
- Dobra, świetnie, powiedz panu Temminowi, że już czas.
- OK-OK!

Norra siedziała na dachu sklepu, który dawno temu prowadził twarzokłowy Aqualish, Torvo Bolo. Później lokal spłonął. Bolo udawał surowego, ale kiedy ona i Esmelle przychodziły z listą zakupów, wypisaną przez rodziców, zawsze wtykał im lizaki. Plotkowano, że podpalenie miało związek z czarnym rynkiem. Plan był prosty - jeśli sklep zostanie zamknięty i zabraknie towarów ogólnodostępnych, będą dostępne tylko na lewo i czarny rynek zyska.

Tak to się działo na Akivie. Korupcja, dotąd związana z satrapią i dworską arystokracją, rozlała się po całej planecie niczym woda z podziurawionej beczki. I w tej dawce stała się toksyczna. Zaczęła zmieniać ten świat.

Dobra, to są rozważania na przyszłość. A na razie trzeba działać.

Naprzeciwno, po drugiej stronie wąskiej uliczki, widać było inny dach zabytkowej siedziby starego, arystokratycznego, bogatego rodu Karyvinów. Posiadali własne wyspy na Południowym Archipelagu i kopalnie kryształów w Północnych Dżunglach. Ich dzieci, zamiast iść do Akademii, od razu trafiały do szkół oficerskich, przeskakując szczeble imperialnej kariery.

Na dachu stały dwa imperialne myśliwce TIE. Cicha, pełzająca okupacja Myrry wymagała obecności statków orbitalnego zasięgu, zaparkowanych w sprzyjających Imperium punktach miasta.

Norra potrzebowała jednego z nich.

Obejrzała się za siebie, na dach dawnego salonu gier, przyniesiony gałęzią starego, powykęcianego drzewa jarwal, która odłamała się lata temu i tak już została.

Norra czekała. I czekała.

Jak długo to potrwa? Jas powinna...

„Jest”.

Błysk. Promień słońca odbity w lusterku.

Już czas.

Norra zebrała z dachu garść pokruszonej zaprawy i cisnęła ją z całej siły. Pach! Odłamki uderzyły w pionowy panel myśliwca TIE. Po chwili, jak było do przewidzenia, pojawił się pilot. Na luzie, z hełmem pod pachą, ale z dłonią przy kaburze z blasterem.

Schylił się i podniósł odłamek.

Norra wstała i zagwizdała cicho.

Pilot uniósł czujnie głowę, jak świstak na warcie. Minęło parę sekund, zanim skojarzył, że ktoś jest w pobliżu.

- Ej, ty! - wrzasnął i sięgnął do kabury.

Coś śmignęło cicho zza pleców Norry w kierunku dachu salonu gier.

Pif!

Pilot wzdrygnął się lekko. Słowa zamarły mu na ustach. Głowa opadła gwałtownie na pierś. Z niedowierzaniem spojrzął w ziejący tam otwór.

Nie upadł normalnie, tylko... zwinął się i zapadł w sobie.

Norra sprężyła się, aby sprostać zadaniu. Owszem, ma już swoje lata, ale kości bolą ją tylko rankami. To jednak wystarczyło, aby zdała sobie sprawę, że nie jest już młodą, bojową mamuszką, pędzącą przez galaktykę. Czas ściągał ją do ziemi. Nadal jest dobrym pilotem, ale całe to bieganie i skakanie po dachach? Nie, to już nie jej bajka.

„Dobra, to tylko krótki skok. Dasz radę”.

Głęboki oddech i - ruszyła. Rozpędziła się po dachu sklepu i biegła ku krawędzi ze świadomością, że zaraz rzuci się w przestrzeń, skokiem ponad wąską uliczką. Usiłowała nie myśleć, co będzie, jeśli nie trafi na przeciwległy dach, zleci dwa piętra w dół i roztrzaska się na plastobetonie. Kiedy sprężyła się do skoku...

...wyłonił się pilot drugiego myśliwca TIE i dostrzegł ją.

W jego dłoni pojawił się blaster i plunął ogniem.

Norra zachwiała się i runęła w dół.

Temmin klęczał, zakrywając twarz dłońmi. Przez palce wpatrywał się w wylot lufy blastera wycelowanej w siebie.

- Proszę - jęknął. - Proszę. Ja nic nie zrobiłem.

Imperialny oficer zaśmiał się i powiedział:

- Wiem.

Temmin zerwał się jak sprężyna i zaczął uciekać.

Blaster wypalił. Pocisk trafił go w plecy.

Chłopak upadł. Powietrze uszło mu z płuc. Chciał krzyknąć, złapać oddech, odtoczyć się w bok, ale musiał wytrzymać. To miało wyglądać przekonująco. „Nie ruszaj się. Leż. Nawet nie oddychaj”.

„Udawaj martwego”.

Mijały sekundy. Temmin czuł, że zaraz zemdleje.

Aż wreszcie...

- Mamy to? - zapytał oficer imperialny, czyli Sinjir.

Pan Bones stał obok, nieruchomy jak wieszak na ubrania.

- Co.

Temmin chciwie nabrał powietrza, po czym wstał i wyjął spod koszulki panel przekaźnika komunikacyjnego. W samym środku stalowej płyty było widać głębokie, punktowe wgniecenie. Takie panele pokrywały z zewnątrz wieżę przekaźnika na dachu budynku. Miały stanowić ochronę przed burzami mausim, więc były niemal niezniszczalne.

- Mało brakowało, a zrobiłaby się dziura - powiedział, zerkając na Sinjira.

- Wybacz - odparł agent. - Użycie panelu z przekaźnika było twoim pomysłem, nie moim. Z drugiej strony bez niego numer by nie wyszedł. Czy mógłbyś łaskawie zapytać ten swój psychotyczny automat, czy zrobił nagranie?

- Bones, nagrałeś to?

- OK, OK, panie Temmin.

I droid zaczął nucić pod nosem. Przeszłował przy tym z nogi na nogę, jakby chciało mu się tańczyć, ale się hamował.

- A nagrałeś Norrę? - zapytał Sinjir.

- OK, OK.

Sinjir zwrócił się do Temmina:

- A ty masz...

- Tak, tak, mam holodysk. Przekaz dotrze wszędzie. Wszyscy go zobaczą. - Musiał w duchu przyznać, że plan matki był świetny, a przynajmniej ta jego część. A reszta? Tego nie był już pewien. Nie miał ochoty opuszczać tej planety. Tu jest jego dom. Tu ma swój sklep, swoje interesy i życie. Czy ona myśli, że tak po prostu wyrwie go z Akivy? I dokąd? Na Chandrilę? Naboo? Dno! Na razie nie ma sensu o tym myśleć. Musi się skupić na tym, co jest. - Stąd nadawano kiedyś wiadomości. Mama i tata ich słuchali - powiedział. - Ale satrapa zamknął wszystkie stacje na rozkaz Imperium. - Pomyślał coś jeszcze, ale nie powiedział tego głośno: „Wtedy okazało się, że tata z pomocą tej właśnie stacji nadawał rebeliancką propagandę na całą Akivę”.

Temmin wyczuwał ironię sytuacji.

Sinjir sięgnął po krzesło stojące przy konsolce i podsunął je chłopakowi.

- Naprawdę uważasz, że uda się zhakować sygnał?

- Chyba to ja go zbudowałem, nie? - Temmin ruchem kciuka wskazał na droida. Usadowił się za konsolą i zdmuchnął z niej kurz.

Pan Bones śmignął w powietrzu wibroostrzem, próbując zabić ćmę. W końcu mu się udało i owad rozpadł się na dwie połówki. Dwa pojedyncze teraz skrzydełka ciągle trzepotały, opadając na ziemię.

- Tak - powiedział Sinjir głosem suchym jak stary chleb. - I o to właśnie chodzi.

Płuca i ramiona piekły, kiedy Norra uchwyciła krawędź dachu naprzeciwko. Palce ślizgały się po mokrej powierzchni. Czubkiem buta namacała szczelinę w murze i wyprostowała się na nodze.

Nad jej głową zamajaczył cień.

Pilot myśliwca TIE. Stał nad krawędzią, mierząc do niej z blastera.

- Zabiłaś NK-409. Mojego przyjaciela. Ty rebeliancka sssss...

Zachwiał się w tył. Namacał palcami otwór w samym środku czarnej płyty piersiowej kombinezonu.

- Suko - dokończył.

I runął w dół, prosto na nią. Norra krzyknęła i kurczowo przywarła do ściany.

Czuła powiew za plecami, kiedy martwe ciało przeleciało z tyłu i głucho huknęło o bruk.

Odrętwiałe palce zaczęły tracić chwyt. Pomyślała o martwym mężczyźnie w dole.

„Mało brakowało, a sama bym tam leżała. Weź się w garść, Norra. Wszystko zależy od ciebie. Temmin ma być z ciebie dumny”.

Pewniej ustawiła czubek buta na występie w ścianie i jeszcze raz wyprężyła się na nodze. Łydka i udo bolały nieznośnie. Ostatnim wysiłkiem z jękiem wybiła się w górę i przerzuciła ciało przez krawędź dachu.

Leżała tam przez chwilę, ciężko dysząc. Nad nią wznosiło się nietoperzowe czarne skrzydło imperialnego myśliwca -złego oka, jak rebelianci nazywali te statki, bo tak wyglądały, kiedy z upiornym wyciem nadlatywały z nieskończonej kosmicznej przestrzeni. „Zaraz tym polecę” - pomyślała.

- Już mam - oznajmił Temmin.

W tym momencie ktoś załomotał do drzwi studia nadawczego.

- Otworzyć! - zawołał nieznany głos.

Sinjir wyjął blaster i wypalił w zamek. Błysnął płomień i posypały się iskry. Drzwi drgnęły i zamek się zablokował.

- Zrób to - powiedział.

Temmin wcisnął guzik.

Transmisja się rozpoczęła.

W całym mieście Myrra włączył się obraz z Holo-Netu. Na odbiornikach w barach i w kafejkach, a nawet na modnych nareęcznych projektorach kierowców bala-bala, którzy tkwili w korku na przelotówce 66. Wyświetlił się też przed Hydorrabad Arena, na środkowym oktagonie CBD.

Na hologramach pojawiła się głowa Norry Wexley.

Spojrzała prosząco na widzów.

Projekcja Norry powiedziała:

- *Akivanie, nasza planeta jest pod obcą okupacją. Myrrę kontroluje Imperium Galaktyczne. Długo opieraliśmy się utracie niezależności, ale teraz wojna jest u naszych bram. A wraz z wojną przyjdą zbrodnie takie jak ta...*

Nastąpiło cięcie i pojawiła się scena - chłopak z rękami w górze. Imperialny oficer z pistoletem. *Proszę! Ja nic nie zrobiłem.* Śmiech oficera. *Wiem.* Chłopak zrywa się do ucieczki, dostaje w plecy, pada martwy.

Imperialny oficer wcale nie służył Imperium, a chłopak wcale nie był martwy. Mała była jednak szansa, aby ktoś poznał, że sytuacja została sfingowana.

W całej Myrze Akivanie patrzyli na to ze zgrozą. Kręcili głowami. Przygryzali wargi. I zaczęła w nich narastać wściekłość.

Wrócił obraz Norry i jej głos zadudnił donośnie:

- *Kiedy mówię te słowa, w pałacu satrapy, w tym gnieździe zdrady i korupcji, odbywa się tajna narada Imperium. Omawia się tam plany okupacji naszego miasta i planety. Czy poddacie się biernie niewoli? Czy raczej będziecie walczyć? ja mówię: walczyć. I wiem, że Nowa Republika stanie po waszej stronie.*

Norra znikła.

Zacząła się nowa projekcja odtwarzana w pętli. Było to nagranie z księżniczką Leią, które wielu Myrran już знаło. Zaczynało się słowami:

- *Nowa Republika was potrzebuje. Okowy Imperium zostały skruszone. Nie ma już Gwiazdy Śmierci na orbicie leśnego księżycyca Endora, a wraz z nią wyparowało całe imperialne przywództwo.*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Rae zatrzęsała się z wściekłości.

Adea wywołała ją w porze obiadu i pokazała jej holowideo. Pozostali dalej spierali się w jadalni o władzę, forsując swoje poglądy. Teraz na tapetę wzięto temat sukcesji i dyskutowano, kto powinien zostać Imperatorem po śmierci Palpatinea. Kiedy zjawiała się Adea, doradca Tashu zgłosił właśnie pomysł posłużenia się sobowtórem, aby pokazać, że Imperator Palpatine „jednak żyje”. Nie byłoby to trudne, ponieważ za życia miał wielu duple-rów. Ku zdumieniu Rae towarzystwu całkiem spodobała się ta myśl.

Wyszła za Adeą i obejrzała audycję.

- ...w pałacu satrapy... odbywa się tajna narada Imperium.

- To sabotaż - syknęła Rae, zaciskając szczęki. - Przecież założyliśmy blokadę informacyjną.

- Wiem.

- Czy to twoja sprawka?

Po twarzy Adei przemknął strach.

- Nie - powiedziała drżącym głosem. - Pani admirał, ja... nigdy...

Przez moment Rae walczyła z pokusą, żeby chwycić dziewczynę za gardło i wydusić z niej przyznanie się do winy. Jednak takie okrucieństwo nie leżało już w jej naturze. Zresztą Adea tego nie zrobiła. Jaki by mogła mieć motyw? To nie miało sensu.

W takim razie kto? Pandion? Satrapa?

Ktoś jeszcze, nieznaną jej?

- Daj mi tu Isstrę - rozkazała.

Adea skinęła głową i wybiegła przez duże, podwójne, czerwone drzwi, prowadzące do jadalni. Były bogato rzeźbione i zdobione ornamentami. Widniały na nich sceny, których bohaterem był satrapa, walczący z różnymi dziwnymi bestiami - na jednym skrzydle z nexu, a na drugim - z bandą groźnie wyglądających humanoidów. Rae popatrzyła na nie bez ironii. Ona też musiała walczyć z bestiami wokół siebie.

Drzwi otworzyły się i pojawił się satrapa, cały w unizonych ukłonach i uśmiechach.

- Słucham, pani admirał, co pokorny sługa może dla pani zrobić...

Pokazała mu hologram.

Patrzył, a jego oczy stawały się coraz większe.

- Och, nie do wiary!

- Zaprowadź mnie do okna, które wychodzi na front. Na Aleje Satrapii. Szybko!

Isstra kiwnął głową i klasnął w dłonie. Niecierpliwie zakręcił palcem i jego dwie asystentki - młode kobiety ubrane w miękkie, złote, prześwitujące zawoje - pospieszyły za nim, podając mu do ust małe suszone owoce, podczas gdy ich pan szybkim krokiem gnał przed siebie. Weszli po schodach mwykładanych niebieskimi kafelkami, minęli ścianę wody utworzoną przez rząd fontann i weszli na drugie schody - tym razem kręte i tak wąskie, że dwie osoby nie mogły się na nich minąć. Dalej był ciasny korytarz z wąskimi, obronnymi oknami.

- Proszę - powiedział, nerwowo żując jeden z niewielkich, ciemnych owoców.

Rae podeszła do jednego z okien.

Akivanie już zdążyli nadciągnąć pod pałac. Nie był to tłum. Jeszcze nie. Ale przyglądali się siedzibie swojego satrapy z nieprzyjemnym zaciekawieniem. Jakby nie mogli się zdecydować,

jak mają go postrzegać albo co robić. A może czekali na coś, co dałoby im pojęcie, co się tam dzieje. Na pewno zauważyli imperialne promy, stojące na lądowisku na dachu pałacu. Z pewnością nie umknęła też ich uwadze zwiększona obecność szturmowców, przeloty myśliwców TIE nad miastem i zajęcie przez przedstawicieli Imperium paru kluczowych miejsc w Myrze.

Sytuacja przypominała kanister z paliwem ze zwisającą z otworu szmatą, którą ktoś podpalił.

Ten lont szybko spłonie. Szybciej, niż się wydaje.

I będzie wielki wybuch.

- Zaczynij przygotowywać statki - rzuciła do Adei.

- Obliczenia do skoku w nadprzestrzeń muszą chwilę potrwać...

- Zrobimy to po wyjściu z atmosfery. Teraz liczy się czas.

Narada się skończyła.

Czas powiedzieć to innym.

INTERLUDIUM TARIS

W ciemności czerwona klinga miecza świetlnego wysunęła się z rękojeści.

Klinga kołysała się lekko - wwum, wwumm. Czerwona, jarząca się linia na czarnym tle. Obok niej dyndał tłusty, jadowity pająk z fosforyzującym rysunkiem czaszki na tułowiu. Owad pluł jadem na czerwoną klingę, a ta przysuwała się coraz bliżej. Nagle śmignęła jak błyskawica.

Skrzek, syk i pająk rozpadł się na dwie połówki.

Światło wróciło do pokoju, kiedy młoda dziewczyna o szczerzej twarzy odsunęła czarną zasłonę z okna.

Mieczem szermował ryjonosy Kubaz, którego oczy osłaniały gogle o złotych szybkach. Głowę miał owiniętą szarfami z czerwonej skóry. Po zabiciu pająka wciągnął klingę w rękojeść.

Za nimi znajdowały się trzy postacie. Dwie, w czarnych szatach, miały zakryte twarze. Trzecia stała nieco z przodu i była młodą kobietą - bladą i zgarbioną, jakby kręgosłup z trudem dźwigał jej ciało. Jej dłonie zdawały się tańczyć w powietrzu. Palce miała jak długie i cienkie pajęczne nogi; zdawała się skubać nimi niewidzialne nici.

Znajdowali się na planecie Taris. Kiedy odsunięto zasłonę i do pokoju wdarło się światło, okazało się, że pomieszczenie jest w kompletnej ruinie. Na podłodze piętrzyły się poduszki, w których roiło się robactwo. Ściany pokrywały graffiti (jednym był namalowany z szablonu słynny hełm Dartha Vadera z napisem pod spodem: „Vader żyje”). Wszędzie walały się śmieci i gruz. Nie lepiej wyglądał świat za oknem -mieszkalne klitki piętrzyły się jedna na drugiej. Wiele z nich było po prostu kontenerami transportowymi. Albo kadłubami zezłomowanych statków kosmicznych spiętrzonymi byle jak. W rynsztokach stała zanieczyszczona woda, pokryta brudnym kożuchem piany.

Kubaz zapiszczał w swoim rodzinnym języku:

- Masz kredyty?

Szczurotwarza dziewczyna przetłumaczyła pytanie na basie.

- To naprawdę jego miecz? - upewniła się młoda kobieta. Mówiła chrapliwym szeptem, jakby miała kłopoty z gardłem.

- Tak, to jest miecz świetlny Lorda Sithów.

- Mogę zobaczyć?

Kubaz pokręcił długim ryjem.

- Nie. Najpierw kasa. Pieniądz gada albo Ooblamon spada.

Mała, szczirowata przyjaciółka Ooblamona zachichotała, tłumacząc to.

Bładolica kobieta zerknęła na swoje towarzyszki w ciemnych szatach. Zaszepotały między sobą. Jakby się kłóciły.

Znów zwróciła się do handlarza:

- Skąd mamy wiedzieć, że to miecz Yadera?

- Nie możecie wiedzieć. Niemniej jest to miecz świetlny, no nie? Do tego czerwony. Chyba takiego koloru szukacie?

Znów szeptana narada, znów spory. Napięcie.

Wreszcie nastąpiło porozumienie. Każda z czarnych postaci wręczyła bladej kobiecie małą szkatułkę ozdobioną dziwnymi znakami. Potrząsnęła nimi i Ooblamon Kubaz usłyszał luby brzęk kredytów, który tchnął ciepło w jego zimne serce.

Bładolica podała mu szkatułki, ale nie przyjął ich. U jego boku natychmiast pojawiła się szczirowata dziewczyna.

- To Vermia, moja asystentka i uczennica.

Chwyliła ze szczękiem pazurów jedną szkatułkę, a potem drugą i zaniósła je do kąta, żeby tam przeliczyć walutę. Kredyty błyskawicznie przepływały przez jej sprawne palce.

Młoda kobieta wyciągnęła bladą dłoń.

- Proszę o miecz.

- Jak się przeliczy kasę - odparł Ooblamon. Przekrzywił głowę i popatrzył na dziwną trójkę. - Kim jesteście? Bo chyba nie Jedi?

- Jesteśmy wyznawcami - syknęła. - Mrocznymi Akolitami.

- Fanatykami ciemnej strony? - spytał. - A może tylko dziećmi, które pożądamy zabawki?

- Nie tobie nas osądzać, złodzieju.

Kubaz sapnął z urazą. Przybiegła Vermia i wesoło zameldowała, że wszystko się zgadza.

Ooblamon już miał oddać miecz, ale kiedy młoda kobieta sięgnęła po niego, cofnął rękę. Lekko uchylił połę brązowej, znoszonej szaty, ukazując kaburę z blasterem.

- Żeby ci tylko nie przyszło do głowy użyć tego miecza przeciwko mnie czy moim ludziom - pogroził. - To się może źle dla ciebie skończyć.

- Nie używamy przemocy. Jeszcze nie.

Kubaz chrząknął i wręczył jej miecz świetlny.

Trzy nieznajome niemal zetknęły się głowami, trzymając pomiędzy sobą miecz. Zaczęły szeptać coś do siebie. Albo do niego.

W końcu blada kobieta wymamrotała ledwie słyszalne podziękowania i wraz z towarzyszkami ruszyła do drzwi. Ooblamon zawołał za nią:

- Co zamierzasz z nim zrobić?

- Zniszczymy go - odpowiedziała po prostu.

Roześmiał się.

- Dlaczego?

- Aby wrócił do swojego zmarłego pana.

Znikły za drzwiami. Na zewnątrz powitały je odgłosy Taris - ryk klaksonu, czyjeś krzyki, wystrzał z tłumika skutera, odległy strzał.

- To naprawdę była broń Vadera? - spytała Vermia.

Kubaz wzruszył ramionami.

- A kto go tam wie. Zresztą wszystko jedno.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Linia iskier, czerwonych niczym ślepiec demona, sypała się ze szpary powiększającej się z boku drzwi studia. Pan Bones stał przed nimi, czekając w gotowości. Nucił swoją niemelodyjną śpiewkę, którą tylko wariat uznałby za ładną, a która kojarzyła się z wyciem wichru hulającego w jaskini. Sinjir też czekał z Maste-rem gotowym do strzału.

„Przyszli po nas. No i co będzie?”

Coraz bardziej się obawiał, że Imperium dowie się o jego istnieniu. Dotąd uważali go za zmarłego. Ale kiedy minie ten zamęt, ktoś, gdzieś, w jakimś imperialnym urzędzie wreszcie odkryje, że oficer Rapace zalogował się w ich sieci, sprawdzając dane agenta i zgodność skanu twarzy. Wtedy zaczną go ścigać. I jeśli złapią?

Och, ironio ironii... Naślą na niego tajnego agenta. Takiego jak on.

Omal się nie roześmiał.

Szpara sięgała już połowy drzwi.

- Czekaj - powiedział nagle Temmin. - Zaraz, zaraz... Patrz!

Sinjir spojrział we wskazanym kierunku. Osuszacz powietrza sterczał z sufitu jak brzuch ciężarnego droida.

- O co ci chodzi? - spytał. - To nie wentylacja. Tu nie ma kanałów, przez które moglibyśmy się wyczołgać. Są tylko rurki. Chyba że dysponujesz jakimś aparatem do molekularnej miniaturyzacji, który magicznie zmniejszy nas do rozmiarów chomików, ale nie sądzę...

- Nie, zobacz. - Temmin pokazał na parę zawiasów. Wspiął się na palce i popukał w jeden z nich kostkami palców.

Odpowiedział mu pusty odgłos.

- One nie są prawdziwe - powiedział ze zdziwieniem Sinjir.

- Właśnie. To droga ewakuacyjna. Zapewne na dach. Z tego studia nadawano rebelianckie audycje. Może zbudował ją mój tata. Albo przynajmniej jej używał. - Temmin podskoczył i szarpnął za metalową krawędź urządzenia. Opadło z jednej strony i zwisło z sufitu jak drzwiczki.

Palnik już prawie uporał się z drzwiami.

- Komu w drogę, temu czas - powiedział Sinjir. W szybie zobaczył drabinę.

Chłopak miał rację.

Droga ucieczki była otwarta.

Temmin wetknął głowę do szybu i spojrzał w górę. Zamrugał, widząc nad sobą krąg przeraźliwie jasnego słonecznego światła. W studiu było raczej ciemno i blask dnia stanowił duży kontrast. Chłopak wspiął się szybko i za chwilę wypełznął na dach stacji. Ogarnęło go niespodziewane uczucie dumy. To naprawdę mógł zbudować jego tata, jak powiedział przed chwilą Sinjirowi.

Lecz po chwili powrócił znajomy gniew.

„Tata był rebeliantem, więc czemu dał się złapać? I dlaczego mama odeszła? Czemu wszystko się rozpadło?”

Dobry nastrój prysnął. Uwiadł i szerniał jak piękny kwiat, który ktoś spryskał kwasem.

Temmin spojrzał w górę i zamrugał gwałtownie.

Usłyszał dźwięk, zanim cokolwiek zobaczył.

Imperialny myśliwiec TIE. Znów zamrugał, spoglądając w słońce.

Nie, niejeden. Dwa.

Pomógł wyjść Sinjirowi.

- Musimy wiać! Zaczyna się!

Pierwszy TIE zanurkował na nich, pędząc jak meteor, gotów ich zmiażdżyć. W tym momencie Temmin zrozumiał.

Już wiedział, jakie zamiary ma pilot.

Bones wyskoczył z szybu.

Chłopak szybko popchnął Sinjira i droida bojowego w stronę występu, który wyglądał jak obudowa klimatyzacyjnej czerpni. Uskoczyli za niego i padli płasko na dach.

Dokładnie w momencie, kiedy TIE wypalił z dział dziobowych.

Budynek zatrzęsł się, a na dachu pojawiły się płomienie i mała chmura żółtego dymu. Temmin wychylił głowę z kryjówki i zobaczył, że antena przechyla się coraz bardziej i upada w fontannie elektrycznych iskier.

Koniec nadawania.

Miał nadzieję, że audycję zdążyło obejrzeć co najmniej pół miasta.

Nadleciał drugi z myśliwców i zaczął walić po dachu, jakby chciał zburzyć cały budynek. Nie był jednak bombowcem i nie mógł załatwić sprawy od razu, choć jego działa nie były przecież dziecięcymi pukawkami. Widać było, że jeszcze chwila, a górna połowa stacji zamieni się w dymiące zgliszcza.

Temmin ujął w dłonie długą głowę Pana Bonesa.

- Dasz radę?

Bones odpowiedział rozregulowanym mechanicznym głosem, który na zmianę przechodził od pisku do dudniącej głębi:

- Na pewno, panie Temmin.

Działa myśliwca TIE zaczęły pustoszyć drugą połowę dachu. Pyskały odłamki i gruz. Wykwitały płomienie. Odgłosy statku, jego dział i eksplozji rozdzierały Temminowi uszy. Nie tylko uszy. Czuł to nawet w zębach. Sinjir skrzywił się. Najwyraźniej musiał mieć podobne wrażenia, bo zerwał się wściekle i oddał pa-

rę rozpaczliwych strzałów do nadlatującego myśliwca. Nic nie wskórał, więc wycelował broń w stronę wyjścia na dach, z którego zaczęli wyłaniać się szturmowcy.

- Rozkaz, rozkaz - zaskrzeczał Bones.

Droid bojowy wyskoczył wysoko w powietrze, w locie składając nogi, głowę i ręce i formując ze swego ciała armatnią kulę.

Bones z trzaskiem przebił przednią szybę myśliwca TIE.

Statek zadrżał, zakołysał się gwałtownie i zataczając się jak pijany nad dachami Myrry, odleciał zygzakiem, aż stracili go z oczu.

W tym momencie pierwszy myśliwiec zakończył nawrót i znów zaczął pikować na nich, szyjąc seriami po dachu. Ogień zbliżał się do ich kryjówki. Temmin rozejrzał się błyskawicznie. Nie miał czasu na myślenie, tylko na działanie, ale nie było innego dachu, na który można by było przeskoczyć...

Sinjir pokazał na coś.

Do zabawy dołączył trzeci myśliwiec TIE.

Śmignął w dół. Rozbłyśły działa dziobowe i laserowe smugi przecięły niebo.

Strzały trafiły pierwszy myśliwiec w burtę. Sześciokątny panel skrzydła odpadł i z hukiem uderzył w ścianę budynku starego biura nieopodal, aż zadrżała ziemia.

Trzeci myśliwiec TIE - ich zbawca - zawył im nad głowami.

- Twoja mama nieźle sobie polatała - powiedział Sinjir, łapiąc oddech.

Temmin skinął głową, sprawdzając, czy jest w jednym kawałku. „Mama jest megagwiadzą pilotażu”. Ale nie miał czasu myśleć o niej. Zamiast tego powiedział:

- Lepiej się stąd zmywajmy. Mogą się tu zjawić w każdej chwili.

Norra uświadomiła sobie, że myśli o osach.

Na Akivie żyły osy, które nazywały się redjacket. Choć nie większe od czubka ludzkiego kciuka, były prawdziwą plagą. Te wredne, podstępne bestie żądliły okrutnie, a ich żądła wysysały krew. Potrzebowały krwi jako pokarmu dla swoich małych oraz jako zaprawy do budowy charakterystycznych, rdzawych gniazd. Przeważnie żyły w dżunglach planety, lecz od czasu do czasu wyrajały się w mieście i można było znaleźć gniazdo przyklepione pod dachem (w takim przypadku należało je spalić jak najszybciej wraz z całą zawartością z pomocą puszkii sprayu do mycia silników i zapalniczki -czyli domowej produkcji miotacza ognia).

Problem z osami wiązał się także z ich sposobem latania. Niesłychanie trudno było złapać lub zabić pojedyncze osobniki, gdyż latały, klucząc jak szalone w górę, w dół i na boki. Potrafiły wyprysnąć do przodu, a potem w jednej chwili zawisnąć w powietrzu i diametralnie zmienić kierunek lotu. (Zwykle w takich momentach żądliły, a jedno użądlenie wystarczyło, żeby ręka zdrętwiała na całą godzinę).

Latanie myśliwcem TIE nieuchronnie kojarzyło się Norze z osami.

Statek był niesamowity. Taki zwrotny i sterowny! Mogła na nim robić wszystkie sztuczki os - wystrzelić jak z procy, zahamować w miejscu na odwrotnym ciągu, a potem śmignąć pędem, zygzakując wprawo i w lewo. Dla czystej frajdy wprowadziła myśliwiec w ruch wirowy i tak przeleciała nad miastem, które kiedyś było jej domem.

Oczywiście nie ma nic za darmo i wiadomo było, że myśliwiec TIE to statek dla samobójców. Imperium postawiło na szybkość i zwrotność kosztem bezpieczeństwa i wygody. Cała konstrukcja była oszczędna do bólu i lekka jak ptasi szkielet. Ponoć nie przewidziano nawet katapulty w fotelu pilota. To nie był zwykły myśliwiec.

W niektórych sytuacjach ten statek stawał się latającą trumną.

Jednak Norra nie myślała o żadnej z tych rzeczy, kiedy eliminowała innego myśliwca TIE, rozwalającego dach stacji komunikacyjnej. Jej sprzężone działa laserowe oderwały mu panel skrzydła i kiedy myśliwiec rozbił się na ziemi, pomyślała: „Nikt nie śmie bezkarnie krzywdzić mojego syna”.

Norra, upojona lotem, wydała bojowy okrzyk.

Kolej na następny cel.

Z przodu, w słonecznej mgiełce wiszącej nad miastem, wypatrzyła zarys potężnej cytadeli, będącej pałacem satrapy. Pałacem przeładowanym przepychem, wzniesionym w szalonym, rozpasanym stylu. Jego niezliczone wieżyczki, tarasy i balkony tworzyły asymetryczny chaos. (Który wziął się stąd, że każdy satrapa coś dobudowywał albo zmieniał, nie dbając, czy nowe elementy pasują do reszty. Z drugiej strony ta fantazyjna budowla miała pewien urok - raczej chory, ale też fascynujący).

Centralną kopułę i najwyższą wieżę otaczał szeroki, płaski pierścień lądowiska. Tam zobaczyła znane sobie sylwetki zaparkowanych kosmicznych promów Imperium.

To były jej cele.

Nagle ekran zamrugał i rozbłysnął zielenią.

Miała towarzystwo z tyłu. Dwa kolejne imperialne myśliwce włączyły się do akcji. Norra pomyślała: „Miga na zielono, bo nie wie, że oni są wrogami, nie? System identyfikuje ich jako przyjaciół”.

Szybko jednak przekonała się, jaka jest prawda, kiedy „złe oczy” otworzyły ogień. Mimo zaskoczenia zadziałał wyćwiczony odruch (jej ręce na sterach były szybsze od myśli). Norra błyskawicznie poderwała swój myśliwiec, pędząc spiralnym ruchem przed siebie, a potem świecą w górę, kiedy dogoniły ją zielone

smugi. Przeciężenie gniotło jej skronie jak potworne kleszcze. Wnętrznosci zostały daleko w dole i miała wrażenie, że zaraz się rozerwie...

Wreszcie krew z powrotem napłynęła jej do głowy. Kiedy odzyskała kontrolę nad sobą i statkiem, dwaj ścigający ją wrogowie sami stali się ściganymi i lecieli teraz przed nią, wystawieni na cel jak na dłoni.

Norra poczuła przyływ podekscytowania, które chwilowo przytłumiło strach.

Pociągnęła spusty sprzężonych dział.

Zielone laserowe smugi przecięły przestrzeń i trafiły w pierwszy myśliwiec. Kadłub zniszczonego statku uderzył w drugi. W oślepiającej kuli blasku, dymu i ognia oba statki, szczepione ze sobą, korkociągiem opadły nad miasto i zakończyły swój lot potężną detonacją gdzieś w oddali.

Norra przeleciała przez gasnący ogień szczątków. I znów wzięła kurs na pałac.

Widziała wszystko na małym ekranie, który podsuwała jej Adea. Nadlatujący myśliwiec Imperium, pilotowany przez wroga. Biorący kurs prosto na pałac. Rae domyślała się, jaki jest jego cel. Na pewno nie pałac. Jego mury, obronne i grube, wymagały cięższych dział. Tylko jedna rzecz tutaj nie była odporna na atak.

Ich statki.

Te promy były ich jedyną nadzieją.

Już za późno, żeby poderwać je do lotu. Poza tym są nieuzbrojone, więc...

Zaraz.

Rae wyrwała Adei holoeckran z ręki i przywołała panel sterujący jednego z trzech turbolaserów typu ziemia-orbita rozstawionych wokół stolicy Akivy. Jej asystentka zrobiła wielkie oczy.

- Pani admirał, turbolasery nie są przewidziane do...

- To nasza jedyna szansa.
- Ten jest wycelowany prosto w pałac.

Rae spojrzała na trajektorię. Rzeczywiście, nie była idealna. Ale będzie musiała wystarczyć.

Wystrzeliła.

W jednej chwili Norra leciała niezagrożona, jak po sznurku, pewna powodzenia swojej misji. W drugiej wszystko wokół rozbłysło oślepiającym blaskiem. Coś odcięło prawy panel jej myśliwca i nagle straciła kontrolę nad sterami.

„Nie, jednak nie do końca”.

Wpadła w korkociąg, tym razem nieplanowany, ale w pewnym stopniu panowała nad statkiem.

W pewnym stopniu. Wystarczającym.

Mocno trzymała drążki sterownicze, manewrując nimi, żeby wyjść ze spirali. W głowie się jej kręciło. Świat zaczął fikać koziółki. Poczowała skurcz jelit i mdłości. „Spokojnie. Wytrzymaj”.

W tyle głowy wylęła się daleka myśl:

„Zaraz zginę”.

Tak. Ta chwila. Ukoronowanie wszystkiego, co robiła i czym była.

Częściowo poczuła dumę. „Tyle osiągnęłam w życiu” - pomyślała.

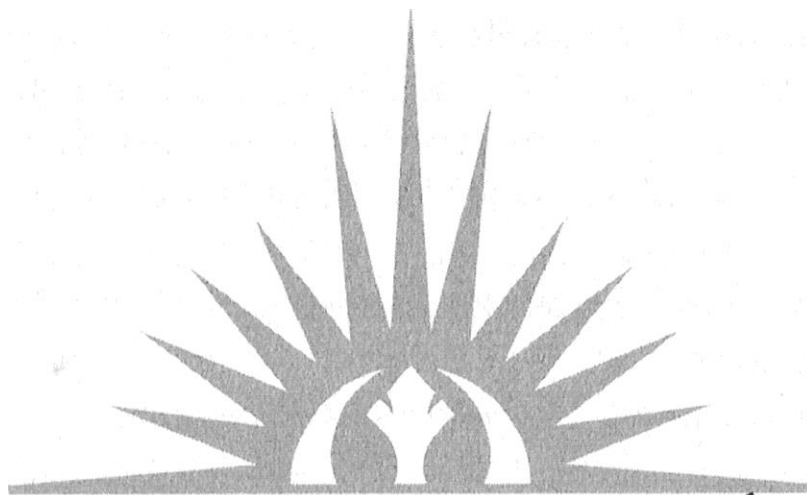
W te wzniosłe myśli, jak nieproszeni goście, brutalnie wdarły się inne: „Nie, nie osiągnęłam aż tyle. Zawiodłam swojego syna. I męża. Brentin, Temmin, kocham was”.

Skierowała wirującego myśliwca TIE prosto na pałac. Łądowisko rośło jej w oczach. A na nim promy. I jacht. Ustawione bardzo stosownie jeden obok drugiego.

„Może się uda i zabiorę je wszystkie ze sobą...”

I ostatnia zabłąkana myśl, kiedy pałac wypełnił pole widzenia:

„Tak bym chciała, żeby to miało katapultę”.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Uderzenie wstrząsnęło pałacem. Światła przygasły. Pył opadł z sufitów i po kamiennych ścianach rozpełzły się szczeliny. Rae spieszyła korytarzami. Biegła. Ktoś za nią wołał. Adea. A potem inny głos - Pandion. Z przodu zamajaczyły schody, kończące się wejściem na lądowisko. Klatka schodowa była wykładana błękitnymi kafelkami i miała poręcze z miedzi. Wyglądała pięknie, ale Sloane nie miała czasu jej podziwiać. Zobaczyła swoją pilotkę, Mornę Kee, ślaniającą się na schodach. Krew płynęła z rozciętej brwi. Rae podtrzymała Mornę, która zachwiała się na stopniu.

- Jak się...?
- Dobrze - zapewniła Morna. - Nie idź tam.
- Muszę to zobaczyć - warknęła Sloane, przemykając obok niej.

Znów usłyszała za sobą głos Pandiona. „Spadaj, palancie” - pomyślała ze złością.

Otworzyła drzwi. Blask słońca ją oślepił. Wszystko było nim przeświecone. Dym zakręcił jej w nosie i wdarł się w płuca jak

infekcja. Bezlitosny wiatr zdmuchnął sadze pożaru i dopiero teraz zobaczyła zgliszcza i rozmiar szkód.

Trzy kosmiczne promy prezentowały różne etapy zniszczenia. Nie widziała jachtu Crassusa, bo zdążył poderwać się i odlecieć na orbitę, co nagle uznała za pocieszenie. Ale był też cierń, który wywoływał ból - na końcu rzędu widać było niewielki wypalony wrak.

Myśliwiec imperialny TIE. Z ich stajni. Ten, który przeprowadził samobójczy atak.

Zniszczenia pokazywały, jak tego dokonał - przeszył ukośnym lotem wszystkie trzy promy. Zdruzgotał rufę pierwszego, środek drugiego oraz przód i kokpit trzeciego. Z koszmarną efektywnością uziemił je wszystkie.

Jakiś dźwięk dobiegł jej uszu.

Stłumiony ryk.

„Co to może być?” - pomyślała.

Rae ruszyła przed siebie wśród dymu, omijając wraki. Powierzchnia lądowiska zdawała się oddychać ciężko pod jej stopami. Słychać było pojękiwanie odkształcającego się metalu i cykające odgłosy stygnięcia, ale po chwili i to ucichło. I tylko trwał ten narastający ryk. Nie powinna iść dalej, ale zrobiła to - jakby nogi niosły ją przed siebie wbrew jej woli.

Krawędź pałacowego dachu odgradzało stare, miedziane ogrodzenie, pozieleniałe od patyny.

Podeszła do niego i spojrzała w dół.

W dole stał tłum. Jeszcze nieduży, ale powiększał się z każdą chwilą. Z wąskich uliczek Myrry na plac wylewali się mieszkańcy. Nagle usłyszała coś jeszcze. Kamienie? Tak, rzucali kamieniami w pałac. Żaden nie mógł jej dosięgnąć, gdyż stała sto metrów nad głowami tłumu. Z góry wyglądali jak mała plama, ale ta

plama rozprzestrzeniała się błyskawicznie, niczym złośliwy nowotwór.

Rae odwróciła się, żeby jeszcze raz przyjrzeć się wrakom. I uświadomiła sobie, że...

„To był powód”.

Ogień ich płonących statków podpalił lont.

I teraz bomba zaczęła tykać - bomba buntu, rebelii, powstania. Leżała przed samym ich progiem. Zaraz zaczną się wdzierać na mury. W nagłym przeblysku Rae zrozumiała do końca: „To było sterowane. Zaplanowane przez kogoś; może nawet kogoś z nas. Albo z kręgu satrapy. Ktoś rozkopał kupę śmieci, żeby zobaczyć, jak robactwo ucieka w popłochu”.

I jeszcze jedna myśl: „Teraz jesteśmy tu uwięzieni”.

Ring lądowiska znów się uniósł. Rae zachwiała się i mocniej zacisnęła palce na poręczy. Ktoś złapał ją za łokcie i zaczął odciągać do tyłu. Morna.

- Pani admirał, musi pani wracać do środka. Proszę spojrzeć.

- Pilotka pokazała palcem.

W oddali, na dach dawnego budynku rządowego - tego z zardzewiałym masztem antenowym, który zwały działa jej promu w dniu przybycia na naradę - wyszło paru ludzi, zapewne mieszkańców. Rozglądali się, ale z pewnością nie chodziło im o ładne widoki. Raczej szykowali stanowisko ogniowe.

- Tak - powiedziała Rae. - Masz rację, wracajmy.

Za oknami baru gęstniejący tłum sunął ulicą w stronę pałacu. Sinjir dostrzegł błysk białej zbroi. Wleczono szarpiącego się szturmowca.

„Zadziało, słowo daję!”

Lepiej, niż się spodziewali. Myśliwce zniszczyły antenę nadawczą i bał się, że przekaz nie zdążył dotrzeć do wszystkich. Ale kiedy emisja się urwała, wkrótce nastąpiła eksplozja w pałacu.

Norra wykonała swoje zadanie. To oraz zmyślna propaganda, którą posłali w eter, sprawiły, że miasto zareagowało. Ruszyło. Długo tłumiony gniew wreszcie wybuchł. Wysadziło korek i z butelki wykypiała piana. Ciśnienie narastało od dawna, ale nie sprawiła tego sama okupacja. Imperium potrafiło latami wykorzystywać peryferyjne planety takie jak ta. Nie wprowadzali tam swoich oficjalnych rządów, ale narzucali podatki i cła legalnym przedsiębiorstwom, jednocześnie przemykając oczy na rozwój czarnego rynku i mafijnych interesów - tak długo, jak przestępcze podziemie było lojalne wobec Imperium i współpracowało z nim. Jakże znamienny był widok imperialnych szturmowców walczących ramię w ramię ze zbirami Surata Nuata. Jawna, wręcz bezczelna demonstracja brudnego sojuszu, którego wszyscy się domyślali, a który dotąd był ukrywany.

Stojący za ladą z drewna oka kalamariański barman swoją droidową ręką postawił na ladzie butelkę trunku o jadowicie zielonym kolorze, przypominającym przemysłowe ścieki. Sinjir lekko uniósł brew i Pok podsunął butelkę w jego stronę, jakby chciał powiedzieć: „Pij, nie pytaj”.

Fakt, ten mackogęby gość jeszcze nigdy go nie zawiódł.

Sinjir wziął butelkę, po czym oddelegował się do stolika, przy którym siedzieli Temmin i droid. Pan Bones czekał tu, kiedy się zjawili. Wcześniej umówili się, że bar Poka będzie dla nich metą, miejscem zbiórki po akcji. Po droidzie było widać, że ma za sobą ciężkie chwile. Był powgniatany i poobijany w wielu miejscach. Większość kościanych ozdóbek odpadła (więc nie klekotał już przy każdym ruchu). Z drugiej strony trzeba przyznać, że i tak wyglądał dobrze jak na droida, który w roli kuli armatniej wybił przednią szybę pikującego myśliwca TIE.

Temmin siedział z podbródkiem na złożonych rękach, spięty, obserwując otoczenie spod zmrużonych powiek. Trzymał w ustach kciuk i zajadle ogryzał paznokiec.

Sinjir usiadł, przechylił flaszkę, pociągnął solidny łyk i skrzywił się. W ustach miał smak i gorzki, i słodki zarazem. Zbyt gorzki i zbyt słodki. Do tego trunku był gęsty, niemal gumiasty.

Po prostu paskudny.

Usta mu lekko zdrętwiały.

Uch. Jednak zaryzykował następny łyk i rozejrzał się nonszalancko. Bar był prawie pusty. Tylko paru stałych bywalców siedziało w kącie, zajętych swoimi drinkami. Praktycznie byli tu sami. Większość mieszkańców wyległa na ulice.

- Pijesz to świństwo? - zapytał Temmin, nie unosząc głowy.

- Jak widać. Żebym tylko wiedział, co piję...

- Sfermentowany sok plooey. Uzyskiwany z pewnego gatunku drzew w dżungli.

Sinjir zmarszczył nos.

- Smakuje tak, jakbym polizał od spodu starego, ciekącego droida, a z drugiej strony ciągnie mnie do tego.

- Więcej silnej woli.

- Martwisz się.

- Ja? Czym?

„Aha” - Sinjir nie uwierzył.

- Swoją mamą.

- Z mamą na pewno wszystko dobrze. A jeśli nie, już bym wiedział. Zresztą nieważne.

- Jasne, nieważne.

Temmin z irytacją uniósł głowę.

- Co? Nie wierzysz mi?

- Nie. Każdy syn martwi się o swoją mamę, tak jak każda mama martwi się o swojego syna. Moja chłostała mnie wtkami z drzewa, które rosło przed domem. Nienawidziłem jej. Ale kochałem ją i dbałem o nią jak każdy syn. To jedna z wielu prawd, które zna cała galaktyka.

- Jasne - mruknął Temmin. - Matka zostawiła mnie, żeby walczyć w jakiejś głupiej wojnie. Dlatego, wierz mi, nie martwię się o nią. Wcale.

- On się nie martwi - powiedział jak echo Pan Bones.

- Cóż, skoro tak mówisz...

Sinjir obejrzał się i zobaczył wchodzącą Jas. Niespiesznie skierowała się w ich stronę. Było coś dziwnego w jej ruchach. Jakby się wzdragała, wahała, czy podejść. Język jej ciała mówił wyraźnie: „Mam złe wieści i wołałabym ich nie dostarczyć”. I to spojrzenie, jakim ogarnęła Temmina, kiedy stanęła nad nim...

Och. O, cholera. Sinjir już wiedział, zanim się odezwała.

- Temmin, twoja mama wypełniła swoją misję. Ale nie przeżyła. Norra odeszła.

W sali obrad rozkręcała się panika. Kakofonia podniesionych, przekrzykujących się głosów, jak ptasi rej wach. Stali wokół wielkiego stołu, kłócąc się, co robić dalej. Holoekrany leżały na blacie, emitując obrazy z różnych stacji. Wszystkie pokazywały agresywne, atakujące tłumy. Straty Imperium. I dywagacje dziennikarzy na temat rozwoju wydarzeń.

- Ile myśliwców TIE nam jeszcze zostało? - warknął Pandion. - Odpowiedz mi, pani admirał. Ile mamy na Akivie?

Adea podsunęła Rae dysk z raportem strat. Sloane pokazała go Valco.

- Pięć straciliśmy w ataku. Dwa na dachu stacji nadawczej, która rozpowszechniła tę rebeliancką propagandę, oraz dwa w

starciu z tym kimś, kto ukradł nam myśliwiec TIE. A potem rozbił go na pałacu. W sumie pięć.

- Czyli połowę naszego stanu - podsumował Pandion ze wściekłym sapnięciem. - Dysponujemy zaledwie pięcioma myśliwcami krótkiego zasięgu, stacjonującymi w mieście, zgadza się?

- Tak.

- A ile mamy oddziałów?

- Jedna kompania, oprócz tych, którzy są w pałacu.

- Stu, stu pięćdziesięciu szturmowców?

- Nie licząc oficerów, czyli trzeba dodać jeszcze ze dwudziestu ludzi.

- Jednym słowem, około półtorej setki żołnierzy Imperium na miasto, które... Ilu liczy mieszkańców?

Zaczyna się.

- Prawie milion - odpowiedziała Shale.

Pandion zadał nieuniknione pytanie:

- Dlaczego nie więcej, pani admirał? Dlaczego nie jesteśmy lepiej chronieni?

W rzeczywistości znał odpowiedź. Wszyscy ją znali. Przygotowanie narady poszło szybko, choć było ogromnym organizacyjnym wysiłkiem. Kosztowało wiele bezsennych nocy, niezliczonych połączeń, sporów i nerwów. Trzeba było zadbać o każdy szczegół, uwzględniając indywidualne wymagania - od jadłospisu po materiały, z jakich miała być uszyta pościel. Wiedzieli, że miasto nie będzie obstawione gęstym kordonem wojska, ale Pandion nie darował sobie pytania. Chciał, żeby jej autorytet rozsypał się w drobny mak; on miał być nożem, a ona kołkiem do ostrugania. Musiała mu odpowiedzieć.

- Nie chcieliśmy, żeby to wyglądało jak totalna okupacja. Ryzyko nie wydawało się wysokie, więc...

- Ale nie zaprzeczysz chyba, że teraz jest bardzo wysokie? Potrzebujemy więcej statków. Musimy ściągnąć tu gwiazdne niszczyciele. Wezwać je z sąsiedniego systemu, pani admirał. Niech wrócą na orbitę. Przesiadziemy się na nie i wyniesiemy się stąd.

Shale wstała i wyrzuciła ramiona w górę w rzadkim u niej geście desperacji.

- Jak chcecie stąd uciec? Nasze promy są zniszczone. Tkwimy uwięzieni w tym pałacu, otoczeni przez wściekłe tłumy mieszkańców, od lat gnębionych przez satrapię, która...

Przyszła kolej na satrapę Isstrę. Ulotniło się gdzieś jego grzeczne, służalcze podejście, a pojawił się czysty jad. Przystojna, wiecznie uśmiechnięta twarz zamieniła się w maskę desperacji.

- Nie! - warknął. - Nie możecie obciążać tym mnie. Nie jestem zwierzęciem jucznym, które ma dźwigać wasze grzechy. Nałożyłem podatki, jakich żądało Imperium. Byłem waszym lojalnym sojusznikiem. Wdrażałem wszystkie wasze programy - i co dostałem w zamian? - W jego głosie pojawiły się histeryczne tony. - Wybiliście dziurę w ścianie mojego pałacu! To działo zmiotło wschodnią wieżę, która dumnie górowała nad tym pałacem od dwóch tysięcy lat!

Bezczelny kłamca. Sloane wiedziała, że wieża, którą zniszczył strzał z turbolasera, nie była wcale taka zabytkowa. Dwa wieki temu kazał ją wznieść jeden z Withrafispów. Świadczyła o tym sama jej architektura - wzór z czerwonych cegieł wznoszący się spiralnie do góry i cebulaste zwieńczenie były typowe dla tamtej epoki, a nie okresu sprzed tysięcy lat. Sloane trzasnęła pięścią w stół i satrapa zamknął usta.

- Nie nakażę niszczycielom wrócić - oświadczyła.

Zebrany opadły szczęki ze zdumienia.

- Musimy głosować - powiedział Crassus.

- Jak słusznie tu zauważono - przypomniała Rae - decyzje o takiej wadze powinny być podejmowane przez indywidualny autorytet, a nie głosującą zbiorowość. Jestem dowódczynią floty i ja decyduję, co będą robić moje statki.

Pandion natychmiast zareplikował:

- Sprowadzisz je na orbitę, Rae. Musisz. Niech przyślą nam prom. Myśliwce TIE, które jeszcze pozostały, zapewnią nam wystarczającą ochronę. Trzeba pokazać naszą siłę. Nie możemy przyskać w popłochu, niczym zające ryuku przed pożarem. Musimy stawić czoło tej tłuszczy. Kiedy już będziemy bezpieczni, gwiazdne niszczyciele wypuszczą bombowce i pokażemy temu miastu, co to znaczy zdrzeć z Imperium Galaktycznym.

- Na razie - powiedziała Shale - Nowa Republika...

- Sojusz Rebeliantów - poprawił ją Pandion.

- Nowa Republika - powtórzyła - jeszcze nie wie, jak postąpić w tej sytuacji. Nie przysłali swojej floty, bo nie wiedzą, co ich tu czeka. Ponadto nie chcą destabilizować świata, który mógłby stać się ich sojusznikiem. Dlatego czekają. I są czujni. Wahają się z użyciem siły. Zyskali wiele i nie chcą tego stracić. Nie grają lekkomyślnie i my też nie powinniśmy, Valco.

- Ty tchórzliwa, mazgajowata, stetryczała...

- Użyjemy do ucieczki jachtu Crassusa - powiedziała Rae, przerywając niesmaczne starcie Moffa i pani generał. - To najlepsze wyjście.

- Co? - wykrztusił Crassus, czerwieniejąc z gniewu. - Co powiedziałaś? W żadnym razie się nie zgodzę. To mój ukochany jacht, moja „Złota Harfa”. Nie ma mowy!

- Nic mnie nie obchodzi, co o tym sądzisz. Nie jesteś prawdziwym sługą Imperium, tylko bankierem, człowiekiem od pożyczek. Są setki takich jak ty. Wystarczy jeden imperialny

nakaz, a całe złoto zostanie wysysane z twoich skarbców, tak jak rój os redjacket wysysa całą krew z ofiary.

Spróbuj stanąć mi na drodze, Arsin, a osobiście przeprowadzę twoją egzekucję.

Pandion gwizdnął.

- Proszę, proszę, ktoś odzyskał kły!

Crassus pobladł, jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy.

- Nie... nie zrobisz tego - wyjąkał.

- Owszem, zrobię. - Rae wyszarpnęła z kabury blaster i wycelowała w niego. - Więc zgadzasz się?

- Ja... - Strzeliła. Tuż nad jego głową. Crassus skulił się, unosząc ręce do góry, i wybełkotał: - Tak, tak! Na gwiazdy, tak.

- Świetnie, więc wezwij swoją „Złotą Harfę”.

Crassus skinął głową i przełknął z wysiłkiem. Reszta obecnych, uspokojona, powróciła do poprzednich sporów. Jedyne Pandion posłał Sloane nieznaczny, łaskawy uśmiezek. Nie potrafiła go rozszyfrować. Co mógł oznaczać? Że jest z niej dumny, bo wreszcie pokazała, kto rządzi, czy jest dumny z siebie, ponieważ zmusił ją do tego? A może po prostu rozbawiły go jej wysiłki? Ten uśmiech zmartwił ją bardziej niż jego wrogie miny.

Podeszła Adea i szepnęła jej do ucha:

- Mamy nowy problem.

„Tylko nie to” - pomyślała Rae w popłochu.

- Co tym razem? - zapytała niskim głosem.

- Niech pani sama zobaczy.

INTERLUDIUM NADPRZESTRZEŃ

Gwiazdy zmieniły się w smugi i jak włócznie zestrzeliły się w czarną przestrzeń, kiedy „Sokół Millennium” drążył tunel w czasoprzestrzeni.

Han Solo podrapał się w brodę, którą zarosły jego niegolone od tygodni policzki. Krzywił się, bo skóra go swędziała.

Chewie warknął do niego.

- Tak, tak, masz rację, zapuściłem się. Jak będę dłużej hodo-
wał to futro na twarzy, pomyślą, że jestem tobą. - Posłał kumplo-
wi uśmiezek, a Chewie odpowiedział gardłowym pomrukiem. -
Dobra, Wyluzuj, wielkoludzie, nikt nie śmie pomylić mnie z tobą.
Ty jesteś jak chodzące drzewo, okryte futrem.

Chewie odchylił się w fotelu drugiego pilota i gwiazdne smugi odbiły się w jego oczach. Nudził się, a znudzony Wookiee to niebezpieczna sprawa. W ostatnim świetle, w jakim byli - Ord Mantell na Środkowych Rubieżach - Chewie musiał się zmagać z systemem nawigacyjnym „Sokoła”. Usiłował wysledzić błąd, który sabotował działanie napędu nadprzestrzennego. I udało mu się, naprawił. Ale wtedy nawaliły działa - co oczywiście odkryli w momencie, kiedy wpadli w zasadzkę tria zbójceckich statków Krishów. Dranie omal nie sfajczyli im poduszek repulsorowych i płatów sterowniczych. Ledwo się im urwali.

No nic. Nawet znudzony Chewie był pożądanym towarzysz-
stwem. Hanowi brakowało Lei i Luke'a, a nawet Landa -choć do
tego ostatniego głośno się nie przyznawał. Lot ze starym kumplem
przypomniął mu dawne, dobre dni, kiedy byli dużo młodszy. On,
Wookiee i „Sokół”. I żadnej odpowiedzialności - poza tym, że
mają chronić swoje tyłki. I oczywiście zarobić majątek. (Co, jak
przypomniął mu cichy głosik, dotąd się nie zdarzyło).

- Dobra, wychodzimy z nadprzestrzeni - powiedział, sięgając
do przepustnicy, żeby wyłączyć napęd.

W miarę jak przesuwiał dźwignię, gwiazdne smugi zaczęły się skracać i nadszedł moment, którego tak nie lubili i do którego, pomimo tysięcy skoków, nie zdołali przywyknąć. Odnosiło się wrażenie, jakby ktoś cisnął mózg w kosmos, podczas gdy flaki zostały o dziesiątki parseków z tyłu. W przestrzeni przed nimi zmaterializowała się planeta.

Dasoor.

Kolejny z listy szemranych światów, gdzie nie obowiązuje prawo; planeta rojąca się od złodziei, rządzona przez gangi (którymi z kolei rządził zbrodniczy syndykat), na które pracowali niewolnicy.

Świat zbyt podły nawet dla Hana Solo w latach jego przemytniczej młodości. Ze złodziejami jakoś się dogadywał, ale niewolnicy - o, na ten widok żołądek zalewała mu rozpalona wulkaniczna lava.

Chewie *zaczął* porykiwać i Han odpowiedział mu:

- Plan taki jak zawsze. - Identyczny jak na Ord Mantell, Ando Prime, Kar-bin i innych planetach. Han poprawił cybernetyczny implant, który miał na oku - teleskopową berylową soczewkę, która nie działała, gdyż była fałszywką. To oraz zaniebdany wygląd i paskudna czapka lotnicza, którą musiał nosić, miały gwarantować, że mieszkańcy świata w dole nie rozpoznają go, a przynajmniej nie od razu. Kiedy Chewie zaprotestował rykiem, Han kiwnął głową. - Wiem, stary, wiem. Ja też wolałbym, żebyś był tam ze mną, bo nic by mnie tak nie ucieszyło jak wizja całej gromady wyzwolonych Wookiee. Ale naszym zadaniem jest śledzenie szlaków zaopatrzenia Imperium, co oznacza, że muszę polecieć na dół sam jak palec, żeby trochę powęszyc. A ty musisz... czuwać w pobliżu z „Sokołem”, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Najnowsze galaktyczne plotki głosiły, że Imperium, straciwszy w ciągu ostatnich paru miesięcy tradycyjne trasy dostaw i statki, zacieśniło kontakty z różnymi organizacjami kryminalnymi, które przez lata po cichu wspierało. Han lądował na różnych planetach, podpytywał mieszkańców, od czasu do czasu dla niepoznaki wdawał się w barowe bójki (no, nawet częściej niż od czasu do czasu) i starał się wyczuć, co w trawie piszczy.

Na razie bez rezultatu.

Chewie szczechnął krótko i Han przyznał mu rację.

- Taa, mam nadzieję, że Wedge lepiej się bawi na swojej misji niż my. Dobra, podejźmy bliżej i...

Zatrzeszczał komunikator i przed ich oczami pojawił się migoczący, błękitny hologram.

Han się zaśmiał, a Chewie zamachał długimi łapami.

- No - mruknął Solo - zobaczymy, co nam przynoszą fale z kosmosu.

Hologramowy obraz kobiety zalotnie zafalował biodrami.

- Hej, stary menelu.

- Stary? - Han udał oburzenie. - Imra, jak możesz. Trafiałś mnie w samo serce. - Uśmiechnął się triumfalnie. - Ja nigdy nie będę stary.

- Myślisz, że Leia też tak uważa?

- No, to już jest cios poniżej pasa!

- Zawsze możesz zostawić swoją księżniczkę, nie? Zrzucić kostium prawomyślnego, przyzwoitego obywatela i na chwilę powrócić do awanturniczego życia.

- Imra, zgłaszasz się, żeby mnie kusić, czy naprawdę masz coś dla mnie?

- Jest sprawa, ale trzeba się szybko wstrzelić w okazję.

Chewie zagulgotał i Han przytaknął.

- Imra, jest, jak powiedziałaś: wyautowałem się z takiego życia, więc jeśli masz coś ekstra dla mnie...

Jej obraz znikł i wyświetlił się nowy: planeta.

Chewie momentalnie się ożywił. Zerwał się z rykiem i wyprostował na całą wysokość, potrząsając pięściami, aż trącił dźwięnię stabilizatora nad swoją głową. „Sokół” nagle zachwiał się i zadrzał; Han musiał szybko ustawić ją z powrotem. Już miał upomnieć kumpla, żeby trochę wyluzował, kiedy nagle zrozumiał, co tak podkręciło wielkiego futrzaka.

Planeta na hologramie.

Kashyyyk.

Dom Chewiego.

Planeta, na której Wookiee nadal byli niewolnikami Imperium. Chewbacca też wykonywał kiedyś niewolniczą pracę dla swoich panów: w kajdanach, na wpół zagłodzony i na wpół oszalały, z pozlepianym futrem, harował w lesie, ścinając piękne drzewa wroshyr, które przerabiano na deski i paszę dla farm. Te farmy kiedyś należały do jego ludu, a teraz musiały wyżywić armię imperialną. Wookiee byli używani w całej galaktyce jako siła robocza. Wywożono ich do kopalń albo kazano budować ogromne urządzenia, takie jak obie Gwiazdy Śmierci. Czasami te biedne futrzaki służyły do naukowych eksperymentów i testowano na nich nowe leki albo rodzaje broni.

- Chewie, staruszkule, już wszystko dobrze, uspokój się. - Han poklepał kumpla po ramieniu, zmuszając go, żeby znów usiadł. Mięśnie Wookieego napięły się pod skórą, a wargi podwinęły się, odsłaniając zęby. Oddech miał nierówny i gwałtowny. Han zwrócił się do Imry: - Wytłumacz mi, o co chodzi z tym wstrzeleniem się w okazję?

- Planeta Wookiee nadal jest dla nas niedostępna. Imperium nie zamierza z niej zrezygnować, ale jego szeregi topnieją.

Normalnie statki latają tam regularnie, obsługując zmiany oficerów i żołnierzy, albo coś w tym stylu. Dzięki temu załoga jest stała. Ale teraz to ma się zmienić.

- Nie rozumiem.

- Podobno... cholera wie... ma być jakaś nadprogramowa zmiana załogi. A może potrzebują statków na inne planety, sama nie wiem, Han. Doniesienia są mętne, ale jedno wiemy na pewno, że statki, które odlecą, nie wrócą tak od razu. Co oznacza, że mamy parę dni.

- Kiedy?

- Już.

Chewie zadarł głowę i zaryczał donośnie.

- Teraz, zaraz? - Han z nagłym ożywieniem wychylił się w stronę hologramu. - Dzisiaj?

- Prawie. Od jutra zacznie się odliczanie.

- Sojusz... czyli Nowa Republika, cokolwiek to ma znaczyć, wyznaczył mi misję i jestem odpowiedzialny za tę robotę - powiedział Solo. - Cholera, nie mogę tak po prostu zmienić planów i nagle się urwać... - Dobrze wiedział, co by powiedziała Nowa Republika, gdyby wystąpił o zmianę zadania: mamy swoją strategię. Nie możemy rozpraszać się z powodu Kashyyyku; jeszcze nie. Przecież pytał ich już parę razy, zawsze z tym samym skutkiem.

Chewie rzucił mu spojrzenie, którego Han podświadomie się spodziewał. Wookiee nie wydał żadnego dźwięku - tylko jego pierś gwałtownie wznosiła się i opadała.

To poruszyło Hana. Słowa, które za chwilę wypowiedział, nie brzmiały jak jego. A jednak cała ta sytuacja; ten lot z Chewbaccą jak za dawnych czasów, przywróciły mu tamten sposób myślenia i działania. Elementy układanki znów wskoczyły na swoje miejsce. Robisz, co zechcesz, bo jesteś wolny. Lecisz tam,

gdzie jest kontrabanda, łatwy zysk i inne fajne sprawy; czasem złe, czasem dobre - ale zawsze takie, które cię kręcą.

Lawa zawrzała w brzuchu Hana Solo.

Poczuł, że musi w to wejść. Powiedział do Imry:

- Masz wobec mnie wielki dług, pamiętasz? - Od kiedy zdjął jej z ogona gwiazdowego niszczyciela (i w konsekwencji ściągnął na siebie pościg), była mu winna przysługę. - Tylko nie udawaj amnezji, kotku.

- Pamiętam, pamiętam, dlatego tu jestem. Kiedyś prosiłeś, że gdybym słyszała jakiegokolwiek nowiny ze świata Wookiee, mam ci je przekazać. No więc przekazuję.

- To za mało - warknął. - Wykaż się czymś jeszcze.

Zawahała się.

- Czym?

- Ściągnij wszystkich. Każdego lumpa, skurczysyna, chuligana, szmuglera - każdego gościa, który jest mi coś winien. Każdego, kto nienawidzi Imperium tak jak my.

- Lista nie jest tak długa, jak byś chciał.

- Dobra, zaoferuj im nietykalność. Jeśli zapragną oczyścić swoje kartoteki, zagwarantuj im, że znajdą się na liście dobroczyńców Nowej Republiki. Totalna amnestia.

- Serio?

- Jasne - skłamał. W życiu nie słyszał o takiej możliwości. Ale jakoś to załatwi. Później o tym pomyśli. Zwrócił się do Chewbacki: - Hej, stary, wiesz chyba, jak się skontaktować z twoimi ziomkami na uchodźstwie? Kumas - Roshyk, Hrrgn, Kirratha i reszta. - Miał na myśli ekipę pół tuzina Wookiee, którzy uciekli z Kessel i zadekowali się tam, gdzie nie sięgało Imperium. Bandę najgorszych, najbardziej brutalnych, ale zarazem najbardziej patriotycznych zbirów. Teraz byli najemnikami i mało ich obchodziła polityka Nowej Republiki, ale można było mieć pew-

ność, że stawia się w potrzebie na hasło wyzwolenia swojego rodzinnego domu.

Chewie kiwnął głową i zaryczał z aprobatą.

- Dobra, zbierz ich, Imra. I skrzyknij całą resztę. Powiedz im, żeby czekali na nas przy Warrin Station. Teraz, zaraz, już. I do licha, nie potrzebujemy Sojuszu ani Republiki. Zrobimy to po swojemu.

Wookiee wyrzucił w górę pięść w geście triumfu.

Imra przytaknęła i znikła.

- Stary, nie mamy żadnego planu - powiedział Solo.

Wookiee zaryczał.

- Dobra, zaraz go wymyślimy.

Chewie przytaknął z ulgą i po chwili się uspokoił.

- Fajnie, stary. Zupełnie jak za dawnych czasów, co?

Wookiee pochwycił go w swoje długie łapska i potrząsnął nim jak kubkiem z kośćmi.

Han skrzywił się i zaśmiał, udając, że nie ma sprawy.

- Wyluzuj, Chewie, i wylicz nowe współrzędne. Czas, żebyś zajrzał do domciu.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Wedge, spętany okowami bólu, chwiejnym krokiem przemierzał korytarze pałacu satrapy. Zmęczenie ciążyło każdemu krokowi i obojętnie, z jakim wysiłkiem dudniło mu serce albo jaka dawka adrenaliny płynęła mu w żyłach, jego stare kości powtarzały w kółko to samo: „Odpuść, zbastuj, poddaj się, zrezygnuj”.

Chodzi o to, że przed chwilą nagle siadło zasilanie i jego elektryczne kajdany puściły jak słabe, dziecięce zabawki. Był wolny.

Albo prawie wolny.

Słyszał głosy. Zaniepokojone, poprzedzone odgłosem maszerujących stóp. „Szturmowcy”. Wedge skulił się i przemknął do najbliższej niszy - wąskiej przestrzeni, ograniczonej przez donice z egzotycznymi roślinami - miejscowymi storczykami z dżungli. Przycupnął za najbliższą donicą, usiłując uspokoić oddech.

Słyszał kroki, coraz bliższe.

I rozproszone głosy szturmowców.

- Ta pani admirał mówi, że to tylko chwilowe zakłócenia.

Na to inny:

- A może nie chcą nas stąd zabrać?

- Kto nie chce? Jacy oni?

- A czy to ważne?

Głosy nasiliły się, kiedy go mijali.

Zatrzymali się przy wnęcie, w której się ukrywał. Wedge napiął mięśnie, szykując się do ataku...

Nie. Nie da rady. Jest zbyt słaby. Normalnie wykończyłby tych dwóch palantów. Zderzyłby ich hełmami i wyrwałby które muś z nich blaster. A potem pognał do drzwi. Ale w tym stanie nie miał szans. Żadnych.

A jednak w duchu był skupiony i spokojny. Jak galaktyczne gwiazdy.

Szturmowcy rozejrzeli się i zameldowali:

- Pusto na trzecim poziomie. Przechodzimy na czwarty.

Ruszyli dalej.

Wedge odetchnął z ulgą, kiedy kroki zaczęły się oddalać.

Bolały go wszystkie mięśnie. Jednej nogi prawie nie czuł. Kolano nagle ugięło się pod nim i próbując odzyskać równowagę, zatoczył się na ceramiczną wazę.

Waza zachwiała się i załomotała.

Korytarz powtórzył to echem.

Kroki zatrzymały się.

„Nie, nie, nie”.

Jeden ze szturmowców zapytał drugiego:

- Słyszałeś coś?

- Tak, z tyłu.

Zawrócili.

„Chyba nie mam wyboru” - pomyślał Antilles. Albo walka, albo go znajdą. Ratowanie się za wszelką cenę albo powrót w kajdany. Sprężył się, ustawiając nogi w pozycji najlepszej do wybicia się, i znów trafił stopą na tę cholerną wazę. Waza się przesunęła, kamień potarł o kamień.

Nagle ściana niszy, w której stało naczynie, odsunęła się na bok, odsłaniając wąski korytarzyk.

Tajne przejście.

Teraz albo nigdy! Wedge wślizgnął się w ciemność. Kroki zbliżały się, także z drugiej strony. Wedge zobaczył kamienny przycisk wystający ze ściany. Uderzył go nasadą dłoni i ściana zamknęła się za nim w momencie, kiedy w oddali błysnęła biel pancerzy.

Temmin siedział i trząsał się. Był zamroczony, niemal niezdolny do ruchu, i czuł mdłości. Próbował się trzymać, kiedy Jas powiedziała mu, że imperialny myśliwiec, pilotowany przez jego mamę - ten, który ocalił mu życie nie dalej niż przed godziną - rozbił się o pałac satrapy.

Usiłowali go pocieszać. Nawet Bones położył mu metalowy szpon na ramieniu. Ale Temmin odsunął ich. Zapewnił, że sobie poradzi.

Zamrugnął, powstrzymując łzy, i odwrócił głowę, żeby ich nie widzieli. Gapił się w ścianę z zaciśniętą szczęką, kurczowo splatając pod stołem drżące dłonie.

Zawsze obawiał się tego dnia. Jego mama latała gdzieś po galaktyce, walcząc dla rebelii. Przewoziła dla niej dostawy przez terytoria wroga. Każdy kolejny dzień, w którym nie miał z nią kontaktu (czyli większość jego życia), mógł być dniem jej śmierci. Wyobrażał sobie jej statek unoszący się bezwładnie w próżni. A w nim ciało, przypięte pasami do fotela jakiegoś gruchota - rebelianckiego złomu, którego pełno mieli w swoich obskurnych

hangarach. Ta myśl czasami zsyłała mu senne koszmary. Śniło mu się, że matka goni za nim, martwa, z niewidzącymi oczami i opadniętą szczęką. Albo że imperialni przyszli do niego, aby poinformować, że ją zabili. Czy też pod jego drzwiami pojawiła się trumna, w której spoczywała Norra.

A teraz ten dzień naprawdę nadszedł. W chwili kiedy spotkali się po latach.

Jas mówiła coś o misji, która nie została zaprzepaszczona; o tym, że muszą działać dalej. I Temmin wiedział, że musi się trzymać. Musi przeżyć ten sztorm, ten napór upiornie znanych mu uczuć, które szalały w jego duszy.

Władcą jego prywatnego morza był gniew. Temmin był wściekły na matkę, że go zostawiła, aby służyć sprawie, która zawsze była dla niej ważniejsza niż własny syn. Był wściekły na siebie za swój egoizm, który nie pozwolił mu lepiej wykorzystać chwil, kiedy jeszcze byli razem. Ten gniew praktycznie dotyczył wszystkiego i wszystkich. Sinjira i Jas, którzy wciągnęli go w tę całą awanturę. Surata - za to, że był Suratem. A także Nowej Republiki, Imperium Galaktycznego i...

Drgnął, słysząc, jak nogi krzesła zgrzytnęły o podłogę.

Odwrócił się w akompaniamencie gwałtownie wciąganego powietrza.

Kobieta zajęła miejsce w końcu stołu i odrzuciła woalkę zakrywającą twarz.

- Mamo - powiedział bardzo cichutkim głosem.

Miała rozdarte ubranie i brudną, trochę zakrwawioną twarz.

- Przecież... ty się rozbiłaś - wyszeptała w osłupieniu Jas.

Norra wzruszyła ramionami.

- Okazało się, że myśliwce TIE mają jednak katapultę.

Temmin zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że zrzucił ze stołu niedopitą flaszkę Sinjira. Ale nie dbał o to. Pragnął natych

miast pochwycić mamę w ramiona i przytulić. Żarliwie odwzajemniła uścisk.

Trwali tak długą chwilę. Temmin uświadomił sobie nagle, iż pragnie, żeby ta chwila trwała wiecznie.

„Przerwa w zasilaniu” - pomyślała Rae. Kiedy TIE rąbnął w lądowisko, niszcząc ich promy, światła zamigotały, zgasły i po chwili zapaliły się na nowo. Najwidoczniej to wystarczyło.

Ich więzień uciekł. Wedge Antilles musiał być gdzieś na terenie pałacu. Magnetyczne kajdanki puściły, kiedy wysiadł prąd. Taki stary budynek jak ten nie magazynuje energii. Nie ma akumulatorów ani generatora.

- Niedobrze - powiedziała Rae, jakby ten fakt nie był wystarczająco oczywisty.

- Znajdziemy go - zapewniła Adea, choć w jej głosie nie było pewności. - Zaraz wyślę oddziały na poszukiwania.

- Dobrze. - Asystentka wyszła z pokoju, a pani admirał podniosła z podłogi głowę droida medycznego. Zapewne zdjętą przez Antillesa.

Jego ucieczka stworzyła jeszcze jeden problem, i to poważny. Jakby cały ten zjazd od początku nie był ciągiem problemów, splatającym się w coraz to nowe kłopoty! Koszmarny węzeł błędów i nieporozumień, trwających od wschodu do zachodu słońca.

A przecież ostrzegano ją, że to niedobry pomysł. Jednak Rae się uparła. Uczepiła się ulubionej idei hrabiego Denetriusa Vidiana: „Zapomnieć o dawnym systemie”. Pielęgnowała tę ideę, przekonana, że dawny system, który zbudował potęgę Imperium, w rezultacie je pogrzyżył. Dlatego uznała, że trzeba jak najszybciej przyjąć nową drogę, która uzdrowi Imperium i ocali galaktykę. Drogę, która zdąży przynieść światom pokój, zanim chaos odrodzi się z ziaren destrukcji zasianych przez drugą Gwiazdę Śmierci.

Ale teraz nie była już pewna. Być może dawna droga była jedyną możliwą. Stanowcza kontrola. Autorytarna władza. Stalowa pięść w czarnej rękawicy.

Sloane wróciła myślami do rzeczywistości.

Musi odnaleźć Antillesa. Znowu.

Tajne przejście było wąskie, tylko na jedną osobę - ogromny kontrast z monumentalnymi korytarzami pałacu, zdolnymi pomieścić maszerującą kompanię straży i pozwalającymi w razie potrzeby na przelot śmigaczy. Ten korytarz był wręcz kameralny. Przeznaczony dla satrapy albo dla jego gości.

Wszystko to było dla niego nowe, nawet w takiej chwili. Wedge nigdy nie należał do galaktycznej elity. Już w młodości poznał smak pracy fizycznej, kiedy po szkole dorabiał na stacji benzynowej czy na okolicznych farmach. Przepych tego miejsca go onieśmielał. Musiał jednak przyznać, że taki tajny korytarz ma sens. Satrapa pragnął zapewne poruszać się po pałacu niezauważony. Nieniekochany przez doradców czy interesantów. Poza tym Wedge słyszał, że miasta na Akivie mają całą sieć sekretnych przejść, zarówno naziemnych, jak i podziemnych.

Teraz jednak najważniejsze było pytanie: co dalej?

Przystanął na moment, żeby złapać oddech. W miarę jak szedł, zapalały się przed nim niebieskie krystaliczne światła i gasły za jego plecami. Były rozmieszczone co trzy metry i tworzyły niesamowitą, bajkową atmosferę.

Od czasu do czasu napotykał wąskie szpary w ścianach, przez które przesączało się naturalne światło promieni słonecznych upalnego dnia, przenikających przez grube mury pałacu. Te jasne smugi były jak przebłyski wolności. Dawały mu nadzieję, a jednocześnie pogłębiały rozpacz.

- Jestem tak blisko - mruknął do siebie.

Skręcił ostro za róg i nagle sceneria się zmieniła. Smuga światła zmieniła się w strumień blasku wpadający przez stare okno o zmatowiałych szybach.

Nie było duże.

Ale powinno wystarczyć. Spróbuje przez nie wyjść. Stłucze szybę, wygramoli się na zewnątrz i...

Wedge wyjrzał i zobaczył przepaść.

Trzy piętra - ale nie takie jak w małym koreliańskim domu, tylko wysokie, pałacowe. Piętnaście, dwadzieścia metrów do ziemi.

Może zdoła jakoś zejść po murze? Albo skoro tu jest okno, znajdzie się jeszcze jedno niżej? Jeśli ten korytarz ciągnie się dalej...

Ta świadomość wstrząsnęła nim jak dreszcz.

Może stąd wyjść. Może mu się uda. Ale co potem? Znajdzie się w mieście. Ledwie żywy. Słaby. Może się nie udać. Może złapią go po godzinie albo po dziesięciu, a jak dobrze pójdzie, po paru dniach. Co zmieni jego ucieczka? Spokojnie, zaczekajmy. Trwa imperialna okupacja, ale coś ważnego dzieje się w pałacu, właśnie teraz. Ucieczka może ocalić życie.

Ale czy ocali Nową Republikę?

Nie. W tym sensie jedyną opcją jest pozostanie na miejscu. Musi się dowiedzieć, co się dzieje w tym pałacu - albo przynajmniej znaleźć sposób skomunikowania się z Ackbarem i resztą.

Ostatni raz wyjrzał przez okno.

Tak niewiele brakuje...

Ruszył dalej.

Norra potrzebowała chwili, żeby odczuć w pełni radość z powrotu. Była śmiertelnie zmęczona i marzyła o chwili odpoczynku. Bolało ją całe ciało; ból zdawał się przenikać do szpiku kości. Przy każdym mrugnięciu migał jej pod powiekami obraz

pałacu pędzącego na spotkanie. Pamiętała, jak zapiera się rękami o konsolę (głupi pomysł; nie wiadomo dlaczego sądziła, że to złagodzi impet zderzenia). Jej dłoń trafiła na przyciski.

Jednym z nich był włącznik katapultowania.

Następną rzeczą, jaką zobaczyła, był jej myśliwiec taranujący trzy promy. Unosiła się nad nim. Jej spadochron otworzył się późno - o wiele za późno. Nagły poryw wiatru szarpnął nim i pociągnął w prawo. Norra ciężko wylądowała na ziemi. Spadochron włókł ją jeszcze przez chwilę. Kiedy wstała, miała rozerwany cały rękaw i mocno obtartą skórę.

Przez chwilę chłoneła uścisk syna i serdeczne uśmiechy tych dwojga ludzi, którzy długo byli jej obcy, ale teraz stali się już prawie przyjaciółmi, jeśli nie rodziną. Rogata łowczym nagród i były agent imperialny.

Nawet szalony droid jej syna powiedział do niej:

- Cieszę się, że nie zostałeś rozbita na atomy, mamó panna Temmina.

Roześmiała się. Wszyscy się śmiali. Norra otoczyła syna ramieniem w pasie, a Temmin z dumą stał obok niej.

- Ja też się cieszę, że żyję - powiedziała. Ale radość nie mogła trwać długo. Nie teraz. Norra zmarszczyła brwi i powiedziała z surową powagą: - Mamy jeszcze dużo roboty. Musimy wejść do pałacu. I chyba wiem, jak to zrobić.

INTERLUDIUM CORUSCANT

Tego dnia przypadały trzynaste urodziny Jaka.

Chłopiec - nie, młody mężczyzna - pragnął urodzinowego prezentu. Nie było nikogo, kto mógłby mu go kupić. Jednak Jak był pewien, że tata podarowałby mu coś wspaniałego.

Szedł zrujnowanymi tunelami 1313; ten poziom podziemnej coruskańskiej rzeczywistości cieszył się najgorszą sławą. Leżał tak głęboko, że świat na powierzchni już dawno zapomniał o jego istnieniu. Jak minął parę bladych, niemal przezroczystych Er'Kitów, zdrapujących grzyby ze ścian i chciwie wysysających ich gąbczasty miąższ. Dalej napotkał Xexta o pajęczych członkach, który wyciągnął przewody z rozbitej szafki elektrycznej i właśnie wpychał je do ładowarki wypełnionej pulchnymi, buczącymi bateriami. Kosmita zaświergotał z irytacją, kiedy Jak go mijał: ostrzegał, żeby nie śmiał mu przerwać złodziejskiego proceduru kradzieży prądu. A dalej, za zakrętem...

Stało tu dwóch strażników. Niechlujnie wyglądający człowiek z piwnym brzuszyskiem i brodą pełną okruchów oraz wyższy od niego i chyba jeszcze grubszy Kerkoidianin. Kerk czujnie uniósł ryj z różowo-krwawymi kłami. Kiedy Jak się zbliżył, znacząco poklepał kaburę z blasterem na biodrze.

- Przechodź, szczurze - mruknął w basicu.

- Nie jestem szczurem - powiedział odważnie Jak. - Chcę coś kupić.

Kerk wyciągnął blaster - na razie żeby tylko nim pogrozić. Zrobił to niespiesznym, płynnym ruchem łajdaka, który zabija bez skrpułów.

- Powiedziałem...

Jak pomachał mu przed nosem kartą.

Czarną i matową.

Z napisem, który jarzył się czerwono.

- Proszę - powiedział.

Brzuchaty człowiek zrobił wielkie oczy.

- Dzieciak z kartą!
- Nie jestem dzieckiem. Dzisiaj mam trzynaste urodziny.
- Sto lat, mały zasrańcu - życzył mu Kerk. - Dobra, możesz wejść.

Brodacz zapukał. Drzwi otworzyły się z cichym syknięciem.

W środku był ten, którego Jak szukał - rogaty Iktotchianin, Talvee Chawin, do którego należała większość kwater w podziemnych slumsach. Miał ksywkę Kolec, ponieważ jeden z jego rogów wyrósł krzywo i zawijał się pod podbródkiem, stercząc groźnie spod niego niczym kolec trującej rośliny. Drugi róg był ułamany.

A może po prostu był jak cierń w boku Imperium.

- To ty - powiedział Kolec. - Jesteś dzieckiem.
- Nie jestem... - Och, dobra. - Tak, to ja.
- Nie sądziłem, że się zjawisz.
- Twoja przyjaciółka dała mi kartę.
- Dobra, ale czemu używa jej smarkacz taki jak ty? - Iktotchiański mafioso wstał z półokrągłej kanapy i podszedł do chłopca. Przypatrywał mu się przez chwilę. - Nie jesteś stąd - powiedział. - Ty jesteś z góry.

- Tak. Masz rację. Ale w tym momencie na górze nie ma dla mnie miejsca.

Uśmiech zaigrał na wargach króla zbrodni.

- Tam rządzą oni.

Imperium.

- Wyciągnąłem twoją kobietę z policyjnego aresztu - powiedział z naciskiem Jak.

- To nie jest moja kobieta. Lazula jest niczyja.
- Pracuje dla ciebie.
- Pracuje ze mną.

- Dobra, wszystko jedno. Uratowałem ją. Dała mi kartę zasług. I przyszedłem.

- Karta, śmarta... - Chawin prychnął, oblizując blade usta. - Jakbyś dobrze wiedział, co robisz, ratując ją. - Ciemne oczy spojrzały podejrzliwie na Jaka. - Kto wie, może -nawet sprowokowałeś tę sytuację.

Jak milczał, kryjąc drzenie.

Niespodziewanie król podziemi klasnął w swoje wielkie dłonie i pokiwał spiczastym palcem.

- Tak czy owak, podziwiam twoją inicjatywę, mały. Ty mi dajesz kartę, więc należy ci się prezent. Ale ten prezent ma nalepkę z ceną, choć zwykle się je usuwa. Tą ceną nie będzie rok twojego życia, który miałbyś mi oddać według zasad, tylko coś o wiele większego. Długotrwałego. Inne życie. Życie dla mnie.

- Ale...

- Możesz odejść, mały. Przemyśl to sobie. Pogadaj z rodziną. Zapytaj domowe bóstwa. I pamiętaj, że taki jest mój warunek. Lazula mówiła mi, czego chcesz, więc już wiem, czego mam żądać w zamian.

- Nie mam rodziny - powiedział Jak. Miał tylko urnę z prochami ojca. A jeśli chodzi o bóstwa... nigdy nie czcili ich w domu. Tata w nic nie wierzył. - Uratowałem Lazulę. To powinno wystarczyć - powiedział twardo.

- To powinno wystarczyć, żebym nie użył cię do przepychania rur.

- Och.

- No właśnie, och. Jeśli chcesz broni, na której ci zależy, przyłącz się do drużyny.

- Już w niej jestem.

Chłopak wymówił te słowa bez najmniejszego wahania i sam był tym zaskoczony.

Iktotchianin uśmiechnął się.

- Świetnie. W takim razie należy ci się broń. Dlaczego jej potrzebujesz? Jakie masz plany?

„Zamierzam odciąć zasilanie Coco-Town”. Ale nie powiedział tego głośno. Nie dodał, że Brygada Knypli - dzieciaków młodszych od niego, walczących dla rebeliantów - zna każdą dziurę i każdy tunel w tej części miasta. I tym bardziej nie wyjawiał, że znają kanał dostępu na tyłach starego, nieczynnego już lokalu Dex's Diner. Plan był taki, żeby przekraść się tamtędy i umieścić emiter impulsu elektromagnetycznego pod linią imperialnego frontu, po czym odciąć zasilanie wszystkich urządzeń. Ich uszu. Ich oczu. Ich dział.

Jak odpowiedział tylko:

- To są moje urodziny, ale tak naprawdę prezent jest dla Imperium. Tort, który dla nich szykuję.

„A kiedy ustanie zasilanie i zaczną się miotać w ciemności, pojawię się nagle wśród nich i wystrzelę z blastera prosto w plecy komandora Orkina Kawa”. W taki sposób chciał dopełnić zemsty na człowieku, który zabrał mu ojca. Ponieważ bitwa - cała ta wojna - jeszcze się nie skończyła. I Coruscant jeszcze nie wygrała.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Adea spieszyła długim korytarzem; jej kroki dudniły na płytach podłogi. Co chwila spoglądała na ekran trzymany w ręku, wyświetlający plan pałacu satrapy. Usiłowała dojść, gdzie mógł się ukryć zbiegły więzień. W pewnym momencie przecięła jej drogę czwórka szturmowców idąca prostopadłym korytarzem. Z boku parę pokojówek kuliło się w niszy, obserwując z przerażeniem rozwój wydarzeń.

W chwilach kiedy przystawała, słyszała odgłos tłumu oblegającego pałac - głuchy szum, jak krwi w uszach. Zastanawiała się, kiedy ktoś wpadnie na pomysł, żeby wysadzić mur. Albo wdrapie się na wieżę strzaskaną salwą z lasera, żeby dostać się do wnętrza budynku.

Na razie szkoda czasu na takie rozmyślenia.

„Skup się na bieżącym problemie” - nakazała sobie w myśli.

Plan pałacu, mały holograf, migotał przed nią. Rozpostarła palce, powiększając widok, i dotknęła miejsca, w którym trzymał pilota. Wyświetlił się żądany sektor. Pilot wyszedł z sali... i co?

W którym kierunku mógł się udać? Tu nie było szybów wentylacyjnych. Wszystko było proste i jasne. Wielkie hole, korytarze i klatki schodowe. Problem polegał raczej na rozmiarach budynku. Samo przejście wszystkiego zajmie jej cały dzień - w górę, w dół, naokoło... On mógł być wszędzie.

Zaraz, a to co? Zaznaczony fragment przejścia za ścianą, którego dalszy przebieg pozostał na planie zatarty. Tajne przejście. Albo raczej jego początek.

Adea zrozumiała, że plan nie jest kompletny. Satrapa dostarczył im schemat bez tajnych przejść...

Jakiś ruch z prawej.

Ktoś przyskoczył do niej, złapał ją za ramię, obrócił i...

Krzyknęła, kiedy napastnik wyszarpnął jej mały blaster z kabury z tyłu pasa.

Więzień stał zaledwie metr przed nią, z bronią w ręku. Kapitan Wedge Antilles. Włosy zmierzwiłone. Nieprzytomne spojrzenie. Skóra blada i poszarzała, błyszcząca od potu.

- Holoe Kran - powiedział. - Daj mi.

- Nie - odpowiedziała, hardo unosząc brodę. Chciała zgrywać twardzielkę.

- Widzisz ten blaster? Naprawdę potrzebuję tego ekranu. I chcę, żebyś otworzyła kanał komunikacyjny. Zrobisz to, prawda?

Jej usta utworzyły wąską stanowczą linię.

- Nie.

- Kłamiesz.

- A jeśli?

Zaśmiał się z wysiłkiem. Był ledwie żywy. Ranny. Obolały.

- Pomyśl o tym poważnie - poprosił. - I sama zobacz... Imperium? Przegrało. To już koniec. Jeśli mi pomożesz, nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś. Nikt się nie dowie, co tu się wydarzyło.

Zeznam, że cię zmusiłem. Nie wyglądasz na żołnierza. Albo oficera. Bądź mądra. Pomóż mi. Daj mi ten ekran.

Z wahaniem skinęła głową.

Niepewnym gestem podsunęła mu holoeckran.

Sięgnął po niego.

Adea z wrogim grymasem podsunęła mu ekran pod oczy, a jednocześnie kciukiem wcisnęła guzik z boku, aż projektor zaświecił jaskrawo, oślepiając napastnika. Pilot krzyknął i zasłonił oczy.

Adea nie uciekła. Pomyślała: „Mam okazję go ująć. Zasłużę się Sloane i reszcie. Naprawię jej błąd. Zostanę bohaterką”.

Podskoczyła ku niemu i rąbnęła wroga kolaniem w podbrzusze, łapiąc rękami za przegub i wykręcając go gwałtownym ruchem. Nauczyła się takich chwytów, kiedy trenowała imperialne sztuki walki - kombinację zavat, echan i starego, dobrego ITB - Imperialnego Treningu Bojowego, który musi przejść każdy szturmowiec i oficer. Blaster wysunął się z dłoni pilota.

Ale Wedge był szybki. Nawet w tym stanie. Wysunął drugą rękę i chwycił spadającą broń. Adea podskoczyła i strzeliła go głową w nos.

Coś chrupnęło.

Pilot krzyknął.

Blaster wypalił.

Przeszył ją ból. Adea zachwiała się do tyłu. W lewym udzie miała dymiący otwór. Noga momentalnie jej zdrętwiała i dziewczyna upadła na podłogę.

- Wybacz, musiałem - powiedział ten rebeliancki drań.

Podniósł z podłogi holoeckran i zajął się przyciskami.

Adea zaczęła krzyczeć, wzywając pomocy. Darła się, że napadł ją więzień, aż wreszcie zamilkła i już tylko opłakiwała bez-

silnie swoją porażkę. Jej szansa na karierę w Imperium dramatycznie zmalała.

Jas stała w drzwiach sklepu Temmina. Dotarcie tutaj nie było łatwe, choć normalnie nie powinno sprawiać trudności. Strumienie mieszkańców miasta płynęły do centrum. Niektórzy nieśli transparenty. Widziała także kukłę satrapy. A potem drugą - niezgrabną jak strach na wróble - która miała przedstawiać Dartha Vadera. Ktoś ją podpalił i zaczęła płonąć, buchając czarnym dymem. Płomienie pochłaniały czarne szaty Lorda Sithów.

To miasto było jak beczka cordylleum, która zaraz zrobi wielkie bum.

Tego nie zaplanowała, ale ona i jej kompania bez wątpienia podsunęli mieszkańcom lont i zapalki.

Jakaś jej cząstka czuła dumę, ponieważ dotąd nie prowadziła operacji tak złożonych i na tak wysokim poziomie.

To ona, Jas, posługiwała się populacją całego miasta jak bronią, mającą zniszczyć cel, który wybrała. Potrafiła manipulować innymi... ale żeby robić to na taką skalę? Był w tym rozmach, a zarazem wyrafinowanie. Jednak wołała działać w pojedynkę. Z kolei ciocia Sugi zawsze miała swoją drużynę. I serce dla biednych, uciśnionych i poniewieraných. Czyli ubogich farmerów, niewolników i szaleńców. Jas dotąd uważała takie podejście za słabość. Może się myliła.

Obejrzała się za siebie. W głębi sklepu Norra i Sinjir pracowali razem. Temmina nie było. Powiedział, że nie trzyma map i planów w sklepie, z ostrożności. Dlatego musi skoczyć po nie do swojego „tajnego dziuploschronu”, jak się wyraził. I wyszedł z tym swoim odjechanym droidem.

„Posługuję się tymi ludźmi, żeby zrealizować swoje cele, czyż nie tak?” Nie są jej drużyną. Są tylko pożytecznymi narzędziami, takimi samymi jak hydroklucz czy klucz Harrisa. Albo tak

sobie tylko wmawiała, żeby złagodzić ewentualną stratę. W takich misjach rzadko się bowiem zdarzało, żeby przeżyli wszyscy. Już omal nie stracili Norry. Następnym razem może być gorzej.

Usiłowała ignorować uczucie, jakiego doznawała na samą myśl o tym.

Usiłowała ignorować fakt, że w ogóle miała jakieś uczucia.

„To tylko praca. Nie masz zobowiązań wobec Nowej Republiki ani tej grupki narwańców i dziwaków. To nie są twoi ludzie. I ty nie jesteś ich człowiekiem. Zrobisz swoje, weźmiesz kasę i więcej ich nie zobaczysz”.

Tak mówił jej rozum.

Tylko czemu serce mówiło coś innego?

- Mamy to - rzuciła Norra, stawiając skrzynkę na stole.

Sinjir podszedł, zobaczył, co przyniosła, i cofnęła się gwałtownie.

- Cała skrzynka detonatorów termicznych!

- A co, myślałeś, że przyniosę kule ze śnieżkiem?

- Czy mogę ufać, że nie wysadzisz nas w powietrze? Obchodzisz się z tym jak pijany tragarz w dokach, który upuścił skrzynkę weków z banty.

Roześmiała się. Zmarszczył brwi, kiedy otaksowała go wzrokiem.

- Nie byłeś żołnierzem, prawda? - spytała.

- Każdy z nas był żołnierzem Imperium - odparł sucho.

- Dobra, przecież wiesz, że chodzi mi o służbę na froncie. Taką w ogniu walki. W każdym razie wiedz, że detonatory nie wybuchną, dopóki się ich nie uaktywni. - Podniosła skrzynkę i potrząsnęła nią. Sinjir przygryzł usta, odruchowo czekając na eksplozję, która rozmieni go na molekuły. - Nie wybuchną, nawet gdybyś bardzo się starał. Mogę kopnąć taki ładunek i nic się nie

stanie. Teraz możesz je po prostu traktować jak błyszczące kamienie.

Sinjir odchrząknął.

- Nie gniewaj się jednak, jeśli zachowam dystans paru metrów od tych „błyszczących kamieni”, jak je nazywasz.

- Po prostu mi zaufaj. Jesteśmy bezpieczni. - Norra znów spoważniała i skrzyżowała ramiona na piersi.

Sinjir od razu wyczuł, że znów coś nie daje jej spokoju.

- No już, wyrzuć to z siebie. Mów. Uwolnij duszę od ciężaru - zachęcił.

- Chciałam...

- Nie krępuj się, Norra.

- Ty możesz mi zaufać. A ja tobie?

- Jeśli chodzi o te detonatory?

- Nie, o moje życie.

- Ach, to. - Uniósł brwi tak wysoko, jakby chciał schować je pod włosy. - Pytasz, bo służyłem Imperium, prawda?

- Imperium niełatwo jest zdradzić. Jego słudzy są lojalni, bo wiedzą, co się stanie, jeśli zdradzą. Jestem twoim wrogiem, a ty moim. Niełatwo zmienić takie nastawienie.

Sinjir strzelił palcami.

- Otóż to. Masz rację, a jednocześnie się mylisz. Ci, którzy są lojalni wobec Imperium, pozostają lojalni, ponieważ wiedzą, co ich czeka, jeśli zdradzą. Do tego momentu wszystko się zgadza. Tylko do tego momentu. A wiesz dlaczego, Norro Wexley? Bo chodzi o mnie. Byłem tajnym agentem służb wewnętrznych Imperium. Nie potrafisz powiedzieć, jaki był zakres moich obowiązków, prawda?

- Przyznam, że nie.

- Och, to była bardzo wdzięczna rola. Uczono mnie, jak wywęszyć każdą słabość w oddziałach. Uczono, jak czytać język cia-

ła, jak wykrywać kłamstwa i jak napuszczać jednych na drugich - a wszystko po to, żebym potrafił wysledzić, kto z moich lub innych ludzi sprzeniewierzył się Imperium i jego władzom. Chodziło o wszystko - od drobnych wyłomów do zdrady stanu. Byłem jak cień, od którego nie da się uciec. Wystarczyło, że przydzielono mnie do bazy wojskowej, stacji bojowej czy biura, aby załoga wiedziała, że ich wszystkie grzechy są widoczne jak na dłoni. Wypłaszalem z nich te sekrety, jak myśliwy wypłusza zwierzynę z krzaków. I dręczyłem ich, aby uzyskać zeznania lub skorygować błędy. Och, nie chodzi jedynie o ból fizyczny, który zadawałem, choć oczywiście nie sposób go pominąć. Był też ból emocjonalny. Mogę opowiedzieć ci pewną historię?

- Temmin jeszcze nie wrócił, więc mów.

Sinjir oparł się o stół. Kiedy mówił, jego długie, zwinne palce podkreślały słowa gestami.

- Większość tych, których dręczyłem, była dla mnie niewiele warta. Przeważnie dranie albo tchórze, jednym słowem tacy, których z satysfakcją brałem w obroty w imieniu Imperatora. Ale nie zawsze tak było. Weźmy na przykład młodego oficera artylerii Rilo Tanga. Ach, Rilo, idealny służbista. Oczy błyszczące niczym nowiutkie kredyty. Piękny mężczyzna. Uroczy jak poranek. Słodki jak ciasteczko jif. I podstępny jak małpojaszczurka.

- Nie rozumiem.

- Rilo był złodziejem.

- Co ukraść?

Sinjir zaśmiał się i pokręcił głową.

- I w tym właśnie był problem. Nic szczególnie cennego. Podejrzewam, że to raczej był rodzaj kompulsji. Odruch

zagarniania w łapy wszystkiego, co nie jest zabezpieczone. Głównie kradł osobiste rzeczy innych. Głupie rzeczy: holozdjęcia,

identyfikatory i... na gwiazdy, to już było przedziwne, pamiętam, że zakosił komuś cywilne buty. Dlaczego?

Norra zmrużyła oczy.

- No właśnie, dlaczego?

- Od razu się nasuwa, że trzeba sprawdzić profil psychologiczny, nie? Często się zdarza, że do imperialnych akademii posyłane są trudne dzieci. Rodzice liczą, że tam je wyprostujemy, jakby święcie wierzyli, że potrafimy zmienić każdą rozlazłą albo krnąbrną progeniturę w mniej więcej normalnego obywatela galaktyki. Tymczasem takie typy dają się przeważnie oszlifować tylko po wierzchu. I to na siłę. W konsekwencji Imperium zamiast pożądanых bohaterów zyskuje popaprańców. Jak Rilo.

- Co się z nim stało?

- Rozmawiano z nim. Ja go ostrzegałem. Wiele razy. Aż pewnego dnia ukradł coś moffowi. Pierścień. Klejnot, o którym moff mówił, że jest dla niego ważną, osobistą pamiątką, choć później stwierdziłem, że ów pierścień w swoim zawitym ornamentcie miał zakodowane informacje. Ale to już inna opowieść. W każdym razie musiałem... zająć się Rilo, aby uzyskać jego zeznanie w tej sprawie.

Stało się. Ten wyraz twarzy Norry. Dotąd słuchała go z zaciekawieniem - i nagle normalna mina opadła z niej jak kora z martwego drzewa, odsłaniając zimne, puste spojrzenie. Jak w horrorze.

- Zabiłeś go - powiedziała.

- Och, nie. W żadnym razie. Źle mnie zrozumiałaś. Nie byłem katem, tylko spowiednikiem. Agentem tajnej policji. Ja tylko dostarczałem zeznania i dowody, a potem ktoś inny ferował wyroki. Jeszcze inny wypychał mojego klienta przez śluzę w przestrzeń. Albo wieszał. Albo stawiał przed plutonem egzekucyjnym. Albo, albo, albo... Najpierw jednak musiałem połamać

wiele kości w tym pięknym ciele, aby wymusić przyznanie się do winy. Nie wiem, czy go zabili. Mówiono mi, że podobno trafił do pracy przy zgniatarkach śmieci. Ważne, że jego buźka już nigdy nie miała wyglądać jak dawniej. Uroda, wigor? Uleciały. Z mojej winy.

- Byłeś złym człowiekiem.

- I nadal jestem, choć staram się być lepszy. Ale nie dlatego opowiedziałem ci tę historię. Opowiedziałem ci ją, bo uważasz, że jesteś moim wrogiem, co jest absolutną nieprawdą. Moim wrogiem jest Imperium. Imperium zawsze było moim wrogiem. Polowałem na swój własny gatunek. Krzywdziłem ich. Kazano mi, abym ich podejrzewał, abym odkrywał ich słabości. I widziałem całe morze słabości i degeneracji. W nich. - „A także w sobie”. - Byli moimi wrogami wtedy i pozostają moimi wrogami obecnie. Ja tylko zrzuciłem mundur.

- To dlaczego jesteś teraz z nami? Jesteś rebeliantem?

Ta myśl wywołała w nim zamęt. Przecież jest nim, czyż nie?

Rebeliantem. Przeszedł na drugą stronę. Dlaczego? Bo omal nie zginął tam, na Endorze? Bo poraził go widok całego tego pojowiska? Zmienił go? Raczej dziwna przyczyna dezercji. Nie, to nie może być takie proste. Ani tak spójne. Zaczął sobie wmawiać, że chodziło o chwilowy impuls. Kryzys sumienia, który pewnego dnia sam przejdzie.

Uniósł brodę i popatrzył z góry na Norrę.

- Nie jestem z nimi, ale nie jestem też z wami. Jestem z sobą.

- Nie ufam ludziom, którzy są w tym jedynie ze względu na siebie.

Sinjir wzruszył ramionami i powiedział ze smętnym uśmiechem:

- Więc nie powinnaś mi ufać.

Jakby wybuchła supernowa. Jom Barell patrzył, jak na niebie nad jego głową jeden myśliwiec TIE rozwała dwa inne. Miasto wokół niego wrzało. Stał ukryty w wąziutkiej jak szpara uliczce, oddzielającej dwa budynki - stary kaffa shop i zrujnowaną kamieniczkę - obserwując, jak wrzenie narasta na jego oczach. Gniew. Śpiewy. Nienawiść do Imperium. Wściekłość na satrapię. Akivańskie powstanie: odrodzenie rozkwitające w ogniu rewolucji.

Do tego momentu miał cel: znaleźć stację nadawczą i spróbować przesłać raport. Albo zhakować sygnał, albo zmusić imperialną załogę, żeby udostępniła mu kody.

Ale te tłumy wokół? Ta mała rebelia rozwijająca się na jego oczach? Och, od razu obudził się w nim bojowy duch!

Pomyślał o wieżycze turbolaser, która zionęła ogniem, waląc w nawróconego myśliwca. Ta rzecz jest bardzo groźna.

Dlatego Jom zmienił swoje rozkazy. Czas na nowy cel.

Zapomnieć o stacji nadawczej.

Teraz zamierza zdobyć wieżyczkę. W pojedynkę. Zapewne przy tym zginie. Ale gdyby nie był gotów zginąć za sprawę, czy przyłączyłby się do Sojuszu Rebeliantów już w pierwszej potyczce, na jaką trafił?

Temmin wrócił. Zeszli na dolny poziom sklepu i tam na skrzyniach z bronią rozłożył plan podziemnego labiryntu.

- Mapa z flimsiplastu. Ciekawe - zauważył Sinjir.

Norra syknęła, uciszając go. W następnej chwili uświadomiła sobie, że było to zbyt apodyktyczne, zbyt... mamusiowate. (Odczucia wobec tego człowieka miały się w niej od skrajności w skrajność, jak zagubiony pocisk z blastera. Chciała mu ufać, ale coś w jego osobie ją niepokoiło. Czy może ich zdradzić? Czy chce tego?). W każdym razie posłuchał i zamilkł. Norra pochyliła się nad mapą.

- Popatrzcie, to jest nasza droga do pałacu - rzekła. - Tunele łączą wszystkie części miasta, ale punkty dostępu zostały dawno temu zamurowane...

Przerwał jej Temmin:

- Owszem, co również oznacza, że zamurowane jest wejście do pałacu.

- Może nie - odparła. - Każdy mieszkaniec zna plotki o satriapach, którzy potajemnie wymykają się ze swojej siedziby. Może właśnie używają tych przejść. Poza tym, nawet jeśli natrafimy na mur, będziemy mieli detonatory.

Łowczyni nagród skinęła głową.

- Bardzo dobrze - pochwaliła. Norra poczuła dziwny przypływ dumy. Jas trudno było zadowolić. - Dzięki temu ominie nas przejście przez miasto, w którym szaleje bunt.

I utrzymamy się z dala od szpiegowskich oczu Imperium i ludzi Surata. Powinno się udać. A tędy wejdziemy? - Jas wskazała na sekretne drzwi za valachordem.

- Tak - powiedział Temmin. - Ale pragnę zaznaczyć, że nie podoba mi się ta mapa. Coś mi tu śmierdzi. Śmierdzi jak spaliny zdezelowanego skutera. Jak piardy z zadu eopie. Jak...

- Jestem pod wrażeniem - przerwał mu Sinjir. - Powinieneś zostać poetą.

- Posłuchaj, mapa ma sto lat i nie może być dokładna. Nie wiadomo, czy można jej zaufać.

- Dobrze, ale przecież eksplorowałeś te tunele - powiedziała Norra. - Będiesz naszym przewodnikiem. Ufam, że nas doprowadzisz, Temmin. - Posłała mu ciepły uśmiech. Ku jej zaskoczeniu, odwzajemnił go.

- Owszem, łąziłem tam i właśnie wtedy zobaczyłem, że mapa miejscami się nie zgadza. Poza tym nie zapuszczałem się

aż tak daleko. Jeżeli chcemy dostać się do pałacu, musimy przejść obok starej fabryki droidów.

- Stamtąd pozyskiwałeś części droidów na sprzedaż, tak?

- Niezupełnie. Wyciągałem te części z dołów na śmieci. Tam są całe składy odpadów z fabryki. Natomiast nigdy nie próbowałem się dostać do samej fabryki.

- Dlaczego? - spytała Jas.

Temmin zawahał się, ale odpowiedział:

- Bo jest nawiedzona.

Towarzystwo wymieniło spojrzenia.

Sinjir nie wytrzymał i w końcu parsknął śmiechem.

- Nawiedzona? A co tam straszy? Duchy droidów?

Norra huknęła go łokciem w żebra, aż stęknął.

- Nie wiem - przyznał Temmin. - Naprawdę nie wiem! Ale w mieście krążą takie wieści. Podobno dlatego zamurowano dojścia. Coś musiało być na rzeczy. Czy wiecie, ilu ludzi zaginęło tam bez wieści?

- Zaginęli, bo nie mieli mapy - powiedziała Norra. - Pewnie zabłądzili w podziemiach, Temmin. Ale to tylko miejska legenda i nic takiego nie miało miejsca. Takie historyjki skauci opowiadają sobie przy ognisku na biwaku w dżungli. Tamtędy prowadzi najlepsza i najszybsza droga.

Jas zwróciła się do Temmina.

- Masz lepszą drogę?

- Tak.

- Jaką?

- W ogóle tam nie iść! Posłuchajcie mnie chwilę. Wszyscy chcemy jak najlepiej dla galaktyki. Ale to nie jest nasze zajęcie. No, może twoje. - Wskazał na Jas. - Tak, twoje. A reszta z nas? Sytuacja rozwiąże się sama, obojętnie, czy przyjdziemy z pomocą, czy nie. I... może nastanie Nowa Republika, i będą rzą-

dzić ci fajni ludkowie, a może nie. Może nic się nie zmieni, albo nawet będzie jeszcze gorzej. Należymy do Zewnętrznych Rubieży. Jesteśmy jak część kibla, którego nikomu nie chce się czyścić, jasne?

Sinjir gwizdnął z udawanym podziwem.

- Dotąd sądziłem, że to ja jestem cyniczny.

Norra przyklękła przed synem i ujęła jego dłonie w swoje. Serce ją bolało, kiedy mówił w ten sposób. Był cyniczny, ale rozumiała to. Była prawie pewna, że stało się tak z jej winy. A skoro tak, musi naprawić swój błąd.

- Tem - powiedziała miękko. - O takie rzeczy walczyłam ja i twój ojciec. Chcieliśmy, żeby galaktyka była lepsza. Dla ciebie. Dla twoich dzieci. - Skrzywił się na te słowa i Norra przypomniała sobie, że żaden nastolatek nie chce słyszeć o małżeństwie i pieluchach. - Proszę, zaufaj mi i uwierz, że postępujemy właściwie. I że możemy wiele zmienić. Nawet mała grupka może odmienić galaktykę. Czasami wystarczy, że jeden człowiek splunie w oko olbrzymu i go oślepi. Dlatego zróbmy to. Działajmy. Naplujmy w oko olbrzymowi.

Poparła ją Jas.

- Twoja mama ma rację, Temmin. Jeśli teraz zaniechamy akcji, imperialni i satrapa wymkną się nam z rąk. A wtedy nikt nam nie zapłaci. Chyba chcesz zarobić, nie?

Temmin kwinał głową.

- Chcę.

Norze zrobiło się przykro. Nie trafiła do niego żarliwa deklaracja matki, tylko praktyczny, oparty na czystej chciwości argument łowczyni nagród. Ale zadziałał.

Temmin dołączył do Sprawy.

Usłyszano krzyki Adei i znaleziono Wedge'a Antillesa w kwaterach służbowych na najniższej kondygnacji pałacu. Już

wcześniej opuszczono tam stalowe żaluzje na witrażowe okna i wzmocniono drzwi. Na tym poziomie ryk tłumów był jak głos bestii - jeszcze zakneblowany, stłumiony, ale potężniejszy i wibrujący gniewem. Rae miała wrażenie, że przenika ją do szpiku kości.

Weszła do pomieszczenia w asyście trzech szturmowców. Adeę już zabrano i zajęli się nią pałacowi lekarze.

Antilles leżał twarzą w dół w końcu pokoju, martwy. Jedna ręka spoczywała bezwładnie pod kątem prostym do ciała, a druga miała palce wygięte w artretyczne szpony. Obok na podłodze walał się holoeokran, który zabrał asystentce, kiedy ją postrzelił.

Rae podeszła bliżej i zobaczyła, że plecy pilota ledwie dostrzegalnie unoszą się i opadają. A więc żył, był tylko nieprzytomny Ból i rany go zmożyły. I dobrze. Przynajmniej ten problem rozwiązał się sam, zanim uczestnicy narady zdążyli się o nim dowiedzieć.

Dała znak szturmowcom, żeby zabrali Antillesa.

- Zanieście go z powrotem na górę, tylko tym razem użyjcie tradycyjnych kajdanków. Satrapa musi mieć gdzieś parę w tym archaicznym pałacu - powiedziała i strzeliła palcami. - Aha, i dajcie mi ten holoeokran. Muszę zwrócić go Adei. - Postrzał nie oznaczał, że asystentka miałaby przerwać pracę. Rae jej potrzebowała.

Szturmowiec podał jej urządzenie.

Rae poczuła lód w żyłach.

Włączony był ekran komunikacyjny. Pilot zhakował ich kanał i zdjął zabezpieczenia z linii, udostępniając częstotliwość rebeliantom.

Antilles wysłał im wezwanie do wojny.

INTERLUDIUM

THEED, NABOO

Rudy chłopak z zajęczą wargą stał pośród gromady innych dzieci. Dzieci wszystkich ras, w różnym wieku. Większość młodsza od niego, a im ktoś był młodszy, tym więcej budził uczuć u chętnych do adopcji, którzy zlecieli się tu tłumnie z różnych zakątków galaktyki.

Chłopiec pochylił się ku głowoogoniastej dziewczynce, która stała obok niego, i powiedział szeptem:

- Nie znajdziemy domu u nikogo z tych ludzi.
- Cicho, Iggs - fuknęła. - Bo znów zapeszysz.

Wzruszył ramionami.

- Przecież ja wiem i ty wiesz, że tak jest. Streaks, oni chcą maluchów. Młodszych. My jesteśmy za starzy.

- Nie jesteśmy aż tacy starzy - odszepnęła. - A poza tym jesteśmy bohaterami.

- Bohaterami? - Iggs przewrócił oczami. - Oni o tym nie wiedzą, a nawet gdyby wiedzieli, wcale by nas nie podziwiali.

- Byliśmy Brygadą Knypli z Coco-Town, a to już coś!

- To oznacza dwie rzeczy: nędzę i kryminał. Ci ludzie wiedzą, co żeśmy robili. Naprawdę myślisz, że przejmą się jakąś bandą sierot, które żyły w kanałach ściekowych i prowadziły wojnę z kubłogłowymi i innymi sługusami Imperium? Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie jesteśmy już na Coruscant. A nawet gdybyśmy tam zostali, to co? I tak by nas wyłapali i przywieźli tutaj. Żeby zabrać nas z drogi zła, jak mówili. Ale czy byliśmy na drodze zła? Przecież razem z innymi dzieciakami walczyliśmy dla rebelii. Ukrywaliśmy się w tunelach transportowych i w kontenerach. Atakowaliśmy w ciemności. Przejęliśmy całą imperialną fregatę z dostawami dla frontu.

- Oczywiście, że się nami przejmują. I podziwiają. Przecież robiliśmy jeszcze inne rzeczy. Przenosiliśmy meldunki. Donosili

śmy im o ruchach wojsk. Byliśmy ich wywiadem, Iggs. Przecież gdyby nie my, rebelianci w życiu nie przejęliby Coco-Town!

Zbył ją machnięciem ręki.

- Dobra, wiem. Ty też wiesz. Ale ci ludzie nigdy się nie dowiedzą. I zawsze będą mieli nas gdzieś.

Buzia Streaks posmutniała.

- Tak myślisz?

Nagle zrobiło mu się głupio. Lekko uściśnął jej ramię.

- Zawsze przecież mamy siebie. I innych.

Pani o zielonej skórze oraz inne starsze kobiety - tak zwane mediatorki - które pośredniczyły w kontaktach pomiędzy dziećmi a ich potencjalnymi rodzicami, podeszły bliżej. Iggy słyszał, jak zielona pani rozmawia z parą zamożnie wyglądających ludzi, o czystej różowej skórze, ubranych w fajne ciuchy. Mówili o tym, jak ważne jest „przywrócenie galaktyce normalności”, i o tym, że wiele biednych dzieci zostało sierotami, bo ich rodzice poszli na wojnę i zginęli w walce albo stali się cywilnymi ofiarami konfliktu. Według nich nastał najwyższy czas, aby rodzina znów była najważniejsza. Iggs słuchał tych pierdoł, robiąc miny i przewracając oczami. Tymczasem Streaks czekała w napięciu, z widocznym drżeniem.

- Może podejda, żeby z nami porozmawiać - powiedziała. - I dzisiaj polecimy z kimś do naszego nowego domu. -W jej głosie brzmiała nadzieja. Jakby chciała powiedzieć: „Może znów będziemy mieli rodziców”.

- Nie będą chcieli z nami gadać. Wyglądamy jak para obdartych łobuzów.

- Będą!

- Nie będą!

A jednak miała rację. Zielona pani i mediatorka podeszły do nich. Pochyliły się nad nimi i zielona pani zapytała:

- Jak się nazywacie?

Odpowiedzieli. On jest Iggs, a ona Streaks.

Kobieta nie kryła rozbawienia. „Śmieję się, śmieję” - pomyślał ponuro Iggs. Pani przeszła dalej, zagadując inne dzieci. Takie gadki-szmatki - jaki smak ma ich ulubiony shake albo czy myślą, że w tym roku odbędą się mistrzostwa grav-balla. Tłumek chętnych do adopcji powiększał się. Pojawiły się nadziane typy z Naboo, kolorowe jak ptaki. Iggy coraz bardziej czuł się jak brudna plama na białym obrusie.

- Co się stało z waszymi rodzicami? - zapytała kobieta.

Iggs zamarł. Nie chciał nawet o tym myśleć, a tym bardziej mówić. Próbował nie dopuścić do siebie natrętnego wspomnienia swoich dwóch ojców, leżących tam jak...

Podekscytowana Streaks weszła mu w słowo:

- Moi rodzice byli rebeliantami. Ich transporter został zaatakowany razem ze statkiem Tanisa, a ja też jestem rebeliantką i razem z Iggsem byliśmy w takim wojsku dzieci, które się nazywało Brygadą Knypli...

O rany. Nie. Dłużej tu nie wytrzyma. Czuł się jak śmieć w pięknym, wysprzątanym domu. Kiedy dorośli rozmawiali ze Streaks, Iggy zanurkował pod krawędzią wielkiego namiotu i wymknął się na zewnątrz. Rozejrzał się i w jego głowie zaczął się rodzić plan. Najpierw musi znaleźć kanalizację, a ona już go dalej zaprowadzi. Musi się dostać do centrum Theed. Znaleźć kosmodrom i załapać się na lot na Coruscant. A potem do domu, do Coco-Town, gdzie Brygada Knypli zacznie znów swoje rajdy na wroga i będzie pomagała rebeliantom.

Dobra. Jest kanał i krata. Ten się nada. Nie wygląda, żeby krata była zamknięta. A jaka ozdobna i błyszcząca, jak wszystko w tym mieście muzeów!

Iggs zawrócił w stronę namiotu i podszedł do wejścia. Już miał zawołać do Streaks, że pora się zmywać i zapomnieć o tych głupich marzeniach o adopcji, kiedy zobaczył, że nie ma jej wśród dzieci. Nie, jednak była. Stała z boku, parę metrów od niego. Rozmawiała z miłą parą ludzi, tych o czystej różowej skórze, ładnych włosach i białych zębach. Wyglądała na szczęśliwą. Oni też.

Iggy pomyślał, że to dobrze dla niej, naprawdę dobrze.

A potem, ponieważ nikt nie zwracał na niego uwagi, oddalił się samotnie. Wrócił do kraty, odsunął ją i zagłębił się w ciemność. Czas wracać do domu. Czas wracać do walki.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Skrzynia była lekka. Choć przesuwał ją już wcześniej, ta lekkość nieodmiennie go zdumiewała. Duża skrzynia z zamkami z czarnego karbonitu powinna ważyć tonę. Przecież broń (jakakolwiek by tam była) zawsze jest ciężka. Tymczasem była lekka jak piórko. I pusta jak balon.

Kiedy pozostali weszli do korytarza, prowadzącego do katakumb pod miastem, Terrtmin podniósł swój koniec skrzyni, a Bones swój (droid pomagał mu, ponieważ skrzynia, choć lekka, była duża i nieporęczna).

Wynieśli ją za drzwi.

Temmin popatrzył ostatni raz na sklep, wypowiadając w myślach czułe pożegnanie, po czym energicznie zatrzaskał drzwi i je zamknął. Z przodu Sinjir włączył droidy świetlne. Wyglądały jak latające latarnie - tyle że spod spodu zwisały im po trzy mackowate ramiona zakończone szczypcami.

Światło tych droidów było cętkowane i przyćmione (przydałaby im się renowacja i porządne oczyszczenie). Ale musiało wystarczyć.

Norra i Sinjir wysforowali się do przodu. Temmin chciał pospieszyć za nimi, ale Jas przytrzymała go za ramię.

- Co to za skrzynia?

- Broń Surata - wyjaśnił, starając się o nonszalancki, pewny siebie ton.

„Tia... należy do Surata, a ja to ukradłem. A bo co?”

- Tam nie ma broni.

- Oczywiście, że jest.

- Inaczej: to może być broń, ale nie dosłownie.

- Nie rozumiem skąd... - Dotknął jednego z karbonitowych zamków, a ten odskoczył gładko. Temmin zrobił wielkie oczy. - Co? Co jest? Próbowałem je otworzyć od miesiący. Miesiący!

- No widzisz, a mnie się udało.

- Tak po prostu? Masz palce magika? Odprawiałaś nad nimi jakieś czary?

- Powiedzmy, że mam rozmaite talenty. I użyłam ich, kiedy siedziałam u ciebie na dole, reperując swój karabin, podczas gdy twoja mama kradła imperialnego myśliwca. - Pokazała gestem na skrzynię. - Dawaj, otwórz to.

Nie trzeba go było długo prosić. Uchylił wieko z zapalem dziecka otwierającego długo wyczekiwany prezent. Kiedy wieko się podniosło, ze środka buchnął błękitny blask. Temmin aż zamrugał, tak był oślepiający. A potem zobaczył zawartość - pudełka z datakubikami.

- Baza danych? - zdumiał się. - Tylko tyle? To nie jest żadna broń!

- To jest coś o wiele lepszego: informacja.

- Surat chronił informacje?

- Nic więcej o tym nie wiem. Pomogę ci się przez nie przekopać, a wtedy się okaże, o jakie dane chodzi. Potem będziemy mogli nimi pohandlować.

No jasne, tu jest haczyk. Wiedział, że coś musi być na rzeczy, ale powstrzymał się od komentarzy.

- Dobrze, dostaniesz udział - powiedział. - Jeśli pomożesz mi to korzystnie sprzedać dzięki twoim...

- Sześćdziesiąt... Czterdzieści - przerwała mu.

- Ejże, to niesprawiedliwe! Przecież...

- Dobra, sześćdziesiąt dla ciebie.

Och. Jeszcze się wahał. Przed nimi światła rozplýwały się w mroku w miarę, jak tamci oddalali się od nich, a droidy świetlne polatywały za nimi.

- Hej, idziecie wreszcie? - zawołała Norra.

- Układ stoi - powiedział do Jas i uścisnęli sobie dłonie.

- Stoi.

- Już idziemy! - krzyknął. - Po co ten pośpiech? -mruknął pod nosem.

Sinjir był przyzwyczajony do ciasnych miejsc. Architekci Imperium oszczędnie gospodarowali przestrzenią. Obowiązywał surowy pragmatyzm (ten termin - rygorystyczny pragmatyzm albo wymiennie pragmatyczny rygoryzm -przewijał się w wielu imperialnych broszurach i innych materiałach propagandowych). Dlatego imperialne korytarze były przeważnie niskie i wąskie. W konsekwencji szturmowcy musieli być podobnego wzrostu i postury. Ten wymóg okazał się dla niego zbawienny - i Sinjir wcale nie żartował, kiedy mówił, że jest za wysoki na szturmowca.

Dlatego podziemia Myrry nie wywoływały u niego klaustrofobii. A przynajmniej nie jawnie. Ucisk, który czuł w piersi, miał inną przyczynę - chodziło o drogę, która kluczyła. Nie wystarczyło, żeby jak w normalnym labiryncie iść w prawo, w lewo czy

przed siebie. Tu jedne korytarze potrafiły prowadzić do góry, inne w dół, a jeszcze inne zawijały się spiralnie. W jednych było sucho jak pieprz i śmierdziało w nich sproszkowanymi kośćmi. Inne z kolei były wilgotne, duszne i zagrzebione. Szło się przez kałuże, pośród kamieni i skalnych odłamków. Światła droidów wyluskiwały z ciemności mury, a na nich ślady brudnych rąk albo napisy w języku zupełnie innym niż basie. Może jakieś przekleństwa czy bluźnierstwa, a może groźby.

Od czasu do czasu w ten labirynt zapuszczały się powiewy wiatru i szumiały, szemrały, syczały albo wyły. Raz para zielonych oczu zalśniła nad nimi w mroku jak jarzące się kryształy. Kiedy padło na nie światło droida, Sinjir dostrzegł, że to tylko fengla - blady, bezwłosy gryzoń o zakrzywionych siekaczach. Plunął ku nim z sykiem i uciekł, szczękając pazurami po skale.

Szli, od czasu do czasu przystając, żeby sprawdzić mapę. Z góry kapiała na nich woda - deszczowa, przesiąkająca przez grunt, jak zapewniał Temmin, a nie siuśki jakichś Ithorian pracujących w ogrodach na powierzchni. Przeszli przez niski, wąski most. Kiedy byli w połowie, Sinjir zorientował się, że jego konstrukcja pasuje do bojowego droida Temmina, gdyż składała się głównie z kości. Dużych. Nieczłowieczych. Poskręcanych zardzewiałymi drutami. Most chybotął się nad przepaścią i Sinjir przypomniał sobie głęboką szczelinę, nad którą dyndał w klatce w lochach Surata Nuata. Te lochy również musiały mieć połączenie z labiryntem pod miastem.

Stopniowo zaczęli się natykać na części droidów. Na ścianach było widać ślady salw z blasterów. Sinjir miał nawet wrażenie, że widzi bruzdy od uderzeń mieczy świetlnych.

Nic dziwnego, wszak dawno temu, w czasie wojen klonów, odbyła się tu wielka bitwa. Jedi byli wtedy jeszcze liczni i nie groziła im zagłada.

- Zbliżamy się do dołów z odpadkami - powiedział Temmin.

„To już wiemy z mapy” - pomyślał Sinjir.

Szedł, patrząc na Temmina. Wszystko wydawało się raczej w porządku, choć cała sytuacja musiała chłopakowi ciążyć. Jak na kogoś, kto omal nie został zabity przez sullustańskiego gangstera, a potem prawie stracił matkę, i tak nieźle się trzymał.

A jednak kryło się w tym coś jeszcze.

W sposobie, w jaki Temmin rozglądał. W powściąganej nerwowości ruchów. W skrywanym napięciu. Jakby coś ukrywał. „Temmin ma jakiś sekret”.

Sinjir zwolnił kroku i kiedy znalazł się na końcu, dał znak Jas, żeby się z nim zrównała.

- Co jest? - spytała zniżonym głosem.

- Musimy pogadać.

- Aha. - Skinęła głową, jakby się tego spodziewała. - Wiedziałam, że do tego dojdzie. Więc owszem, przyznaję.

- Co konkretnie przyznajesz?

- Jesteś satysfakcjonujący.

- Czekaj, nie rozumiem. Satysfakcjonujący? Nie wiem, co to ma znaczyć w moim przypadku, ale brzmi bardzo... mięcza kowato. Wypicie proteinowego koktajlu, kiedy jest się naprawdę głodnym, może być satysfakcjonujące. A jednocześnie wywołuje obrzydzenie.

Jas rzuciła mu zgnębione spojrzenie.

- Chciałam powiedzieć, że się nadajesz. Interesujesz mnie. Dlatego mówię: tak. Kiedy już będzie po wszystkim, możemy się zejść.

- Zejść? Czyli... - Podejrzenie i zaskakująco się zaczerwienił. - Ty i ja? Razem?

- Właśnie to miałam na myśli.

Roześmiał się.

- Och.

- Jeżeli masz zamiar się z tego śmiać - powiedziała urażona - to wsadź sobie moje zaproszenie do rury wydechowej i zapomnij o nim, dobra?

- Nie, skąd. Po prostu... chodzi o to, że ja... To mnie nie kręci.

- To? - Jej mars pogłębił się, a wargi odsłoniły ostre zęby. -
Inne rasy?

- Kobiety.

- Och. Och.

- Racja, och.

- Och.

Mijały sekundy. Niezręczna sytuacja panoszyła się pomiędzy nimi jak żywa istota - jak chmara much, których nie sposób zignorować, choćby się bardzo chciało. Wreszcie Jas warknęła:

- Zdaje się, że chciałeś o czymś ze mną pogadać, tak?

- A, tak. O tym chłopaku. Temminie.

- Zdecydowanie za młody dla ciebie.

- Możesz przestać? Nie to miałem na myśli. Posłuchaj, on nas okłamuje.

- Wszyscy okłamujemy się przez cały czas, Sinjir. Rozumiem, że twoje dawne zajęcie w Imperium wykształciło u ciebie niezłą paranoję, ale...

- Mapa - przerwał jej. - Chodzi o mapę.

- Czyli?

- Temmin powiedział nam, że mapa jest stara i może być niedokładna.

Widać było, że wreszcie do niej doszło. Jakby nagle mucha usiadła jej na nosie i musiała się na niej skupić.

- Czyli mapa jest w porządku i wszystko się zgadza - powiedziała.

- Dokładnie.

- Coś ukrywa - przyznała. Mroczny cień przemknął jej przez twarz. - Może tam coś jest i nie chce, żebyśmy to widzieli.

- Na przykład schowek. Ukryty skarb.

- Możliwe. Miej oczy otwarte.

- Ty też.

Pojawiły się doły na odpadki - potężne kratery wydrążone w podziemiach. W korytarzach kamienna cegła ustąpiła miejsca naturalnej skale, a po bokach co rusz pojawiały się obszerne nyże wypełnione stertami odpadków. Były to głównie części droidów oraz masa innych, nierozpoznawalnych resztek. Norra pomyślała, że wiele z tych gratów musiał tu zmagazynować jej syn.

Przystanęli obok jednego takiego miejsca. Rozejrzała się. Kopnęła przed siebie kamień. Poleciał i odbił się od czegoś, co wyglądało jak na wpół stopione ramię droida protokolarnego. Inne części ze szczękiem i grzechotem osunęły się ze stosu, tworząc małą lawinę, nagłośnioną metalicznym echem. Temmin przyskoczył do matki.

- Lepiej nie hałasujmy - ostrzegł.

- Przecież jesteśmy tu sami.

- Oby tak było.

Norra wzniosła oczy do sufitu.

- A gdzie się podziali ci dwoje? - Pan Bones stał o parę metrów od nich, nucąc swoją mrużankę i piastując w objęciach skrzynkę z detonatorami. Ale Sinjira i Jas nie było widać.

- Zostali z tyłu. Chyba się zagadali. Widzę światło ich droida - powiedział Temmin.

- Hm. - Zmarszczyła brwi. - Temmin, ufasz Sinjirowi?

- Nie wiem. Czemu pytasz?

- Pracował dla Imperium. Zawodowo dręczył ludzi.
- Ufasz łowczyni nagród, a imperialnemu nie?

Wzruszyła ramionami.

- Łowcy nagród mają swoje zasady. Pracują dla zapłaty i ta misja ma jej dać dużo pieniędzy. W tym sensie jej ufam.

- Ale Sinjirowi nie bardzo.
- No... nie wiem. Chciałabym mu zaufać.
- Na razie bardzo nam pomaga.
- Owszem.
- Na razie nie wpakował nas w żadne gówno.
- Wyrażaj się!
- Przepraszam.
- Ale masz rację. Co nie znaczy, że nie idziemy prosto w

jakąś pułapkę.

Temmin lekko zeszytywniał i rozejrzał się odruchowo. Pojęła, że dała mu powód do zmartwień.

- Oni nie są naszą rodziną - powiedział. - A my jesteśmy.
- Jesteśmy rodziną. I jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

- Taa... - Wypchnął policzek językiem i niedbale trącił butem kamyk. - Mamo, chcę cię przeprosić.

- Za co?

Zawahał się na moment.

- Za to... że zachowałem się wobec ciebie jak dupek. To nie było w porządku. Ja... - Nozdrza mu zadrgały, kiedy wziął głęboki oddech. - Brakowało mi ciebie. I taty. Byłem wściekły, że mnie zostawiłaś, i jeszcze bardziej wściekły, że mogłaś zginąć i... że nie jestem taki jak ty. Nie mam

twojej... odwagi. Nie potrafiłbym tak jak ty oddać się całym sercem Nowej Republice. Jestem...

Norra otoczyła go ramieniem.

- W porządku, Tem. Jesteś jeszcze dzieckiem. I tak masz mnóstwo problemów, więc tym się przynajmniej nie zamartwiaj. Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Poczuła miękkie trzepotanie w piersi. Zawsze wiedziała, że Temmin ją kocha. Ale co innego jest to usłyszeć.

- Robimy postój? - zawołała z daleka Jas.

- Nie - odparła Norra. - Po prostu czekamy na was.

Szli dalej.

„Czas na małe śledztwo” - uznał Sinjir.

Mijali kolejne wysypiska, zmierzając w kierunku nieczynnej fabryki droidów, jak wskazywała mapa. Albo raczej do jej wejścia. Temmin mówił, że na szczęście tylko przejdą obok niego.

Kiedy szli wzdłuż ściany porośniętej świecącymi grzybami, których śliską, gąbczastą warstwę czuli nawet pod stopami, Sinjir zrównał się z Temminem i jego bojowym droidem typu B1, Panem Bonesem.

- Ten twój droid to nie byle co - zagadnął.

Temmin zerknął na niego nieufnie.

- Taa, wiem.

- Znalazłeś go tutaj?

- Ehe. W jednym w tych szybów na śmieci.

Droid sunął obok nich, nucąc cicho (no, nie aż tak cicho) jedną z tych swoich dziwnych piosenek: „Duu dii duu duu baa baa baa duu duu”.

- Z pewnością nie jest już standardowym produktem - zauważył Sinjir. - Dokonałeś różnych modyfikacji.

- Z pewnością, Darthu Mentorze. A może Imperatorze Palpatine? Zaraz zaczniesz mi tłumaczyć, który koniec blastera robi bum-bum albo dlaczego nie nadają się do szkoły walki Wookiee'ech.

- Nie przegadasz mnie, młody, więc nawet nie próbuj. Po prostu jestem ciekaw, jak zaprogramowałeś tego droida, że jest... właśnie taki. - Gestem pokazał na Pana Bonesa, który właśnie przestał śpiewać i zrobił wykop jak w kankanie.

Temmin westchnął, jakby takie pytania go nużyły i musiał się zmuszać do odpowiedzi.

- Bones został napompowany wysokooktanową mieszanką różnych rzeczy. Samouczący się program bojowy walki dla droidów, holowidy instruktażowe różnych sztuk walki, strategie pewnego generała, cyborga z wojen klonów oraz interaktywny zapis układów choreograficznych tancerek la-ley z Ryloth.

Tancerki. To by wyjaśniało niektóre zachowania, jak nagłe, wdzięczne ruchy droida, ale także nucenie i śpiewanie.

- Niezłe - przyznał Sinjir.
- Też tak sędzę.
- I co jeszcze?
- Nie pytaj. Dalej wiem tyle co ty.

Ta odpowiedź była prawdziwa. Nie wydawało się, żeby Temmin kłamał, ale chłopak był wyjątkowo bystry i uzdolniony i wiele można się było po nim spodziewać.

- Czy jest tu coś, o czym nie chciałabyś, żebyśmy wiedzieli, Temmin?

- Co? Oskarżasz mnie o coś?
- Po prostu chcę, abyś wiedział, że nie zamierzamy... splądrować twoich skarbców.

- Nie mam żadnych skarbców, które można by splądrować!
Sinjir westchnął.

- Myślałem, że może nie życzysz sobie, żebyśmy odkryli skarby fabryki droidów przed tobą. Skoro się myliłem, musi być coś jeszcze.

- Niby co?

- Ukrywasz coś, Temmin. Wyczuwam to.

fest! Ma go. Wyraz twarzy chłopaka zmienił się na ułamek sekundy - jedno drgnienie, jakby zafalował hologram -znak, że Sinjir miał rację. Temmin coś ukrywa.

- Ja... Nie...

Idąca przodem Jas pokazała na bok.

- Tam jest fabryka.

- Ciąg dalszy nastąpi - rzucił Sinjir do Temmina i obaj pod biegli na czoło, z droidem świetlnym depczącym im po piętach.

Zobaczyli nowy korytarz. Wejście do fabryki droidów ziało w skale jak wielka paszcza, obramowana metalowymi łukami. Strzegły go dwie budki wartownicze. Stary, skorodowany napis głosił: „Popieraj Konfederację Niezależnych Systemów!” A inny: „Kupuj droidy od separatystów!” Trzeci zwisał z samej góry, ukośsem, gdyż z jednej strony śruby puściły - „Walka z republikańską dyktaturą”. Część liter była tak zardzewiała, że ledwo można było je odczytać.

- To pochodzi z czasów, kiedy separatyści wszczęli walki na Zewnętrznych Rubieżach w późnym okresie wojen klonów - powiedziała Norra.

- Jak oni wypuszczali stąd droidy? - zainteresowała się Jas.

- Bo chyba nie maszerowały przez te... kanały ściekowe?

Temmin nerwowo przestąpił z nogi na nogę, co nie uszło uwagi Sinjira.

- Używali teleskopowej platformy - wyjaśnił chłopak. - Wysyłali droidy na górę partiami, a stamtąd zabierały je statki. To wszystko zostało potem zniszczone i zapieczętowane.

Przez chwilę myślałem nawet, czy nie moglibyśmy opuścić się z góry tutaj, ale zniszczenia są zbyt duże. - Podrapał się w głowę. - Czy możemy iść? To miejsce przyprawia mnie o dreszcze.

Jedną z najprostszych technik wydobycia prawdy polega na tym, że badanego - Sinjira odruchowo użył w głowie słowa „ofiarę”, ale skarcił się za to, ponieważ pragnął raz na zawsze zepchnąć ten sposób myślenia do czarnej dziury swojej przeszłości - trzeba zdestabilizować. Wytrącić z równowagi. Wtedy zaczną popełniać błędy. Powie coś, czego nie zamierzał powiedzieć. I taki był plan Sinjira w tej chwili.

Schylił się po kamień.

- Tu nie ma duchów - powiedział. - Zobacz.

Zamachnął się i rzucił w bramę. Kamień z hukiem odbił się od jednej z budek. Posypały się inne kamienie i kawały rdzy.

- Nie rób tego! - zawołał Temmin.

- Nie ma się czego bać, fabryka nie jest...

Wewnątrz, w najgłębszych trzewiach fabryki coś zawyło.

Dźwięk był raczej mechaniczny. Nie ludzki. Ale i nie droi-dowy.

- Brama - szepnęła Jas. - To miejsce powinno być zamknięte.

- Powinno - powiedziała Norra. - Ale wszystko jest otwarte.

Kolejne, przeciągłe wycie. I trzecie, już bliżej.

- Mam złe przeczucia - powiedział Pan Bones.

- Musimy iść - powiedział Temmin.

We wnętrzu nieczynnej fabryki nagle dało się słyszeć szcęknięcie. Metalu o metal. Jak kroki. Zmierzające ku nim. Coraz szybsze.

- Chodu! - wrzasnął Sinjir.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Czerwone nozdrza falowały. Ze świstem wciągały powietrze. Ackbar tęsknił za wodą. Miał tu niewielkie akwarium - uzdrawiający zbiornik bacta, zasilany wodą o stopniu zasolenia i poziomie pH odpowiadającym warunkom na jego rodzinnej planecie, Kałamarze. Czasami wchodził do niego i... po prostu unosił się nieruchomo w wodzie. Ale ostatnio miał na to coraz mniej czasu.

Może kiedyś. Lecz nie dzisiaj.

Wiadomość od kapitana Antillesa odtwarzała się wciąż na nowo w jego głowie. Została przesłana na częstotliwości Imperium. Ackbar nie odebrał jej osobiście, ale szybko mu ją pokazano. Wedge wyglądał fatalnie; był wyczerpany i zmaltretowany, zapewne ranny. Zanim zemdlął i transmisja się urwała, zdążył przekazać niewiele. Za mało. „Imperialna narada na szczycie. Blokada... na Akivie. Myrra... pałac. Jak najszybciej...”

Na tym się urwało.

Admirał powiedział reszcie - Agate, Madine'owi, Mon Mothmie i chorążemu Delturze - że Antilles miał rację. I rozpoczął swój rozkaz ostatnimi słowami kapitana:

- Jak najszybciej przygotować małą flotę, ale mieć duże statki w pogotowiu, zatankowane i w pełni uzbrojone. Agate, ty poprowadzisz atak. Bądź przygotowana na wszystko. Jeśli to Imperium, nie podda się łatwo. I trzeba pamiętać, że oni zawsze usiłują nas zrobić tak, żebyśmy działali po ich myśli.

Jakby ktoś odwrócił piramidę do dołu i postawił ci na plecach. Koszmarny punktowy nacisk. Ostry czubek, wrzynający się pomiędzy łopatki. Piramida zbudowana z cegieł samoobwiniania się. Okropne, dręczące brzemie.

Tak się czuła Sloane.

Inni reagowali paniką i wściekłością albo usiłowali wykorzystać okazję - jak Pandion, który pragnął ją do reszty pogrążyć. Shale katastroficznie wieszczyła, że jeśli się teraz nie poddadzą, wszyscy zginą. Tashu co chwila raczył ich mądrościami ciemnej strony Mocy, cytując na zmianę to Palpatinea, to księgi Sithów, w przekonaniu, że tylko one mogą im wskazać drogę ratunku. Crasus chciał kupić dla nich wolność, wymachując mityczną sakiewką, która ma uratować Imperium przed opresją Nowej Republiki.

„Życzę powodzenia” - pomyślała zgryźliwie Rae.

Tylko satrapa wreszcie się uspokoił. Siedział w kącie z pochyloną głową. Wyrok na niego był już podpisany. Wiedział, że Imperium pozostawi go na pastwę losu. Zostanie w mieście, którego mieszkańcy tylko marzą, żeby wbić jego głowę na pikę i obnosić ją po ulicach.

W drugim kącie jadalni - w której w tych trudnych momentach zgromadzili się wszyscy, porzucając swoje kwatery czy salę obrad - stała Adea z nogą w piankowym usztywniaczu, który za-

łożył jej medyczny droid. Rae pomyślała: „Muszę trzymać ją przy sobie. Okazała się twardsza niż większość tych mięczaków ze świecznika Imperium”.

Rae podeszła do asystentki, z ulgą porzucając towarzystwo.

- Co z jachtem? - spytała cicho.

- Musiał się zatrzymać na tankowanie w sąsiednim systemie, ale jest już w nadprzestrzeni. Ma wylądować za godzinę.

Rae spięła się jeszcze bardziej.

- To później, niż się spodziewaliśmy. Nie wiem, czy do tego czasu zdołam utrzymać w ryzach te bestie. - „Bo wreszcie polecą moja głowa”. - Czy jest możliwe, że Crassus potajemnie opóźnia jego przylot?

- Możliwe, ale nie rozumiem, dlaczego miałyby to robić. Przecież sam chce się stąd jak najszybciej wydostać. Po prostu chodzi o to, że te wielkie, wypasione krypy... - Adea poruszyła chorą nogą i skrzywiła się z bólu. - Chleją paliwo jakby to były darmowe drinki w barze na Gwieździe Śmierci -dokończyła. Sloane spędziła w tym barze wiele wieczorów, popijając z kolegami. Wspomnienie tamtych czasów wywołało ukłucie nostalgii.

Rae wróciła do stołu i powiedziała, podnosząc głos, żeby ich przekrzyczeć:

- Shale, kiedy możemy się spodziewać rebelianckiej floty?

Starsza kobieta przygryzła usta i zmarszczyła czoło.

- Trudno powiedzieć, pani admirał. Pewnie niedługo ktoś tu się zjawi. Można oczekiwać całkiem licznej floty. Jeśli są nastawieni agresywnie, będą za godzinę. Za trzy, jeśli wybiorą ostrożność.

„Cholernie mało czasu”

- W takim razie czas wezwać nasze gwiazdne krążowniki. Nasz podstęp nie ma już sensu - powiedziała Rae.

Shale zaprotestowała:

- Pani admirał, jeśli je tu ściągniemy, nie będzie gwarancji, że nasze trzy niszczyciele przeżyją bitwę...

- Cenię ostrożność, ale nie tchórzostwo. Jakkolwiek nasz pułk myśliwców został trochę uszczuplony, nadal dysponujemy siłą zdolną zniszczyć flotę rebeliantów. Zwłaszcza że jesteśmy w gotowości bitewnej. Nie chcę, żeby w momencie ucieczki jakiś rebeliancki zbój wyskoczył z nadprzestrzeni przed samym naszym nosem. - Odwróciła się do Adei. - Wezwij je. Już!

- Tak jest, pani admirał. - Asystentka przykuśtykała do niej. - Ma pani połączenie - dodała ciszej.

Kto? - wymówiła bezgłośnie Sloane.

Adea dyskretnie podsunęła jej ekran, aby inni go nie widzieli.

Rae znała tę twarz, choć nie miała dotąd okazji poznać osobiście jej właściciela.

Sullustański gangster, Surat Nuat.

Czego mógł chcieć?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Czas, taktowany naciśnięciami spustu, płynął nieubłaganie. Jas, klęcząc, celowała w zbliżającą się hordę, osłaniając ucieczkę tamtych. Przez celownik widziała, jak droidy wylewają się z bramy fabryki.

Chrzęst skorodowanego metalu. Nogi jak tłoki. Pogieęte płyty piersiowe. Długie, tykowane, wielostawowe członki. „Droidy - myślała. - Szalone, dzikie droidy. Składaki, każdy inny. Płonące oczy. Mechaniczne wycia”.

Parły przed siebie korytarzem. Były już kilkadziesiąt metrów od niej. Bestie żądne łupu, jak dzikowilki z Endora. Biegły na czworakach, roily się po ścianach. Śmigwały po suńcie jak pająki.

Bum. Bum. Bum.

Jej broń pluła ogniem.

Padaly jeden po drugim. Odstrzelila nogi biegnacemu na czelę, aż upadł z hukiem. Posypaly się iskry, kiedy kula przebiła metalową czaszkę kolejnego droida, który padając, podciał nogi innym. Droidy skłębiły się przez moment, skrzeczając i jazgocząc. Znów wystrzelila i oderwana głowa z głośnym hukiem odbila się od ściany.

Wtedy dopiero zobaczyła.

To nie były droidy. To było coś jeszcze. Jakies stwory. Czarnookie, beznose. W otwartych ustach jeżyły się ostre igły zębów. Któryś z nich zgubił płytę piersiową, ale szybko podniósł ją z ziemi, przymocował sobie na nowo i pobiegł dalej.

Dwadzieścia pięć metrów.

Bum.

Dwadzieścia. Osiemnaście.

Blżej, coraz blżej.

„Za duzo ich jest” - pomyslała.

A z fabryki wybiegają kolejne. Całe cholerne plemię. Rój.
Ale ma jeszcze amunicję. Wytrzyma.

W tym momencie głos ciotki Sugi szepnął jej do ucha:

„Musisz widzieć, kiedy się wycofać, dziecko”.

Tę samą radę ciotki Jas przypomniała sobie parę tygodni temu i posłuchała jej, choć nie była pewna, czy Sugi dokładnie o to chodziło. Uciekła ze swojej rodzinnej planety. Iridonia. Straszne miejsce. Brutalne, które nigdy nie wybacza.

Piętnaście metrów.

Oba jej serca były unisono w tempie, w jakim pociągała spust.

Dwanaście metrów.

Bum.

Wyły, skrzeczały, roily się.

Jas poczuła czyjaś dłoń na ramieniu i usłyszała głos - głuchy, stłumiony dzwonieniem w jej uszach. To był chłopak.

- Musimy uciekać - powiedział. - Za duzo ich jest.

- Dam radę! - krzyknęła.

„Musisz widzieć, kiedy się wycofać, dziecko”.

Czas uciekać.

„W pewnym sensie plotki były prawdziwe” - uświadomił sobie Temmin. To, co wyroilo się z nieczynnej fabryki droidów, nie było duchami. Tam nie straszły duchy czy widma Mocy.

Ani stare, zdezelowane, rozstrojone droidy.

To byli Ugteenowie.

Kiedy zawrócił, żeby ściągnąć Jas, zobaczył je z bliska i przekonał się, że to, co brali za droidy, było w rzeczywistości Ugteenami wykorzystującymi części droidów jako pancerze i broń. Te blade, okrutne stwory - humanitarne, którym jednak bli-

żej było do potworów - normalnie zamieszkiwały dżungle i kaniony. Czasami jednak znajdowały sobie jaskinie i tam żyły. Ale podziemny labirynt pod Myrrą nie był jaskinią.

Był ogromnym systemem jaskiń. I możliwe, że miał połączenie z innymi okolicami - na przykład z kanionem Akar, a może nawet z południowym wybrzeżem. Ta horda musiała tutaj mieszkać już od dłuższego czasu. Ale to nieważne. Teraz najważniejsze jest, jak przeżyć atak bestii, które są coraz bliżej.

Jas nagle skierowała broń w górę i strzeliła w zrujnowaną kamienną przyporę sterczącą nad korytarzem. Jeden strzał -i przypora pękła. Pojawiły się szczeliny. Drugi strzał - powiększyły się. Ale horda była już bardzo blisko. Parła przed siebie, wyjąc i miotając się jak ludzie w płomieniach. Temmin znów próbował odciągnąć Jas...

Zdażyła wystrzelić ostatni raz. Przypora oderwała się z hukiem, a z sufitu chlusnęła woda. Masa kamienia przygniotła pierwsze szeregi potworów.

I zatrzymała je.

Na chwilę.

Jas i Temmin zerwali się do biegu. Skręcili za róg i korytarz zaczął się wznosić. Temmin wiedział, że są niedaleko Dzielnicy Królewskiej. Stąd do pałacu satrapy było pół godziny marszu.

Przed nimi Pan Bones zatrzymał się nagle i postawił na ziemi skrzynkę z detonatorami. Noga astromecha zawirowała jak szalona. Machnął gwałtownie drugą ręką, uwalniając wibrostrze. Teraz droid wydawał takie same dźwięki jak Uugteenowie - na zmianę wył groźnie, warczał i charkotał, jakby zaciął mu się mechanizm.

Temmin krzyknął do niego, żeby biegł dalej.

Ale sam zaprogramował Pana Bonesa, żeby go bronił. Ten program był dla droida nadrzędny. Zostały w nim zakodowane wierność, poświęcenie i szaleństwo.

Uugteenowie pokonali przeszkodę i znów się zbliżali.

Temmin słyszał, jak matka go woła. Gorączkowo usiłował zmusić droida, żeby się ruszył - nawet szarpnął go za ramię -ale Pan Bones uparcie trwał w miejscu.

Chłopiec spojrzał w dół, pod jego nogi, gdzie stała skrzynka z detonatorami.

- Mam pomysł! - krzyknął do robota.

Wyszarpnął jeden z detonatorów ze skrzynki. Tylko jeden. Otworzył go, spiął obwód i wrzucił z powrotem do skrzynki.

- Uciekać! Wszyscy uciekać!

Sam wyrwał przed siebie ile siły w nogach, w biegu machając do innych, żeby przyspieszyli. Bones pędził za nim. Metalowe stopy droida łomotały na ceglanej podłodze korytarza. Pan Bones wydarł się na cały głos:

- Wszystko zrobi bum!

Sześć sekund. Uugteenowie gonią.

Pięć sekund. Norra pogania syna i resztę.

Cztery sekundy. Monstra przebrane za droidy coraz bliżej skrzyni.

Trzy sekundy. Jas obraca się i strzela ponad ramieniem Temmina.

Dwie sekundy. Bones chichocze.

Jedna sekunda. Temmin rzuca się na ziemię i...

Uniósł głowę znad chodnika. Puls dudnił mu w uszach jak silnik skutera na jałowym biegu. Temmin podparł się na łokciach. Kurz i skalne odłamki posypały mu się z włosów. Spojrzał w górę w momencie, kiedy Jas jednym susem skoczyła przed siebie i dźgnęła lufą karabinu w płytę piersiową Uugteena - twarz droida

protokolarnego pomalowaną czymś, co przypominało krew, z postrzępionym rozcięciem zamiast ust, które wyglądało jak upiorna paszcza. Potwór zatoczył się do tyłu i upadł. Pan Bones przyskoczył i zaczął deptać po nim zajadle.

„Plan nie wypali - pomyślał Temmin. - Nic z tego”.

Oparł się plecami o ścianę i próbował się pozbierać. Jas podała mu rękę i pomogła wstać. Dwóch Uugteenów leżało na postrzaskanym chodniku, zasypanym odłamkami. Korytarz się zawalił.

- Niedobitki - powiedziała Jas, wskazując na zwłoki. Z bliska widać było bladą skórę przezierającą w łączeniach pancerza niczym ciało krylkraba, kiedy się go odwróci, żeby wyjeść mięso.
- Wszystko w porządku?

Temmin w milczeniu kiwnął głową.

- To był świetny pomysł - pochwaliła Jas i odskoczyła na bok, żeby przepuścić Norrę, która biegła do syna, by chwycić go w ramiona.

- Tak, świetny pomysł - przyznała Norra, całując Temmina w czoło.

„Chociaż jestem taki brudny” - pomyślał mimo woli.

Takie właśnie są mamy.

- Dzięki - powiedział, prawie nie słysząc własnych słów poprzez pisk w uszach i pulsowanie, które dudniło jak ulewa o pustą metalową beczkę.

Sinjir wstał, otrzepując mundur imperialnego oficera.

- Proponuję, żebyśmy jeszcze nie otwierali skrzynki z musującym napojem - powiedział. - Raczcie pamiętać, że Temmin zdetonował nasz klucz do pałacu satrapy.

„Tak - pomyślał Temmin. - Teraz będziemy musieli wracać naokoło. I wszystko znów będzie dobrze”.

- Nie możemy się wycofać - powiedziała Jas.

- Przecież już po wszystkim. - Temmin wzruszył ramionami, starając się ukryć zadowolenie. - To... korytarze się zawaliły. Znajdziemy inną drogę na powierzchnię i...

Sinjir uniósł głowę.

- Drogę na powierzchnię? Znajdziesz taką?

- Absopierdolutnie! - zapewnił Temmin.

- Wyrażaj się - upomniała go matka.

- Przepraszam. Dobra, zaczekajcie chwilę. - Rozłożył mapę. Serce waliło mu w piersi z szybkością kilometra na minutę. Teraz myślał już tylko o znalezieniu drogi. - Tutaj. Blisko. - Pokazał palcem. - Pięć minut i znajdziemy się w tym miejscu. Korytarz powinien doprowadzić nas pod dawny budynek banku.

- Nie nas - powiedział Sinjir. - Mnie.

Odpowiedziały mu pytające spojrzenia.

- Jestem odpowiednio ubrany - stwierdził, rozkładając ręce, żeby zademonstrować mundur. - Wyjdę i skontaktuję się z imperialnymi w pałacu. Powinienem bez problemu znaleźć częstotliwość, gdyż... och, nie ma co ukrywać, miałem certyfikat dostępu do ściśle tajnych informacji. I załatwię, żeby otworzyli nam drzwi.

Jas zmarszczyła brwi.

- Jak zamierzasz to zrobić?

- To jest najbardziej błyskotliwa część mojego pomysłu. Powiem im, że tunele to jedyna bezpieczna droga ucieczki z pałacu.

INTERLUDIUM

TATOOINE

Jawowie śmierdzieli.

Tego Adwin Charu się nie spodziewał. Przeważająca część tej planety pachniała po prostu gorącym piaskiem -jak wnętrze glinianego piekarnika jego mamy, zanim wsunęła do niego ciasto. Jak każde pieczenie. Ale kiedy wszedł do piaskoczołgu, odór uderzył go jak obuchem. Piżmowy, zwierzęcy smród. Tak nieznośny, że zaczął się zastanawiać, czy taki Jawa nie jest przypadkiem bandą mokrych szczurów, które zawiadują od środka brązową szatą, ukryte pod nią i pod czarną zasłoną twarzy.

Szwargotali i syczeli na niego, więc powtórzył to, co klarował im od pół godziny:

- Nic z tego nie chcę. To jest... - rozłożył ramiona, szerokim gestem ogarniając leżące przed nim w półmroku rupiecie - ...nic niewarte dla mnie i mojej firmy. Potrzebuję czegoś naprawdę dobrego. Ostatnie dwa słowa wymówił

głośno, jakby rozmawiał z niedosłyszającymi. Zresztą niepotrzebnie, bo uparte małe bestie zdawały się go nie słuchać albo po prostu im na nim nie zależało. Wciskali chłam naiwniakom, ale każdy piaskoczołg miał też ukryty skład prawdziwych rarytasów, które udostępniali wybrańcom.

Adwin miał interes na tej planecie. I nie wyobrażał sobie, że miałby wrócić do swojego szefa z naręczem bezwartościowych gratów.

Jawowie zaczęli cmokać i szeptać.

- Potrzebuję droidów, broni i narzędzi górniczych. Wiem, że te piaskoczołgi są dawnymi pojazdami z kopalni. Ukradliście je. Powinniście...

Ktoś odchrząknął za jego plecami.

Adwin obejrzał się i zobaczył, że stoi za nim jakiś mężczyzna. Kanciasta postać. Skóra wysmagana wiatrem i słońcem. Bystre spojrzenie. Rozbawiony uśmiech.

- Hej, witam - powiedział.

- Uhum - mruknął Adwin. - Miło mi, ale wybacz, jestem zajęty. - I dodał z irytacją: - Mam nadzieję, że wreszcie dobiję targu, o ile zdołam się z nimi dogadać.

- Nie jesteś stąd, prawda? - powiedział nieznajomy, uśmiechając się ciągle, jakby wiedział coś więcej. Wkroczył do ciemnego wnętrza, otrzepując z piachu długą kurtkę. - Nietutejszy.

- Zgadza się. Skąd wiesz?

Mężczyzna zaśmiał się - głęboko, chrapliwie.

- Przede wszystkim jesteś za czysty. Gdybyś pobył tu trochę dłużej, miałbyś pył wszędzie, nawet pod paznokciami czy w nosie. I zapiaszczone buty. Poza tym nie masz pojęcia, jak postępować z Jawami. Te małe ścierwojady działają na zasadzie znajomości. Rozumiesz: kupisz teraz coś małego, potem wrócisz, kupisz coś większego, i tak dalej. Aż wreszcie, po kilkunastu takich wizytach, po trochu zaczniesz poznawać ich prawdziwą ofertę. Prawdziwe cuda.

Adwin zrobił minę. Nie miał cierpliwości do takich podchodów.

- Niestety, czas mi na to nie pozwala. Ani mój szef. - Westchnął. Nie miał tu czego szukać. - Może będę miał więcej szczęścia w... jak się nazywa to miasto nieopodal?

- Mos Pelgo.

- No właśnie. Tam, albo w Espie.

Adwin znów westchnął i ruszył do drzwi. Chciał się przecisnąć obok mężczyzny, ale ten wystawił płasko dłoń. Nie dotknął go, ale zablokował mu przejście.

- Zaraz, przyjacielu. Tak się dobrze składa, że mając czas, nawiązałem dobre stosunki z tymi maluchami. Z przyjemnością mogę ci użyczyć swoich chodów.

Adwin nieufnie zmrużył oczy.

- Serio?

- Jak najbardziej.

- Ale dlaczego miałbyś to robić? - Podejrzliwość ściągnęła rysy Adwina w niepewny grymas. - Jaka jest twoja cena?

Mężczyzna znów się roześmiał.

- Jaka znowu cena? Po prostu gościnnie.

Nie miał pojęcia, że na tej farmerskiej planecie mieszkają aż takie naiwne buraki. Ale to dobrze. Okazja sama pchała mu się w ręce. Adwin chętnie wykorzystywał naiwność innych.

- Świetnie, znakomicie. Bardzo dziękuję panu... przepraszam, z kim mam przyjemność?

- Cobb Vanth.

- Panie Vanth...

- Cobb.

- Ach. Cobb. W takim razie możemy?

Mężczyzna zrobił krok w stronę Jawów, skrobiąc się w zarosnięty podbródek. Zaszwargotali do niego w swojej szczurzej mowie i odpowiedział:

- No tak, wiem, ale jestem przy forsie i on też. - Odwrócił się na moment do Adwina i puścił do niego oko. Jawowie szeptali i mamrotali. - W porządku - dodał.

- Idziemy.

Cobb dał znak Adwinowi i ruszyli na tył pojazdu za parą małych, zakapturzonych postaci. W głębi, obok postawionego od góry nogami droida zasilającego, znajdowały się drugie drzwi. Otworzyły się z syknięciem i kiedy weszli, zamknęły się za nimi. Włączyły się światła. Były jaśniejsze niż w pierwszym pomieszczeniu. I rzeczywiście trzymano tu skarby.

Droid protokolarny. Para astromechów. Stojak z bronią, głównie imperialną. Pod przeciwległą ścianą - kolekcja paneli z

czegoś, co mogło być huttańską barką żaglową, oraz jeszcze parę huttańskich artefaktów. Niektóre były osmolone i poskręcane. To musiało pochodzić z wraku.

- Idealnie, idealnie.

Adwin z uciechy klasnął w ręce. Od razu podszedł do półek i zaczął przeglądać pudła, pudełka i druczane kosze. Cobb też się rozglądał. Adwin prawie zapomniał o jego istnieniu.

Nagle Cobb powiedział:

- Jesteś z tej nowej kompanii górniczej.

Adwin obrócił się ku niemu.

- Co? A, tak.

- Kompania Czerwony Klucz, tak?

- Tak. Skąd wiesz?

- Słyszysz się różne rzeczy. Wiem, że czasy się zmieniają. Nie tylko w galaktyce, ale także tutaj, u nas. Huttowie nadal nie mogą się zdecydować, kto ma zasiąść na tronie po Jabbie -o ile można nazwać tronem ten wielki blat. Wydaje się, że na Tatooine idzie nowe.

- Tak, mamy nadzieję - odparł z roztargnieniem Adwin, słuchając tego gadania jednym uchem. Był niezmiernie wdzięczny Cobbowi, że go tu wprowadził, ale teraz wolałby zostać sam.

Nagle zobaczył na podłodze szerokie, długie pudło. Pochylił się nad nim, ściągnął okrywający je łachman i...

Ożeż!

Wyjął z pudła hełm. Był pełen drobnych wgłębień i wżerów, jakby ktoś moczył go w kwasie. Ale i tak był imponujący. Adwin zabębnił w niego palcami. Ci Mandalorianie znają się robieniu zbroi.

- Popatrz - powiedział do Cobba, unosząc hełm. - Mandalo-riański rysz tunek bojowy. Całe pudło. Chyba komplet. Musiał przejść przez piekło. Myślę, że mój szef będzie zachwycony.

- A ja myślę, że zabiorę go sobie do domu - odparł błyskawicznie Cobb.

- Myślę, że nie.

Adwin obrócił się ku niemu z hełmem pod pachą. Blaster u pasa zaciążył mu nagle, jakby zapragnął, żeby wyciągnął go z kabury. Dziwne uczucie. Adwin miał wrażenie, jakby zaczął mu się udzielać duch tej planety. Nigdy przedtem nie strzelał do człowieka.

Może dziś jest ten dzień. Ta myśl była osobliwie ekscytująca. Cobb z uśmiechem skrzyżował ramiona nie piersi.

- Nie zrobisz z tego użytku, urzędniku. Ja to co innego. Jako nowo mianowany stróż prawa...

- Chyba samozwańczy - przerwał mu Adwin.

Cobb zdawał się go nie słyszeć.

- Jako stróż prawa będę potrzebował ochrony przed tymi skorumpowanymi typami, którzy myślą, że mogą się nachapać na mojej planecie. Ten pancerz jest mój.

Adwin uśmiechnął się wzgardliwie i kciukiem odchylił połą tuniki, ukazując blaster.

- Cobb...

- Dla ciebie szeryf Vance.

- Och. - Adwin zaczął się śmiać. - Szeryfie, z niechęcią sięgam po ten blaster, ale...

Ręka Cobba Vance'a w ułamku sekundy śmignęła w górę z jego własnym Masterem i w prawym ramieniu Adwina pojawiła się rana na wylot - czyściutka, której nie trzeba było przyżęgać. Ramię zwisło bezwładnie wzdłuż boku. Hełm wypadł z drugiej

ręki i szczęknął o ziemię. Adwin zatoczył się na półkę, sparaliżowany bólem i strachem.

- Ty... Ty draniu...

- Och, przesadzasz. - Cobb wzruszył ramionami. - Nie jestem draniem. W każdym razie nie gorszym niż twój szef, ten weequajski wachacz gówna, Lorgan Movellan. Znam jego przekręty. I znam przekręty innych. Przestępcze syndykaty, z obawy, że Republika powróci i weźmie pod but te wszystkie szumowiny i pijawki wiecznie spragnione zysku, szukają nowej legitymizacji dla swoich poczynań. W momencie, kiedy Huttowie są zajęci walką o władzę, szajka pseudokompanii górniczych pod wodzą takich brutalni jak twój boss usiłuje wykorzystać sytuację i ugrać swoje. Idzie nowa fala kopalnianych baronów. Ale to nie przejdzie. Już ja o to zadbam. Ja i inni, podobni do mnie. Wprowadzający prawo w rejonach bezprawia. Zainaugurowałem swoją działalność, strzelając do ciebie i zabierając ci sprzed nosa zbroję.

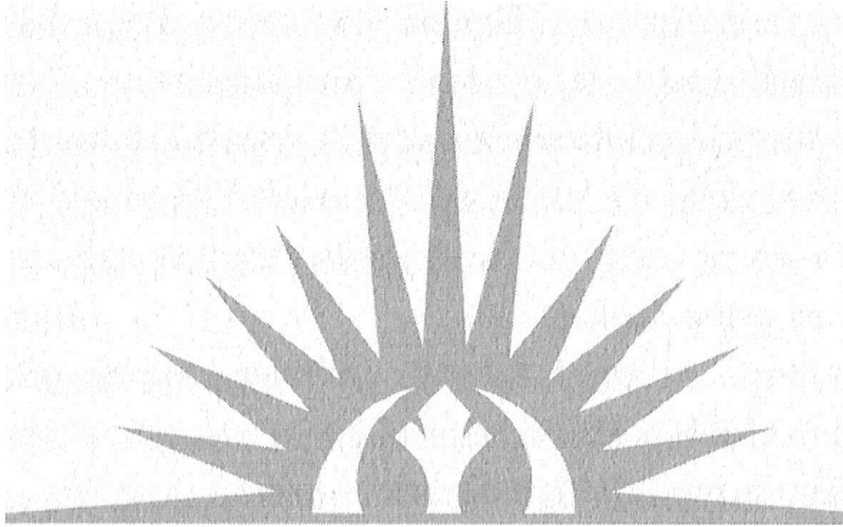
- Błagam, nie zabijaj mnie - załkał Adwin.

- Nie mam zamiaru. Zostawiam cię żywego, bo chcę, abyś poszedł do swojego bossa i powiedział mu, żeby pakował manatki i wiał przez nadprzestrzeń jak najdalej od tego sektora, jeśli nie chce, żebym osobiście złożył mu wizytę w moim nowym, to znaczy nowym dla mnie, mandaloriańskim rynsztunku.

- Powiem - szepnął Adwin, osuwając się na podłogę. Patrzył, jak Cobb podnosi pudło i zmierza z nim do wyjścia.

W progu odwrócił się i dodał:

- Następnym razem, kiedy zapragniesz udawać rewolwerowca, lepiej najpierw strzelaj, a potem gadaj. To na razie.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Łup.

Kamień trzasnął w hełm szturmowca. Hełm okręcił się i szturmowiec przestał cokolwiek widzieć. Jom Barell sprężył się przed mężczyzną w białym pancerzu i potężnym kopnięciem wytrącił mu broń z ręki. Blaster poleciał w jego kierunku. Jom złapał go zręcznie w locie.

I trzy razy wystrzelił w pierś wroga.

Ciało upadło na trzy inne leżące ciała szturmowców.

Złamana ręka komandosa zwisała bezwładnie.

„Nieźle jak na ptaszka z przetrąconym skrzydłem” - pomyślał.

Zaczął wchodzić po drabinie prowadzącej do wieżyczki turbolaseru typu ziemia-orbita. Okazało się to zadaniem trudniejszym, niż myślał. Musiał przyłgnąć do drabiny i przytrzymywać się tylko jedną, zdrową ręką. Blaster szturmowca zatknął z tyłu, za pas.

Ciężko mu szło.

Stękał i sapał.

Wreszcie, kiedy wydawało mu się, że minęła cała galaktyczna epoka, udało mu się wejść na górę. Otworzył właz i wsunął się do środka...

- Nie ruszaj się - powiedział głos.

Młody imperialny oficer artylerii w płaskiej czapce z daszkiem stał w kabinie i celował do niego z małego blastera. Dłoń drżała mu ledwo dostrzegalnie.

Jom westchnął. Tyle namęczył się z tą drabiną, a tu...

- Powoli! - rozkazał oficer, kiedy zaczął podnosić zdrową rękę w górę w geście poddania się.

- Obie ręce. - Oficerek miał młodą, nijaką twarz. Rumiane dziecinne policzki. Oczy przerażone jak u cielęcia, które ma iść pod nóż. Dzieciak stał tyłem do konsoli celowniczej. W górze, za szybą szklanej kopuły widać było bliźniacze lufy wycelowane w niebo.

- Druga jest złamana - wyjaśnił Jom.

- Powiedziałem... obie ręce w górę.

Jom burknął z irytacją. Cholerny bachor. Skrzywił się, kiedy podnosił złamaną rękę. Przeraźliwy ból przeszył mu barki i bok. Zagryzł zęby i zamrugał, spędzając łzy, które napłynęły mu do oczu.

- Już.

- Teraz... na kolana.

- Jesteś młody.

- C... co?

- Młody. Jak cielę whilki. Nie wiesz, co to są whilki? Widać, że nie wychowałeś się na farmie, jak ja. To takie długonogie stworzenia. Mięso mają nieco żylaste, ale dają dobre mleko i skóry wysokiej jakości. Ich małe są niezgrabnymi, niezbornymi

stworzonkami. Koślawymi i tępyimi jak łebki od śrubek. Ty jesteś właśnie takim cielęcim.

- Nie jestem - powiedział oficerek, robiąc ruch lufą Masterra.

- Akurat. Pozwól, że ci powiem, jak to jest. Wyższe szarże w większości poległy. Wielu z nich zginęło na Gwieździe Śmierci i w bitwach. Dlatego pula oficerów bardzo się zawężyła i składa się obecnie z chłoptysiów takich jak ty, bardzo młodych i niedoświadczonych, albo ze starych grzybów, których ściągnięto z emerytury, bo nie ma skąd brać ludzi.

- Nie jestem niedoświadczony.

- Zgoda, już nie, bo właśnie cię szkolę. Oto mój test dla ciebie: masz do wyboru uciec albo zginąć. Nie musisz się wstydzić, jeśli wybierzesz dezercję. Nie byłbyś pierwszym żołnierzem Imperium, który opuścił posterunek. Wielu z was wreszcie pojęło, że przegrywacie tę wojnę i nie ma sensu służyć rozpadowi. Więc jesteś w porządku. Możesz odejść i nigdy cię nie znajdą. - Jom przesunął się lekko w bok, żeby stopniowo obejść oficera i zbliżyć się do konsoli za jego plecami. - Idź - powiedział.

- Ale...

- Nikomu nic nie powiem, stary.

Oficer opuścił broń i zrobił pierwszy, niepewny krok. Poruszał się powoli i sztywno, jak ktoś, kto stąpa po kruchym lodzie jeziora i w każdej chwili może wpaść w czarną, lodowatą głębię.

„Idzie lepiej, niż się spodziewałem” - pomyślał Jom.

Wtem twarz młodego oficera zmieniła wyraz - przemknął po niej grymas strachu, ale tym razem odmienny. Ten strach był głębszy. Był to strach przed innymi sługami Imperium i tym, co mu zrobią, jeśli go złapią.

W tym momencie oficer podjął decyzję. Znow uniósł blaster, ale zanim zdążył wycelować, Jom już szarżował na niego jak byk.

Walnął w przeciwnika, zbijając go z nóg, aż ten rozpląszczył się na konsoli. Oficer na moment znieruchomiał, a potem osunął się na podłogę i tam skulił się z jękiem.

Jom wyjął mu z ręki pistolet blasterowy i wsadził sobie za pas, a potem podniósł młodzika i popchnął go w stronę metalowej wojskowej szafy stojącej pod ścianą.

- Szkoda, że tak wybrałeś, dzieciaku - powiedział, zamykając drzwi. Więzień w środku krzyczał i łkał rozpaczliwie.

Jom skrzywił się i usiadł przy konsoli.

Spojrzał na radar i zobaczył jeden statek.

Przylatujący.

Namierzył go i kaskada danych zalała ekran. Jacht. Ryuni--Tantine Vita-Liner. Ładna zabawka, choć już trochę wiekowa. Dla galaktycznych nababów. Gości, których Jom i jego koledzy nazywali „atmo-sferą”, gdyż w jego świecie, na Jutnarze, najbogatsi z bogatych mieszkali wysoko w niebie w swoich powietrznych rezydencjach, podczas gdy reszta w dole harowała na farmach albo tłoczyła się w brudnych, ciasnych miastach. Ten jacht pochodził z czasów wojen klonów, kiedy pompa i przepych były jeszcze większe niż dzisiaj.

Trajektoria lotu wskazywała, że statek zmierza do pałacu.

Jom sprawdził jego status, ponieważ jacht bez przeszkód przeleciał przez blokadę. Tak jak się spodziewał, kod był imperialny.

Jednostka należała do Imperium.

Jom zachichotał i uaktywnił działa, a potem ręcznie nakierował je na cel - jacht opadający powoli przez chmury. Burta na moment zalśniła w słońcu niczym płynny ogień. Jom radośnie wyszczerzył zęby.

- Pa, pa, stateczku.

Pociągnął bliźniacze spusty.

Nic się nie stało.

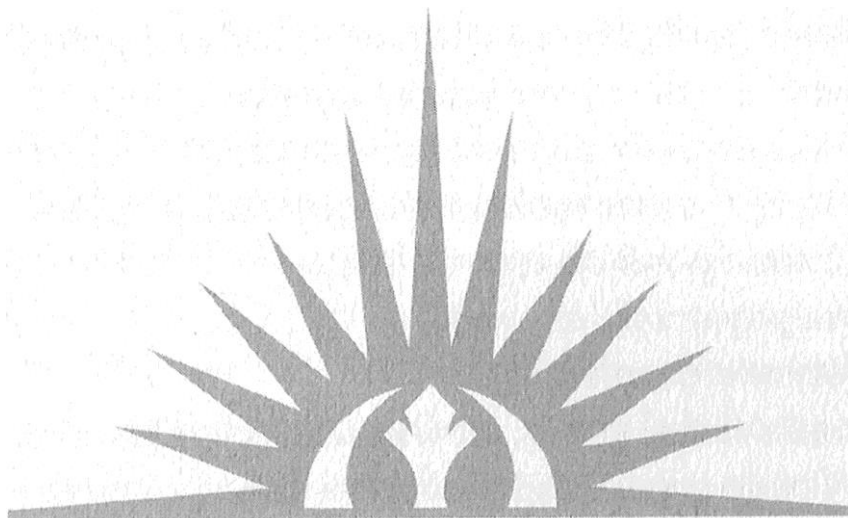
Znów spróbował. Klik, klik, klik.

Nic.

- Niech to szlag! - wrzasnął.

Ciężar oficera, walący się na konsolę, musiał coś uszkodzić. Bezsilnie przyglądał się, jak jacht zmierza ku pałacowi, niezagrożony jak wieloryb w pustym oceanie.

„Nie, nie, nie!” Musi to naprawić. I to szybko. Ten statek nie może stąd odlecieć.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Plan był prosty i dał się łatwo zrealizować.

Znaleźli drogę do tajnego wejścia do pałacu satrapy. Jak było do przewidzenia, nie zamykała go nieelegancka kupa skalnego gruzu, tylko ściana z pięknych cegieł. Krwawo-czerwonych, z przebłyskami lukrytu - kamienia półszlachetnego, który rozbłyskuje, kiedy się go dotknie. Na ścianie umieszczono ozdobny napis: „Przejścia nie ma. Teren satrapii Myrry, Akiva”.

Cofnęli się za zakręt i tam się zatrzymali.

Czekali.

Oficerowie powinni niedługo nadejść. Zapewne z obstawą paru szturmowców albo pałacowych gwardzistów. I natkną się na niespodziankę.

Jednak Norra nie była przekonana. Przykucnęła przy kupce omszałego gruzu i zwróciła się do Jas:

- Jesteś pewna, że to zadziała?

- Nie - odparła łowczyni nagród. - Nigdy nie jestem niczego pewna. Ale nie mamy innego wyboru.

- Nie damy rady załatwić ich wszystkich.
- Wierzę w nasze możliwości. Zwłaszcza z moimi umiejętnościami i potencją tego droida.

Norra popatrzyła na syna.

- Dobrze się czujesz?

Temmin skinął głową, ale widziała, że nie jest z nim najlepiej. Coś go gryzło. Usiłował przywdziać pewną siebie, nawet zawiadłą minę i uśmiechał się do niej chytrze, ale to była tylko maska. Norra, jak każda matka, wiedziała swoje. Chłopak dręczył się czymś i nie potrafił sobie z tym dać rady.

Może się bał...

Ale musiało być coś jeszcze. Zwykle Temminowi nie brakowało odwagi. Wręcz przeciwnie. Czują, że nie o to chodzi.

Nie było czasu na zastanawianie się.

Usłyszała coś. Odwróciła się do Temmina i Jas, ostrzegawczo unosząc palec. Bezgłośnie wymówiła: „Nadchodzą”.

Mijały sekundy i nagle ogarnęła ją groza. Albowiem odgłosy, które słyszała, nie zbliżały się od strony pałacowego przejścia, tylko z zupełnie innego kierunku. Z tyłu.

Podłoga zaczęła lekko drżeć. Kroki. Coraz bliższe.

- Uugteenowie - szepnęła Jas i odbezpieczyła broń.

- Nie - powiedziała Norra. - Znam ten dźwięk. - Nie był to szurgot niezgrabnych, odzianych w metal stworów, połączony ze zgrzytami, metalicznym szczękaniem i wyciem. To był równy, ćwiczony krok, taktowany szczękaniem pancerzy. - Szturmowcy!

W perspektywie długiego, wznoszącego się korytarza dostrzegła pierwszy błysk bieli. Czerwona smuga laserowego strzału przeszła powietrze i ze skały nad ich głowami sypnęły się odłamki. Jas odpowiedziała strzałem i powietrze wypełniły świetlne smugi.

- Odwrót! - krzyknęła Norra.

Odwrót był możliwy tylko w jedną stronę.

Z powrotem, pod zamknięte wejście do pałacu. W ślepy zaułek.

Nie mieli innego wyboru. Pobiegli tam, a Norra usiłowała oszacować, ilu jest przeciwników - tuzin lub trochę więcej szturmowców. Twardy orzech do zgryzienia, ale może dadzą radę. Może.

Wybiegli zza rogu...

Ściana eksplodowała. Krwawoczerwone cegły zagrzechotały o skałę.

W czarnych kłębach dymu i kurzu pojawiły się białe przebły-ski.

Szturmowcy wyroili się także i z tego końca. Teraz byli wzięci w dwa ognie jak szczur pomiędzy dwoma kotami.

Nagle Norra skojarzyła fakty i koszmarne uczucie ścisnęło jej pierś.

Sinjir ich zdradził.

Stali na rogu, opierając się o siebie plecami. Norra i Temmin strzelali w jedną stronę, a Jas i droid, który ścisnął blaster w swoich stalowych szponach - w drugą.

Przez to piekło przedarł się głos.

- Odłóżcie broń. - Głos był kobiecy.

Twarz Jas płonęła czystą furią; była jak maska wściekłej bogini mordy. - Wal się! - warknęła, składając się do strzału. Ale Norra położyła jej rękę na ramieniu. Jas spojrzała na nią zdesperowanym, proszącym wzrokiem. Jakby błagała: „Pozwól mi ich zabić”.

Lecz kobieta stanowczo pokręciła głową i rzuciła broń.

- Norra! - syknęła Jas.

- Nie odbierzesz nagrody, jeśli będziesz martwa.

- Tak mi przykro - powiedział Temmin.

Znów odezwał się kobiecy głos:

- Rzućcie broń. Stańcie z rękami do góry. Tylko powoli. Jas zaklęła w języku, którego Norra nie znała, i odłożyła karabin. Temmin już upuścił swój blaster i kazał Panu Bonesowi zrobić to samo.

Stanęli z uniesionymi rękami.

Zza zasłony dymu wychynęli szturmowcy. Tuzin z każdej strony. Zbyt wielu, żeby ich pokonać, nawet przy wsparciu doświadczonej łowczyni nagród i szalonego bojowego droida. Norra poczuła ucisk w żołądku.

Szturmowcy przybyli z pałacu rozstąpili się, przepuszczając kobietę - tę samą, która kazała im się poddać. Szła wyprostowana, z rękami założonymi z tyłu. Miała ciemne oczy i skórę, skupioną minę, a jej spojrzenie było bystre i przenikliwe.

Insygnia wskazywały, że jest w randze admirała.

- Admirał Rae Sloane - przedstawiła się. - Jesteście aresztowani za spiskowanie przeciwko Imperium Galaktycznemu, oby panowało wiecznie.

Jas znów zaklęła w dziwnym języku:

- *A-kii atohy faa-ruu ka.* - I splunęła na ziemię.

- To się nie uda - odparła Norra. - Koniec Imperium już się zaczął. Nadleci kometa i rozbije wasze panowanie w proch.

- Ta kometa jeszcze w nas nie uderzyła i nie uderzy, Norro Wexley. Chodź. Przez krótką, bardzo krótką chwilę będziesz gościem satrapy Akivy.

Jom leżał pod konsolą. Przewody zwisały nad jego twarzą jak macki twarzowe quarreńskiego dentysty. Odczepił jeden przewód, a dwa inne złączył. Zaklął, kiedy zaiskrzyły. Desperacko starał się obejść mechanizm spustowy - który najwyraźniej został uszkodzony - i podpiąć obwód bezpośrednio do konsoli.

Nie zważając na palące ślady iskier na twarzy, sięgnął po kolejny przewód...

Usłyszał szum nad głową. Konsola ożyła.

Hurra! Udało się.

Przygryzł mocno wargę, żeby skontrolować ból, kiedy z wysiłkiem powstał z ziemi. Znów wycelował działa. Jacht siadał już na pałacowym lądowisku. No, niezupełnie. Praktycznie nie miał gdzie wylądować, bo płyta była zrujnowana i zawalona wrakami. Nawet z tej odległości było widać, że jest pochylona pod dziwnym kątem i chwiejna jak domek z kart. Dlatego jacht zawisł i czekał, wypalając paliwo.

Stanowił idealny cel.

Zaraz go nie będzie. Jom znalazł przycisk, do którego podpiął mechanizm spustowy, a który wcześniej służył do włączania i wyłączania światła wewnątrz wieżyczki. Zdecydowanym ruchem wcisnął go kciukiem.

Nic się nie stało.

Jom zaklął i wcisnął jeszcze raz.

Światła konsoli błysnęły, rozjarzyły się na moment, ze szpar posypał się grad iskier i wszystko zgasło.

Norra musiała klęczeć na pałacowej posadzce. Płytki miały przepiękny niebieski kolor, jakiego jeszcze nie widziała, delikatnie żyłkowany brązem i miedzią. Podłoga wyglądała jak mieniąca się powierzchnia morza, na którą padły promienie słońca. Jakaś częśćka Norry pragnęła wpatrywać się w to cudo bez końca, udając, że nic się nie stało. Ale się stało. Sinjir ich zdradził. Byli więźniami Imperium. Misja się nie udała i teraz czeka ich więzienie albo śmierć.

Norra nie należała do typów, które potrafią pogodzić się z losem, nawet tak okropnym.

Uniosła głowę, żeby stawić czoła rzeczywistości.

Obok niej klęczeli Jas i Temmin. Droid stał, czujnie obracając głową i obserwując tych, którzy otaczali ich kręgiem. Za każdym razem, kiedy metalowa głowa obracała się na osi szyi, słychać było cichy szum serwomotorów.

Pomyślała: „Ten droid jest zdezorientowany. Podminowany. Nieprzewidywalny”.

Szepnęła do syna:

- Kontroluj swojego droida.

Ale Temmin miał twarz napiętą i szarą jak popiół. Milczał.

Pani admirał chodziła tam i z powrotem przed nimi. Na wielkich schodach stała reszta towarzystwa. Norra widziała wysokiego mężczyznę o lisiej twarzy w ciemnym uniformie moffa i niższą od niego, starszą kobietę. To musiała być Jylia Shale, generał. Za nimi stał brzuchaty, rumiany mężczyzna z rzadką bródką oraz jeszcze jeden osobnik w wysokim, paradnym kapeluszu. Ten z kolei miał dziwny, iście łaskawy uśmiech.

Rae dała komuś znak skinieniem głowy.

Towarzystwo na schodach rozstało się i przyprowadzono Sinjira.

Jedno oko miał zamknięte opuchlizną. Nos, zatkany zaschniętą krwią, był skrzywiony, może nawet złamany. Ręce miał wykręcone do tyłu i skute za plecami. Popchnęli go ku nim i Sinjir ze stęknieniem wylądował na boku.

- Sinjir - powiedziała Norra. - Nic nie rozumiem...

Szturmowcy zbliżyli się do nich z magnetycznymi kajdankami.

- Uwolnij mnie, panie Temminie - powiedział Bones i jego ramię astromecha zaczęło się obracać.

- Nie, Bones. Nie - szepnął chłopak.

Szturmowiec szarpnął Norrę za ramiona, wykręcił je do tyłu i zatrzasnął jej kajdanki na przegubach. To samo zrobiono z Jas,

choć trochę się broniła - wyszarpywała ręce, warcząc jak groźne dzikie zwierzę, ale nie miała szans.

Temmin wstał.

- Temmin - powiedziała ostrzegawczo Norra. - Synu, nie czas na to.

Zignorował ją i postąpił krok w przód. Dziwne, ale nikt go nie zatrzymał.

- Pozwólcie mi odejść - powiedział. - Z moją mamą i moim droidem.

- Och, nie. Temmin, tylko nie to - jęknęła Jas.

W jej głosie był ogromny zawód i Norra z początku nie wiedziała, o co chodzi. Zrozumiała, kiedy Temmin powiedział:

- To jest układ. Układów trzeba dotrzymywać.

Rae podsunęła mu mały holoeokran. Wcisnęła guzik i zamigotał niebieski hologram jednookiego Sullustanina. Norra wiedziała, kim jest. Surat Nuat.

- To z nim się układałeś - powiedziała Rae, a Sullustańczyk się uśmiechnął.

Projekcja Surata przemówiła:

- Przykro mi, chłopcze, ale Imperium wynegocjowało ze mną swoją własną umowę. Warunki uległy zmianie.

- Nie! - krzyknął Temmin. - Powiedziałeś, że będziemy mogli odejść.

- Temmin... - Nora słyszała tony grozy we własnym głosie. „To nie może być prawdą. Nie mógł tego zrobić. Nie wierzę...”. - Temmin, powiedz mi, co się dzieje?

Rzucił jej spojrzenie - smutne i spanikowane.

- Przepraszam, mamo.

- On nas sprzedał - wymamrotał Sinjir leżący na podłodze.

- Chciałem tu zostać - wyjaśnił Temmin. - Nie chcę porzucić swojej planety. Tu jest mój dom! Musiałem coś dać Suratowi,

żeby nas nie zabił. Mamo, proszę! - Zwrócił się do Rae: - Nie! Nie tak się umawialiśmy. Układ dotyczy mnie, mojej mamy i mojego droida. Pozwolicie nam odejść.

- Ty możesz odejść - powiedziała admirał. - Reszta zostaje. Chyba, że nadal wolisz im towarzyszyć? Jestem otwarta na takie rozwiązanie.

Surat zachichotał.

Jas popatrzyła na chłopaka i powiedziała:

- Byłbyś świetnym łowcą nagród, dzieciaku.

- I jeszcze lepszym sługą Imperium - dodał Sinjir.

Temmin, roztrzęsiony do ostatnich granic, gwałtownie odwrócił się do droida.

- Bones! Ratuj nas! - Pan Bones wydał mechaniczny okrzyk i wyskoczył w górę...

Droid bojowy nie miał żadnych szans.

Ogień laserów rozplątał metalowego człowieka w locie. B1 z wrzaskiem opadł na podłogę, aż popękały piękne płytki. Nogi ugięły się pod nim i przewrócił się na bok. Temmin skoczył do niego, ale szturmowcy chwycili go i odciągnęli na bok. Norra chciała wstać, ale nie dali jej szans.

Mogła tylko patrzeć, jak Sloane podchodzi do droida, wyjmując blaster i pakuje strzał za strzałem w głowę automatu.

Po szóstym metalowa czaszka rozpadła się, dymiąc.

Ciało Pana Bonesa znieruchomiało na podłodze.

Temmin załkał.

- Zgodnie z naszymi ustaleniami możesz odejść - powiedziała do chłopca Sloane. A do szturmowców, którzy trzymali chłopaka: - Wyprowadźcie go z pałacu. Drogą przez dach.

„Nie!”

Norra wyrwała się szturmowcom i rzuciła się w stronę syna.

Mignęło białe ramię i stojący z tyłu szturmowiec zdzielił ją w plecy kolbą blastera. Norra upadła pośród rozsypanych szczątków droida, niedaleko od Sinjira. Krzyczała i płakała, kiedy wyprowadzano Temmina. Chłopak rzucał się, wrzeszczał i wołał matkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

„Co ja najlepszego zrobiłem?”

Ta myśl odtwarzała się raz po raz w głowie Temmina. Poczucie winy wrzynało się w niego jak wibroostrze Pana Bonesa. Wspomnienie sceny zniszczenia droida zwiększało jeszcze ból. Do tego rozpacz mamy, spojrzenia Jas i Sinjira...

Wtedy był pewien, że dobrze robi. Nigdy nie chciał opuścić Myrry, ale pozostanie oznaczało, że musi ułożyć się z Suratem, bo jeśli nie, straci nie tylko język. Dlatego skontaktował się z sullustańskim bossem i Surat zgodził się na układ. Temmin usprawiedliwiał się przed samym sobą, że łowczynie nagród i były imperialny tajniak zrobiliby to samo na jego miejscu. Sprzedaliby jego skórę, tak jak on sprzedałby ich, gdyby tylko ktoś zaoferował im odpowiednią sumę kredytów.

„Oni nie mają skrupułów. Nie mają zasad”.

Tymczasem okazało się, że to on nie ma zasad.

I nie ma skrupułów.

Miał jeszcze rozpaczliwą, głupią nadzieję, że coś się stanie i wszystko się odkręci; że sytuacja sama się rozwiąże i sidła, w które tak nieostrożnie wdepnął, puszczą. Jednak rzeczywistość była nieubłagana. Dwaj szturmowcy wlekli go po schodach na dach. Kopał, boleśnie objając nogi o stopnie, i zapierał się, usiłując chwycić się wszystkiego, co popadnie -klamki, poręczy, czegokolwiek.

Przed nimi pojawiły się kolejne schody.

Temmin wyciągnął rękę i chwycił krawędź małej fontanny, wbudowanej w ścienną niszę. Zacisnął palce na kamieniu i wyrwał się szturmowcom. Z krzykiem rzucili się za nim.

Temmin przystanął i kopnął pierwszego z nich w pierś.

Mężczyzna stęknął, ale zdążył chwycić go za stopę, a pięścią drugiej ręki walnął chłopaka w żołądek. Temmin na moment stracił oddech i ból obezwładnił mu ciało.

Powlekli go dalej, na drugie schody, a potem przez czerwone drzwi na dach. Temmin kaszlał i oczy zachodziły mu łzami. Słyszał też śpiewy. Okrzyki. Odgłosy tłumu.

- Nie, nie, proszę - błagał, kiedy podeszli z nim do krawędzi dachu. Dwaj mężczyźni dźwignęli go i unieśli nad głowami. Teraz zobaczył tłum. Potężny, zasilany strumieniami mieszkańcó w wylewającymi się z przyległych ulic. I transparenty. Symbole. W stronę pałacu leciały kamienie, cegły i butelki. Akivanie protestowali przeciwko satrapii. Przeciwko Imperium. Temminowi umknął ten bunt. Myślał, że wszyscy wolą siedzieć cicho, byle tylko mieć spokój jak on.

„Stałem po złej stronie. Mamo, strasznie cię przepraszam”.

- Pora, żebyś dołączył do przyjaciół - powiedział jeden ze szturmowców.

Temmin nie miał przecież przyjaciół. Usłyszał własny krzyk, kiedy cisnęli go w przepaść. Spadał.

Jacht unosił się nad pałacem w drgającej mgiełce upału. Jego dziób sterczał niczym dziób sokoła, lśniąc polerowanym brązem. Czarne okna były obramowane ciągami złotych i czerwonych rur; dwa skrzydła, pochylone w dół pod kątem, były zadarte na końcach i wyglądały jak dłonie modlącego się mnicha. Okręt czekał, ustawiony burtą do pałacu, z wysuniętym trapem opartym o krawędź dachu.

Z ulicy poleciało parę kamieni i stuknęło o spód jachtu, nie wyrządzając mu żadnych szkód.

Szturmowcy wychylili się z okna i zaczęli strzelać do tłumu w dole.

„Takimi akcjami kopiecie grób Imperium” - pomyślała Norra.

Bo przecież wszyscy to widzą. Widzą, że jesteście nie lepsi niż Surat Nuat, Czarne Słońce czy syndykat Huttów. Dotąd Imperium na Akivie udawało strażnika prawa i porządku, ale pod koniec dnia odsłoniło swoje prawdziwe oblicze.

Admirał Sloane też musiała to rozumieć, gdyż podeszła do szturmowców i paroma wściekłymi rozkazami kazała im natychmiast przerwać akcję.

Przed oczami Norry przesuwali się dygnitarze Imperium, wchodzący na pokład - cele, na które nie udało im się zapolować. Mężczyzna o lisiej twarzy, który musiał być moffem Pandionem, rzucił więźniom wzgardliwe spojrzenie. Jakby byli błotem, które przylgnęło do jego butów. Którego trzeba się jak najszybciej pozbyć.

Wszedł na trap i znikł we wnętrzu jachtu.

Norra spojrzała na Jas i Sinjira. Stali obok, z rękami skutymi z tyłu. Pilnie strzeżeni przez szturmowców.

Drzwi na dach znów się otwarły i Norra wreszcie go zobaczyła.

Kapitan Antilles. Serce się jej ścisnęło. Była ranny i bezsilny. Zlepione potem włosy opadały na twarz. Skóra miała kolor popiołu. Był przykuty do latającego stołu, popychanego przez dwóch szturmowców. Nad nim unosił się droid medyczny 2-1B.

Kiedy ich mijali, otworzył oczy i zobaczył ją.

- Pilocie - szepnął.

- Kapitanie...

Uśmiechnął się blado, nim wepchnięto go do jachtu.

Norra spojrzała na Sinjira.

- Co z nami będzie?

- No cóż. - Były agent westchnął. - Ja najprawdopodobniej będę miał proces. Jas pewnie zginie. Ty: nie wiem. Może czeka cię więzienie. Albo nawet egzekucja. W najlepszym przypadku ty i twoi rebelianccy przyjaciele możecie zostać przeznaczeni na wymianę w ramach rokowań pokojowych.

- Wybacz mi.

- To nie twoja wina - powiedziała Jas.

- Przecież był jej synem - zauważył Sinjir, mierząc obie kobiety wzrokiem jedyne go zdrowego oka. - Ma w żyłach jej krew. Mam prawo ją oceniać. Myślę, że zasłużyłem na tę odrobinę luksusu.

Jas chciała zaprotestować, ale Norra nie dopuściła jej do głosu.

- On ma rację. Słusznie mnie wini. Mimo wszystko mam nadzieję, zapewne złudną, że z moim synem wszystko dobrze.

Sinjir uśmiechnął się krzywo.

- Norra, z żadnym z nas nie jest dobrze.

- Temmin to twardy zawodnik - powiedziała Jas. - Zrobi wszystko, żeby przeżyć. I jeśli ktoś z nas miałby wyjść z tego cało, to stawiam na niego.

Temmin nie żył.

Był tego pewien. Nie mógłby przeżyć takiego upadku. Ale to dziwne uczucie... niemożliwe, nierealne uczucie latania. Unosi się w powietrzu jak na spokojnych wodach Zatoki Farsigo na południu. Kiedyś jeździł tam na wakacje z mamą i tatą. Łowili ryby, pływali na łodziach strumieniowych albo poszukiwali lśniących muszli korlappii, które, jeśli złapią promień słońca, jarzą się kolorami tęczy.

Ale nie słyszał wody. Nie czuł jej słonej woni.

Poza tym Temmin nie wierzył w zaświaty.

Otworzył oczy.

Rzeczywiście się unosił. Bujał się. Niesiony na rękach tłumu. Złapali go.

„Na wszystkie gwiazdy i satelity, oni mnie złapali!”

Wybuchnął śmiechem; szalonym chichotem, godnym jego nawiedzonego droida.

A potem przypomniał sobie resztę. Mama. Jas. Sinjir.

Ma mało czasu.

Uniósł głowę i zsunął się z dywanu rąk, które go podtrzymywały. Nagle znalazł się w gęstwie tłumu. Z początku nie wiedział, gdzie jest. Nie potrafił określić kierunku w tym ludzkim morzu. Ale wspiął się na palce i dojrzał wyniosłe mury pałacu.

„Muszę tam wrócić”.

Zaczął przepychać się przez tłum.

Kamienie i odłamki skał, rzucane przez buntowników, odbijały się od murów. Temmin zobaczył, że niektórzy próbują się wspinać. Jakiś Rodianin doszedł do balkonu i uchwycił się jego balustrady. Dwóch ludzi podsadzało do góry trzeciego.

„To jest droga dla mnie” - pomyślał Temmin.

Od dawna nie bawił się z przyjaciółmi. Parę lat temu porzucił życie miejskiego łobuza. Nie zapomniał jednak, jak wspinać się po rynnach, jak radzić sobie z drutem kolczastym i jak przy wspinaczce znajdować występy, których prawie nie widać. Niestety, nie miał czasu przyjrzeć się ścianie i wybrać najlepszego wariantu drogi.

Po prostu wdarł się na nią razem ze wszystkimi.

Kiedy wsiedli ostatni więźniowie z lochów pod pałacem, nadbiegł satrapa i gruchnął na kolana przed trape.

- Błagam, błagam, błagam! Musicie mnie zabrać ze sobą. Mój pałac jest oblężony. Oni wążą po ścianach jak małpojaszczurki. Rozerwą mnie na sztuki!

Sloane położyła mu dłoń na ramieniu.

- Wyświadczyłeś Imperium wielką przysługę, satrapo Isstra.

Uśmiech rozlał się po jego twarzy. Uwierzył, że ocaleje. Westchnienie ulgi uniosło mu pierś.

- Dzięki. Dzięki, admirale. Jesteś za dobra, pani.

- Ale już nie potrzebujemy twojej pomocy - dokończyła.

- Co? Co? - Spojrzał nią zdezorientowany. Nie wiedział, czy zostanie ukarany, nagrodzony, pozostawiony na los szczęścia, czy cokolwiek innego. - Ja nie...

Rae skinęła głową. Dwaj szurmowcy chwycili Isstrę i odciągnęli go do drzwi. Kopał i krzyczał jak krnąbrne dziecko.

- Nie możecie tego zrobić! - darł się, aż piana wystąpiła mu w kącikach ust. - Byłem dla was dobry! Straż! Straż!

Dwóch pałacowych gwardzistów wybiegło z za drzwi.

Zatrzymał ich ogień z blasterów. Zginęli, zanim zdążyli dobiec do swojego pana.

Satrapa zabeczał chrapliwie jak zwierzę, któremu rzeźnik podciął gardło. Szurmowcy cisnęli go na ziemię i tam pełzał pomiędzy ciałami swoich gwardzistów, łkając.

Sloane weszła na pokład.

Tłum ryczał. Temmin z trudem znajdował chwyt, uczepony ozdobnego gzymsu biegnącego wzdłuż ściany pałacu. Mięśnie go bolały. Nie wspinał się od bardzo dawna. Podciągnął się z wysiłkiem.

Tłum zafalował i odsunął się od ścian. Ktoś podłożył coś pod pałacowe wrota.

„Co to...”

Wstrząs targnął budynkiem. Wybuch detonatora termicznego uszkodził bramę. Palce Temmina ześlizgnęły się z chwytu... Zawisł na drugiej ręce, gorączkowo wierzgając nogami po ścianie w poszukiwaniu punktu oparcia, który znów wyniosłby go w górę.

Tłum ponownie ożył i napał na bramę. Jakiś czwororęki Be-saliskanin przepchał się z wielkim kowalskim młotem i zaczął walić nim jak szalony, poszerzając szczelinę.

„Nie ma czasu, muszę działać”.

Temmin sprężył się i z jękiem zaciskając zęby, wybił się do chwytu i złapał się gzymsu. Na nowo podjął wspinaczkę.

Morna siedziała w fotelu kapitańskim jachtu. Do sterówki weszła Rae i usiadła obok.

- Miętko - powiedziała do swojej pilotki.

Morna kiwnęła głową.

- Tak, admirale. Wszystko tu lśni, A te fotele... Można się w nie zapaść.

- Lepiej się nie przyzwyczajaj do luksusu. Komfort nie należy do priorytetów Imperium. - Rae uśmiechnęła się nieznacznie. - Były jakieś problemy z pilotem Crassusa?

- Stawiał się, ale dałam mu poznać, co znaczy władza Imperium, zapewniając jednocześnie, że zapłacą mu za gotowość.

- Jest pod kluczem, tak?

- Tak, w jednej z kajut.

Adea też została odesłana do kajuty. Rae nakazała asystentce, żeby położyła się wreszcie i odpoczęła. Dziewczyna wykonała kawał wspaniałej roboty i dzielnie stawała w obronie Imperium. Rae umieściła ją w kajucie przylegającej do tej, w której pod strażą trzymano kapitana Antillesa.

- Doskonale. Czy jesteśmy gotowi do odlotu z tej nieznośnej planety?

- Tak, admirale. I właśnie otrzymałam raport, że nasze gwiazdne niszczyciele powróciły z nadprzestrzeni na orbitę. Ubezpieczają nas teraz „Vigilance”, „Vanquish” i „Ascent”.

- W takim razie powiedzmy do widzenia tej śmierdzącej łaźni parowej.

Morna kiwnęła głową i włączyła moc.

Jacht drgnął i ruszył z miejsca.

Jacht drgnął i ruszył z miejsca.

Temmin wskoczył na krawędź pałacowego dachu i zobaczył koniec trapu niknący w burcie statku.

„Spóźniłem się”.

Rozejrzał się błyskawicznie.

Tam!

Satrapa. Rozpaczający, skulony pomiędzy ciałami swoich gwardzistów. Obok wałały się ich wibropiki.

„To jest głupie - pomyślał Temmin. Podbiegł i nogą podrzucił sobie broń do ręki. - To najgorszy pomysł z możliwych - powtarzał sobie, gnając z powrotem ku krawędzi dachu. - Jestem przypałem z mózdzkiem usmażonym laserem, który zaraz zginie - dodał, opierając pikę na murku i wybijając się na niej do skoku. - Nie żyję. Nie uda mi się. Popełniłem cholerny błąd”.

Puścił pikę i poszybował w powietrzu w stronę jachtu. Burta rosła mu w oczach.

Łup! Walnął w nią.

Rozpaczliwie macał w poszukiwaniu chwytu, ale nic nie znalazł. Zaczął się zsuwać, z żalonym zgrzytem drąc paznokciami o metal.

Nagle...

Zatrzymał się.

Złapał jedną z tych malowanych rur, które otaczały okna. Drugą ręką chwycił sąsiednią i podciągnął się. Poczował chwilę triumfu - trzepotanie w piersi - kiedy pomyślał: „Zrobiłem to! Udało mi się!”.

Jacht zaczął się wznosić i triumf prysnął.

„Co mi strzeliło do głowy? Zaraz zginę!”

Miasto w dole nikło mu w oczach.

„Tak niewiele brakowało - pomyślała Rae, przeciągając się w fotelu drugiego pilota. - Bardzo niewiele”.

Całe jej przedsięwzięcie było klęską. Teraz sobie to uświadomiła. Jednak klęska nie musi oznaczać końca. Przeciwnie, może zostać przekuta w mądrość - wskazówkę na przyszłość, wypisaną bolesnymi bliznami na ciele. Jaka więc otrzymała lekcję? Co ma zapamiętać i co warto ocalić ze zgliszczy?

Po pierwsze: Zgoda nie będzie łatwa. Przeciwnie, może się okazać tak trudna, że nie będzie warto o nią zabiegać.

Po drugie: Imperium jest potraskane. Nic nowego, ale teraz ta prawda zyskała bolesne potwierdzenie. Poza tym objawił się nowy wymiar sprawy. Sloane pojęła, że niektórym wcale nie zależy na uzdrowieniu ran. Przeciwnie - chcą wcisnąć się w powstałe pęknięcia ze swoimi własnymi interesami.

Po trzecie: Jeżeli Imperium nie przetrwa, będzie trzeba...

Czerwony sygnał zajaśniał na ekranie Morny. Pilotka zmarszczyła czoło.

- Co jest? - spytała Rae.

- Może ptak - odparła Morna. - Ale jeśli tak, to bardzo duży. - Pokręciła głową i uściśliła: - Coś siedzi na burcie.

Rae kiwnęła głową.

- Poślę kogoś, żeby sprawdził.

Sinjir klęczał obok innych. Czuł się, jakby miał zbity kotlet zamiast twarzy. Tkwili w wytwornym salonie na rufie jachtu, klęcząc jak niewolnicy na dywanie pośród wygodnych mebli, obitych pluszem. Tłusty bankier, Crassus, siedział w kącie, zaciągając się ziołem z długiej, obsydianowej fajki. Niewolnice w zwierzęcych maskach zajmowały się jego pulchnymi stopami - wycinały odciski, przycinały i polerowały paznokcie.

Po jednej stronie Crassusa siedziała Jylia Shale. Generał. Sinjir znał ją, choć nie osobiście. W zależności od tego, z którą imperialną frakcją się o niej rozmawiało, miała opinię legendy bądź też zdrajczyni. Bohaterki albo tchórza. Pilnowało jej dwóch członków Gwardii Imperialnej w długich czerwonych płaszczach.

Po drugiej stronie Crassusa siedział doradca w fioletowej szacie. Sinjir nie pamiętał, jak się nazywa, choć był pewien, że Jas mu to mówiła. Zdaje się, że ktoś z najbliższego kręgu

Palpatinea. Akolita sithiańskiej strony Mocy, ale nieobdarzony nią. W sumie - fanatyk i wyznawca kultu.

A niedaleko od Sinjira - Pandion.

Wyprostowany na krześle jak struna.

Wpatrzony w nich.

Nie, wpatrzony w niego. W Sinjira.

- Tak, wiem, jestem przystojny - powiedział Sinjir, chrapliwym głosem. Nie był w furii, tylko miał obolałe gardło.

Pandion zachichotał. Wydawało się, że zamierza coś powiedzieć, ale w tym momencie korytarzem przemknął oddziałek szturmowców spieszących do środkowej części statku. Ruchy mieli nerwowe. Pandionowi nie udało się ukryć błysku niepokoju w oczach.

Sinjir zapytał z ironicznym uśmiechem:

- Czyżby coś szło nie tak?

- Stul pysk, zdrajco, bo ci go odstrzelę!

„Zginę, zginę, zginę - Temmin trzymał się, wyężając całą siłę woli. Obok zaczęły przepływać chmury. Powietrze szybko się ochładzało. Pojawiły się turbulencje i statek parę razy się zatrząsł. Temmin kombinował gorączkowo - A może bym tak przepelznął na spód jachtu, swoim podręcznym narzędziem otworzył właz techniczny, wsunął się do ładowni i.

Okno nad jego głową otworzyło się z syknięciem.

Szturmowiec wychylił się, żeby się rozejrzeć.

-Hej!

Nic lepszego Temmin nie potrafił wymyślić.

Wyciągnął rękę, chwycił za tylną krawędź hełmu, wyszarpnął szturmowca z okna i cisnął go w przestrzeń.

Głośny krzyk mężczyzny cichł, w miarę jak spadał.

Temmin wgramolił się do środka i zleciał w dół, przetoczywszy się barkiem po podłodze. Wstał, ciężko dysząc

i rozcierając ręce, żeby przywrócić w nich obieg krwi. Był w korytarzu pełnym drzwi. Pewnie do kajut. Otrzeptał ubranie.

Wtem ktoś dotknął jego ramienia.

Ups.

Temmin odwrócił się i zobaczył dwóch czerwonych gwardzistów. Płaszczycie ciągnęły się za nimi po podłodze.

- Cześć, chłopaki - powiedział i zaśmiał się sztucznie. -Czy to kosmobus dwudziestka trójka, który leci do Ordwaliańskiego Gwiezdnego Kasyna? Nie? Ojej, to straszne!

Odwrócił się na pięcie i popędził przed siebie.

- Ożeż ty! Pieprzona dziwka! - warknął Jom Barell z poczerwieniałą twarzą.

Próbował już wszystkiego i nic nie działało. Ta cholerna konsola była głucha jak pień, a jego cel zbliżał się do orbity.

Wyprostował się, żeby odetchnąć. Jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie.

„Uspokój się. Myśl”.

Ale nie mógł myśleć i nie był spokojny.

Rycząc z furii, wzniósł zdrową pięść i z całej siły walnął w konsolę, a potem jeszcze i jeszcze raz, bo wszystko się spieprzyło i walczy z tą wieźyczką jak idiota, bo jest kompletnie udupiony i nie ma jak pomóc Nowej Republice, i...

Po ostatnim ciosie konsola rozbłysła światłami.

- Co do ku...

Bliźniacze działa przesunęły się, namierzając cel.

Wieżyczka zadygotała, kiedy wypaliły, wypełniając kokpit demonicznym blaskiem turbolaserów.

Szło im dobrze. Za dobrze. Sloane poczuła złowrogi ucisk w piersi, który pogłębił się, kiedy Morna odwróciła się do niej i powiedziała zatroskanym tonem:

- Mamy problem, pani admirał.

„Jakżeby inaczej!”

- O co chodzi, pilocie?

- Flota rebeliantów. Wchodzi w przestrzeń nad Akivą. Obrzydliwe wyczucie czasu.

- Jak duża?

- Na tyle, żeby były problemy.

- Ty musisz tylko bezpiecznie dostarczyć nas na „Vigilance”, Morna. Potem...

Ekran pilota ponownie zamigotał.

- Co tym razem? - rzuciła Rae.

W oczach Morny błysnęła panika.

- Jedna z wieżyczek na planecie. Namierza nas. Zaraz... Statek podskoczył i zatrzęsł się. Rae wyrzuciło z fotela.

Wszystkie światła zgasły.

Lasery rozpałały powietrze nad głową Temmina, który biegł, kluczył, przypadał do ziemi i zrywał się, aby tylko nie dostać. Wreszcie przetoczył się po podłodze i wstał, podnosząc rękę do góry w geście poddania.

I zobaczył, że mu nie darują.

Szturmowcy wycelowali broń.

Ściana obok nich nagle wyparowała.

Statek przechylił się gwałtownie w prawo; jaskrawy blask przeszył go od dołu, rozcinając kadłub i przy okazji likwidując

szturmowców wraz ze ścianą i podłogą. Resztki tego, co z nich zostało, opadły spiralnie w dół przez ziejący otwór. Wiatr wdarł się przez niego do środka, wyjąc jak samotny zwierz. Temmin poczuł, że dekompresja w korytarzu zaraz wyssie go na zewnątrz. Jacht zanurkował w dół i chłopak zdążył chwycić się klamki kabiny. W ścianach pojawiły się szczeliny, przez które wciskały się chmury. Z obu stron korytarza zaczęły się zamykać grodzie awaryjne, odcinając środkową część statku.

Temmin kopnięciem otworzyłabinę i wdarł się do środka, walcząc z wygłodniałym wiatrem, który chciał wyssać go w próżnię. Udało mu się zatrzasnąć drzwi.

Alarm wył. Sterówka rozbłyskiwała pulsującymi światłami. Rae wciągnęła się na fotel. Morna ani na moment nie opuściła swojego. Siedziała z rękami opartymi na konsoli, a ścięgna jej karku były napięte jak liny mostu. Walczyła, żeby utrzymać sterowność, ponieważ jacht zanurkował w dół, lecz po chwili zmusiła go, aby znów podniósł dziób.

- Raport! - zażądała Sloane.

- Nie teraz, admirale - syknęła pilotka przez zaciśnięte zęby. Rae chciała ją zrugać, ale się powstrzymała. Morna miała rację. Sloane włączyła swój ekran, żeby ocenić straty. Okazało się, że strzał trafił w dolną część środkowego sektora jachtu, obok kabiny ma pierwszym piętrze. Obie połowy statku odcięły już awaryjne drzwi, co znaczyło, że wszyscy żyją. Ale oznaczało również, że przednia część, w której znajdowała się Rae, została oddzielona od tyłu, który stał się niedostępny. A środkowa część statku była obecnie ziemią niczyją.

Jacht zatrzęsł się nagle i zadrżał, jakby miał się zaraz rozpaść. Morna ostrzegła:

- Tu są duże turbulencje. Może nas rozerwać. Ale już blisko do orbity. Już prawie.

- Dowieź nas w całości - powiedziała Rae.

Liczyła na Mornę, bo tylko ona była do tego zdolna.

Światła brzęczały i migotały. Przeszli od kompletnej ciemności, poprzez czerwone alarmowe rozbłyski, aż do normalnego oświetlenia - a potem znów wszystko zgasło.

Jas nie wiedziała, co się stało, ale domyślała się, że w nich trafiono. Dziwiła się, że statek jeszcze się trzyma. Całe szczęście, że był dosyć duży i że trafienie nie rozplatało go na pół, bo wtedy w dwóch częściach spadłoby na planetę.

Panika ogarnęła imperialne szeregi. Szeptano trwożnie i nerwowo. Crassus opłakiwał swój jacht. Doradca Yupe Tashu w jakimś heretyckim języku wzywał wszystkie ciemne strony Mocy, aby ratowały ich z opresji. Shale trwała milcząco i nieruchomo z głową opartą na kolanach, jakby zaraz miała zwymiotować. Była generałem, przywykłym raczej do działań na lądzie. Albo w jakichś chronionych punktach dowodzenia. I od lat nie była w czynnej służbie.

Jas po prostu siedziała.

Jak Pandion - tylko że Moffa w sposób widoczny zżerała rosnąca nienawiść do Sinjira. Widać ją było w spojrzeniu, którym bezustannie drążył byłego agenta. Czarne oczy celowały w niego jak wyloty luf klasterów, gotowych do strzału.

Wszedł szturmowiec.

- Zostaliśmy awaryjnie odcięci od przedniej części statku - oznajmił.

Pandion, nie odwracając wzroku od Sinjira, sięgnął po komunikator i powiedział do mikrofonu:

- Admirale Sloane, jesteś tam?

Zatrzeszczało i przemówił głos - przerywany, z szumem w tle, ale dość wyraźny:

- Moffie Pandionie, jesteśmy zajęte.

- Czy możemy zginąć? Czy statek ma szalupy ratunkowe?
- Jesteśmy bezpieczni. Już prawie na orbicie. Proszę czekać spokojnie.

Jas nie wiedziała, co się naprawdę dzieje. Ale chaos wkładał się w całą sytuację. W chaosie kryją się możliwości.

INTERLUDIUM

BESPIN, MIASTO W CHMURACH

- Nadchodzą! - zawołał Borgin Kaa do swojej młodej przyjaciółki, tancerki Linary.

Zerknęła na niego w panice, kiedy pokazywał na wejście do swojego luksusowego lokum, gdzie linia iskier wycinała sobie drogę wzdłuż krawędzi zbrojonych drzwi, sunąc nieubłaganie w górę. Szybkość i precyzja tego cięcia świadczyły o wprawie tego, kto trzymał palnik.

Starszy mężczyzna zaczął się rozglądać i na stole w holu zobaczył ceramiczną wazę z kolekcji Vinzorów - starożytne dzieło sztuki, pochodzące z czasów Dawnej Republiki. Albo tak uważano. Dla niego było najważniejsze, że waza jest wiele warta. Uwielbiał patrzeć, jak prześwitują jej ścianki z błękitnego lacytu. Jak lśniąca, niebieskie, pajęczne sieci, Jakby płonęła błękitnym ogniem.

Cierpiał, kiedy wziął wazę w rękę.

„To jest broń - pomyślał. - A nie starożytny, cenny zabytek”.

Serce waliło mu w piersi.

Czy wypił rano swoje lekarstwo?

Nie pamięta.

Czy zginie?

„Nie! Tak długo już żyję. I jestem na liście”.

Miasto w Chmurach stało się ośrodkiem produkcji rzadkich implantów: okularów nowej generacji, spersonalizowanych protez i różnych nowych organów dla ludzi i wszystkich ras, które było na nie stać. Sam potrzebował nowego serca. Był na liście oczekujących i miał nadzieję, że doczeka. Jednak ci rebeliancy dranie zaczęli wszędzie mieszać i Imperium musiało stanowczo wkroczyć. Przejęło sektor i na razie interes z implantami się urwał.

„Imperium zrobi z tym porządek. Imperator obiecywał pokój w galaktyce”.

Bursztynowy czubek płomienia obszedł narożnik i zaczął opadać do podłogi.

Za chwilę drzwi puściły i zaczęły się uchylać.

Pośród dymu, w szparze, dostrzegł sylwetki włamywaczy. Linara krzyknęła, a Borgin, stęknąwszy z wysiłku, cisnął w nich wazę. Nie trafił; uderzyła w skrzydło drzwi i upadła na podłogę. Nawet się nie wyszczerbiła. Po prostu potoczyła się po posadzce.

Najwidoczniej Vinzorowie umieli robić wazy.

Wdarli się do środka z wycelowanymi blasterami. Dwojga z nich nie znał - devarońskiej kobiety i tyczkowatego, klekoczącego droida asystującego PAD, na którego porysowanej, srebrnej płycie twarzowej ktoś namalował czarną czaszkę.

Dwóch następnych znał: miejscowego lokalnego bandytę Karsa Tal-Korłę, ksywka Mór Miasta w Chmurach. Trudno było go nie skojarzyć. Jego gęba była na każdym plakacie i holowideo gończym w mieście! Imperium pożałowało jego głowy, a on jak gdyby nigdy nic pojawił się we własnej osobie w jego mieszkaniu. Oczywiście w swojej firmowej zbroi - patchworkowej kompozycji elementów mandaloriańskich, koreliańskich i nawet paru kawałków z pancerza szturmowców.

Jeszcze większą niespodzianką dla Borgina był ktoś, kto stał obok niego:

Jintar Oarr...

Onderonianin. Kosmicznie bogaty. Mieszkaniec luksusowego poziomu Miasta w Chmurach, jeden z sąsiadów Borgina.

Jest przyjacielem. Albo raczej nim był.

- Ty - powiedział Borgin, celując grubym palcem w mężczyznę. Jintar, przystojny dżentelmen. Starannie przystrzyżona broda. Oczy jak szare chmury. Nawet jego zmarszczki były dystyngowane.

Zanim Jintar zdążył odpowiedzieć, Devaronianka podskoczyła do Borgina, chwyciła go za palec, odgięła go i złamała z trzaskiem. Ból przeskoczył do łokcia. Borgin wrzasnął i aż się zawstydził, bo wydał z siebie przeraźliwy, piskliwy, niemal świński kwik, podobny do tego, jaki wydaje Ugnaught, kiedy wpadnie do jednej z tych ich maszyn. Padł na kolana, bo devarońska kobieta zmusiła go do tego, wciskając mu w czoło lufę blasterowego karabinu.

- Czekaj - powiedział Jintar i przytrzymał ją za przegub. Syknęła na niego jak wąż, ale nie cofnął ręki. - Pozwól, że z nim pomówię.

Kars kiwnął głową.

- Niech sobie pogadają. Ale mamy ciasno z czasem, więc trzeba się streszczać. - Warknął do droida: - Idź, poszukaj panelu dostępu.

Panel dostępu? Spojrzenie Borgina podążyło za droidem, który podreptał przez hol. Zanim jednak zobaczył, dokąd zmierza metalowy człowiek, Devaronianka chwyciła go za brodę i brutalnym ruchem obróciła ku sobie jego twarz.

- Słyszałeś, że twój przyjaciel chciałby z tobą pogadać?

Jintar przykląkł przy nim.

- Bor - powiedział. - Posłuchaj mnie tylko. Okłamano nas. Adelhard zamknął cały sektor. Potężne blokady z chamskimi imperialnymi niedobitkami. Właśnie tak nas teraz kontrolują z pomocą kłamstwa. Manipulują nami. - Wziął głęboki oddech. - Imperator nie żyje, Bor. To pewna wiadomość.

- Kłamstwa - syknął Borgin. - Jak widzę, wolisz wierzyć takiemu typowi! - Gestem głowy wskazał na tego rebelianta, Karsa. Obdarty pirat w patchworkowym pancerzu skrzywił się i pokręcił głową. - Widziałem holowidy. Ty też je widziałeś. Palpatine żyje, jest na Coruscant i ma się dobrze. Dlatego...

- To tylko sobowtór. Dubler. Aktor.

- Bzdura. Kolejna rebeliancka propaganda.

- Zadaliśmy sobie trud porównania. Nagrania się różnią. Ta... osoba w ciemnych szatach nie jest Palpatineem. Inny podbródek, inna gestykulacja. Nędzna podróbka.

- Jesteś zdrajcą.

Jintarowi wydłużyła się twarz i smutek pojawił się w jego oczach.

- Nie, Borgin. To ty jesteś zdrajcą.

- Imperium było dla nas dobre.

- Dla nas tak. Ale nie dla wszystkich innych. I prawi mieszkańcy galaktyki przekonają się dzisiaj o tym. Dlatego przyszedłem do ciebie z prośbą. - Głos Jintara złagodniał. Ten człowiek byłby zdolny wyperswadować psu slakari, żeby porzucił swoje wonne ścierwo. - Mógłbyś nam bardzo pomóc.

Pomoc? Chcą jego pomocy?

Nie do pomyślenia. Borgin ryknął gniewnie. Kiedyś brał udział w paru potyczkach, kiedy był jeszcze młodym kopalnianym potentatem na księżycu Sevarcos. Jasne, teraz był starszy, o wiele starszy i cięższy, ale wyskoczył w górę jak sprężyna, celując głową w twarz Jintara...

Gwiazdy eksplodowały mu przed oczami i upadł do tyłu na kość ogonową. Ktoś chciał mu pomóc wstać, ale z krzykiem odtrącił jego rękę.

Jintar krzywił się i macał czoło, na którym rósł już potężny guz. Borgin czuł smak krwi w ustach.

Teraz przyszła kolej na rebelianta. Kars pojawił się w jego polu widzenia. Obraz był mętny. Borgin zamrugał. Pirat podrapał się w podbródek i zakreślił pistoletem przy biodrze.

- Przegadajmy to, dobra? Masz dostęp do panelu, tam z tyłu. Jest podłączony do tego samego obwodu co komnata gubernatora Adelharda na szczycie głównej wieży. Musimy dostać się do tego panelu. Ty nam dasz kod, a my będziemy szczęśliwi. Jeśli nie dasz nam kodu, będziemy musieli zdobyć go sami. - Usta Karsa rozciągnęły się w okropnym uśmiechu, jak rozcięte brzytwą. - I nie będziemy szczęśliwi.

- Dranie! Bandziory! Kryminaliści!

Kars westchnął.

- No, trudno. Rorna?

Dał znak głową i Devaronianka walnęła Borgina pięścią w bok. Borgin zakwiczał i zamachał rękami, ale Jintar chwycił go za przeguby i wykręcił mu ramiona do tyłu. Kars poczuł, że naciągają mu coś na nie - jakby torebkę, może pończochę. Potem usłyszał odgłos taśmy, odwijanej z rolki, i oklejono mu ciasno przeguby.

- Linara! - krzyknął. - Linara, broń mnie!

Ale dziewczyna popatrzyła tylko na niego jak zniechęcona matka na rozrabiające dziecko.

- Mogę wam w czymś pomóc? - spytała Karsa.

Rebeliant ze śmiechem rzucił jej rolkę taśmy.

- Jasne. Zamknij mu tę śmierdzącą dziurę, którą on nazywa ustami, dobra?

Borgin zaprotestował:

- Linaro, przecież byłem dla ciebie dobry. Kochaliśmy się nawzajem. Nie rób mi tego, bo cię ukarzę! Ukarzę całą twoją rodzinę! Przeszanę im pożyczyc i napuszczę na nich egze...

Zatkała mu taśmą usta i nie poprzestała na tym. Ciasno owinęła mu taśmę wokół głowy - raz, drugi i jeszcze trzeci. Najwyraźniej dobrze się przy tym bawiła.

- Mmpf! Mmpf... - Co należało rozumieć: „Imperator utnie wam za to głowy”.

Kars kiwnął głową. Z głębi apartamentu dobiegł cichy odgłos wiercenia. Kars podniósł do ust komlink na przegubie:

- Powiedz Lobotowi, że musimy przycisnąć pedał.

Devarionianka powiedziała ściszym głosem:

- Możemy torturami wydusić kod z tego bogacza. To będzie niezła rozrywka - dodała z okrutnym uśmiechem.

Pirat ostrzegł ją gestem i powiedział, odsunawszy od ust komunikator:

- Nie. Mamy specjalne instrukcje. Żadnych takich akcji. Musimy załatwiać sprawy czysto, kawa na ławę. Bla, bla, bla, Sojusz nie uznaje innych metod. - I dalej, do komunikatora: - Ta, taa, słucham cię. Powiedz Lobotowi, żeby na pewno czekał tam z ekipą wejściową. I poślij wiadomość do Carlissiana. Powiedz mu, że już prawie to mamy, więc może przesyłać kredyty... - Urwał. - Nie, czekaj. Powiedz mu, że zrobimy to dla niego gratis. Firma stawia. On i jego kumple z Nowej Republiki będą mi winni przysługę. Daj mu to jasno do zrozumienia. Dużą przysługę.

Drań. Drań!

Jintar jeszcze raz przyklęknął przy Borginie.

- Jesteś po niewłaściwej stronie dziejów, Bor. Nigdy nie zrozumiesz, że galaktyka to coś więcej niż jeden człowiek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Bładoniebieskie niebo atmosfery stopniowo gasło, ustępując miejsca gradientowi szarości, a potem czerni, na końcu już abso lutnej. Komfort próżni. Tak właśnie odczuwała ją Rae: jako relak sującą pustkę. Dającą chwilę oddechu. Kosmiczny dystans. Prze stwór. Nieskończoność wszystkiego. Czula się w niej nieskończe nie mała, a zarazem na tyle potężna, aby ośmielić się w niej ist nieć.

Dziś jednak nie mogła odetchnąć.

Przed nimi bowiem, w czerni, wrzała walka.

Brutalna, siłowa potyczka. Bez zasad, bez poszanowania przeciwnika. Z jednej strony trio gwiazdnych niszczycieli raz za razem plujących salwami. Z drugiej - sunąca prosto na nie rebe liancka flota: pięć statków i każdy mniejszy od niszczycieli, lecz nie mniej skuteczny. Pomiędzy nimi hurma myśliwców, szyjąca do siebie laserowymi smugami. Niektóre zapalały się i spadały, wirując, jak tryskające ogniem, kręcące się fajerwerki, wypusz czane przez roześmiane dzieci.

Rae przygryzła wargę.

- I jak tam? - zagadnęła Mornę.
- Jakoś kuśtykamy do przodu - odparła pilotka.
- Nawet gdybyśmy mieli pełzać, dowieź nas do domu.

Komandor Agatę drżała na całym ciele.

To było normalne, przynajmniej dla niej. Zawsze się trzęsła, kiedy miała się zacząć bitwa. Była to swoista wypadkowa napiętych nerwów, wojny i potężnego zastrzyku adrenaliny, który za lewał ją potężną dawką energii, niczym piorun, który uderza w statek, przeciążając jego obwody. Przez całe lata usiłowała to

ukryć. Brała prochy, żeby uspokoić trzęsące się ręce. Starła się być sama w pierwszych chwilach bitwy, bo nie chciała, żeby widziano ją w tym stanie. Drżenie było uważane za oznakę słabości. Jednak z czasem zrozumiała.

Ma niczego nie ukrywać i nie przejmować się tym, co mówią inni. Bo to właśnie oznacza siłę.

Teraz już trzęsła się jawnie. Niczego w sobie nie tłumiała. Uznała to zjawisko za naturalny odruch kogoś, kto staje do walki i dowodzi żołnierzami.

Wyciszyła się, patrząc w czarną pustkę, a potem przeniosła spojrzenie na mapę bitwy wyświetlającą się holograficznie na pulpicie. Śledziła zmieniające się konfiguracje. Chaotyczny tańiec, a jednak taktowany precyzyjnymi rozkazami, trzymający się szczegółowego wzorca.

Sygnał. Coś nowego.

Trąciła powietrze przed sobą, żeby powiększyć widok nieproszonego gościa.

Jacht? Niechciany i nieoczekiwany.

Imperialny? A może jakiś nefartowny akivański baron, który uciekając w pośpiechu, wpadł w sam środek bitwy? Ktokolwiek pilotował ten statek, musiał być idiotą albo geniuszem. Agatę poprosiła chorążego Targadę - mrukowatego Klatooinianina o maszynowych łukach brwiowych i wiecznie wyszczerzonych zębach; dawnego niewolnika, żarliwie wiernego Nowej Republice - żeby podał jej kurs jachtu.

- Zmierza do gwiazdowego niszczyciela - powiedział.

A więc imperialny.

Zestrzelić go?

Wahała się. Szybkość jest rzeczą względną. Duże flagowe jednostki ostrzeliwują się salwami, podczas gdy małe myśliwce pomykają i śmigają wśród gwiazd. Niejednokrotnie niespieszny,

staranny namysł jest skuteczniejszy niż błyskawiczne decyzje. Natomiast wahanie może szybko przerodzić się w niepewność i chwiejność.

Tarada powtórzył głośno jej pytanie.

- Skoncentrować ogień na jachcie?

- Nie - odpowiedziała stanowczo. - Jest uszkodzony. Może przewozić dane lub podmioty o dużej wartości dla nas. Zniszczenie go oznaczałoby zniszczenie cennej informacji. - Zakłęła pod nosem. W idealnym świecie ściągnęliby go do siebie i przejęli. Ale bitwa nie pozwalała na wykonywanie tak precyzyjnych manewrów. - Odbierzmy im możliwość wylądowania. Skup ostrzał na tym gwiazdnym niszczycielu. Jeśli nie będą mieli gdzie się schować, łatwiej będzie ich przejąć.

Jakiś dziwny gość rzucił się do Temmina. Miał rumiane policzki, wydatny nos i trądzik na twarzy. Był w stroju pilota.

- Co się stało? - zapytał. Światła migotały, zapalając się i gasnąc na zmianę. - Co się stało mojemu statkowi, mojemu małemu łobuzowi?

Temmin odepchnął go od siebie.

- Spadaj! Już!

Mężczyzna zrobił gniewną minę.

- Lepiej mi powiedz, co się stało. To twoja sprawka? Jesteś powstańcem? Rebelianckim terrorystą? Draniu! Łotrze!

Przyskoczył do Temmina z pięściami.

Chłopak strzelił go pięścią w nos. Nos pękł jak purchel, a pilot opadł na kolana, jęcząc:

- Mój statek, mój statek!

Szkoda czasu na coś takiego.

Temmin rozejrzał się, mrużąc oczy, bo przeszkadzał mu niemal stroboskopowy efekt świateł. Pilot zaczął pełznąć do drzwi. Chłopak szybko klęknął przed nim, blokując mu drogę.

- Za drzwiami tej kajuty jest śmierć. Słyszysz mnie? Śmieć!

- Słuchaj, ja muszę przejść do sterówki! Potrafię pilotować ten statek. Ja. Tylko ja! Jestem dobrym pilotem. Albo... byłem. Kiedyś.

- W takim razie musimy razem stąd wyjść. Grodzie awaryjne są zamknięte, ty nerwusie. Znasz dobrze ten statek? To powiedz mi, jak stąd wyjść... wszystko jedno, jak i gdzie.

Mężczyzna podniósł się ze stęknięciem, skrzypiąc kolanami.

- Odsuń... odsuń to łóżko z tyłu. Pod nim powinien być szyb techniczny. Ale nie mam kluczy, żeby...

Kto jest zawsze przygotowany? Temmin wywrócił oczami i odpiął od pasa swoje wielozadaniowe narzędzie. Odsunął łóżko. Rzeczywiście pod nim był właz, przykręcony śrubami. To będzie musiało trochę potrwać. Temmin zabrał się do roboty.

Pandion wstał. Norra obserwowała, jak powoli podchodzi do Sinjira, który od dłuższego czasu zdawał się przyciągać jego szczególną uwagę.

- Kiedyś służyłeś Imperium, tak? - zapytał. - Jako tajny agent rządowy?

- Zgadza się.

- Ślubowałeś wierność wobec Imperium.

- Niezupełnie. Od początku szkolono mnie tak, abym potrafił wykrywać słabości innych. Pozostało jedynie kwestią czasu, abym wykrył słabość w całym Imperium. - Sinjir uśmiechnął się, pokazując krwawe zęby. - Sam spróbuj się przyjrzeć, a zobaczysz, że ten monument jest popękany i poszczerbiony.

Pandion podszedł jeszcze bliżej. Powolnym, odmierzonym krokiem. Okrucieństwo błyszczało w jego oczach, pulsując jak światła nad jego głową.

- Jedyną słabością Imperium są kreatury takie jak ty - wycedził nienawistnie. - Którym brakuje prawdziwego poświęcenia. Które posuwają się do zdrady, bo w środku mają bagno. Gnijące serca i zdegenerowane umysły. Imperium się wzmocni, kiedy wyginą tacy jak ty.

Sinjirowi udało się wzruszyć ramionami mimo rąk wykręconych do tyłu.

- A mnie się wydaje, że słabość Imperium powodują kreatury takie jak ty, moffie Pandion. Nikczemni, nieudolni idioci. Którzy marzą o przywódczych stanowiskach bardziej niż o przewodzeniu. Zresztą kim jest tak naprawdę moff? Podrzednym władcą galaktycznego sektora. Nawet ta nazwa brzmi kiepsko. „Moff, moff”. Brzmi jak odgłos, jaki wydaje pies, który się przeje i cofa mu się żarcie...

Pach! Pandion przyłożył mu w twarz.

Krew pociekła z przeciętej wargi byłego agenta.

Sinjir zlizął ją.

- Moff, moff, moff - szydził.

Norra poprosiła z niepokojem:

- Sinjir, nie...

Za późno. Pandion znów zaatakował. Tym razem poderwał Sinjira w górę za kołnierz ukradzonego oficerskiego munduru i uderzył z całej siły pięścią - raz, drugi i trzeci, aż Sinjirowi odskakiwała głowa.

- Przestań! - wrzasnęła Norra. - Przestań!

- Zamknij się, suko! - syknął Pandion.

Sinjir wykorzystał okazję. Wypluł wybity ząb, celując w twarz Pandiona. Ząb uderzył moffa między oczy. Kiedy ten zamrugał zaskoczony, Sinjir strzelił go głową.

Chrup!

Pandion zatoczył się do tyłu. Z obu nozdrzy spłynęły strumyczki krwi. Rysy ściągnęły się w okropną maskę.

- Ty zdrajco! - wycharczał. Otarł krew dłonią i wyszarpnął blaster z kabury. - Nie doczekasz procesu.

- Pozwól, że ja to zrobię - powiedziała Jas.

- Co? - Pandion spojrział na nią zaskoczony.

- Zrobię to. Za dobrą cenę.

- Cenę? Po tym, jak zadałaś się z tym towarzystwem?

- Nagroda za twoją głowę była zbyt kusząca, Pandionie. Ale jestem pewna, że starczy ci kredytów, by zapłacić mi za usługę. Weźmy chociażby ten jacht. Jak widzę, należy do bankiera. Myślę, że będziesz skłonny zapłacić mi więcej, niż Nowa Republika dałaby za twoją głowę.

- Za moją głowę?

- Tak. Jesteś łakomym kąskiem.

Jego grymas miał być uśmiechem.

- Jasne, powinienem się tego spodziewać. Jaka jest moja cena?

- Dziesięć tysięcy kredytów.

- Mogłaby być większa - sarknął. - Ale dobra, dam ci dwadzieścia tysięcy kredytów z kasy Arsina Crassusa za zabicie tego zdrajcy. Teraz, na miejscu. Co ty na to?

Crassus zerwał się z oburzeniem.

- Co takiego? Jak możesz? Ja nie złożyłem takiej oferty!

- Nie wyobrażam sobie, że mógłbyś wykazać złą wolę i odmówić Imperium wsparcia w ważnej sprawie - powiedział mofPandion, celując w Crassusa. - Nieprawdaż?

- Och... oczywiście. Co moje, to twoje.

Pandion zachichotał.

- Świetnie. - Obrócił się z Masterem w stronę Jas Emari. - Załatwione, Zabrakanko. Kasa jest twoja. Weź ją sobie. Och, ale

co to? Mamy skute rączki? - Z troską cmoknął językiem. -Co za skandal. Jak się domyślasz, nie będzie żadnego układu. Imperium nie potrzebuje już więcej łowców nagród.

Zamierzył się kolbą Mastera, żeby ją uderzyć.

Norra krzyknęła.

Ale Jas była szybka. Okazało się, że ma wolne ręce. Nie wiadomo, jakim cudem. Chwyła go za przegub i wykręciła. Pandion krzyknął z bólu. Jas wyrwała mu blaster, obróciła go i przystawiła lufę do głowy moffa.

- Niech nikt nie strzela, bo rozwalę mu łeb jego własną bronią - ostrzegła.

Jylia nawet nie drgnęła, a Crassus ciągle stał. Szturmowcy i gwardziści imperialni celowali do nich, ale Pandion powstrzymał ich gestem.

- Nie, nie. Zaczekajcie. Pozwólmy je mówić.

„Jak ona się uwolniła?” - zastanawiała się Norra.

W tym momencie Sinjir wstał. I jego kajdanki opadły.

Nagle ktoś cichutko zawołał ją z tyłu. Zerknęła za siebie i zobaczyła parę oczu patrzącą na nią zza kratki kanału wentylacyjnego, który biegł nad listwą podłogową wokół całego pokoju. Spomiędzy kratki wysunęło się małe, uniwersalne narzędzie. Głos powiedział:

- Mamo, przysuń do mnie przeguby. Zaraz otworzę zamek.

Od dziobu nadlatywał trafiony TIE, wirując w śmiertelnym korkociągu. Nienasycona próżnia pożerała ogień, buchający z burty. Morna napała na stery, w ostatniej chwili wykonując unik tą niesterowną, latającą cegłą, jaką był uszkodzony jacht. Statek zadrzął, kiedy myśliwiec wybuchł gdzieś za rufą.

W oddali para myśliwców TIE ścigała rebelianckiego X-winga. Statki śmigały, pikowały i nurkowały. Za nimi majesta tycznie unosił się gwiazdny niszczyciel „Vigilance”.

„Już niedaleko” - pomyślała Rae.

Wywołała Tothwina.

Jego zdenerwowana twarz pokazała się na ekranie.

- Nadlatujemy - powiedziała Rae. - Dok G2D1.

- Tak jest, admirale. Doznaliśmy wielu szkód i pole ochronne...

Morna pochyliła się ku niej.

- Pędzimy za szybko. Nie mogę zwolnić. Coś się spieprzyło.

- Jeśli będziemy mieli w pogotowiu droidy gaśnicze, powinno się...

Z jednej z rebelianckich fregat wystrzelił potężny promień, łącząc ją płonącym lukiem z „Vigilance”. Na mostku wykwitł gejzer ognia i szczątków. Obraz Tothwina zamigotał i zgasł.

- Pani admirał? - powiedziała Morna. - Nie możemy tam lądować. „Yigilance”...

- Jeszcze się trzyma. Plan ten sam.

- Pani admirał, stanowczo odradzam...

- Mam plan, Morna. Ty tylko nas tam dowieź.

Napięcie w pokoju było tak wielkie, że można by usłyszeć spadającą szpilkę. W każdej chwili ktoś mógł nacisnąć spust blastera. Jas stała z bronią Pandiona wycelowaną w jego głowę, drugą ręką przytrzymując mu kark. Norra odrzuciła kajdany i wstała. Sinjir pomógł Temminowi wyczołgać się z drzwiczek inspekcyjnych na środku podłogi. Norra podbiegła do syna i chwyciła go w objęcia.

- Jakie to wzruszające - szydził Pandion. - Ale co teraz, łowczyńni nagród? Trzymasz mnie na muszce, a tuzin Mistrzów celuje w ciebie.

- Ten jeden jest skierowany w twoją głowę - odparła.

- No jasne. I co dalej? Wylądujemy... i będziesz dalej mi grozić? Przecież w końcu znajdzie się ktoś, komu nie będzie zależało na moim przeżyciu.

- Rzekłabym, że już jest paru takich.

Skrzywił się.

- Ten ruch jest chwilowy. Jaki masz plan?

Jas uśmiechnęła się okrutnie i oblizwała cienkie wargi.

- Nie mam planu. Mam tylko twój blaster, moich przyjaciół i szczęście po swojej stronie. Do tego jesteśmy świetni w improwizacji, jak już się przekonałeś.

- Zapłacisz mi za to.

- Nie. Nam za to zapłacą.

Rae zapięła pasy.

Gwiezdny niszczyciel był coraz bliżej. Dok G2D1 okrywała lekka, falująca poświata pola ochronnego. Pola wysiadały po kolei i można było się spodziewać, że za chwilę „Yigilance” w ogóle je straci.

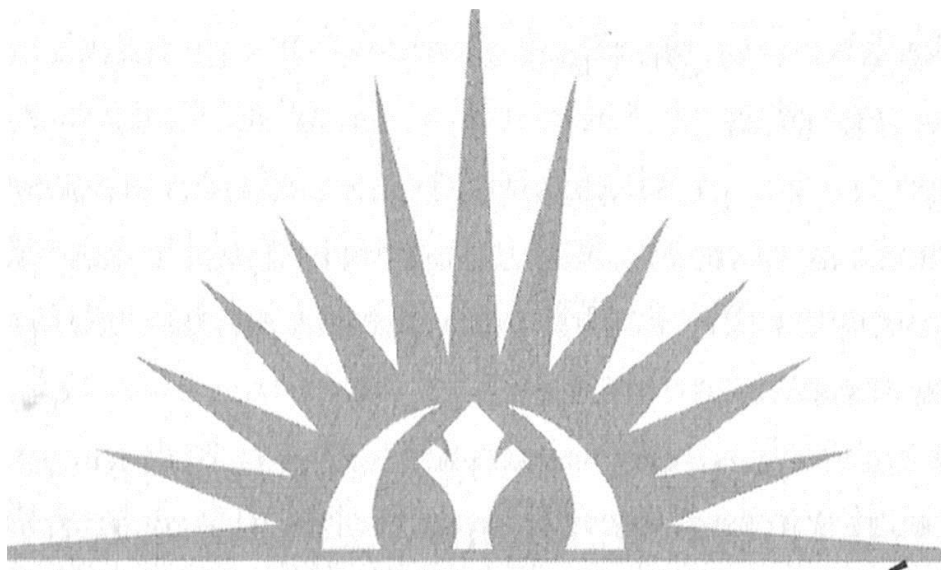
- Ufam, że nas nie zabijesz - powiedziała do Morny.

Pilotka kiwnęła głową.

- Taki jest plan.

Przygryzła wargi, skupiając się na zadaniu wprowadzenia jachtu do bramy doku. Rae czuła teraz prędkość. Wszystko rosło jej w oczach - szybko, o wiele za szybko... lądowisko gnało im na spotkanie...

Statek uderzył w nie twardo. Przeszył ją ból; przeniknął jej napięty kark i przeguby rąk wpartych w konsolę; miała wrażenie, że przeciążenie ją rozerwie. Jacht siadł ciężko, światła zgasły i słychać było tylko przeraźliwy zgrzyt metalu o metal, kiedy kadłub, kiwając się i podskakując, sunął nieubłaganie w głąb doku imperialnego gwiazdowego niszczyciela.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Wzst. Wzst...

Coś iskrzyło w ciemności. Obwody przepalały się z sykiem. Panele kołysały się na wyrwanych przewodach. Gryzący dym wypełniał powietrze i różne wonie walczyły w nim o pierwszeństwo - zapach rozgrzanego metalu, smród stopionego plastiku i jeszcze trzecia woń: elektrycznego ozonu.

Światło dochodziło z zewnątrz. Jaskrawe, intensywne, sztuczne światło.

Norra jęknęła i uniosła się na łokciach z nierównej powierzchni. Usiłowała dociec, co się stało, i nie musiała długo myśleć, gdyż znała z doświadczenia takie sytuacje.

„Twarde lądowanie”.

Pod nią leżał nieruchomy Temmin.

„O nie”.

- Temmin! Temmin! - Zsunęła się z niego, przyklękła i uniosła go do pozycji siedzącej. Gwałtownie wciągnął powietrze i powieki mu zadrgały. Otworzył oczy. Roześmiała się i przyciągnęła go do siebie.

- Au! - pisnął.
- Przepraszam, nie chciałam.
- Nie, to ja przepraszam.
- Dobra, później o tym pogadamy. Teraz musimy...

Coś poruszało się wśród dymu. Norra zmrużyła oczy i zobaczyła Jas skradającą się przez zrujnowany salon. Zatrzymała się nad jakimś ciałem, wycelowała w dół blaster i strzeliła.

Niebieski impuls ładunku obezwładniającego z wizgiem wystrzelił z lufy.

Ktoś, kto tam leżał, szarpnął się i opadł bezwładnie.

Jas się rozejrzała. Zobaczyła Norrę i wyciągnęła rękę, pomagając jej wstać. Potem poderwała z ziemi Temmina.

- Spóźniliście się - powiedziała do matki i syna.
- Jas, wybacz. Nie chciałam...
- Już dobrze. Wszyscy żyjemy.

Za ich plecami dał się słyszeć kaszel i Sinjir powiedział:

- Błagam, przestańcie. Nie zginąłem, ale zaraz się udławię waszym zbiorowym sentymentalizmem. Nie potrafię powiedzieć, co się dokładnie stało, ale założę się o ładną sumkę kredytów, że będzie źle, jeśli będziemy dalej zwlekać.

- Za dużo gadasz o tym zwlekaniu - warknęła Jas.
- A ty tracisz czas na docinki - odparował.
- Załoga, skupić się! - nakazała Norra. - Jaka jest sytuacja?
- Rozbiliśmy się - powiedziała Jas. - Ewidentnie. - Wskazała ruchem stopy leżącą postać. - To ciało doradcy Yupe Tashu.

Chwilowo obezwładniony. Zabezpieczyłam również generał Jylię

Shale. - Wskazała na skulony kształt. -Za nią leżał Crassus. Nie przeżył. Tak jak większość szturmowców.

Jeden z nich poruszył się i Jas wpakowała w niego ładunek obezwładniający. Z gulgoczącym jękiem opadł na podłogę.

- A Pandion?

- Nie ma go tu.

Norra kiwnęła głową.

- Chodźmy.

Przeszli na koniec salonu i razem natarli na rozerwaną burtę, za którą jarzyło się światło. W końcu udało im się odgiąć metal na tyle, żeby mogli się przecisnąć na zewnątrz.

Z tyłu było widać wejście do doku - prostokąt otwarty w próżnię. Jak na ekranie można było obserwować bitwę. Statki Nowej Republiki pluły salwami z dział. Wróg nie pozostał im dłużny. Ciemność raz po raz rozdzierała potężna energia wojny.

Przed nimi rozciągało się wnętrze gwiazdowego niszczyciela. Alarm się wyłączył.

Cały statek trząsał się i wibrował.

Myśliwiec przechwytyjący TIE przemknął z wyciem obok doku, z dwoma A-wingami o kształcie grotu strzały, siedzącymi mu na ogonie.

„Chcę tam być” - pomyślała Norra.

Dziwne uczucie. Dość przerażające. Ale głód walki i zew lania były silniejsze niż wszystko inne.

- Popatrz - powiedział Temmin, pokazując na coś.

Z drugiej strony doku stały promy typu Lambda oraz para myśliwców TIE. Jeden z promów właśnie startował.

- Ty - Norra pokazała na Jas - dowodzisz resztą. Zbierz swoje łupy i zaciągnij je na pokład jednego z tych promów. Potrafisz je pilotować, nie?

Jas skinęła głową.

- Nie tak dobrze jak ty, ale nadam się jako pilot. Spoko.

- Nada się - mruknął Sinjir. - Znów to słowo.

- Pomożesz jej, Sinjir. Temmin, a ty zrobisz coś bardzo ważnego. Słuchasz mnie?

- O... okej, mamó. Mów.

- Wrócisz do jachtu i znajdziesz tam kapitana Wedgea Antillesa. Słyszysz? Znajdź i zabierz go stamtąd jak najszybciej.

„Niech wszystko będzie z nim dobrze. Po tym, co...”.

- Mamó, co ty zamierzasz? - Głos Temmina wdarł się w jej myśli.

- Zamierzam wsiąść do jednego z myśliwców TIE i polecieć za tym, kto porwał ten prom. - Pokazała na statek, który z rykiem sunął w ich stronę, waląc z dział. Uskoczyli za wrak jachtu, podczas gdy ogień serii wypalał szeregiem dziury w podłodze doku, dopóki prom nie minął bramy i nie wyskoczył w przestrzeń.

Norra nie marnowała czasu, bo nie było ani chwili do stracenia.

Zerwała się i pognąła do myśliwców TIE. Słyszała, jak syn woła za nią, błagając, żeby nie leciała, żeby nie umarła, żeby go nie zostawiała. Ale Norra wiedziała, że musi tak postąpić. Wiedziała, kim jest i co ma robić. Właśnie tak. Czas polecieć jeszcze raz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Ta niemal psychodeliczna wolność, jaką daje pilotowanie TIE. Norra wbiła się małym imperialnym myśliwcem w samo serce bitwy. Ogień działał huczał ze wszystkich stron i laserowe smugi krzyżowały się przed nią w próżni. Wpatrywała swojej ofiary na tle gwiazd, aż wreszcie mignął jej namiar promu typu Lambda. X-wing pikował na niego jak drapieżny ptak. W tym momencie Norra uświadomiła sobie, że leci imperialnym statkiem.

Jedi słynęli z posiadania Mocy. Norra nie wiedziała, czy to była prawda, czy wymysł (choć w przypadku Skywalkera trudno było w to nie uwierzyć), ale była pewna jednego - Moc nie jest z nią. Posiadała za to inną cenną i przydatną cechę - zdolność wyłączania umysłu. Żeby nie zalewał jej natłokiem niepotrzebnych myśli. I nie skupiał się na detalach.

Przestać myśleć i po prostu czuć.

X-wing zaatakował i Norra zareagowała odruchowo - poderawała myśliwiec TIE i znalazła się na kursie X-winga. Teraz, mając wroga przed sobą, mogła kluczyć i robić uniki swoim zwrotnym statkiem, unikając trafienia.

Szybko przełączyła komunikator i nadała na kanale rebeliantów:

- Tu Norra Wexley, sygnał wywoławczy Żłota Dziewiątka. Przejęłam komendę nad TIE. Powtarzam: pilotuję ten myśliwiec.

I w myślach dodała: „Nie zabijajcie mnie, proszę”.

Komandor Agatę stała na mostku alderaańskiej fregaty „Sunspire”, śledząc rozwój bitwy. Łatwo było się w tym zagubić: całe

to szaleństwo zasysało i przyciągało jak płomień ćmę. Hipnotyzowało.

„Wygramy tę bitwę” - pomyślała mimochodem.

Co oznaczało, że wygrywają wojnę.

W tyle głowy Agatę od razu narodziło się nowe, nieuniknione pytanie:

„I co potem?”

Odezwał się chorąży Uray, który stał za nią. Błękitnoskóry Pantoranin powiedział:

- Wygrywamy w tej potyczce, komandorze.
- Wygrywanie nie oznacza zwycięstwa. Trzeba ich cisnąć.
- Tak jest, komandorze. Aha, i coś jeszcze. - Urwał na chwilę. - Chodzi o pilotkę myśliwca TIE. Zgłosiła, że jest... jednym z naszych. Z Eskadry Żółtych.

- Dziwne.

- Ale ona tak twierdzi.

Agatę zaczęła się zastanawiać. Czyżby pułapka? Tylko jaka? Co może zrobić pojedynczy TIE? To samobójcze statki, ale po co taki fortel?

Poczuła wewnętrzny impuls, podpowiadający jej, co ma zrobić.

- Daj jej wsparcie. I utrzymuj kontakt. Zobaczymy, jak to się dalej potoczy.

Ustalenie koordynat do skoku w nadprzestrzeń nie jest łatwym zadaniem w bitewnym zamęciu. Jeden błąd i statek znajdzie się w niewłaściwej przestrzeni, z której wyjście jest już tylko do grobu. (Z drugiej strony Rae wiedziała, że jeśli musi zginąć, to tylko tu, w kosmicznej pustce. Z gwiazdnego pyłu jesteś, w gwiazdny pył się obrócisz. Zwykle nie kręciły jej takie poetyckie sentencje, ale ta wyjątkowo do niej przemawiała).

- Już prawie gotowe - powiedziała. - Trzymaj nas na kursie, Morna.

Pilotka kiwnęła głową.

Rae na moment poświęciła myśli tym, których musiała zostawić za sobą. Żałowała szczególnie Adei. Nie potrafiła powie dzieć, czy dziewczyna przeżyła. Na pewno na to zasługiwała, ale jeśli zginęła, była to śmierć na posterunku w zaszczytnej służbie wielkiemu Imperium Galaktycznemu.

Syknęły otwierane drzwi kokpitu.

Dziwne, ponieważ ona i Morna Kee jako jedyne wsiadły na pokład tego promu - albo tak się jej wydawało.

Odwróciła się razem z fotelem, już wiedząc, kogo zobaczy.

Pandion.

Z blasterem w ręku. Smuga krwi z długiego rozcięcia na czole zasychała mu na skórze. Nos wydawał się złamany. Usta miał pokrwawione, a mundur był brudny, zakurzony i postrzępiony.

- Przeżyłeś - powiedziała.

- Tak - odparł z dziwnym uśmiechem, który szybko znikł z jego twarzy. - A teraz powiem ci, co będzie dalej. Lecisz do „Ravagera”. Zabierzesz mnie na tego gwiazdowego niszczyciela i tam przejmę nad nim kontrolę. Bo odtąd on będzie mój, pani admirał. Już nie twój. Ostatnia wielka broń Imperium przechodzi pod moje dowództwo, bo ty nie jesteś godna takiego statku.

Prom uskoczył przed serią strzałów. Rae poprawiła się w fotelu. Pandion stał z niecierpliwą, pożądliwą miną.

- Ty durniu - powiedziała. - Ty chciwy, egoistyczny głupcze. Wielki moff... Żałosne. Nawet nie wiesz, jak się mylisz. „Ravager” nie jest ostatnią wielką bronią. I nie potrzebuję nim dowodzić. Jest... jeszcze inna.

Pandion drgnął.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

- Właśnie to chcę powiedzieć. On nie zginął.
- Mówiłaś co innego.
- Kłamałam. - Wzruszyła ramionami.
- Czyli... to wszystko było jego planem? Tak? Powinienem się domyślić. Ty zdradziecka suko! Ty obrzydliwa, zdradziecka suko!

Ogarnęła ją panika.

„Nie, to nie miało się tak skończyć - pomyślała. Po chwili przyszła jeszcze gorsza myśl: - A jeśli właśnie tak?”

Jeśli to od początku było ukartowane?

Nagle statek się zatrząsnął. Morna, nie odrywając wzroku od ekranu, poinformowała:

- Mamy towarzystwo. Samotny myśliwiec TIE. Strzela do nas! I jeszcze statek rebeliantów. Zbliża się.

Rae przygryzła usta.

- Może to nowy plan? Lepiej się przypnij, Valco. Będzie bujać.

Dobrze jest znów tu być. Za sterami TIE Norra czuła, że może wszystko. Przed sobą miała prom. Wystrzeliła parę serii, ale pola ochronne wytrzymały. Nie na długo. Zwłaszcza że już leciała jej z pomocą eskadra Y-wingów. Jednak po co tyle czekać, skoro ma prom jak na widelcu i...

Myśliwce TIE. Wyroiły się jak osy. I huzia na nią. Już wiedziały, że nie jest swoja, i pruły do niej. Zawróciła, odciągając trzy z nich. Trzymały się jak przylepione, powtarzając każdy jej zwrot czy obrót, każdy przewrót i uskok. A ona podprowadzała je Y-wingom.

Rebelianckie myśliwce były w dali, przed nią.

- Uwaga na cel - rzuciła do mikrofonu.

Wyglądało to na misję samobójczą. Lot na czołówkę z bratnimi statkami, z pilotami Nowej Republiki. Ale Norra wiedziała,

co robi. Ćwiczyła to nieraz. Imperialni w życiu się nie domyślą, co zaraz zrobi.

W ostatniej chwili wystrzeliła świecą w górę i rebelianci otworzyli ogień.

Imperialne myśliwce rozkwitły pióropuszcami płomieni.

Teraz z powrotem do promu.

Nie było jej przez chwilę, a ten zdążył nagle zmienić kurs.

Nie, jednak wrócił do poprzedniego. Tam. Zmierzał ku drugiemu z gwiazdnych niszczycieli. Mały prom pędził w stronę potężnego imperialnego statku. Norra wycelowała blastery i zaczęła strzelać.

Pandion wołał stać.

Tego można się było spodziewać - nie chciał pokazać słabości.

„To będzie jego koniec” - pomyślała Rae.

- Tam jest twój niszczyciel, moffie - powiedziała. - „Yanquish”. Zaraz go przejmę.

Roześmiał się.

- Chyba przeceniasz swoje...

Rae błyskawicznym ruchem wyrwała Mornie stery i szarpnęła je w prawo. Statek skręcił gwałtownie.

Pandion stracił równowagę. Morna szybko ustabilizowała prom, a kiedy moff zaczął się gramolić z podłogi, Rae zerwała się z fotela i trzasnęła go pięścią w splot słoneczny, a potem wyrwała mu blaster.

Strzeliła moffowi w brzuch i wykopała wijące się ciało z koptu.

Drzwi zamknęły się za nim cicho. Sloane szybko wstukwała na panelu kod blokady. Z drugiej strony Pandion krzyczał, jęczał i walił pięściami.

Prom dygotał pod ogniem myśliwca.

- Dobra, dajmy im to, czego chcą - powiedziała Rae. - Dajmy im ten statek. Dajmy im Pandiona. Niech się udławiają.

Morna kiwnęła głową.

I rozpoczęła procedurę ratunkową, podczas gdy Rae w pośpiechu wprowadzała kody autodestrukcji do matrycy hipernapedu.

Wszystko działało się tak powoli, a jednocześnie tak szybko. Norra ostrzelała silniki promu, niszcząc pole ochronne z łatwością dziecka, które zdiera opakowanie z zabawki. A potem wymierzyła w dysze i wcisnęła spust. Silniki rozbłysły błękitną eksplozją, która powinna szybko przygasnąć.

Tymczasem stało się na odwrót.

Silnik buchnął pękiem jaskrawych promieni, aż Norra musiała zasłonić oczy. Prom przechylił się w lewo i poruszał się teraz nie jak statek, tylko jak dryfujący kosmiczny złom. Kiedy pojęła, co się dzieje, było już za późno.

„On zaraz wybuchnie”.

I prom wybuchł. Targnął nim wstrząs i eksplodował. Ogień buchnął w przestrzeń. Norra próbowała uciec mu z drogi, szarpiąc się ze sterami, żeby wymusić gwałtowny, jak najszybszy skręt na prawą burtę, ale ogień wypełnił jej pole widzenia i wszystko się zatrzęsło. Iskry z sykiem trysnęły z konsoli i w tyle głowy zakolała myśl: „To już koniec, koniec... Przynajmniej ginę, robiąc to, co kocham. Ginę w walce. I Temmin wie, że go kocham. Kocham cię, Temmin”.

Wszystko znikło.

INTERLUDIUM

JAKKU

„To miejsce jest martwe” - pomyślał Corwin Ballast.

Tu nie ma nic. Tylko pustka ciągnąca się w nieskończoność. Wyschnięta skorupa pustyni. Smagające bicze pyłu. A za nimi wydmy. Piaskowe wzgórza biegnące po horyzont, rozpalone jak ogień. Powielające się bez końca pod kopułą pustego nieba bez chmur.

Za jego plecami stały nędzne, poszarpane namioty. Rozpięte na pordzewiałych żerdziach i prętach zbrojeniowych pogiętych jak artretyczne członki. Wiatr groził, że je zniszczy i porwie, ale nie dotrzymał obietnicy. Te namioty były tu od tak dawna, że stały się częścią ich świata. Tak jak jego mieszkańcy.

Corwin wyszedł ze śmigacza - starego rzęcha, którego kupił od pary pustelników spod Tuanul. (Dał im więcej, niż się należało. Gest dobroczynności. Zresztą jakie to ma teraz znaczenie?). I przyleciał nim tu, pomiędzy śmieciarzy, wyrzutków, odpadki galaktycznej cywilizacji. Wysmaganych piaskiem i poznaczonych bliznami, które były znakiem firmowym tego brutalnego świata. Odziany w łachmany bandzior o tłustym cielsku i okrągłej twarzy okolonej kosmykami czarnych rzadkich włosów wyszedł mu na spotkanie. Oblizał spękane usta i cmoknął.

- Kogo my tutaj...

Corwin jednak znał zasady gry. Nie był głupi. Już nie. Zahańczył kciukiem pętlę od zapięcia kurtki i odciągnął połą, ukazując smukły, śmiercionośny, samopowtarzalny HyCor z chłodzoną lufą.

Na ten widok obdartus odchrząknął i zmył się szybko, żeby poszukać łatwiejszej ofiary, która nie żądli i nie gryzie. A Corwin poszedł poszukać baru.

Nie był zbyt reprezentacyjny. Zespawany ze starych blach i innego złomu wyglądał, jakby zaraz miał się rozsypać. Funkcję

dachu pełniła spodnia część kopuły udarowego kombajnu górniczego 323 Rakhmann. Pył i piach, gnane wiatrem, z sykiem szorowały po cienkich blachach.

Corwin przysunął sobie zardzewiały stołek i usiadł obok gościa, który miał twarz jak żywa czacha - to Uthuthma, okutany jak szalem łańcuchem, który przysłał mu jego zębatą paszczę. Obcy zagadał do niego w swoim niezrozumiałym języku: *Matheen wa-sha wa-sho-tah*. Corwin nie wiedział, czy to było stwierdzenie, czy pytanie, więc mrugnął tylko porozumiewawczo do swego sąsiada i pokazał mu uniesiony kciuk. Wtem ktoś głośno, gulgotliwie odchrząknął za ladą. Corwin odwrócił się i zobaczył barmana.

Gość był wielki jak góra. Góra otłuszczonych mięśni. Nos jak złamane drzewo. Cała prawa strona twarzy poznaczona bliźnami. Niektóre sterczące i gruzłowate, z powrastanymi odłamkami metalu czy kamienia. Jeden taki odłamek był większy niż opuszka kciuka Corwina i sterczał z policzka mężczyzny tak, jak skała sterczy z wyschniętego pustkowie.

- Co dać?
- A co masz?
- Nic poza Wałącym Nektarem, jak go nazywają.
- Skoro masz tylko to, po co pytasz, czego się napiję?

Barman wzruszył ramionami.

- Wielu chce mieć złudzenie wyboru. Taka pociecha w tych ciężkich czasach.

- Dobra, więc pociesz mnie, dobry człowieku.
- Dobry człowiek... - mruknął barman.

Z dużej puszkii po oleju nalał do małej i postawił ją przed Corwinem. Tak zwany Nektar miał kolor płynu hydraulicznego i pływały w nim jakieś strzępki. Lekkie i gąbczaste.

- Co to ma być?
- Wałący Nektar, już ci mówiłem.

- Wiem, ale mówię o tych kawałkach.

- Ehem... Hm... Nie ma co pytać. Po prostu mi to przywożą. Zdaje się, że chodzi o jakieś porosty zeszkrobywane ze skał na południu. Słyszałem, że marynują je w beczkach po paliwie czy coś takiego.

- I rzeczywiście to mnie walnie?

- Walnie nawet kosmicznego ślimaka.

Corwin spróbował ostrożnie. Smakowało jak kwaśna plwocina z posmakiem oleju silnikowego. Po chwili zdrętwiały mu džiaśła i zabolaly go zęby.

Dobra, może być.

Uthuthma znów zabełkotał do niego:

- *Matheen bachee. lss-ta ta-hwhiss.*

- Niech z tobą też będzie Moc - odparł Corwin.

Dostał pijackiej chryпки już po jednym łyku Nektaru.

Słowa wychodziły z niego ze zgrzytem. Roześmiał się.

W tym śmiechu dźwięczały szaleństwo, smuta i pustka. Jak cała ta okolica. Jak cała ta planeta.

- Nie jesteś stąd - stwierdził barman.

- Skąd wiesz?

- Niewielu tu zaczyna. Większość... kończy tutaj. Odrzućni przez życie jak niepotrzebny ładunek. Jak śmieci.

Corwin wzruszył ramionami, prychnął i pociągnął łyk swojej trucizny.

- Dziwny z ciebie facet - podjął barman. - Szukasz roboty?

- Może. A jest jakaś?

- Ha... Pff... Nie bardzo. Jeśli już, to w kopalniach, daleko stąd, ale też nie za dużo. Mamy tu magnit i bezorit, a chodzą słuchy, że koło Cratertown odkryto nowe złoża gazu kesium, choć to mogą być plotki. Mamy też bandy lumpów.

I wyścigi na północy. Jeśli złożysz śluby, możesz zostać pustelnikiem... ale nie, to do ciebie nie pasuje. Już raczej widziałbym cię jako barmana, ale jak widzisz, posada jest zajęta.

- Pomyślę o tym wszystkim, dzięki.

Barman był wyraźnie w nastroju do pogawędki.

- Co cię tu przygnało, jeśli wolno spytać?

- Jeszcze nie wiem, czy tu mnie przygnało.

- Dobra, inaczej - co robisz w Barze Ergela?

- Ty jesteś Ergel?

- Zgadza się.

- A co mam robić, Ergel? Po prostu wpadłem na jednego.

- Przyleciałeś tu, bo chciałeś? Tak z własnej woli?

- Z własnej, nieprzymuszonej woli.

Ergel patrzył na niego przez długą chwilę, a potem ryknął śmiechem. Potężnym, szczerym i gulgoczącym, jakby miał w gardle swój firmowy nektar. Policzki mu drgały i trzęsło się brzuszko.

- Galaktyka to szmat przestrzeni, stary - powiedział, kiedy się uspokoił. - Rozległa jak paszcza nexu, licząc z kłami. Gwiazdy są nieskończone. Światy można od biedy policzyć, ale nie starczyłoby do tego nawet stu rąk. Masz planety, księżyce, faktorie, stacje, statki... - Znów zaczął się śmiać. - A ty akurat tutaj?

Corwin kiwnął głową.

- Tak.

- Dlaczego? Muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć, co może popchnąć faceta do takiego ruchu.

- *Matheen vis-vis tho hwa-seen* - powiedział Uthuthma.

- Zamknij się, Gazwin - ofuknął go Ergel. - Pozwól mu dokończyć. - I rzucił do Corwina: - Nie zwracaj uwagi na tę czachę. Mów.

Corwin zamrugał parę razy, ale obraz, który pojawił mu się pod powiekami, nie dał się odpędzić. Znów zobaczył tę scenę w swoim rodzinnym mieście, Maborn na Mordal.

Jego mała córeczka leży na ulicy.

Jej pierś unosi się i opada niedostrzegalnie.

Imperialni okopani w jednym końcu miasta.

Rebelianci w drugim.

Corwin też tam jest; razem z żoną Lynntą ukrywa się z boku, za skrzynkami z jedzeniem. Nagle Lynnta zrywa się i biegnie do dziecka, a on za nią... Lynnta przyspiesza, krzyczy, sięga...

Ogień laserów. Z obu stron.

Głowa Lynnty odskakuje do tyłu...

Kobieta pada.

Corwin rzuca się przed siebie skokiem...

Pałace uderzenie w bok. Strzał przebija mu ciało na wylot. Słyszy ten syk. Czuje, jak wstrząs rozprzestrzenia się w organizmie - jakby bomba wybuchła pod wodą. Boom.

I wszystko znika.

Kiedy wybudził się po paru tygodniach w zbiorniku z bactą, w czołgu, gdzieś poza miastem, jego rodziny już nie było. Już zdążono je pochować. Żadna ze stron nie wygrała wojny i obie wróciły do domów, żeby tam lizać swoje rany.

- Wojna - powiedział Corwin. - Jestem zmęczony wojną.

- Nie wyglądasz na imperialnego. Założę się, że jesteś rebeliantem.

- Nie, ani tym, ani tym. Jestem po prostu mężczyzną, który próbuje znaleźć miejsce na świecie dla siebie i swojej rodziny.

- Przyleciałeś tutaj z rodziną?

- Tak - odpowiedział Corwin, ale nie wyjaśnił, że przywiózł ją tylko w sercu - i na zdjęciu, które miał ukryte w bucie. -

Chciałem wywieźć żonę i córkę jak najdalej od walk. Do miejsca, gdzie wojna nigdy nas nie znajdzie. Tam, gdzie kończą się mapy.

- No to znalazłeś, co chciałeś, chłopie. Dalej już nic nie ma.

Wojna nie ma żadnych interesów na tym ugorze.

- Obiecujesz?

- Jeśli wojna tu przyjdzie, postawię ci tyle Wałących Nektarów, ile zechcesz.

- Układ stoi.

- To jest umarłe miejsce, wiesz?

- Wiem.

To pasowało Corwinowi - umarłe miejsce dla kogoś, kto umarł za życia.

CZEŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

A jednak wróciła.

Norra krzyczała w ciemności i nagle stało się światło. Wszystko przeniknęła elektryzująca energia. Jej ciało było jasne, zbyt jasne. Wszystko wibrowało i płonęło, a ona wdzierała się do góry; poczuła coś na ramieniu, chciała to zerwać, i jeszcze coś w nosie, i w ustach, więc to też zaczęła szarpać. Krztusiła się. Kaszłała. Nagle ktoś się zjawił. Przytrzymał ją. Unieruchomił jej ręce.

„Puść mnie” - chciała powiedzieć, ale jej głos był tylko chrypiącym, dławiącym się rżeniem. Za to usłyszała głos:

- Cii, mamó. Cii. Już dobrze. Spokojnie.

Temmin. Och, na wszystkich bogów wszystkich gwiazd, tu jest jej syn. Tuli ją. I ona tuli jego.

Teraz zobaczyła, że znajduje się w białym pokoju. Za oknem błękitne niebo. Obok niej droid medyczny, gotowy do interwencji.

Temmin pocałował ją w policzek. W odpowiedzi musnęła mu czoło spieczonymi ustami.

Norra się rozplakała.

Mijały dni i wrócił jej głos, a z czasem mogła już siedzieć w pokoju rekreacyjnym szpitala w Hanna City. Za szybą rozciągało się miasto, a za nim falujące od wiatru łąki. Chandrila była pięknym, spokojnym miejscem, które długo nie zaznało wojny. Wydawało się reliktem z otchłani czasu, pamiątką z innej ery.

Siedziała tam jeszcze z dwiema osobami.

Z admirałem Ackbarem.

I kapitanem Wedgeem Antillesem.

Wedge wyglądał lepiej niż ona, choć jeszcze nie całkiem dobrze. Chodził o lasce, ale mówił, że wkrótce nie będzie jej potrzebował.

Ackbar natomiast sprawiał wrażenie zmęczonego, ale też się cieszył, że ją widzi.

- Jesteś fantastyczna, Norro - powiedział.

- Nie wydaje mi się, panie admirale - odpowiedziała.

Ciągle miała chrypkę. Była drażliwa i podminowana. Od chwili, kiedy droid wybudził ją ze śpiączki z pomocą sobie tylko znanego środka, miała wrażenie, że jest nadmiernie naładowaną baterią. Chciała zerwać się, biec, skakać, tańczyć, ale jej ciało nie było w stanie zrobić żadnej z tych rzeczy. Czowała się obolała, słaba i zmęczona jak stary pies piżmowy. Ackbar i Wedge wymienili spojrzenia. Wedge kiwnął głową i admirał wyjął niewielkie pudełko.

- To dla ciebie - powiedział.

Spojrzała na niego zdziwiona, ale wzięła je.

Wewnątrz był medal.

- Ja już mam jeden - powiedziała. - To chyba jakaś po-

- Można zasłużyć na więcej niż jedno odznaczenie - stwierdził Ackbar mruklawie, ale na jego wargach wykwitł dziwny uśmiech. - Twoje wysiłki na Akivie przyniosły oszałamiające rezultaty.

- Nie... nie rozumiem, w jaki...

- Skromność jest godna pochwały, lecz fakty świadczą o tym, czemu chciałabyś zaprzeczyć - rzekł admirał. -Uratowałaś kapitana Antillesa. Pomogłaś nam ująć dwie ważne imperialne postacie: generał Jylię Shale i doradcę Palpatinea Yupego Tashu. Dzięki tobie mogliśmy potwierdzić śmierć dwóch innych: moffa

Valco Pandiona i handlarza niewolników Arsina Crassusa. - Słowa „handlarz niewolników” Ackbar wymówił z gniewem.

- A co z admirał Sloane? - spytała Norra.

Wedge westchnął.

- Mamy jej asystentkę, Adeę Rite, ale Sloane zdołała uciec. Dlatego ty się tu znalazłaś i przez miesiąc leżałaś w śpiączce. Wyszłała prom i uciekła w kapsule ratunkowej.

Teraz Norra zrozumiała. „No jasne”. Kokpity promów typu Lambda w potrzebie stają się kapsułami ratunkowymi. Dopowiedziała resztę za Akckbara:

- Niech zgadnę: poleciała w tej kapsule do gwiazdowego niszczyciela...

- I rozpędzili go do szybkości światła. Tak.

Norra przygryzła usta. Rozczarowanie było niemal bolesne.

Wedge sięgnął do jej dłoni i ujął je w swoje.

- Znajdziemy ją. Przejęliśmy dwa inne gwiazdne niszczyciela. To było wielkie zwycięstwo Nowej Republiki.

Przytaknęła ruchem głowy, zmuszając się do uśmiechu.

- Dziękuję, kapitanie.

- Jest coś jeszcze - powiedział Ackbar.

- Tak, admirale?

- Mam dla ciebie nową robotę, jeśli zechcesz.

- Ja... nie wiem, admirale. Mój syn...

- Po prostu posłuchaj i potem się wypowiesz.

Kiwnęła głową.

Słuchała.

A kiedy skończył, powiedziała „tak”.

Akiva. Jak zwykle gorąca. Jak zwykle parna. W nocy szalała burza, toteż lądowisko było pokryte liśćmi palm oraz mięsistymi, szerokimi liśćmi i niebieskimi pomarszczonymi kwiatami drzew

asuka. Kwiaty zbite ulewą i leżące w kałużach wciąż były ładne, ale jej kojarzyły się z topielcami.

Norra stała na płycie z torbą podróżną na ramieniu.

Obok niej stał Temmin, też z torbą.

Nad lądowiskiem powiewała flaga Nowej Republiki, a nad ich głowami ryczała startująca koreliańska korweta. Akiva jako pierwsza planeta Zewnętrznych Rubieży oficjalnie dołączyła do grupy światów, które dokonały akcesu do Nowej Republiki. Satrapa - zdradzony przez Imperium, widząc bunt i wściekłość mieszkańców Myrry - uznał, że najlepszym sposobem ocalenia skóry i władzy będzie podzielnie się rządami z Republiką. (Norra dziękowała gwiazdom, że pierwsze rozporządzenia nowych władz dotyczyły korupcji i zbrodni. Co prawda Surat zdążył uciec, ale jego gang został osądzony i wielu trafiło do więzienia. Satrapa i jego akolici zapewne liczyli, że spłynie na nich blask nowych czasów, lecz należało przypuszczać, że trafią do najbardziej mrocznych i krwawych rozdziałów książek historycznych).

- Jesteś pewien? - spytała.

- Tak, jestem pewien.

- Możesz tu zostać, jeśli chcesz. Zrozumiem.

- Nie chcę tu zostać. Myślałem, że to miejsce jest domem, ale już nie jest.

Uśmiechnęła się.

- Nadal może być.

- Ty jesteś moim domem. Gdzie ty, tam ja, mamó.

Norra przygarnęła go do siebie.

- Myślisz, że odnajdziemy kiedyś tatę?

- Możliwe. Te kubiki z danymi, które wykradłeś Suratowi, zawierały dużo informacji o kryminalnych układach Imperium. - Jas je wszystkie przetłumaczyła. Wyglądało na to, że Surat zbierał różne informacje, na wypadek gdyby musiał kupić sobie

wolność u władz Nowej Republiki. Temmin, kradnąc je, pozbawił go jedynej karty przetargowej. W archiwach znajdowały się informacje dotyczące powiązań Imperium z kryminalnymi organizacjami w całej galaktyce. -Huttowie i inne mafie prowadziły dla Imperium nielegalne więzienia - dodała. - Mam nadzieję, że przy okazji naszych podróży odwiedzimy je. - Holocrony dostarczyły wielu informacji przydatnych do ich nowej misji. - Nie mogę ci jednak niczego obiecać. Nie tak jak dawniej. Nie wiem, co się jeszcze wydarzy. Musisz być tego świadom, Temmin. Ale będziemy próbować. OK?

- Wiem. - Spojrzał na nią. - O, jest nasz transport.

Statek zniżał się do lądowania; bliźniacze silniki przekreśliły się w dół, kierując odrzut ku ziemi, żeby spowolnić opadanie. Była to fregata szturmowa SS-54. Na burcie statku widniał porysowany wizerunek małej laleczki tooka ze sztyletem w łapce. Napis pod nim był tak zatarty, że można było odróżnić tylko dwa słowa: „Kamień Pioruna”.

Statek wylądował i wysiadło z niego troje ludzi. Pierwsza Jas, przeciągając się po długim locie. Za nią Sinjir. Nadal miał ten niedbały luzacki styl i był nawet bardziej zarośnięty niż dawniej. A jednak podskórnice trwał w nim ten imperialny sznyt, jak resztki ciemnej aury.

Ostatni wyszedł mężczyzna z bujnymi bokobrodami i krzaczystym wąsem. Na ręce miał usztywniacz. U pasa wisiał mu bła-ster, a w drugiej ręce trzymał hełm.

Od razu podszedł do Norry i wyciągnął rękę na powitanie.

- Norra Wexley, jak się domyślam? - spytał.

- Jom Barell - odparła i uściśniła mu dłoń. - Cieszę się, że mogę wreszcie cię poznać. Doceniam i podziwiam twoją walkę w Myrze. I zawsze będę pamiętała o dzielnych chłopcach i dziew-

czynach z Sił Specjalnych, którzy zginęli tego dnia. Jestem wdzięczna, że przejąłeś wtedy inicjatywę.

Temmin minął ich i mruknął:

- Choć omal nas nie zabiłeś.
- To twój chłopak? - zapytał.
- Tak, to mój syn.

Temmin serdecznie uściskał Jas, a Sinjira wałnął w ramię.

Norra zawołała za nim:

- Temmin, nie zapomniałeś o czymś?
- Och, jasne! - Wsadził dwa palce do ust i gwizdnął. -Hej,

Bones! Lecimy!

Przy brzegu lądowiska zwinięty Pan Bones szybko uniósł głowę. Droid, którego Temmin i Norra w ciągu ostatniego tygo dnia odtworzyli wspólnie ze szczątków i gratów z piwnicy Esmelle i Shirene - „rodzinne przedsięwzięcie”, jak to nazwała - wyprostował się i ruszył ku nim. W jednej ręce miał blaster, a w drugiej - kwiat.

- Rozkaz, rozkaz.

Droid bojowy przebiegł obok nich, robiąc małe dziury w powierzchni lądowiska. Norra pomyślała, że trzeba będzie jeszcze popracować nad jego amortyzatorami.

Jas i Sinjir podeszli do niej.

- To co, jesteśmy gotowi zapolować na imperialnych zbrodniarzy wojennych? - zapytała Jas.

- Och, pewnie. - Sinjir prychnął kpiąco. - Chciałbym wierzyć, że będę polował na niebezpieczną zwierzynę, ale skończy się pewnie na ganianiu tłustych imperialnych urzędasów zadekowanych na galaktycznych zadupiach.

- Obowiązki wzywają - powiedziała Norra. - Cieszę się, że wy też się zgodziliście. Nie liczyłam na to. Kiedy Ackbar zasu

gerował, że moglibyśmy znów działać w jednej drużynie, pomyślałam, że zwariował.

- To jest kasa - powiedziała Jas ze wzruszeniem ramion.

- I drinki za friko - dodał Sinjir.

Jom zmarszczył brwi.

- Och, widzę, że będzie zabawa. Chodźcie. Robota czeka.

Norra się uśmiechnęła.

Temmin stał na trapie statku Jas i machał do nich. Szybko dołączyła do niego, ciekawa, jaka przygoda czeka ich tym razem.

INTERLUDIUM CHANDRILA

- Nazwisko? Stopień? - dopytywała Olia.

Mężczyzna idący na czele pochodu więźniów spojrzał na nią zaskoczony.

- Kapral Argell. Camerand Argell. Ale... A pani?

Nie odpowiedziała, tylko dalej zadawała pytania.

- Co to ma być? - Pokazała gestem więźniów. Słudzy Imperium, przeważnie w mundurach - szturmowcy w spodnim ubraniu, oficerowie w szarych i czarnych uniformach. Niewielu ich było, najwyżej tuzin.

- To chyba widać - odparł. - Po prostu... więźniowie. - Mówiąc, zerkał nerwowo na kamerzystę, Trandoshanina Luga. - Zdobyliśmy niewielki garnizon, tam, na Coruscant. Ci więźniowie mają być umieszczeni w jednym z obozów i komandor Rohr po-

myślał, że przydałaby się taka mała parada, aby uczcić zwycięski dzień i... no, w ogóle. - Zamrugał. - Czy mnie filmujecie?

- Tak - odpowiedziała. - A to nie jest w porządku. Zabierz tych ludzi tam, gdzie mają przebywać. To nie było, żeby ich oprowadzać. Oni nie są waszym trofeum!

- Ale przecież powinniśmy być dumni, że wygrywamy tę wojnę...

- Nikt nie powinien być dumny z wojny, kapralu. Nikt. Nie prowadzimy wojen, dlatego że lubimy wygrywać. Dlaczego chwałą ma być pokonanie przeciwnika? Zwycięzamy, bo chcemy stanąć po właściwej stronie rzeczy. A to... - Wyrzuciła ramiona w górę, jakby próbowała (niezbyt przekonująco) zademonstrować swoje oburzenie. - Takie właśnie były metody Imperium. Orowadzanie więźniów na pokaz, żeby wzmóc nienawiść do wroga. My nie będziemy tacy. Musimy być od nich lepsi. Przytaknij, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Z wahaniem kiwnął głową.

- Oczywiście, pani rzecznik.

- To dobrze. Dobrze. A teraz idź. Powiedz swojemu komentowii, żeby zmienił podejście.

Argell przełknął z wysiłkiem i niezgrabnie pomachał do kamery. Następnie oddalił się i szybko poprowadził za sobą więźniów. Olia stała, sapiąc gniewnie.

Podeszła do nich Tracene. Kamera nie przestała filmować.

Położyła dłoń na ramieniu Pantoranki. Drobny gest, ale wystarczył - Olia wypuściła wstrzymywany oddech.

- To było coś. Dobra jesteś.

Olia uśmiechnęła się sztywno.

- Po prostu musimy się starać. Wszyscy. Jeśli nasze zwycięstwo ma mieć jakiś sens, trzeba zachować twarz.

- Martwisz się, że Nowa Republika zejdzie na złą drogę? Że te wszystkie rzeczy: protesty, sieroty i pochód więźniów są sygnałami ostrzegawczymi? Czy Nowa Republika przetrwa?

Olia popatrzyła na nią. Uniosła brodę i powiedziała z absolutnym przekonaniem:

- To jest demokracja. Dziwna rzecz. Z pozoru chaotyczna. Tu nie chodzi o absolutną rację, tylko o próbę zbliżenia się do niej. Wiem, to nie brzmi przekonująco. I na pewno popełnimy jeszcze wiele błędów na tej drodze. Imperium? Oni mają za nic demokrację. Nade wszystko cenią porządek. Tak bardzo pragną mieć rację, że każdy, kto zdobędzie się na odrobinę krytyki albo będzie postępował inaczej, zostanie obwołany wrogiem i skończy za kratkami. Oni uciszyli wszystkie głosy, aż pozostał tylko ten jeden. My nie będziemy tacy. Będziemy dążyli do dobra. Nie zawsze z powodzeniem. Będziemy po drodze popełniać błędy. Ale będziemy też słuchać. Tych niezliczonych głosów wołających do nas z całej galaktyki - i nigdy nie pozostaniemy na nie głusi. Tylko tak może trwać demokracja. Tak może rozkwitać. Zresztą popatrz. Tam.

Pokazała ręką.

Na nowy pochód.

Senatorowie. Setki, nawet więcej. Ze światów całej galaktyki - teraz nawet z Najdalszych Rubieży. Idący ku staremu gmachowi Senatu Chandrili. I rosnący tłum obywateli: klaszczących, gwizdających, radujących się. To był dopiero początek. Ale był. Skromna inauguracja.

Olia się uśmiechnęła.

- To właśnie jest demokracja. To jest Nowa Republika. A teraz wybaczone, ale muszę lecieć, bo mam mnóstwo roboty. Niech Moc będzie z tobą, Tracene.

Dziennikarka się uśmiechnęła.

- Daj czadu, Olia.

EPILOG

Rae stała na mostku „Ravagera”. Obok niej, spoglądając na lśniąca w oddali mgławicę Vulpinus, stał admirał floty.

Ręce miał splecione za plecami. Nucił coś sobie pod nosem. Chyba coś z zamierzchłych czasów Dawnej Republiki. Posłuchała chwilę i rozpoznała - frazę z *Imperialnej furii*.

- Panie - zaczęła.

Powstrzymał ją gestem uniesionego palca. I nucił dalej, kołysząc do taktu głową, aż doszedł do cichego crescendo. Nie patrząc na nią, opuścił palec i powiedział:

- Tak, pani admirał Sloane?
- Od dawna pragnęłam pana o coś zapytać.
- Możesz być ze mną szczerą. - Obrócił się ku niej.

Miał chłodną minę. I analityczne spojrzenie. Jakby była soczystym kawałkiem mięsa, z którego chciałby wykroić najlepsze kąski. - Słucham.

- Ta narada. Na Akivie.
- Ponura sprawa.
- Nie przebiegła tak, jak planowano. - Zawahała się. -Choć z drugiej strony nie jestem pewna. Czy... tak to zaplanowałeś, panie?

Uśmiechnął się.

- Sprecyzuj.
- Hm... wiele o tym myślałam. Wszystko działo się tak szybko. Szybciej, niż przewidywał jakikolwiek harmonogram. I zaczęłam się zastanawiać: czy ktoś z nas nie ściągnął rebeliantów? Przeprowadziłam śledztwo, szukałam. I odkryłam... połączenia. Na tajnej częstotliwości mojego statku. Przesyłane do... na kanał rebeliancki albo tak mi się wydawało.

- Oświeć mnie: dlaczego miałbym za tym stać?

Zawahała się.

- Myślałam o tym. Chyba dlatego... żeby wyeliminować konkurencję.

- Interesująca teoria.
- Mnie interesuje, czy jest słuszna, admirał.

Sięgnął po jej dłoń i uścisnął ją.

- To był test.
- Mogłam tam zginąć. Na Akivie. Albo trafić do niewoli.
- Ale nic takiego się nie stało. Nie pojмали cię. Przeżyłaś. Jesteś najlepsza i najbystrzejsza z moich ludzi. Dlatego przeżyłaś ten test. Potrzebuję takich jak ty.

Musiała zadać pytanie, którego nienawidziła:

- A gdybym nie przeżyła?

- To by oznaczało, że myliłem się co do ciebie. Że nie jesteś najlepsza i najbystrzejsza. Że jesteś taka jak inni. Jak Pandion, Shale i reszta. Oni są słabi. Są jak chore sztuki, które należy oddzielić od stada. Nie przeszli testu i już nie są dla nas ciężarem.

Usiłowała stłumić dreszcz.

- Popatrz - ciągnął, pokazując na jarzące się czerwono zwoje mgławicy Vulpinus; na obłoki i gwiazdy za nimi. - Przyjrzyj się. To już nie jest nasza galaktyka.

- Admirale, jeszcze nie przegraliśmy.

- Och, ale przegramy. Widzę przerażenie w twoich oczach, ale nie rozpaczaj, admirał Sloane. Taka jest kolej rzeczy. Imperium staje się... tak, brzydkim, nieeleganckim mechanizmem. Prymitywnym i nieskutecznym. Potrzebny jest nam rozpad. Musimy się pozbyć tych, którzy chcieliby, żeby ta archaiczna maszyna, sapiąc, dalej sunęła przed siebie. Nie, nam trzeba zmian. Zmian na lepsze. Czegoś nowego. Nowe Imperium musi mieć prawdziwie kosmiczny rozmach.

Sloane nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Owładnęła nią dziwna mieszanka grozy, niesmaku i... nadziei?

Czy on próbuje ją wkopać?

Czy po prostu ją sprawdza?

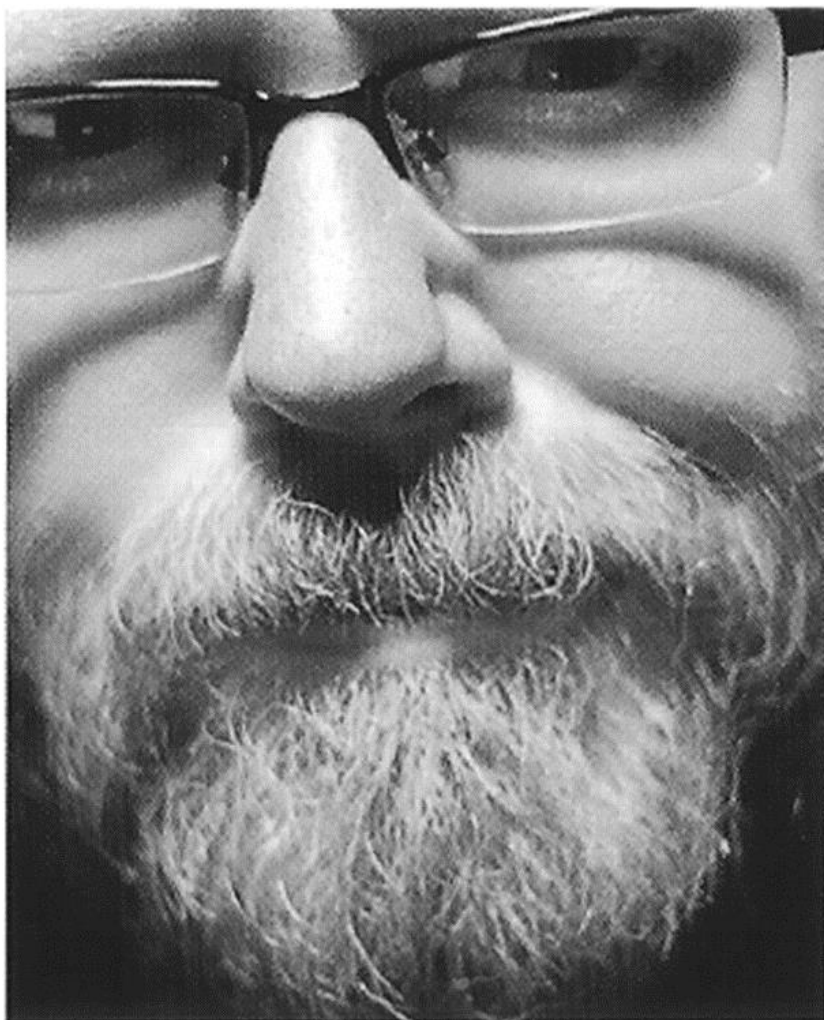
W rezultacie zdołała tylko wyjąkać:

- Tak jest, admirale.

- A teraz, jeśli pozwolisz... mam ważne sprawy do przemyślenia.

Łagodnie dotknął jej ramienia - ciepłym, ludzkim gestem - ale tak naprawdę odesłał Sloane, żeby mieć wreszcie spokój.

Przekład: Małgorzata Fabianowska



CHUCK WENDIG jest pisarzem, scenarzystą i autorem gier RPG (m.in. „Pandemie”). Dużo pisze (niektórzy twierdzą, że za dużo). W 2012 roku w Polsce ukazała się jego debiutanc-

ka powieść *Drozdy. Dotyk przeznaczenia*, a potem drugi tom: *Drozdy. Posłaniec śmierci*. Można go spotkać na stronie terribleminds.com, gdzie udziela porad dotyczących pisania i publikuje krótkie opowiadania. Chuck Wendig jest mężem, ojcem i właścicielem dwóch psów. Mieszka i pracuje w lasach Pennsylvanii, gdzie zaszył się z rodziną i swoimi zwierzakami.

PHOTO: © MICHELLE WENDIG